TWÓRCZOŚĆ

1

STYCZEŃ

ROK VIII 1952

NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:

no. 2, 4-12 1952

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 1

WARSZAWA STYCZEŃ 1952

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Druk. Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Dom Słowa Polskiego", Warszawa
Zamówienie 2704 z dn. 3.12.51 r. nakł. 6603. Druk ukończono 9.I.1952 r. 2-B-48104

KTÓREJ MI NIKT NIE ODBIERZE

Ziemio czarnych lasów, przydymionych pól,
której mi nikt nie odbierze,
ziemio wśród zieleni mokrej błyskająca węglem,
ziemio horyzontów zdobytych przez ból —

Gdy przez dym się sypie próchno mgliste słońca,
ziemio, ziemio w mrokach i przebłyskach,
jak od potu twarz w ciemności twardej lśniąca.

Ziemio, której echem bije grom,
gdy w łunie stali dzwoni młot parowy,
ziemio cicha pod srebrem wykoszonych łąk,
pod cieniem smolnych dolin.

Ziemio, ziemio, w którą wierzę,
razem z tobą złączony we wszystkim
w najpiękniejszym i jedynym boju,
w chmurze i połysku.

W najtrudniejszym, nieustannym boju
ramię w ramię z górnikiem, z człowiekiem,
który ciemność rozbija, rozrywa kamienie
i drogę drąży wiekom.

Razem, razem porwany w ludzki płomień,
jak wielkich pieców iskra wśród milionów
gnać w tysiącach, w masach, co z pociągów rannych
rwą wśród świstu syren przez perony.

Kiedy od gór błękitnych nadziei światło dnieje
z wysokopiennych borów, kominów kopalń, hut,
sygnały w dymach zwiastujące
nad Śląskiem wschód
i nad wieżami szybów błyska
czerwona róża ponad Śląskiem.

I rośnie, rośnie ziemia w żyżlach, koniczynach,
której już nikt nie odbierze.

Ziemia, ziemia śpiewająca, młoda
ziemia czarna i zielona,
w którą do śmierci wierzę.

Bogdan Ostromęcki

ANDRZEJ BRAUN

HELGOLAND

Ewa-Maria Bruhn wzięła udział w drugiej wyprawie młodzieży niemieckiej na Helgoland, będącej formą protestu przeciwko zamienieniu wyspy niemieckiej na poligon angielskich bombowców.

Twarz, niby siwy, górski orzeł,
i w uszach twych Reimanna głos,
i serce chce wyskoczyć wprost
przed mroczny kuter, w czarne morze.

Pieśni pokoju nie trzeba nut,
falą kolejną nadbiegła.
Tu noc. Helgoland ciemnieje z wód
jak w morzu stercząca cegła.

Na pierwszym skrawku ziemi trwasz,
dzieciństwa czas pamiętasz,
bo znowu pięść ich tłucze w twarz
i bombą ryje świeży cmentarz.

Jak serce twoje bije blisko,
Ewo-Mario z „Falken",
gdy pierwszą czując walkę
dorównać pragniesz komunistom.

Kiedy widnokrąg zakrył świat,
kto rzekł, żeś równa bohaterom?
aż trzeba było słów i krat,
wtedy dopiero.

PSY POLICYJNE LEHRA

Deutsche von Deutschen in Deutschland gefangen
weil er aus Deutschland nach Deutschland gegangen
(napis w więzieniu w Helmstedt)

Nocą Berlin niebiesko lśni.
Paul z Ruhry przez las się przedziera.
Księżyc w hełmie. Szczekają psy —
psy policyjne Lehra.

W głodnych, westfalskich miastach
już wali esmański but.
Paul na żołnierskich zjazdach
tłumaczył: — „Marshall, to głód...

Jedność — mówicie, ale
spojrzeć na Berlin — grzech.
Menschen, hört die Signale
auf zum letzten Gefecht..."

Berlin jak gwiazda. W Berlinie my.
Paul z Ruhry przez las się przedziera.
Księżyc w hełmie. Szczekają psy —
psy policyjne Lehra.

Jedność, rzekł Adenauer,
jedność bez komunistów —
Paul, raniony wystrzałem,
upadł na ziemię ojczystą...

Krwi swej ściegiem zeszyć ją gotów,
niech krew zasycha na darni.
Niebieską koszulę FDJ-u
nieraz już z niego zdarli.

Pamięć nasza jest bezlitosna.
Za krew tę staną na sądzie...
Tam jest Berlin... Tam pokój, wiosna...
Czołga się. Czy dojdzie? Dojdzie.

ŁZY W BERLINIE

12 sierpnia 1951 r. w Berlinie na Placu Marksa—Engelsa dwa miliony młodych Niemców demonstrowało swą wolę walki o pokój

Tu — jakby morze spłynęło ogromne
z czarnych, spalonych katedr, z wyłomów i szczelin.
Jakże ten pochód milionów zapomnieć,
gdy szli przypływem, huczący, weseli.

Opływając ruiny jak skały sterczące,
falę za falą piętrząc rosnącego grzmotu,
niebieskich koszul tonią podmywając słońce
i odbijając w modrych flagach FDJ-u

szły i szły Młode Niemcy. Nad szafirem koszul
sztandary rewolucji czarno-krwawo-złotych
niby stare parowce płynęły po morzu —
w żaglach czerwieni ożył Stalinowski profil.

Ach, łzy i łzy jak różne! O nie, jam nie mazgaj
i umiem do krwi zagryźć warg niewytrzymałość.
Za tamte łzy z Berlina, z tych łez ciepłą falą
spłynęła z serca stara drzazga.

Patrzą oślepłe w ogniu pałace Bismarcka
na ten szturm fal młodości w ściśniętych kolumnach.
Skrył się żandarm-szczur w pustych Tiergartenu parkach —
Cień Bramy Brandenburskiej nad tłumem jak trumna.

Miliony rąk klaszczących rytmicznie i kwiaty,
miliony twarzy, dzieci, dziewczęta i chłopcy.
O, przyszedł, przyszedł wreszcie pierwszy dzień zapłaty,
płacą miłością dawną krew FDJ-owcy.

Dla nas uśmiechy dziewcząt, dla nas oczy dzieci,
oddechy ust wilgotne, falowanie piersi,
gdy wyszli z żużli wojny, idąc nam na przeciw,
bośmy zdjęli z ich ramion brzemię krwi i śmierci.

Te łzy radości dziś są zadośćuczynieniem
i nie zamażą w oczach przejmującej wizji,
gdy idzie z krzykiem: Stalin! młodzież całych Niemiec.
W tej bitwie Truman stracił sześćdziesiąt dywizji.

Andrzej Braun

PRAGNIENIE

Pamięci Tadeusza Borowskiego

Chciałbym dziś mówić tak barwnie i jasno
by dzieci biegły do mnie jak do parku
co w słońcu stoi i światło ma w sobie

Chciałbym dziś mówić tak ciepło i prosto
by starzy ludzie czuli się potrzebni

Chciałbym tak mówić aby moje słowa
przez łzy dotarły do blasku uśmiechów

Chciałbym dziś mówić spokojnie i cicho

By ludzie mogli ze mną odpoczywać
śmiać się i płakać
i milczeć i śpiewać

Chciałbym dziś mówić gniewnie i surowo
by odnaleźli zgubione marzenia:
Skrzydło co kiedyś wytrysło z ramienia

Chciałbym nie mówić
lecz czynić słowami
aby słów moich dotknęli rękami
ludzie.

RZEKA ŚWIATŁA

W słowackiej wiosce
w mroku
nic się nie dzieje
nie łączy nie wiąże
tylko słupy pary
idą
nad głowami ludzi
nad kadłubami zwierząt

W chatach
w ciemnym języku lampki naftowej
na skrzyniach talerzach dzbanach

gasną słońca i ptaki
w czarnym trójkącie
drzemie oko opatrzności

Szyba Wagu spada
z gór od lat tysiąca
skrzy się na kamieniach
żółte szumy toczy

Powiedziała Partia
tu stanie zapora

Z wiosną przyszli młodzi
rozkopali ziemię
przenieśli góry
zaskoczyli bystrą wodę
między lasy zielone
pod niebo wysokie
cisną jezioro ogromne

Rzeka światła
wejdzie
w dolinę ciemną.

(Z podróży po Słowacji 1951 r.)

Tadeusz Różewicz

PIOSENKA O BURSZTYNOWYM SERCU

Kazimierzowi Wyce

Jeśli dziewczyna
ma oczka ładne
włóż jej na szyję
ko-ra-le!

Zrobię je dla niej
z pięknych bursztynów
na brzeg wyrzucą
je fa-le.

A jeśli znajdę
bursztyn dość spory
otwór na sznur w nim
wy-wier-cę

i bursztynowe
serce wyrzeźbię
by wraz ze swoim
dać ser-cem!

Niech nie zapomni
kiedy na morze
ojczyźnie służąc
po-pły-nę

niech wiernie czeka
gdy marynarza
za męża chce mieć
dziew-czy-na!

Zrobię ja dla niej
z bursztynu serce
i zrobię także
ko-ra-le

a w jej serduszku
by wierne było
światełko złote
za-pa-lę!

Tadeusz Śliwiak

PAMIĘTNIK Z CELULOZY*)

XI

Następnej niedzieli Czerwiaczek tak samo zaginął na mieście i Zocha znów gościła Szczęsnego u siebie, od śniadania do samego zmierzchu a potem poszli do kina.

Szli przytuleni, drogą okólną, gdzie ciemniej, gdzie ciszej, lekką niemoc czując w kolanach i siebie tak pełni, w pełni aż dojmującej jak usta nabrzmiałe, a szumiącej jak szmerek od myśli młodych, wyskokowych. Naszeptać się do pusta nie mogli, nienasyceni — on i ona — oszołomieni, że to jest właśnie ta miłość, o którą się ludzie tak zabijają!

— Nie wiedziałam, słowo daję, choć dwa lata z nim żyję! Co mężczyzna, co szczęście, to poznałam dopiero przy tobie... Tobie przecież na imię szczęście!

— No, nie mów hop. Nie wiadomo jeszcze...

— Wiadomo. Uciekniemy! Tylko pamiętaj: gdybyś się zląkł...

— Nie ma obawy.

— Albo z inną się zadał...

— A coś ty, Zosiu! Popatrz, czy na takiego wyglądam?

Zmysły w nim grały i tkliwa wdzięczność rosła do Zochy, że go tak przed nim samym jak prynca jakiego wywyższa! Za jej dobroć, że się już troszczy o jego rzeczy, o ubranie, które koniecznie trzeba przenicować i chować na niedzielę, a do pracy wkładać to, które mu kupi na Kercelaku... I w ogóle za to, że z ciemnej komórki pod schodami wywiodła na światło, że mu w oczy radością życia plusnęła.

Poznał kobietę i kino. Nie wiadomo, które z tych przeżyć było silniejsze.

W Warszawie, na ulicach pryncypalnych, istniały już kina dźwiękowe, ale na Wolskiej, na Chłodnej publiczność po dawnemu wołała: „łysy graj!" — i pianiści przygrywali do przygód niemych cowboyów i milionerów.

W zatłoczonej sali, pod spotniałym dachem Komety i Maski ściskając rozmarzoną Zochę, Szczęsny po raz pierwszy ujrzał morze i góry. Zobaczył Murzynów, Eskimosów i Chińczyków, nieznane zwie

*) Patrz numer poprzedni Twórczości.

rzęta i kwiaty. Był szlachetnym mścicielem pod szerokim sombrero, na czarnym ognistym rumaku, to znów młodym lordem, walczącym o serce ubogiej panny sklepowej. Widział pracowitych i dobrych bogaczy — icho wie, może tacy naprawdę istnieją? — ich życie wytworne, jak edzą, chodzą i ubierają się.

Przestał siorbać przy jedzeniu i łyżkę trzymał nie w garści, ale trzema palcami. Starał się nie giąć krzyża w ukłonie, wystarczy przecież, e stoi wyprostowany i wita pochyleniem głowy. I Zochę raz przy pożegnaniu ucałował pod latarnią na sposób pięknych młodzieńców w smokingach: przechyliwszy jej głowę, z wzrokiem zatopionym w oczach ukochanej, zwolnionym zbliżeniem ust, które jak szlachetne orniry nie od razu do siebie przylgną, ale gdy się złączą, to już na men.

Zocha nie mogła zemdleć, jak by wypadało podług filmu, bo na hodniku nie było wzorzystej kozety, więc tylko jęknęła:

— Szczęsny, ja chyba oszaleję...

Nie opuszczali żadnego programu, wymykając się do kina dwa razy w tygodniu. Z początku Zocha chciała fundować, ale Szczęsny miał wój honor, poza tym wiedział, że Zocha lubi pieniądze. Może potem ałowałaby w skrytości tego wydatku na niego. Po czułych targach postanowili, że fundują sobie na przemian: raz Szczęsny, raz Zocha.

Do kina skradali się zawsze martwą stroną Okopowej, pod murem irkuta, bo tam było ciemno i kwiaty cudnie pachniały. A wracali przeinając czarny przestwór rynku, żeby się raz jeszcze uściskać między traganami. Zalatywało tu śledziem i końską uryną, i Zocha się wzdryała:

— Ja się boję.

— Czego?

— Że nic z naszych planów i wszystko zostanie jak było.

„...chowana z dala od kultury, na peryferiach, w wyziewach sknerstwa i wstecznictwa, gdzie straszą różne babuki... Chciała się ratować, hciała uciec ze mną. Były to ostatnie ludzkie podrygi Czerwiaczkowej, im jęła się omotywać w kokon interesów i stosuneczków, opupiać zczelnie forsą — to jasne..."

Niezupełnie. Tak to wygląda po dwudziestu latach, ale wtedy?

Wtedy przecież Zocha nie była jeszcze szefową D e k o r t u. Kochała marzyła. Mniejsza o to, że podług kuchennej powieści (skąd miałaby nne, skoro chowała się na „peryferiach kultury"!), ale były to jednak narzenia o życiu w świecie piękniejszym, z chłopakiem dzikim i śmiaym jak Don Cybalgo.

Dzięki niej Szczęsny zmężniał, nabrał pewności siebie i przy robocie pogwizdywał. Szedł krokiem lekkim, sprężystym i choć po dawnemu powieki miał nieco opuszczone, nie było w tym nic ze znużenia, przeciwnie — jak gdyby pod nimi, w oczach podkrążonych, ściemniałych, krył cały blask odzyskanej młodości i świeże, przemożne pragnienie.

Przebiło się ono pewnego wieczoru po powrocie z M a s k i. Wyświetlano tam polski film o człowieku bez rąk. W pustym warsztacie, oglądając rzędem ustawione stojaki na kwiaty, Szczęsny wyciągnął przed siebie swe młode, silne ręce.

— Jeśli on do tego doszedł, to ja przecież...

Jeśli człowiek bez rąk, myślał Szczęsny, zdobył bogactwo, miłość, pisał pięknie nogą i nawet bandytów rozbroił, celując do nich z pistoletu palcami bosych stóp, to on, Szczęsny, dokona jeszcze większych rzeczy.

Będzie niezależny, zabezpieczy rodzinę, może ludziom pomagać... Trzeba tylko być niezłomnym jak tamten, pracować bez ustanku nad sobą, uczyć się... Prostak niczego się nie dorobi — tylko uczony. A on z czytaniem nie zawsze w kinie nadąża za napisami.

Zapisał się do wypożyczalni na Lesznie. Brał Karola Maya, żeby się wprawić w czytaniu. Z początku był nim zachwycony, po pewnym czasie jednak zauważył, że wszystkie jego powieści są na jedno kopyto. Poprosił bibliotekarkę o książkę z przygodami, ale w lepszym gatunku. Dała mu Londona. Tego włóczęgę serdecznie polubił. Zaprowadził zeszyt, do którego przepisywał ładniejsze ustępy — dla pamięci i dla wprawy w pisaniu.

Siedział teraz w warsztacie przy biurku majstra, paląc światło do pierwszej i drugiej w nocy, bo majster zachorował. Gościec go złapał po ulewie, pod którą wpadł, wracając z Leśnej Podkowy, gdzie plac wybierał, żeby się na wiosnę pobudować. Nie mógł ruszyć głową ani ręką. Zagubiony na łożu małżeńskim, wyglądał jak żywy trupek do trumny dziecinnych numerów. Słabym głosem wydawał czeladnikom rozkazy i wołał Zochę, żeby go znów obłożyła wałkami z gorącym piaskiem.

Zocha chodziła rozdrażniona i zła. Obrzydły mąż jęczał i zrzędził, w dzień i w nocy żądając opieki. Ustały niedzielne swawole ze Szczęsnym. Gdy teraz czasami wpadała do niego, to były to tylko krótkie kradzione chwile i Szczęsny był inny. Wprawdzie witał ją tym samym radosnym, trochę drapieżnym uśmiechem, odsłaniając mocne zęby spod górnej wargi, nad którą sypał się już czarny wąsik, czuła jednak, że czymś jest zajęty, że już nie myśli wyłącznie o niej. Widziała — ciągle czyta i pisze.

— Czy to ci do fachu potrzebne, że tak ślęczysz?

— Nie, to widzisz — Martin Eden.

— Co za jeden?

— Jak ja, uważasz, zupełnie jak ja zaczął!

— Ale jak skończył, to ważniejsze.

— Właśnie koniec przepisuję. Gdy wszystko zdobył, wziął głupi i poszedł na dno, już mu się odechciało... Ja się z tym zgodzić nie mogę!

Ogarniała ją rozpacz, że się omyliła. Czy można pójść z nim przez życie przebojem? Czy można założyć jakiś interes? Taką ślamazarę wzięła za Cybalgo!

Pewnej niedzieli zmyśliła pogrzeb koleżanki w Brwinowie i zostawiwszy matkę przy mężu, pojechała ze Szczęsnym na Bielany.

Był ładny dzień sierpniowy. W sosnowym zagajniku niedaleko CIWF'u znaleźli miejsce ustronne, dobrze osłonięte i tam się opalali: Szczęsny w koszuli, Zocha w kostiumie kąpielowym. Znów byli sami, bliscy sobie i nienasyceni.

Zocha snuła słodkie marzenia, że Czerwiaczek niedługo się wykończy, wtedy się pobiorą i Szczęsny obejmie warsztat.

Szczęsny zżymnął się na to. „Jednak serce ma ona zimne — pomyślał. Jaki on jest, w każdym razie mąż, a ona tylko dybie na jego śmierć"... I ta jej radość, że go wykieruje na majstra!

— No, ja i tak się urządzę, a ty wtedy przyjdziesz do mnie i będziemy razem, choćby on żył...

Zaczął opowiadać jej o swych planach.

— Ale czego się chcesz uczyć? — zapytała.

— Wszystkiego co jest potrzebne.

— Do czego?

— Tego jeszcze nie obmyśliłem.

— A ile masz pieniędzy, żeby tak się uczyć i uczyć?

Okazało się, że zaledwie 30 złotych. Wtedy mu powiedziała, co ona ma w czeczotowym pudełku: złotą bransoletkę, kolczyki z brylantami, trzy pierścionki i 200 złotych gotówką.

— Za to wszystko można mydlarnię otworzyć. A jeśli on umrze warsztat się sprzeda, wtedy wystarczy nawet na sklep kolonialny w dobrym punkcie. Ja przy kasie siądę, a ty będziesz rządził subiektami.

— Za twoje pieniądze? Nie, ja sam potrafię.

— Co ty potrafisz, co?!

Od słowa do słowa doszło do kłótni. Odwrócili się do siebie plecami i leżeli obrażeni.

Zocha pierwsza wyciągnęła rękę, pogłaskała go nieśmiało. Szczęsny przeprosił ją gorąco i ona znów przytuliła jego głowę, zmęczona, złamana, że to człowiek chwiejny, nieżyciowy. Pieszczoty — owszem, do tego tylko jest on chętny i pojętny, ale do interesu?

— Dzieciaku — szeptała — mój ty duży, a głupi...

W tej chwili ktoś z tyłu ujął Szczęsnego za kołnierz.

— Pan pozwoli z nami.

Szczęsny wstał. W zapadającym zmroku dojrzał trzy milczące postacie. Najwyższy miał okrągłą blachę gajowego na piersi. Dwóch młodszych cywilów osaczyło Szczęsnego z obu stron.

— O co się rozchodzi?

— Obraziłeś pan publiczną moralność. Chodźmy na posterunek.

Zocha stłumiła ręką krzyk rozpaczy, ale Szczęsny, oceniwszy sytuację, powiedział beztrosko:

— Na posterunek? Dobrze, możemy się przejść.

Poszli przez zagajnik w kierunku wału: Szczęsny z Zochą pod rękę w asyście obu wyrostków, z ich szefem za sobą. Zapłakana Zocha błagała: „Szczęsny, ja się zabiję! Szczęsny, zrób coś"... Ale Szczęsny nic nie robił i spokojnie pozwalał się prowadzić.

Przed wałem jeden z asysty szepnął:

— Szkoda panienki. Protokół spiszą, w Kurierze obsmarują...

— No to co? I tak za tydzień mamy ślub.

— Wszystko jedno. Wstyd... Niech pan da coś gajowemu, może puści. Ja bym z nim pomówił.

— Ile?

— Dwadzieści pięć złotych.

Szczęsny nie miał już co do nich żadnej wątpliwości: zwyczajne „trzmiele"! Zakochanych tną.

Znajomy chłodek odbił się w przełyku jak zawsze, gdy brała go zimna pasja.

— Cóż, kupić nie kupić, potargować zawsze można.

Tamten poszeptał z szefem.

— Owszem, zgadza się...

— Ale ja nie mam dwudziestu pięciu złotych.

— A ile pan ma? — zapytał podchodząc do niego „gajowy".

— Dwudziestkę.

Zaczęli się targować. „Gajowy" wreszcie oświadczył, że też ma serce opuścił na dwie dychy.

Szczęsny podziękował.

— Naprawdę ostatnie oddaję. Możecie się przekonać.

Nachylił się nad torbą w ręku Zochy. Były tam resztki jedzenia w gazecie, kostium kąpielowy i pusta butelka po lemoniadzie.

— Niech pan liczy. Cztery piątki mamy...

Sytuacja układała się teraz znakomicie: jeden z wyrostków stał daleko, odwrócony wstydliwie plecami, drugi nieco bliżej, a „gajowy" wyciągnął rękę po pieniądze.

Szczęsny wyrwał z torby butelkę i trzasnął „gajowego" w łeb. Rozbryśnięte szkło fruwało jeszcze w powietrzu, a on już leżał.

Zdzielił pięścią w szczękę drugiego „trzmiela", poprawił w locie (gdy ten się walił) z drugiej strony. Chciał się rzucić na ostatniego, ale usłyszał tylko trzask łamanych gałęzi i oddalające się wołanie wniebogłosy — o ratunek.

Chwyciwszy Zochę pod ramię, pognał przez zagajnik w zakosy, raz w prawo, raz w lewo, aż błysnęły światła Zdobyczy Robotniczej. Wtedy przeciąwszy pole, dali nura w nowy zagajnik i biegli co tchu dalej torem kolejki młocińskiej do przejazdu przy dworcu Gdańskim. Szlaban był na szczęście podniesiony, więc przeszli przez tor i dopiero na drugiej stronie, pod drewnianym płotem, przystanęli.

Zocha trzymała się kurczowo klapy jego marynarki. Czuł jej twarz płonącą, zlaną potem, dreszcz całego ciała.

— Nie bój się — uspokajał, głaszcząc po plecach — teraz nas już nie złapią.

Skinęła głową, nie mogąc jeszcze słowa wymówić.

— Uczesz się, upudruj, musimy dojść do tramwaju.

Bezpieczny o swą powszedność tłum na Placu Muranowskim, przekupki, światła i reklamy oddaliły ich jeszcze bardziej od Lasku Bielańskiego.

Przed oknem niepozornej ciastkarni Szczęsny obejrzał prawą rękę. Krwawiła, bo skóra na kostkach była zdarta. Poprosił o chusteczkę i po opatrunku wprowadził Zochę do środka.

Zamówił dwie herbaty i dwa ciastka — na to powinno było starczyć, bo miał przy sobie dwa złote z groszami.

— Jakie chcesz: tortowe czy z kremem?

Zocha, dzwoniąc zębami o szklankę, wyszeptała:

— Szczęsny, on chyba nie żyje...

— Pies go drapał, co to mnie obchodzi — rzekł swoim zwyczajem. — Nie mogłem przecież pozwolić, żeby się dowiedzieli adresu. Co miesiąc przychodziliby potem po swoją „prenumeratę": daj nam pani tyle a tyle, albo powiemy mężowi... Nie przejmuj się. Zjedz ciasteczko — ty zdaje się lubisz z kremem? — i wracaj do domu tramwajem. A ja tu jeszcze posiedzę i przyjdę za godzinę.

Uśmiech miał dobry, spokojny, mówił o ciastkach, a przecież zabił. Bez namysłu zabił człowieka, który chciał jej zrobić wstyd i „prenumeratę".

Obie dłonie złożywszy, jak muszlą przykryła jego obwiązaną pięść.

— O takim właśnie marzyłam... Ty jesteś jak pięciu Cybalgów!

Codziennie kupowali gazetę, szukając sensacji o zabójstwie na Bielanach. Nie było. Minął tydzień i drugi — nic, nawet drobnej wzmianki, że komuś niedaleko Zdobyczy Robotniczej rozbito łeb butelką.

— Twardy łeb — zauważył Szczęsny. — Wylizał się, a na policję nie poszedł, bo ma z nią pewnie na pieńku...

W oczach Zochy urósł na bohatera. Ścigała go wzrokiem głodnym i natarczywym. Nie mogła się doczekać, kiedyż nareszcie znajdą się znów sam na sam.

Pewnej nocy przekradła się do komórki. Zegarka nie mieli, a gdyby nawet... Śmieszne rzeczy. Miłość i zegarek!

Szczęsny pierwszy oprzytomniał.

— Słuchaj, on przecież zauważy. Jesteś tu godzinę, albo i dwie.

— Nie ma obawy. Dałam mu na sen. Niech śpi, przeklęty, bodaj by się nigdy nie obudził!

— Nie mów tak. Jednak to twój mąż...

— Mąż? A czy oni się mnie pytali, matka z nim, czy go kocham? Musiałam wyjść za niego, bo tak sobie ułożyli.

— Mogłaś nie wychodzić.

— Kiedy byłam głupia, no i matka mówiła, że bogaty, że stary, wszystko mi zostawi. A on jeszcze mnie przeżyje! Taki sknera do stu lat będzie skrzypiał, będzie dogryzał i podglądał, czy go nie okradam. I jeszcze żąda, żebym mu dogadzała — ty tego nie rozumiesz. Wy jak koguty, wam wszystko jedno — kochana czy nie kochana. Ale kobieta... Masz pojęcie, co ja czuję, gdy to plugastwo wślizgnie się pod kołdrę? Drżączkę ma, chwyta zimnymi łapami, dzieciaczka zgrywa: „Ogrzej mnie, matuchna, popieść mnie troszeczkę"... Ja bym go wtedy udusiła! Ja bym wolała, żeby mnie bił. A z rana... Wiesz, gdy śpi, to mu ta zatabaczona warga zwisa — nadepnąć można...

Chlipać zaczęła — na wspomnienie swego poniżenia.

— Tyle tylko mam radości co od ciebie... A ty mówisz: mąż!

Szczęsny przygarnął ją, umęczoną, sprzedaną w bogate małżeństwo. Właściwie sama się sprzedała... Głaskał i szeptał ciepłe słowa, bo przecież mogła być całkiem dobra, gdyby nie ta jej łapczywość na pieniądze... Co też pieniądz robi z człowiekiem!

Zasnęli nad ranem, tak mocno, że obudziło ich dopiero pukanie w szybę. Jawornicki dobijał się do warsztatu. Zocha czmychnęła za drzwi, ale płaska twarz Jawornickiego nie odpadła od okienka. A więc najważniejsze: widział, czy nie widział?

Otworzywszy warsztat, Szczęsny poznał po obleśnym uśmieszku: Jawornicki ma ich w ręku!

Nastały dni udręki: komu powie — majstrowi czy Baburze? Zna Baburę, raczej najpierw jemu powie, bo przy Czerwiaczku zawsze jest teraz Zocha, a więc dopiero po wyzdrowieniu...

W parę dni potem, nie czekając na niedzielę, Szczęsny poszedł do Babury i ten go z miejsca sklął od szubrawców. Wypomniał w gniewie wszystko — że go miał prawie za syna, że urządził u Czerwiaczka, słowem poręczył, a Szczęsny za to wszystko odpłacił łajdactwem.

Nie dał Szczęsnemu dojść do słowa. Nie chce go znać, krzyczał, niech stąd odejdzie i niech zaraz opuści dom Czerwiaczka.

Szczęsny ścierpiał wszystko. Czuł swą winę i kochał Baburę.

— Jutro odejdę z warsztatu. Niech mi pan wybaczy, że tak się stało... Czy mogę jeszcze przyjść do pana, gdy się potem gdzieś urządzę?

Babura nic nie odrzekł. Odwrócił się do niego plecami — biała głowa w oknie lekko mu się trzęsła. Drogo widocznie kosztowało go to wyklęcie Szczęsnego.

Nazajutrz Szczęsny spakował kuferek — nie ten z obrzynków po rumnie Cichowicza, ale nowy, który sobie zrobił u Czerwiaczka, z lipowej deszczyny. Ułożył tam dwie koszule, krawat, ręcznik, mydelniczkę granatowy garnitur, w którym przybył do Warszawy, a który Zocha mu uratowała, bo podniszczone w warsztacie spodnie kazała przenicować, żeby ten garnitur z bielskiego materiału miał na święta i do miasta, a do pracy kupiła mu na Kercelaku ubranie za 20 złotych i skórzane kapce.

Czerwiaczkowi powiedział, że ojciec jest ciężko chory. Musi natychmiast wracać do Włocławka. Majster wyraził mu współczucie, podyktował Zosi piękne świadectwo z pracy i rozstał się z nim w zgodzie.

Szczęsny umówił się z Zochą, że się spotkają za dwa tygodnie w ciastkarni na Muranowie i wyniósł się do domu noclegowego Braci Albertynów na Pradze.

Zakład pana Wierzbickiego, do którego Szczęsny dostał się w miesiąc po opuszczeniu Czerwiaczka, mieścił się na Podwalu.

Wierzbicki przeważnie dawne wieki poprawiał lub podrabiał. Znał się na wszystkich Filipach i Ludwikach, umiał sztukować do niepoznania pękate baroki, krzywe empiry, umiał też nowy mebel upstrzyć starymi plamami, stoczyć robactwem, myszką uszkodzić i za to znawcy wysoce cenili pana Zenona.

„Zenon Wierzbicki — meble stylowe i nowoczesne" — to była firma poważna, dyskretna, z którą każdy szanujący się człowiek na stanowisku mógł wejść w ciche porozumienie, dlatego też nigdy nie brakło tu robót rządowych.

Szef był podobny do dyplomaty z P o d w ó j n e j g r y. Wysoki, suchy, o nieprzeniknionym obliczu, ładnie się nosił i mówił niegłośno, znacząco. Lubował się w pięknej robocie, wymagając od majstra, żeby u niego terminatorów naprawdę uczono. Majster był jeden, terminatorów było dziesięciu, stolarzy ośmiu i przy maszynach czterech.

Szczęsnego przyjęto na próbę na trzy złote dziennie. Po dwóch miesiącach dostał dniówkę czterozłotową i wziął sobie korepetytora. Za mieszkanie z utrzymaniem płacił 60 złotych, lekcje trzy razy w tygodniu po półtora złotego kosztowały go 20 złotych miesięcznie, tak że na ubranie, buty i drobną fundę dla Zochy zostawało około 18 złotych.

Nastały czasy okropnie szare: praca — aby żyć, nauka — żeby się wybić. Dnie jednakowe jak ziarnka piasku, życie jak na pustyni, odcięte od świata.

Terminatorzy zapraszali, żeby chodził z nimi do miejskiej świetlicy młodzieży robotniczej. Nie chciał, bo to oderwałoby od nauki. Ten i ów stolarz pytał się, dlaczego nie wstępuje do związku, będzie miał w razie czego obronę. Ale Szczęsny w obronę związków endeckich czy chadeckich nie wierzył. Naprawdę walczą, myślał, tylko czerwoni, u nich jednak trzeba zostać zawodowcem, trzeba się wyrzec wszystkiego. A czy mają rację na sto procent — to babka na dwoje wróżyła. W chwilach rozterki i wyczerpania widział człowieka bez rąk, który nikogo nie skrzywdził; bez niczyjej pomocy, sam jeden, urządził sw# życie szczęśliwie.

W poniedziałki, środy i piątki szedł prosto z pracy na lekcję do Hotelu Słowiańskiego, bo to było po drodze, także na Podwalu. W tym

ubogim staroświeckim hotelu mieszkali emigranci z Rosji i akademicy z prowincji. W pokoju pod numerem siedemnastym mieściło się pogotowie ratunkowe — czterech specjalistów od niemocy w nauce z zakresu szkoły średniej. Kończyli prawo, utrzymując się z korepetycji. Jeden z nich, Biernacki, udzielał Szczęsnemu polskiego i rachunków.

W dni wolne od Biernackiego wcześniej zabierał się do odrabiania lekcji. Zjadłszy obiad w kuchni Szamotulskiej, wracał do swej celi, uczył się i czytał do północy, chyba że przyszła Zocha albo Komisarz, albo Chińczycy zawołali na karalucha.

Mieszkał na Starym Mieście w małej, pleśnią pociągniętej kamieniczce zwanej Pekinem, u wylotu wąskiej ulicy z widokiem na Rybaki i Wisłę. Kamieniczka była ślepa, bez elektryczności, z rozpaćkanym przy bramie śmietnikiem i wspólnym dla wszystkich wychodkiem. Na parterze pan Sobański zbierał i płukał butelki, na piętrze stary referent skarbowy wojował z dziećmi dwóch rodzin tramwajarzy, a przyziemie, zbudowane za króla Augusta pod piekarnię, zajmowała warzywniarka Szamotulska, wdowa po sterniku z Vistuli, rezolutna, małomówna — kobieta jak dobry kalafior.

Szczęsny wynajmował u niej ciupkę: cztery kroki na trzy. Dużą halę, gdzie kiedyś stały piece piekarskie, okupowała od lat recydywa z Komisarzem na czele, nic oczywista nie płacąc, w średniej zaś — była chińska dzielnica Warszawy. Tu Chińczycy-domokrążcy produkowali swą galanterię: Stąd nazwa rudery: Pekin.

Gdy Zocha po raz pierwszy ujrzała jego klitkę o niskim okrągłym jak klosz suficie, grube niebielone mury, cementową podłogę, okienko w kształcie łuku...

— Ależ to nie pokój — zawołała — to jakaś cela. Klasztor czy więzienie...

— W sam raz dla mnie, na moją pokutę. Czego mi więcej potrzeba?

Wskazał na żelazne łóżko, dwa krzesła, stół i derkę nad wnęką, która służyła mu za szafę.

— Nie, ja tu muszę zrobić porządek. Przynieś wiadro wody i ścierkę.

— Potem — prosił ją Szczęsny — potem zrobisz. Tak dawno cię nie miałem.

— Nie — upierała się Zocha — w takim brudzie nie mogę.

Zdjąwszy pantofelki i pończochy, zabrała się do szorowania podłogi. Podniecana spojrzeniami Szczęsnego gorączkowo myła okno, poprawiała siennik, nawet derkę nie wiadomo po co zawiesiła drugą stroną, aby

go jeszcze podręczyć, niech będzie obolały z pragnienia i żarliwszy w kochaniu.

— Teraz to rozumiem, zupełnie inaczej wygląda — powiedziała wreszcie, siadając na łóżku. — Podziękuj, brudasie, za wszystko...

Tę samą niby znalazł Zochę, a jednak nie zupełnie tę samą. Coś się w niej zmieniło. Już się nie przymilała, nie traciła głowy w chwilach najbardziej zawrotnych. „Gra, czy taka się zrobiła przytomna?" — przemknęło raz Szczęsnemu, i potem jeszcze raz pomyślał o tej przytomności, gdy opowiadała, jak Czerwiaczek po donosie Jawornickiego, porwał się na nią z laską.

— Ale ja sobie przypomniałam ciebie, z tego zagajnika, i trzask go w gębę! A potem za uszy...

Za uszy go wytargała, krzycząc, że jeśli jeszcze raz odważy się ją w ten sposób znieważać, to go rzuci, odejdzie do matki. Czerwiaczek zbaraniał i czy uwierzył w jej niewinność, czy też aby tylko wybrnąć z paskudnej sytuacji, zwalił wszystko na Jawornickiego, wyłajał go za łgarstwo, za potwarz i wyrzucił z warsztatu.

— Teraz chodzi jak trusia — chwaliła się Zocha. — Poczekaj, ja go zupełnie okręcę!

Przypomniała sobie potem, że jeszcze nic nie wie, jak się Szczęsny urządził, co to za dom i jakich ma sąsiadów. Szczęsny opowiedział. Przestraszyła się.

— To tam za ścianą — złodzieje?! Przecież oni ci wszystko zabiorą!

Śmiać się chciało widząc, jak się zmieniła na twarzy w tym mieszczańskim strachu, największym strachu — przed złodziejem!

— Nie zabiorą — uspokoił ją Szczęsny. — Pokój zawsze zostawiam otwarty. Nigdy nie kradną tam, gdzie mieszkają. Zresztą dogadałem się z nimi: mam swój fach, oni mają swój. Nie wtrącamy się w to, jak kto żyje. Raz tylko ze mną zaczęli, ale Komisarz ich skrzyczał, od tego czasu dali mi spokój.

— Jaki znów komisarz?

— Prawdziwy komisarz, ale go wyleli z policji, więc został u nich hersztem.

Miała później wrażenie, że wychodzi ze spelunki, w której rządzi czarny charakter — okrutny i piękny Komisarz.

Innym razem, gdy byli sami, zapukano dyskretnie. Szczęsny szepnął: „na pewno Chińczycy" i zawołał:

— Proszę!

Przez uchylone drzwi zajrzała drobna, żółtawa twarzyczka, o czarnych skośnych oczach. Pozdrowiwszy ich domyślnym uśmiechem, oznajmiła:

— Kalalut.

— Dziękuję, panie Lituńczak. Zaraz przyjdę z narzeczoną.

Głowa znikła. Zocha zapytała, co to za jeden, czego chce?

— Właściwie nazywa się on inaczej: Li Tuc... i jeszcze coś nie do wymówienia. Dlatego wołamy na niego zwyczajnie: Lituńczyk. Chodźmy, zobaczysz grę, taką grę, że karty czy wyścigi — to szczeniak!

W niewielkiej izbie, także podobnej do celi, gdzie pod ścianą piętrzyły się prycze i czerwony czworokątny lampion zwisał nad okrągłym stołem — przywitał ich Lituńczyk i kilku Chińczyków tak samo grzecznych i cichych.

Na stole leżały srebrne złotówki, a po środku sterczała piramidka z bilonu.

Chińczycy ustawili się dookoła stołu w równych odstępach, trzymając na krawędzi maleńkie pudełeczka jak od zapałek, oklejone zielonym papierem z czarnymi znaczkami na wierzchu.

Lituńczak cicho gwizdnął. Na to hasło gracze błyskawicznym ruchem wyrzucili z pudełeczek po karaluchu. Karaluchy pobiegły na wyścigi do monet, a spotkawszy się, zaczęły się bić. Stół zamienił się w pole walki. Od czasu do czasu wyciągały się ręce z długimi paznokciami, chwytały monetę bezszelestnie — szeleściły tylko karaluchy po stole. Ta cisza dławiła. Żeby choć jeden odezwał się, coś zawołał! Ale usta graczy były zacięte, twarze skamieniałe, tylko oczy płonęły coraz mocniej i ciemniejsze plamy wypieków występowały na zapadniętych policzkach, i to wszystko po stokroć bardziej podniecało niż wszelki hazard, jaki dotychczas Zocha widziała w kinie.

Szczęsny wytłumaczył jej, że gdy karaluch wywalczy sobie drogę do pieniędzy, to jego właściciel zabiera wszystko, na czym to obrzydliwstwo stanie — monetę albo górkę monet czyli cały „szan".

Chciała spróbować. Lituńczak podał jej zielone pudełko, pokazując, jak należy pociągnąć za nitkę od spodu, żeby się rozwarło i wyrzuciło karalucha na stół.

Zocha postawiła złotówkę. Przegrała. Poprosiła o innego karalucha, od wysokiego Chińczyka, który najwięcej wygrywał. Ale i ten karaluch szedł na pieniądz ospale, może dlatego, że tak biła w dłonie i zaklinała. Chińczycy byli zgorszeni, a Zocha nie mogła wzroku nasycić

porozrzucanym na stole srebrem. Zaczynała już żałować przegranej, wtem podszedł Lituńczak i zwrócił dwie jej złotówki.

— Gost — powiedział z niskim ukłonem — gost pseglatse nie moga.

Podziękowawszy, wrócili oboje do sutereny Szczęsnego.

— Powiedz, co oni robią z karaluchem, że ten na forsę leci?

— A to samo, co się robi ze złodziejem. Trzymają w pudełku i głodzą. Wypuszczą na stół, na którym nic nie ma, prócz monety z okruchem i znów zamkną. Kiedy karaluch przyzwyczai się do tego, że jedzenie znajduje tylko na monecie i zawsze biegnie tam, gdzie błyszczy, wtedy zaprawiają go do walki — żeby kilka głodnych karaluchów biło się o jedną kruszynkę. Wreszcie poznaczą im grzbiety złotym lub srebrnym tuszem — pismo mają oni ostre — i biorą do gry.

— I często oni tak grają?

— Nie. — Raz na miesiąc, nawet rzadziej... Mnie się wydaje, że grają z tęsknoty. Nie masz pojęcia, co to za pracowity naród! Jedzą prawie tyle co karaluch, a pracują od rana do nocy. Jedni robią bambosze, figurki, różne chińskie zabaweczki, a drudzy na mieście to wszystko sprzedają. Czasem nie mogą już wytrzymać bez ojczyzny. Urżnąć się nie umieją, więc grają w karaluchy. Ja z nimi dobrze żyję, dlatego zapraszają.

Chińczyków Szczęsny rzeczywiście polubił i niekiedy do nich wstępował, by przyjrzeć się ich pracy. Gawędzili, pomagając sobie gestami.

Co do „recydywy", to z nią stosunki ułożyły się poprawnie, ale bez zażyłości. „Akademik" — mówili o nim na pół kpiąco, na pół z szacunkiem. Jeden tylko Komisarz odwiedzał Szczęsnego i to tylko wtedy, gdy był dobrze pod gazem.

Mały, krępy, nogą przysuwał krzesło do stołu i jak pod topór kładł swą czarną kędzierzawą głowę z pasemkiem przedwczesnej siwizny — podbródkiem na pięści ustawione słupkiem jedna na drugiej.

— Wszystko mi jedno — chrypiał, mierząc Szczęsnego mętnym spojrzeniem krągłych nakrapianych jak u rysia oczu. — Akademik, tego nie ma w książkach! Czytaj, dlaczego jest mi wszystko jedno?

Szczęsny czytał w jego oczach drapieżność i strach zwierzęcia, które się starzeje.

Sosnowski miał w sobie przynajmniej jakąś fantazję, a ci żyli jak szczury, nikczemniejąc pod zgniłą podłogą bez wyjścia. Nieraz pili na umór, nieraz bili się na noże o byle głupstwo, histerycznie, z nudów i rozpaczy.

Jedyne, co w nich Szczęsny cenił — że mieli swe niezłomne prawa trzymali się razem: jeden za wszystkich i odwrotnie.

Widział, jak sądzili na podwórku dziewczynę za zdradę. Na tę dinojrę zjechali się taksówkami nawet zażywni „emeryci", którym się poszczęściło, syci sławy i pieniędzy.

Słyszał od Szamotulskiej, że z komisariatu przybiegł wywiadowca, żeby kogoś dali, bo już za dużo jest szemrania na policję. Ciągnęli wtedy losy. Ten, który wyciągnął zapałkę bez główki, wysłuchał Komisarza, jak ma się dać złapać, żeby wyrok był tylko na rok i spokojnie poszedł na „lipną robotę". Wiedział, że go w więzieniu nie opuszczą.

Niekiedy o zmroku, po udanej wyprawie, przekradała się do nich władza w przebraniu i siadała grzecznie naprawdę jak cucyk (cucykami czyli pieskami nazywano tu policjantów).

— Kto tam? — pytał się sennie, odwrócony do ściany Komisarz.

— Wstawaj — szturchali go „pekińczycy" — Wstawaj! Cucyk przyszedł po swoje...

Za piwnicznym okienkiem przemijały dni zimne, słotne i słoneczne.

Raz na kilka tygodni przychodziły listy od rodziny. Szczęsny odpisywał, że zdrów, zarabia, uczy się fachu, ale w odwiedziny do domu nie wybierał się. Wiedział z listów, że ojciec chce go urządzić w Celulozie, a on przecież ani myśli zostać robotnikiem.

Z warsztatu na lekcje, w domu nad zeszytem i książką — brnął niemordowanie przez gąszcz tajemnic stolarskich, przez rachunki i ortografię — szlakiem „Człowieka bez rąk".

Towarzystwo, rozrywki? Ano dwóch stolarzy, z którymi się zżył, zasem Chińczycy, kino, spacer i Zocha.

Co do Zochy nie miał już złudzeń. Ani ona dla niego, ani on dla niej — ciało ma tylko gorące, ale serce... Bez niej jednak byłoby już wcale nie do wytrzymania.

Coraz bardziej oddalali się od siebie, nie rozumieli się, nie byli sobą szczerzy.

Szczęsny dla Zochy znów po pewnym czasie spospolicial w tym swoim Pekinie, wypłowiał z całego bohaterstwa. Nie zwierzała się przed nim z najgłębszych przeżyć: jak wywalczyła dla siebie zastępstwo w sklepie matki, jak żyje teraz handlem meblami. Przecież on nigdy nie zrozumie, co to za wspaniała gra — handel! Karaluch, wszem, w sam raz dla niego, i gramatyka.

Po każdej wizycie u Szczęsnego, wyjmowała w bramie na Samborskiej szczoteczkę i szmatkę z torebki, pucowała zabłocone lub zakurzone pantofle z coraz większym obrzydzeniem.

— Dobry mi kochanek, po którym trzeba się tak odkurzać. Ani do lokalu z nim, ani do ludzi...

A Szczęsny myślał wtedy o prawdziwej przyjaciółce, która mogłaby dzielić z nim radość i dumę po tym, co Biernacki powiedział:

— Właściwie jest pan teraz na poziomie absolwenta szkoły powszechnej, jeśli chodzi o polski i rachunki. Z rachunków dałbym panu piątkę, z polskiego — trójkę z plusem. Co do innych przedmiotów, oczywiście gorzej, jak zwykle u samouka... Ja bym panu jednak radził pójść na ul. Wolność do Dobiszewskiego *). Wprawdzie czerwony, ale w tym wypadku nie szkodzi, nawet lepiej. Niech mu pan powie, że jest pan robotnikiem. Może przyjmie na Uniwersytet Ludowy.

— Ale ja nie jestem teraz robotnikiem.

— To nic. Może pan nim być. Zajęcie, które pan ma, nie jest pewne.

Szczęsny w tym czasie pracował w składzie braci Majewskich. Wierzbicki go wyrzucił na parę miesięcy przed wyzwoleniem z terminu, bo Szczęsny ujął się za Garstką, za tym stolarzem, z którym się zżył, a który został zupełnie niesłusznie zwolniony. Wierzbicki dowiedział się, że Szczęsny ludzi „buntuje" i z miejsca mu wymówił.

Do Majewskich Szczęsny nieraz przyjeżdżał po drzewo z majstrem i bez majstra. Po zwolnieniu, szukając pracy, wstąpił tam na wszelki wypadek i znalazł zatrudnienie w charakterze pomocnika placowego. Z początku mierzył i wydawał drzewo, potem dopuszczono go do ksiąg, do biurka w kantorze, gdzie rachował i pisał specyfikacje.

Zarabiał więcej niż u Wierzbickiego, bo 130 złotych, awansował na biuralistę, marzył o uniwerku ludowym. Dobiszewski obiecał, że go przyjmie od jesieni.

Wszystko to nagle przerwała rządowa kartka powołania do wojska.

Zocha ładnie ręce załamała i spod filmowych rzęs, zrobionych tuszem, wycisnęła parę tłustych, czarnych łez.

Chińczycy podarowali mu albumik z ogromną sosną u podnóża ośnieżonej góry, za którą było błękitne morze i samotna, dziwnie wygięta łódź.

Komisarz poklepał po ramieniu:

---

*) Antoni Dobiszewski, nauczyciel, członek KPP, kierownik uniwersytetu ludowego w Warszawie, jeden z 50 powieszonych 16.X. 1942 r.

— Trzymaj się, Akademik. A co do kobiety, to napiszę, jak się prowadzi.

Szamotulska dała mu placek i jabłka na drogę.

Szczęsny poszedł do Babury. Raz mu posłał pocztówkę na imieniny, ze swoim adresem, ale nie otrzymał odpowiedzi. Teraz chciał się pożegnać. Niech dowie się przy sposobności, jak ciężko Szczęsny pracował że coś już umie.

— Babura? — zdziwiła się obca kobieta w stróżówce. — A toć on dawno zmarł!

Szczęsny udał się na Powązki. Z czapką w ręku obszedł groby, gdzie leżały wszystkie Babury, przypomniał sobie, jak żyli, co po nich zostało. Siadł na ławeczce Babury. Zdawało mu się, że słyszy pogodny starczy głos:

— A to wcale nie łatwo — przeżyć jak człowiek...

XII

„...Do Suwałk przybyłem w nocy i prosto z dworca udałem się do pułku, który stacjonował za miastem, przy szosie na Augustów, w dawnych koszarach rosyjskich opasanych drutem kolczastym. Słyszałem nawet te okrzyki, za które później tyle wycierpiałem, szedłem jednak dalej swoją drogą, druty zaś przestąpiłem bez obawy, bo służbę chciałem odbyć jak się należy, choć wypadła mi ona diablo nie w porę. Świtały przecież ładne możliwości, tu awans u Majewskich na placowego, tam uniwerek przy ul. Wolność, tymczasem — mundur, na ramię broń i dwadzieścia miesięcy straconych.

Dawno mi już z głowy wyparowały marzenia symbirskie o Legionach albo, co w „arce" śniłem, na Kozłowie — o schodach białych, marmurowych do marszałka po Krzyż Walecznych i tym podobne rzewności. Patrzyłem trzeźwo na plac apelowy, na kaprali — co wyrabiają z ludźmi! — i mówiłem sobie, trudno, szkołę muszą dać; w wojsku jak wszędzie najgorszy początek, potem naszyje się belki kapralskie i będzie się innych ganiało.

Jednym słowem, z takiego, jakim do wojska przyszedłem, można było jeszcze zrobić zupaka, tymczasem zrobiono ze mnie ofermę, idiotę i wroga wewnętrznego. Najgorsze umundurowanie — dla mnie, najpodlejsze roboty — dla mnie, i za byle co kara i kara, najczęściej bez żadnej racji — nie, myślę sobie, tu się oni zmówili. Ale dlaczego akurat mnie chcą pognębić?

Na dobrą sprawę, wszyscy u porucznika Gedrońca żyli po piesku, bo to był Napoleon z Pacanowa, ćwiczył bez litości i odwalał stare kawały z guzikiem przyszytym u kogoś orzełkiem w dół albo z oderwaną podkówką na czyimś obcasie, co zauważy od razu, ledwo okiem rzuciwszy, niby to wszystko widzi, wszystko wie — Pan Bóg siódmej kompanii! — a naprawdę byłby jak tabaka w rogu, gdyby nie sierżant, szef Motowiłło, co mu te sztuczki przygotowywał. Ten znowuż, z mordą pod koński zad, taka była szeroka i bez wyrazu, serce miał tylko dla świń, które sobie tuczył przy kuchni — nam okazywał samą pogardę i rżał z uciechy, gdy komuś dobrze dojechał.

Ma się rozumieć, gdy Gedroniec i Motowiłło, podoficer mundurowy, podoficer broni, drużynowy, słowem, jak cała szarża zaczęła mnie docierać na wąski kaliber, to już miałem nie wojsko, ale piekło jakieś, Oświęcim mniej więcej...

Co u licha, zachodziłem w głowę, czemu się na mnie uwzięli? Musi być jakaś przyczyna!

A był wtenczas w pułku pierwszy sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Traktorowym, tow. Klusiewicz Leon, Włocławek, ul. Franciszka Olejniczaka 6. Poznaliśmy się pierwszego dnia na zbiórce przed izbą przyjęć poborowych i przypadliśmy dla siebie, jako że obaj z Włocławka, bo on wtedy robił u Grünlanda, fabryka drutu i lin stalowych.

Na tę zbiórkę, pamiętam, przyszedł Gedroniec i spacerował przed frontem wyrzucając nogi, jakby chciał strząchnąć buty, i mnie się specjalnie przyglądał. Odpowiadałem mu śmiałym wejrzeniem, bo co mnie mógł obchodzić jakiś porucznik z opuchniętym okiem? Ale on przystanął i zapytał, od czego mam tę pręgę na szyi? Od golenia, powiedziałem, zadrasnąłem się w pośpiechu przy goleniu. To on tylko głową pokiwał zjadliwie i dodał, że taką nieuwagę można życiem przypłacić. Szeptał potem z szefem kancelarii pułkowej wskazując na mnie, a Leon burknął, że z tego może być trylogia, żebym się pilnował, bo to jest Gedroniec i będzie się mścił. Dlaczego, spytałem, może się mścić? Leon jednak już się skulił na podobieństwo ślimaka i zaczął się wykręcać, że tak sobie powiedział.

Z towarzyszem Klusiewiczem Leonem trzymałem cały czas, nawet gdy nas rozdzielono, bo ja wpadłem jak śliwka do Gedrońca, a Leon dobrze trafił — do plutonu łączności.

Otóż przypomniawszy sobie po pewnym czasie o słowach Leona poszedłem do niego. Jeżeli — myślałem — już na pierwszej zbiórce

mówił o jakiejś zemście ze strony Gedrońca, to musi coś wiedzieć. Ale Leon nic nie wiedział, nic nie pamiętał i w ogóle jakby się chciał mnie pozbyć. A w końcu zapytał, czy znam Staszka Rychlika? Znam, bo co? Nic, odparł, to mój kolega, pisał o tobie.

Wtedy, rzecz prosta, wszystko zrozumiałem: Rychlik — czerwony, więc i Klusiewicz musi być taki sam. Tamten pewnie ostrzega przede mną, dlatego ten zżyma się teraz, usuwa, bo jakże! Rychlika pobiłem na Maślanej, mnie potem kopnęli na placu drzewnym niby za podsłuch — kto wie, jakie jeszcze mogą być posądzenia?

Nie było o czym mówić, toteż odszedłem od Leona bez pożegnania.

A w parę dni potem, na pogadance uświadamiającej, Gedroniec wydał mnie kompanii. Mówił o wrogu wewnętrznym, z którym trzeba walczyć, który jest wszędzie, nawet w wojsku, nawet wśród nich — i wskazał dla przykładu na mnie.

Gdyby mnie nazwał Chińczykiem, no to jeszcze! Ostatecznie mieszkałem w „Pekinie". Ale — wrogiem ojczyzny? Jakim prawem?!

Chciałem zaprotestować, ale porucznik krzyknął „w tył zwrot", że tu nie wiec i zjechał na wydeptany tor: nie dawać się podszeptom — Bóg i ojczyzna — stoimy na straży granic i porządku.

Zaczekałem na niego przed koszarami i salutując poprosiłem o wyjaśnienie. A Gedroniec obejrzawszy się, czy nikt nie widzi, jak nie zacznie mnie łajać od zgniłków bolszewickich i co ja sobie myślę, że bezkarnie mogę bić oficera?! Nie wyjdę z jego kompanii! Na cmentarz wyniosą!

Wykręcił się, a ja zostałem głupi, jak stałem, z ręką przy daszku.

Jak mi dowódca przyszpilił wywrotową łatę, to już kto tylko chciał mógł ze mną poigrać. A że ja znów nie jestem z tych, co przepuszczają, no i że zamiast sprzymierzeńców szukałem swej krzywdy wszystkich potępiając, więc szczucie mnie stało się w kompanii rzeczą ogólnie przyjętą. Jedni mi dokuczali, żeby się przypochlebić szarży, drudzy — bo im napyskowałem, inni wreszcie z nudów, żeby się po prostu zabawić.

Pułk był opuszczony i moralnie zaniedbany. Po kompaniach snuły się jeszcze widma ze wszystkich trzech armii — z carskiej, z pruskiej i cesarsko-królewskiej. Stałem w pełnym rynsztunku na baczność z czterema cegłami w plecaku, i przy słupku, i przy ścianie na jednej nodze, mając prawą stopę i lewą rękę związane papierowym łańcuchem. Robiłem przysiady i skakałem żabką dookoła sypialni z karabinem przed sobą.

Wymyślano coraz to nowe zabawy. Gedroniec rozpoczął lekcje bok-
su. Dla całej kompanii, poglądowo, czyli na mnie. Parę razy ober-
wałem od niego, ale biłem się, przecież można powiedzieć, od pieluch
toteż na którejś tam lekcji złapałem cug i rozciągnąłem porucznika
na podłodze, że ledwo się pozbierał.

Wtedy Motowiłło wziął mnie na bagnet, i dźgał dzień w dzień, i do-
prowadził do takiego stanu, że może bym go w końcu zabił, gdyby nie
przyjazd szefa DOK..."

Od tego miejsca począwszy aż do odjazdu dobrego generała pamiętnik
jest dziwnie skąpy w szczegóły, niechętny tej roli popisowej, jaka tu
przypadła Szczęsnemu. Niesposób jednak tego przemilczeć, tym bar-
dziej że wiemy, jak było naprawdę.

Tak było:

Motowiłło, najlepszy w pułku szermierz na bagnety, o głowę ponad
cały pułk, bo miał wzrostu dwa metry z czymś — ten właśnie Moto-
wiłło zaczął dźgać Szczęsnego klasycznie, oczywiście także w celach
poglądowych. Chociaż walczyli w stroju szermierczym, Szczęsny wy-
chodził z tych pokazów potłuczony, poniżony, z dławiącą żądzą odwetu.

Z początku wszystkich to bawiło, dopóki nie przejrzeli, że to nie cyr-
bergaj, nie cyrk, ale pojedynek prawdziwy dwóch prawdziwych wrogów.

Za każdym razem, gdy Motowiłło go wyzywał, Szczęsny chwytał ka-
rabin i czyhający, podawszy się naprzód twarzą pobladłą, wystawiał n
sierżanta żądło bagnetu.

Coraz więcej widzów schodziło się na pokazy szermierki i zwoln
cichł szyderczy rechot. To nie było już śmieszne.

Zaszczuty, zamorzony strzelec skakał jak pchła wobec szczura, pada
pod ciosami wytrawnego szermierza, podnosił się i znów nacierał mści
wie, kłując powietrze wokół jego gardła.

Strzelec walczący do upadłego z obrzydłym zupakiem był jednym
z nich, więcej — był teraz całą kompanią.

Ci sami ludzie, którzy niedawno Szczęsnym pomiatali, przychodzili d
niego, żeby poczęstować papierosem lub kawałkiem domowej kiełbas
Nie jest przecież ofermą ani wrogiem wewnętrznym, mówiono o nim, p
prostu Motowiłło z Gedrońcem chcą człowieka wykończyć.

Szczęsny zyskiwał życzliwość i współczucie, czuł, że jest zapaśnikie
siódmej kompanii.

Poznał już przeciwnika, wiedział, że ma nad nim przewagę w nogac
i w sercu, trzeba więc go męczyć i rozdrażniać, wtedy zła krew oczy m
zalewa.

Drasnął go wreszcie w bok i tak długo wściekłego ganiał za sobą, aż
n przy ogólnym śmiechu zupełnie się zasapał.
Za ten śmiech Motowiłło tejże nocy zemścił się na całej kompanii.
W jakąś godzinę po capstrzyku przyszedł ze świecą. Nigdy nie zapalał
viatła, gdy chodziło o nogi. Brudnych nóg szukał zawsze ze świecą. Te-
z tak samo szedł od łóżka do łóżka, sobą i czarnym swym cieniem wy-
ełniając struchlałą sypialnię. Podnosił koce i przy chwiejnym płomyku
glądał stopy.
Znalazł oczywiście brud u kogoś i wypędził kompanię do pompy na
osaka, w samej bieliźnie.
Do pompy było pół kilometra. Butów nie dał, więc wszyscy wrócili
błoceni. Ale on widział błoto tylko u Szczęsnego, na niego krzyczał
groził:
— Ty mi to jutro odskaczesz!
Po jego odejściu jedni się pokładli na podłodze, żeby łóżek nie pobru-
zić, inni na łóżkach zwiesiwszy nogi i noc zeszła jak majaczenie.
Nazajutrz po ćwiczeniach zbliżył się do Szczęsnego Leon, ten sam od
rünlanda, fabryka drutu i lin stalowych. Szczęsny był w siódmej kom-
anii na drugim piętrze, a on w plutonie łączności na parterze, w tym sa-
ym budynku.
Musiał chyba posłyszeć, co kolega przechodzi, bo powiedział:
— Chcę z tobą pomówić.
— Nie mamy o czym mówić.
— Ale zrozum — muszę ci powiedzieć, cośmy mieli z Gedrońcem.
— Teraz musisz? Dziękuję, za długo namyślałeś się.
— Więc dalej mam patrzeć na to wszystko? Za kogo mnie uważasz?
— Za miętusa — ciął go Szczęsny. — Miętusów nie uznaję.
Nie pogodził się z Leonem, nie przebaczył w zaskrzepłym żalu, że go
lstąpił uwierzywszy Staszkowi. Niech sobie stoi z dala, niech nadal
trzy...
I Leon stał wieczorem w tłumie, który obległ schody, by zobaczyć, jak
zczęsny skacze żabką z taboretem nad głową.
Z parteru na drugie piętro, stopień po stopniu, brał żabimi skokami
hody brudne, oślizgłe — i gdzież te ze snu o marszałku — białe, mar-
urowe?! — a na górze stał wsparty pod boki ogromny i rżący Moto-
iłło:
— Wyżej, śmierdzielu, wyżej!
Byłby mu wtedy, bliski szału, rozbił głowę taborem, gdyby się nie
trącił chorąży Pawłowski.

— Czy ci nie wstyd? To przecież żołnierz...

— Ścierwo, nie żołnierz! Ja mu...

— Czekaj — przerwał chorąży, biorąc Motowiłłę pod rękę. — Pamię tasz, cośmy mieli w Legionowie...

Wziął Motwiłłę na stronę, a Szczęsny, ledwo dysząc, przeszedł prze szpaler milczącej kompanii, by stołek odstawić na miejsce.

Czekał na walkę. Nie było. Nie było szermierki tego dnia ani potem Zaniechano pokazowych walk na bagnety. Nie dlatego, żeby Motowiłł zląkł się przeciwnika — nie, miał go wciąż za pokrakę — ale dlatego że kompania przeszła na stronę Szczęsnego. Zamiast gwizdać, gotowa g oklaskiwać i szczuć na sierżanta: „daj mu, daj zupakowi!" Co za skan dal wynikłby wtedy, co za hańba — lepiej nie ryzykować.

W działaniach wojennych nastąpiła chwilowa przerwa. Cisza prze wielką ofensywą. Obie strony układały nowe plany: Motowiłło z Ged rońcem w kancelarii, a Szczęsny w kompanii wśród zaufanych.

Tymczasem na pułk spokojny i bezpieczny spadł szef DOK, gen. Bar backi.

Nie zdążyli śmietników za koszarami zasypać żółtym piaseczkiem, ar uprowadzić podoficerskich świń, tuczonych przy każdej kuchni żołnier skiej, gdy on rozpoczął inspekcję i to właśnie od trzeciego batalionu.

Na przeglądzie siódmej kompanii zwrócił uwagę na strzelca w umun durowaniu nie na miarę, z łatą na łacie.

— Co tu robi ta kompromitacja? — zapytał zirytowany generał. — Przecież to nie żołnierz, ale kompromitacja!

— To oferma, panie generale. Niedorozwinięty. Szkoda rzecz wszystko niszczy...

Ale generał szukający zaczepienia do przetrzepania pułku kazał przy wołać Szczęsnego.

— Jakie mieliście wczoraj zajęcia? Co wam z nich najtrudniej przy chodziło?

— Melduję posłusznie, panie generale, sygnalizacja optyczna.

— Dobrze. No to pokażcie mi, jak wygląda litera „a"?

— Tak jest, panie generale.

Nie mając tarcz, Szczęsny pokazał rękoma.

Generał zapytał, jaką jeszcze literę pamięta.

— Pamiętam cały alfabet Morse'a.

— E tam, cały... Nadajcie: „dosłać amunicję."

Szczęsny natychmiast wymachał.

Generał spojrzał ze zdumieniem na Gedrońca.

— Jeśli tak u was wygląda oferma, to reszta kompanii? Same geniu-
ze chyba, Koperniki, co?

I zaraz do Szczęsnego poważnie:

— Stoicie w polu. Kompania znajduje się tam — wskazał na kosza-
y. — Nikogo w pobliżu nie ma, i oto z lasu, z odległości trzystu me-
rów, wychodzi na was nieprzyjaciel w większej liczbie. Co robicie? Po-
każcie, co wtedy zrobicie.

Szczęsny padł na ziemię. Strzelił do wroga na niby, odczołgał się w tył
wychyliwszy ostrożnie głowę, znów strzelił. Tak ostrzeliwując się cofał
się w stronę kompanii.

Generał był zachwycony.

— Dobrze, bardzo dobrze! Właśnie tak: zaalarmować kompanię
uchodzić do niej. No pięknie... A gdyby was osaczyli?

— Wtedy, panie generale, robiłbym bagnetem. Jak pan sierżant Mo-
owiłło uczył.

— Doskonale! Dowódca kompanii! Chcę widzieć jego walkę na bag-
nety z sierżantem Motowiłło.

Motowiłło bawiąc się Szczęsnym zaczął pokazywać swą klasę. W pew-
nej chwili spojrzał w stronę generała, czy ten aby widzi wszystko?
A Szczęsny go „z wypadem dwiema pchnij!" i — sierżant leżał.

Oszołomiony, buraczkowy ze wstydu zerwał się na nogi. Szczęsny
chodził w krótkich uskokach, opanowany i czyhający. Pamiętał: trze-
ba zwłóczyć, niech się uszarpie, niech go zła krew zaleje...

Drzewca karabinów szermierczych potrzaskiwały w zwarciu jak zwią-
ane klekotki, by zaraz znów się oddalić, bo śmigły strzelec pryskał,
bykowaty sierżant gonił za nim przed frontem zamarłej kompanii.

Zwodził go Szczęsny tak długo, aż usłyszał ciężki sap. Poczuł wresz-
ie, że czuciem, myślą i ciężarem jest na końcu bagnetu, uchwycił chwi-
ę sposobną, odbił i runął naprzód. Karabin mógłby przewlec przez czło-
wieka przy takim wypadzie.

Motowiłło padł. Bagnet, ześliznąwszy się z plastronu, ugodził go
w szyję. Z gardła poszła krew. Ponieśli zaraz na izbę chorych.

— Walczy z prawdziwym ferworem — burknął generał — zanadto
nawet prawdziwym... Więc jakże to, panie poruczniku, żołnierz takiej
klasy chodzi u was w stroju pajaca? Kto tu jest niedorozwinięty?!

Paskudnie wtedy generał zrobił Gedrońca, zupełnie na szaro, aż Ged-
roniec, sztywniejąc przed nim, zzieleniał.

A Szczęsnego w końcu zapytał, czy chce do korpuśnej szkoły podofi-
cerskiej.

— Tak jest, panie generale. Nie chcę wyjść stąd na cmentarz!

Generał uniósł brwi pytająco — na cmentarz? — ale domyślnie je zaraz opuścił.

— Zameldujcie się potem u mnie w dowództwie. Poruczniku Gedroniec, przedstawi go pan przy raporcie.

Gdy oddalił się w asyście kilku starszych oficerów, a Szczęsny wrócił do kompanii, zupaki nie bardzo już sobie z nią radziły. Łamały się szeregi, bo ludzie wyciągali głowy, żeby widzieć Szczęsnego, bodaj wzrokiem mu powinszować! Niesposób było uciszyć szeptów ani stłumić rozruchu. Zbierało się na ferment. Ośmieleni zwycięstwem Szczęsnego, lada chwila mogli się zmówić, a wtedy...

Dopiero Gedroniec im przypomniał:

— Słuchajcie, żebyście później nie żałowali... Generał odjedzie, a ja zostanę.

„...Mieliśmy w pułku dwóch oficerów o znaczeniu ponad rangę: jeden — to był major Stuposz, a drugi — chorąży Pawłowski.

O Stuposzu krążyły pogłoski, że znaczy więcej niż dowódca pułku, bo to „ich człowiek" (nie miałem wtedy pojęcia o roli dwójki w wojsku; zdawało mi się, że „oni"—to góra w Generalnym Inspektoracie).

Otóż Stuposz porozmawiał z Barbackim, bo Gedroniec z kolei był człowiekiem Stuposza, i generał odjechał, a ja do szkoły podoficerskiej nie poszedłem.

Po trzynastu latach, w 1944 roku, kiedy rozbiłem pod Kamienną Gedrońca, ten na koniec przesłuchania tak się odezwał: „jednak na panu, panie Bida, tośmy się pierwsi poznali"... A ja mu na to: „no i chorąży Pawłowski!" Miałem na myśli, że z Barbackim rozmawiał w mojej sprawie także Pawłowski, lecz tyle tylko wskórał, że mnie do niego przeniesiono.

W plutonie łączności u Pawłowskiego znów zetknąłem się z Leonem, który mi wszystko wyjaśnił. Rzeczywiście, Staszek Rychlik go ostrzegł, więc się mnie obawiał, ale ma oczy otwarte, widzi teraz że to jakaś pomyłka, bo — mówił — taki człowiek nie może być sługusem.

A z Gedrońcem, powiedział, mieli oni taką trylogię.

Leon przyjechał do Suwałk tej samej nocy co ja, nie sam, ale w towarzystwie kilku chłopaków z Łodzi. Wstąpili do knajpy przy dworcu, pożegnali się z cywilem i poszli do koszar w nastroju na wywrót.

Po drodze przyłączyli się do nich jacyś miejscowi, dwaj w kaszkietach i zaczęli im tłumaczyć, do jak podłego pułku idą, że tam człowieka mają za nic, bo na przykład w zeszłym miesiącu na ćwiczeniach granatniki powybuchały przy wystrzale na karabinach i kilkunastu ludzi poległo, a mnóstwo zostało pokaleczonych, to fabrykantów za takie granatniki wcale nie ukarano i w ogóle nawet mówić o tym nie wolno — i tak dalej uświadamiali, aż chłopaki poczęły się burzyć i wznosić okrzyki za tymi cywilami przeciw rządowi fabrykantów i obszarników, przeciw ich wojsku.

Gedroniec, który w tej chwili im się napatoczył, spróbował ich sztorcować, to się rozeźlili: „taka twoja mać, jeszcze nie jesteśmy u ciebie za drutami, jeszcześmy na szosie!" Potłukli go i wrzucili do rowu.

O tej hecy nikt na ogół nie wiedział. Oni milczeli ze strachu, a Gedroniec ze wstydu, bo jakże — oficer pobity! Tylko na zbiórkę przyszedł i szukał tego, co mu najwięcej dogodził. Był to łodziak jeden, stemplarz z zawodu. On właśnie Gedrońcowi oko podstemplował, z nim Gedroniec szarpał się w rowie, szyję mu podrapał i jego chciał potem dostać do swej kompanii. Wprawdzie noc była ciemna, dokładnie nie mógł rozpoznać, kto bił, ale tego stemplarza, który z twarzy był do mnie podobny, mógł dojrzeć i zapamiętać.

Z początku Leon nie bardzo się przejął moim losem u Gedrońca, bo akurat Staszek napisał mu o mnie takie rzeczy, że pomyślał: ma drań za swoje! Ale po pewnym czasie zwątpił, czy naprawdę jestem tym draniem; dręczyła go myśl, że cierpię niewinnie, a gdy się dowiedział, że generał musiał ustąpić przed majorem Stuposzem i zostawił mnie na pożarcie w kompanii — nie wytrzymał i poszedł do swego chorążego.

Pawłowskiego często radzono się w osobistych sprawach, bo do żołnierza mówił „synku", znał się na ludziach i był w pułku od samego początku. Gdyby sztandar zaginął, a Pawłowski ocalał, to by według wszystkich pułk nadal istniał.

— Nasz chorąży — chwalono się w plutonie — spałby w koszarach, gdyby nie to, że czyta i pije.

Nawet o tej słabości mówiono nie bez szacunku, jak gdyby on pił inaczej niż wszyscy i mądrość brał prosto z kielicha. Książki rzeczywiście czytał jak żaden oficer, a co do picia, to tego nikt nie widział, bo Pawłowski zawsze był ten sam, już od szóstej w koszarach. Czasami wszakże zapadał w zadumę i częściej wsadzał palec za kołnierz

chcąc obluźnić ucisk tej obroży na rozdęte żyły, gdyż serce miał już niemocne — po tym tylko można było poznać, że chorąży dobrze dziś nad czystą prawdą medytował.

Pawłowskiemu wiele zawdzięczam, może nawet życie, bo mnie z siódmej kompanii wyreklamował. U niego dopiero przyszedłem do siebie, poczułem się w wojsku, chociaż nie mogłem zrozumieć, czym się trzyma ten pluton, skoro kar żadnych nie ma? Co ma w sobie chorąży, że go słuchają? Brzuszek ma, twarz nalaną i oczka piwne, z woreczkami pod nimi, w obejściu jest zwyczajny, tatusiowaty — inny zgoła dowódca, jeden na cały pułk.

Kara w plutonie łączności jednak istniała, o czym się przekonałem po sprawie z Zabłockim. A to była taka sprawa.

Leon, mimo że mały, był okropnie pazerny na jadło i duże kobiety, więc chodził do wdówki jednej, po rymarzu, a tej kolumny Zygmunta uczepił się także Zabłocki.

Pewnego razu na zabawie doszło u nich do bójki. Leon zwiał, ale Zabłockiego kanarki przyprowadziły do dowództwa pułku, Pawłowski został wezwany i Zabłocki musiał stanąć u niego do raportu karnego.

W siódmej kompanii raport karny wyglądał jak odpusty. Żołnierze meldowali się Gedrońcowi recytując przewinienia, Motowiłło zaglądając do księgi potwierdzał „tak jest!" — i Gedroniec z miejsca rozdzielał pokutę: temu warta, temu słupek, a temu areszt.

A tu, gdy Zabłocki wymamrotał, że pobił Klusiewicza, to Pawłowski odwrócił się do niego plecami i nuże na głos rozważać, dlaczego on to zrobił, widocznie jest mu źle w plutonie, woli służyć w czwartej albo dajmy na to w siódmej kompanii?

Zabłocki słuchał truchlejąc, jak Pawłowski dalej radzi się plutonu, co z nim począć i dlaczego jednak zrobił im ten wstyd?

— Bo melduję posłusznie, mamy się do jednej — nie wytrzymał Zabłocki — to on jej lemoniadę fundował!

— Lemoniadę! Popisał się... Żeby choć przyszedł do kogoś mądrzejszego, poradził się, jak się brać do wdowy, ale nie — od razu w mordę! Wstyd... Mam go ukarać.

Myślał, myślał, w końcu podszedł do Zabłockiego, brzuchem go przyparł.

— Nie — mówił wolno i dobitnie — ja cię karać nie będę. Jeśliś żołnierz, to sam sobie karę wyznaczysz! Bo na tchórza i bez honoru nie ma sposobu.

Tak go, zgłupiałego, zostawił plutonowi.

To była najgorsza kara. Zabłocki widział wokoło złe spojrzenia, słyszał rozmowy, że chorąży chodzi jak struty, że przez jednego bydlaka tyle szumu — przez jednego, który nie rozumie, gdy do niego po ludzku...

— Stulcie pyski! — wrzasnął wreszcie Zabłocki. — No już: kabel będę czyścił!

— A idźże ty — odpowiadali mu wzgardliwie — Kablem chce się wykręcić!

I dobierali się do tego, czego się Zabłocki kurczowo trzymał:

— Ty przepustki na miasto nie bierz. Nie idź w niedzielę do rymarzowej. To ja rozumiem, to jest coś! Ale kabel?

Oczywiście, w niedzielę Zabłocki przepustki nie wziął, czyścił kabel i patrzył zgrzytając zębami, jak Leon idzie za druty.

Leon tym razem wziął mnie ze sobą dla osłony, bo wszystkie kurduple z pułku zbiegały się do tej kolumny, z jakiej racji zatem miał się znowu narażać przy niej na cielesną obrazę?

A w tym samym domu mieszkali kapitanostwo Potyrkowie, tak że stojąc dla Leona na warcie przed ogródkiem poznałem Stasię od dziecka tych kapitanostwa, która to dziewczyna była poważna i chętna.

Odtąd wszystkie wolne po ćwiczeniach chwile spędzaliśmy tam we dwójkę, Leon w środku z rymarzową, a ja przeważnie gruchałem przy płocie, skąd po pewnym czasie mogłem stwierdzić z całą pewnością, że do Potyrkowej chodzi porucznik Śniegocki, co też Stasia przyznała wyrażając się o kapitanie dodatnio, jako o człowieku bardzo porządnym, tylko że to poślad trochę już stęchły, którego młody drób nie dziobie, a kapitanowa jest właśnie młodziutka, prosto ze szkół.

Tymczasem, jak ja tam ciągle wystawałem, to porucznik Śniegocki zaczął się mnie obawiać, że jestem nasłany przez męża albo jeszcze gorzej — przez pułkowe panie, gdyż kapitanowa Potyrko znajdowała się pod bojkotem za „wpływy żydomasońskie" czyli W i a d o m o ś c i L i t e r a c k i e, w pułku zabronione, oraz inne wolne myśli.

W ten sposób zostałem wplątany w to, co się później stało, bo przeze mnie Śniegocki przestał przychodzić do Potyrkowej i przeze mnie znów ją odwiedził, z czego wynikła tragedia, ale to już było w Rumlówce. Przed tym jednak mieliśmy defiladę.

Na tydzień przed świętem pułkowym Pawłowski przypomniał:

— A wy, chłopaki, chodzić umiecie? Nie zapomnieliście?

— Pan chorąży będzie spokojny!

Zostawiliśmy telefony, tarcze, sygnalizację świetlną. Wziąwszy swe krótkie karabinki francuskie, zaczęliśmy wybijać na placu równy krok, żeby kompanie strzeleckie zbladły, żeby Gedrońce i Stuposze z zazdrości popękały, gdy łączność pójdzie na ten popis za Pawłowskim, świecącym wystawą krzyży i medali na wypiętej piersi.

Gdyśmy przybyli potem do Rumlówki na doroczne zawody plutonów łączności z całego DOK, było to samo: za wszelką cenę chcieliśmy wygrać. Nie mogliśmy wprost wyobrazić sobie, żebyśmy z Pawłowskim przegrali!

Jużci wygraliśmy budując linię telefoniczną w piętnaście minut dwadzieścia trzy sekundy, o dwie bez mała minuty przed innymi plutonami! Przyznano nam nagrodę przechodnią, był wielki jubel i Pawłowski postawił plutonowi beczkę piwa, przy którym żeśmy go dobrze pobujali.

Leon został wtedy kapralem, a ja jako „zając" z kablem najlepszego plutonu budowlanego — starszym strzelcem. Pawłowski oświadczył, że powinienem dostać kaprala i pójść do szkoły, wpierw jednak trzeba spruć ze mnie wywrotową łatę. Żebym koniecznie wystarał się o świadków mego przybycia do pułku i o świadectwo moralności z domu, i list od ks. Wojdy. Słuchając myślałem, że skoro zrobili mnie czerwonym, to pies im mordę lizał — ja się wybielać nie będę, czego chorążemu nie mówiłem, tylko że się postaram.

Życie w obozie płynęło nam dość pogodnie, tylko raz wynikła awantura przez Śniegockiego, bo się upił i poszedł zataczając się z szablą na krzaki — co krzak to nieprzyjaciel!

Było to po ćwiczeniach, żołnierze porozchodzili się po namiotach, niektórzy kąpali się, tylko Leon siedział na ławce pod drzewem i czytał gazetę. Widział porucznika, ale nie wstał, bo myślał, że ten w takim stanie wszystko jedno nie zauważy. Śniegocki jednak podszedł i zapytał: „A tyś kto?"

— Żołnierz.

— Żołnierz... A ja myślałem, że generał!

— Przewidziało się panu porucznikowi w zamroczeniu.

— Jak śmiesz, chamie, tak... do inspekcyjnego!

— Przepraszam, nie wiedziałem. A mnie proszę nie tykać, proszę mówić per wy.

— Ja cię, generała... — bełkotał Śniegocki w zamroczeniu, powiada — ja cię...

Zamachnął się szablą, ale Leon przysiadł. Klinga śmignęła nad głową, dał więc nura w krzaki, uciekł na drugi brzeg rzeczki i tam przeleżał, aż się porucznik wykrzyczał i poczłapał dalej.

Nazajutrz, w drodze na poligon, Śniegocki przyłączył się do Pawłowskiego. Wzięli się pod ręce i szli rozmawiając, a tuż za nimi maszerował Leon w grupie podoficerów na czele plutonu łączności.

W pewnej chwili Śniegocki dostrzegł go i powiedział:

— Wczoraj miałem inspekcyjnego, to ten twój kapral nawet nie raczył zasalutować. Rozsiadł się na ławce i gazetę czytał. Generał!

Pawłowski się roześmiał.

— Daj spokój, to porządny chłopak.

— Ale on mi ubliżył. Mnie, oficerowi, powiedział: zamroczony! Musisz go za to ukarać.

— A czy ty nie byłeś trochę zamroczony?

— Wszystko jedno — upierał się Śniegocki — musisz się z nim załatwić.

I tak długo nalegał, że Pawłowski w końcu przyrzekł:

— Dobrze, dziś jeszcze załatwię.

Wszyscy to słyszeli, więc Leon zaczął się wieczorem szykować do raportu karnego, nie zdążył jednak butów oczyścić, już go wezwano do Pawłowskiego.

W namiocie chorążego siedział przy stoliku Śniegocki. Obok była wędlina i litrowa butelka.

— Melduję posłusznie, panie chorąży...

— Głupiś — przerwał Leonowi Pawłowski i wskazał na składane krzesełko obok Śniegockiego: — Siadaj!

Leon usiadł. Śniegocki naburmuszony, z wzrokiem zatopionym w szklance, chciał się odsunąć, ale Pawłowski, zaszedłszy z tyłu, złapał ich obu za kołnierze i stuknął głowami.

— A macie... a macie! — przygadywał waląc ich łbami. — Powiedziałem, że załatwię, więc załatwiam... załatwiam!

Obaj byli tym tak oszołomieni, że porządnie ich nastukał, nim się wyrwali z jego rąk, a on, zasapany, sięgnął po butelkę.

— Napijcie się teraz — mówił nalewając im do szklanek — Napijcie się i żebym ja więcej o tej burdzie nie słyszał.

Śniegocki wstał.

— Nie będę pił z kapralem.

Pawłowski opuścił rękę z szklanką, którą podniósł był do ust. Poczerwieniał na twarzy, jak gdyby Śniegocki straszną mu cisnął obelgę.

— Z kapralem oficer wypić nie może? — pytał się łapiąc z trudem oddech i trzy palce wsadził za kołnierz, bo się w nim dusił. — Ale na froncie taki szczeniak z podchorążówki może błagać kaprala, żeby ratował jego honor i zafajdane portki?!

Paskudna przygoda widocznie przytrafiła się kiedyś Śniegockiemu, bo zbladł i rozbieganym wzrokiem prosił Pawłowskiego o milczenie, ale Pawłowski już nie panował nad sobą.

— Zapomniałeś, jaką chcieliśmy Polskę! Zapomniałeś czasy, kiedy mówiłeś do mnie: obywatelu kapralu! O-by-wa-te-lu! Myślałem, że trochę pamiętasz... Manekiny, psiakrew, hrabięta wypchane — doczekacie się wy od żołnierza podzięki!

Walnął w stół.

— Jak nie, to nie! Koniec z przyjaźnią!

— Michał — zaczął niepewnie Śniegocki — przecież ja to w zamroczeniu... Ja go wcale... ja go...

— Go-go! Po co gęgasz? Krótko: napijesz się z kapralem?

— No, mogę. Przecież ja pamiętam, też byłeś kapralem...

Śniegocki nie był w gruncie rzeczy zły, tylko bezmyślny jak budzik. Można go było nakręcać na różne sposoby. Dzwonił.

W Rumlówce, wychodząc niekiedy od Pawłowskiego, wstępował do plutonu i wywoływał Leona na pogawędkę:

— Gdzie jest ten kapral-generał?

W ten sposób, wywołując raz Leona, natknął się na mnie, bośmy spali w jednym namiocie. Poznał mnie oczywiście, ale udawał, że dopiero przypomina sobie: „Gdzieś ja was już widziałem"... No, to mu powiedziałem gdzie. „A po coście tam wystawali?" „Wiadomo dlaczego — dziewczyna..." Jak to usłyszał, to widać było, że się ucieszył. Papierosem poczęstował i wypytywał o tę Stasię, powodzenia życzył i tak się jeszcze przekomarzał, żeby się upewnić, że naprawdę nikt go nie śledził.

A gdy się upewnił, to pod jakimś pozorem zaraz wymknął się do Suwałk. O tym ktoś widocznie powiadomił Potyrka, kapitan bowiem ruszył śladem porucznika, zastał go u siebie w domu i wyrzucił w zupełnym rozkładzie, bo w samej bieliźnie, żonę natomiast zatrzymał, nawet się z nią pogodził. Stasia — jakeśmy do koszar wrócili — mówiła, że oboje kapitanostwo siedząc na łóżku długo płakali rzewnymi łzami nad tym, że dotąd nie rozumieli się zgoła, za co spotkało ich takie nieszczęście.

Słowem kapitan żonie przebaczył, ale pułk nie.

Pułk uniósł się honorem, strasznym zawrzał gniewem, bo tu poszło o mundur i bieliznę, i można było nareszcie porachować się z kapitanową za Wiadomości Literackie, za stroje, które sobie sprawiała w stolicy, i za „indory", jak nazwała kiedyś oficerów.

Najgłośniej burzył się Stuposz, toteż jego obrano przewodniczącym sądu, który przez cały tydzień przesłuchiwał w kasynie porucznika, kapitana z żoną i osoby postronne.

Jak pułk pułkiem nie było jeszcze takiego prania. Z samego rana biegły panie pułkowe pod drzwi zamknięte i zaczynały pytlować, aż się wzdrygały od tego boginie na suficie, szukając jakiegoś okrycia. Po ćwiczeniach przyłączali się mężowie, bufetowy zarabiał jak w karnawale i wszyscy czuli, że żyją. A za drzwiami maglowano szczegół za szczegółem, kapitanowa dwa razy mdlała, cucono ją i dalej badano bez żadnego wstydu.

W końcu orzeczono, że ta sprawa krwi wymaga, musi być pojedynek drugiego stopnia. Postawiono Śniegockiego na wprost Potyrka i kapitan dostał postrzał w łokieć, a potem przeniesienie do innego pułku, ale w dniu wyjazdu kapitanowa poszła na to miejsce, gdzie oni się pojedynkowali, pod czarną topolę, którą piorun opalił, i tam sobie w usta strzeliła.

Tak ową kobietę zaszczuto przez honor munduru, bo te leguny były okropnie naindyczone na tym punkcie, żeby broń Boże plamki nie było, i ja to we wrześniu Stuposzowi przypomniałem na zaleszczyckim trakcie, gdy umykając po cywilnemu żądał ode mnie benzyny: „A gdzie mundur, panie pułkowniku? (on wtedy już pułkiem dowodził). Gdzie pański pułk?!"

Ze Stuposzem mieliśmy jeszcze jedną przygodę.

Pewnej niedzieli Leon przyprowadził pluton z kościoła. Minąwszy bramę żołnierze poczuli się u siebie i nie trzymając już kroku rozmawiali.

W ostatniej chwili, bo na 10 kroków przed sobą, Leon dojrzał pod drzewem Stuposza, który się tam przyczaił i obserwował.

Wprawdzie Leon poderwał nas na równy krok, na baczność, ale Stuposz zawołał:

— Kapral do mnie!

Skrzyczał go za brak dyscypliny i nakazał ćwiczenia karne.

Leon spróbował wykręcić się najłatwiejszym z ćwiczeń, biegiem, i tak z nami po placu biegał, żeby się oddalić od Stuposza, ten jednak przyszedł utykając, bo nogę miał z wojny przestrzeloną.

— Innych ćwiczeń nie znacie, tylko biegi? A „padnij"?

Gdyśmy to wykonali, major zupełnie oszalał.

— Tak się pada?! — darł się widząc, że niektórzy nie dotykają brzuchem ziemi.

Doskoczył do jednego i tą swoją krzywą nogą stanął mu na grzbiecie, ale nie mógł wgnieść go w błoto, bo to był mocny chłop, ten żołnierz, więc krzyknął:

— Na moją komendę — czołgać się!

Pierwszy raz pluton łączności przyszedł do koszar uwalany w błocie. Ludzie nie mieli o to żalu do Leona — trudno, major mu kazał, a jednak unikali jego spojrzenia, i ja wtedy pomyślałem: to ja bym też tak musiał ludzi mordować na rozkaz Stuposza? — a niech go cholera weźmie!

Nazajutrz Stuposz napuścił pułkownika na Pawłowskiego i pułkownik nakazał marsz karny na trasie 30 kilometrów przez całą noc.

Po capstrzyku chorąży poprowadził nas szosą na Augustów, ale po kilku kilometrach skręcił w las i lasami wyszedł na wigierskie jezioro niedaleko miejsca, gdzie Czarna Hańcza wpada do Wigier.

Obok były zręby, gdzie leżały stosy gałęzi z zimowego cięcia.

— Rozpalcie, chłopaki, ogniska. Najlepiej dla nas tutaj przesiedzieć.

Przy ogniu ludzie poweseleli. Krzątali się układając posłania z chrustu, gotowali wodę w menażkach. „Majówka, śmieli się, niby za wczesna, ale można i tak".

Noc była chłodna i wietrzna, kwietniowa noc. Szumiało, pamiętam, jezioro i szamotały się szumiąc czarne kudłate sosny.

Przy drugim ognisku, nad Hańczą, próbowano na głosy „Góralu, czy ci nie żal", coraz lepiej wychodziła im skarga „dla chleba, panie, dla chleba", i Karolik ciszej opowiadał o wigierskim diable, który tu kiedyś mnichów zwodził, kuternoga jak Stuposz...

— A powiedz no, synku — zagadnął nagle Pawłowski, który mnie ostatnio polubił — co ty masz w cywilu?

Powiedziałem, że nic nie mam. Tak było naprawdę, bo cóż — ojciec nadal pracował w Celulozie, Walek także, Kachna była już w szkole — radzili sobie beze mnie, więc z czym i po co wracać do Włocławka?

W Warszawie także nic nie miałem. Zocha raz mi tylko odpisała i na tym się skończyło. Szamotulska powiadomiła, że moją klitkę wynajęła, że życie zdrożało i że Komisarz zabił bogatego Żyda, za co go teraz sądzą. U Majewskich na moim miejscu pracuje kto inny...

Jasne było, że w Warszawie trzeba wszystko zaczynać od nowa jak przed czterema laty, obnosząc swe młode, zdrowe ręce do sprzedania.

Pawłowski zaczął mnie znów namawiać, żebym czym prędzej zerwał wywrotową łatę i poszedł na zawodowego.

— Jeśli podpiszesz kapitulację *), mówił, to jako kapral nadterminowy będziesz miał życie z kotła, spanie w koszarach i 60 złotych miesięcznie. Gdzie znajdziesz pracę, żeby ci zostało na czysto 60 złotych?

Ja mu to przyznałem, rzeczywiście, nigdzie takiej pracy nie znajdę, więc on dalej swoje, że będzie mnie windował; za trzy lata zostanę u niego sierżantem, żebym tylko pomyślał: przeszło dwieście złotych miesięcznie!

— Będziesz miał mieszkanko na mieście, żonę, dzieci... Życie urządzone.

Z dobrego serca mnie kusił, więc mu powiedziałem prawdę: wojsko mi nie odpowiada. Dlaczego? — pytał. A ja mu na to całą swą gehennę wygarnąłem: za co?! Gdybym nawet był czerwony, to czy wolno człowieka wykańczać za to tylko, że jako robotnik chce rządów robotniczych? Nie, mówiłem, to jest ich wojsko, pańskie wojsko, nam nic do tego. Jak nawet trafi się dobry generał, to też nic nie poradzi i musi się słuchać tych, co tu rządzą. Musiał przecież ustąpić mnie Stuposzowi. I co się w ogóle w pułku zmieniło po jego inspekcji? Nowe mundury, nowe kasyno, nawet dowódca nowy, owszem, ale stosunki te same, ludzie ci sami, i Gedroniec dostał trzecią gwiazdkę...

— Słuchaj — odezwał się wtedy chorąży — ja się znam na ludziach. Urodziłeś się żołnierzem, który musi o coś walczyć. O jaką sprawę będziesz walczył w cywilu? Ja tę sprawę widzę, ale szkoda mi twego życia. A tak, będziesz przynajmniej bronił ojczyzny. Będzie wojna, a nie zginiesz, możesz nawet zostać chorążym. Żelazny oficer też jest potrzebny — jak wyrzut sumienia. Będziesz miał trochę żołnierskiej podzięki, i książki na dobranoc, i czyste krople na serce, synku, gdy bardzo zaboli... Podpiszesz kapitulację?

Tak mnie wtedy wzruszył, że zdołałem tylko z siebie wykrztusić — „ja pana chorążego nigdy nie zapomnę, ale kapitulantem nie będę..."

(Dalszy ciąg nastąpi)

Igor Newerly

*) — kapitulacja — zobowiązanie podoficera lub żołnierza do nadterminowej służby w wojsku; kapitulant — podpisujący podobne zobowiązanie.

JERZY PUTRAMENT

NOTATNIK CHIŃSKI

Pojechałem do Chin, wiedząc o nich tyle, co przeciętny inteligent polski, to znaczy prawie nic. Byłem w Chinach dokładnie trzydzieści dni. Zważywszy, że Chiny terytorialnie odpowiadają mniej więcej trzydziestu Polskom, można powiedzieć, że wiem teraz o Chinach tyle, ile o Polsce wie ktoś, kto spędził w niej jeden dzień. Jeżeli, mimo to, przekazuję czytelnikowi ten notatnik — czynię to przede wszystkim dlatego, że jestem pierwszym pisarzem polskim, który na własne oczy zobaczył Chiny Ludowe. Dlatego sądzę, że moje wrażenia mogą się na coś przydać naszemu czytelnikowi, pod warunkiem, że nie będzie doszukiwał się w tym głębszych uogólnień ani wiadomości encyklopedycznych, pod warunkiem, że potraktuje to, co będzie poniżej, wyłącznie jako moje doraźne wrażenia, notowane na gorąco w samolocie, pociągu, na wsi chińskiej, w fabrykach itd. Dla podkreślenia tej doraźności zachowuję wiernie formę dziennika, opisując w miarę możności dokładnie dzień po dniu to, co widziała delegacja polska, udająca się do Pekinu na uroczystości II rocznicy proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej.

MOSKWA WYROSŁA

14.IX.1951

...Podobno mam jechać do Chin.

26.IX. W samolocie Warszawa — Moskwa. Moskwa.

Leci nas pięciu. Przedstawiciel CRZZ, przedstawiciel Związku Samopomocy Chłopskiej, przedstawiciel Związku Młodzieży Polskiej, delegatka Ligi Kobiet, no i ja, z ramienia Komitetu Obrońców Pokoju. Wszyscy jesteśmy bardzo podnieceni podróżą: kto to widział, żeby aż do Chin!...

Niecierpliwię się i przejmuję zresztą nie tylko Chinami. Pierwszy etap — to Moskwa. Nie widziałem jej od pamiętnego lata 1944. Tyle się tam buduje. Jak ona wygląda teraz?

Na lotnisku mińskim jest pochmurno, wietrzno, i chłodnawo. I tu wspomnienia: połowa lipca 44, lot na „kukuruźniku" spod Łucka właśnie do Mińska, dopiero co wyzwolonego. Przeszedłem wtedy na piechotę całe miasto wypalone niemal do szczętu. Z lotniska miasta jednak nie widać, tyle że dymią fabryki. Więc żyje, pracuje.

Znowu lot. Zwolna przeciera się niebo. Patrzę na zegarek, nos płaszczę o szybę, wypatruję Moskwy. Lecimy na wschód, więc dzień mija szybko. W pięć godzin po warszawskim poranku jest już późnawe popołudnie. Na horyzoncie niebieskawa i szara mgiełka, w dole

gromne płaty kołchozowej roli, gęste wioski, fabryczne osady, dy-
any zielonego jeszcze lasu.

Mgiełka gęstnieje, to gorący oddech ogromnego miasta. Jest! —
rzyczę. — Z lewej strony pasażerowie przytulają się do okienek.
mgiełki wyłania się kontur jakiegoś gmachu. Wydaje mi się znajo-
y. Myślę: Kreml.

Zbliżamy się, widzę, że gmach jest na samym skraju miasta. Wi-
zę, że jest ogromny. Oczywiście, nie Kreml. To właśnie jeden z tych
ieżowców, o których budowie tyle się pisze. Trudno sobie uzmysło-
ić, że jest ona tak zaawansowana: gmach z grubsza jest już gotów.

— Uniwersytet moskiewski — mówi jakiś bywalec. Zniżamy się,
k na dłoni widać ogromną bryłę budynku (jest zaledwie o 20 kilo-
etrów od nas).

Dopiero w drodze z lotniska do miasta, mijając Uniwersytet — do-
ukam się przyczyny pierwotnego złudzenia. Centralna, wieżowa
ęść Uniwersytetu, rzeczywiście w ogólnych proporcjach przypomina
remlowską wieżę, powiększoną kilkakrotnie.

Uniwersytet jest daleko od szosy, ale i do niej dociera ogromny ruch,
tórego jest sprawcą. Karawany samochodów ciężarowych z materia-
mi budowlanymi, autobusy, przepełnione budowniczymi, sporo samo-
odów osobowych.

Zmierzch zapada i nad miastem zapalają się gwiazdy niezwyczajnej
skrawości. Nad Moskwą pracują spawacze na szczytach kilku innych
ieżowców. Ambasador Jasiński tłumaczy: ten na prawo — to na
ybrzeżu rzeki Moskwy, na lewo — plac Smoleński, tam dalej jesz-
e jeden...

Moskwa wyrasta wzwyż. Nowe, ogromne budynki nadają miastu
kiś rozmach, tworzą zeń kompozycję trójwymiarową.

Właśnie kompozycję, a nie ścisk nowojorskich olbrzymów. Wie-
owce moskiewskie nie przytłaczają miasta, dzielnicy, człowieka, na
dwrót, wywyższają miasto, dzielnicę, której stały się ośrodkiem, gru-
ują jakoś dokoła siebie, z kupy domów tworzą jednostkę urbanisty-
zną wyższego rzędu, oku ludzkiemu pozwalają odpocząć po mono-
nii kilkupiętrowych budynków dotychczasowego typu.

Wjeżdżamy przez rogatkę kałuższką. Okrągły plac, duże, nowe bu-
ynki z dwóch stron ulicy skomponowane są tak, że tworzą jakby
ramę wjazdową do miasta.

Jedziemy, zbliżamy się do śródmieścia. Ruch samochodowy ogrom-
y. Wreszcie mijamy któryś z kolei zakręt i oto Kreml.

Tu fala wspomnień. Na lewo ciemnoszara, dwunastopiętrowa bryła
domu rządowego" na ulicy Serafimowicza. Na jej dachu, w lipcu 41,
ełen zachwytu i lęku patrzyłem na zmaganie się reflektorów i dział
zeciwlotniczych z hitlerowskimi bombowcami. Plac Czerwony. Świe-
rubinowe gwiazdy na kremlowskich wieżach. Zalane światłem gma-
y hotelu Moskwa i Rady Ministrów. Plac Manežu, na którym po-
owczas wymalowane były perspektywiczne skróty żółtawych kamie-
c, jest teraz czysty i gładki.

Uświadamiam sobie, że ani razu dotąd nie widziałem Moskwy w normalnym „wieczorowym stroju". Trudno jednak przypominać sobie owe ciemne wieczory, będąc oślepionym potokami świateł z latarń i witryn.

Tłumy ludzi na chodnikach, tłumy samochodów na jezdni. Szeroka rzeka ulicy Gorkiego. Czuję się trochę zagubiony, trzymam się grupek przechodniów, nieufnie gapię się na rozpędzone Pobiedy, które śmigają na bliższej połowie jezdni, podczas gdy na dalszej tworzy się lawina, gotowa zaraz runąć przed siebie.

Niewiele więcej zobaczę tej wielkomiejskiej, nowej, radosnej i pośpiesznej Moskwy. W hotelu dowiadujemy się, że odlot wyznaczono na 1-szą w nocy, więc stąd trzeba odjechać o 11-ej.

27.IX. W samolocie Moskwa — Omsk

Na lotnisku ogromny ruch, co chwila startują samoloty. W poczekalni pełno pasażerów na Pekin. Młodzieżowa delegacja chińska jedzie przed nami. O drugiej w nocy (po warszawsku — o dwunastej) przychodzi wreszcie i nasza kolej. W samolocie zbierają się — jak okazało się później — towarzysze podróży na cały miesiąc. Delegacja bułgarska: potężnych wymiarów Karasławow, znany z przekładów i u nas prozaik, nie mniej imponująca wymiarami przedstawicielka bułgarskich Związków Zawodowych, Kiriłłowa, oraz senior bułgarskich poetów, 75-letni Polanow. Czechów jest dwoje: Gusta Fuczikowa, wdowa po Juliuszu, oraz młody tokarz-racjonalizator, Swoboda. Za to Rumunów jest tylu, co i nas.

Podobno jesteśmy spóźnieni. Delegacja radziecka oraz Węgrzy i przedstawiciele NRD wyjechali już parę dni temu. Hm, nie nowina nam spóźniać się na międzynarodowe konferencje, zjazdy, uroczystości. Przez pięć lat ileż razy obserwowałem podobne fenomeny.

Siedzę po prawej stronie; na skrzydle samolotu płonie jaskrawo zielone światło. Start. Jeden i drugi wiraż. Oto w dole i z boku ogromne jezioro świateł nocnej Moskwy. Nie widać przeciwległego skraju, tyle że światełka zrazu zlewają się w jedną żółto-białą masę, a potem rzedną i stają się niebieskawe. To już gwiazdy.

Samolot wzbił się wysoko, Moskwa odpłynęła. Jest ostatnia kwadra księżyca. Jego sierp jest nieduży, żółto-czerwonawy. Monotonny ryk motoru zaczyna robić swoje. Zapadam w drzemki krótkie, kilkuminutowe, budzę się. Lampy w samolocie zgaszono, tylko ten żółty księżyc i zielone światło na skrzydle. Nie od razu mogę się połapać gdzie jestem, co znaczy ten jaskrawy krążek zieleni, wydaje mi się, że to też jakaś planeta.

Kilkanaście takich przebudzeń i oto świt. Biegnie nam naprzeciwko. Mgiełka nad ziemią. Samolot się zniża, budzę się na dobre. Lasy bardziej żółte niż wczoraj. Stado krów jak garść szaro-czarnych pestek słonecznikowych.

Lądujemy w Swierdłowsku po pięciu godzinach lotu. Oczywiście, już 9-ta.

1460 kilometrów od Moskwy. Jest chłodnawo. Krótki postój, śniadanie w przytulnej i czystej restauracji dworca lotniczego. Znowu odlot.

Ponad obłokami, 3000 i więcej metrów. Poglądowa lekcja geografii: zachodnio-syberyjska nizina, pogranicze tajgi i stepu. Na przemian jeszcze bardziej żółte lasy, łąki, ogromne połacie zoranej, czekoladowej roli, na której blado-żółtymi wysepkami odcinają się stogi wyłóconej kombajnami słomy, grupki jeziorek, otoczonych białą kromką lodu. Tu, w samolocie podzwrotnikowy upał.

PRZYJAZNA SYBERIA

7.IX. Omsk

Jeszcze z góry Irtysz, szeroki i pełen odnóg. Dworzec lotniczy, ze parkiem wysadzonym młodymi topolami. Wewnątrz — jak w Swierdłowsku — czysto i przytulnie, nie czuje się chłodu, obcości, „kazionności" dworców kolejowych całego świata. Lecieliśmy dwie i pół godziny, ale tu już po pierwszej.

Czekamy aż do nocy. Po obiedzie (oczywiście, żądamy barszczu i syberyjskich pielmieni) z drzemki budzi mnie fortepian. Wychodzę do dużej poczekalni.

W kącie przy fortepianie grupka dziesięcio-czternastoletnich dziewczynek. To pionierki, dzieci pracowników lotniska. Z pokojów gościnnych ściągają jeden po drugim Rumuni, Bułgarzy, Czesi, jeden zagubiony wśród nas Węgier z delegacji handlowej.

Dzieci, widząc ten nieoczekiwany sukces, bez zmieszania i krywania się — zaczynają po prostu organizować cały koncert. 11-letnia Irina Chudziakowa śpiewa piosenkę o Donbasie. Asia Pantielejewa wykonuje piosenkę M o s k w a—P e k i n. Są śpiewy chóralne. Po każdym numerze zbiegają się w kącie i układają następny, zapowiadany przez jedną z nich z nie lada werwą. Komendant portu lotniczego, którego córka też należy do zespołu — pełen troski, aby koncert wypadł jak najlepiej — usiłuje podpowiadać dzieciom repertuar, ale one nie dają się nie przejmują, mają swój własny pomyślunek...

Następuje seria tańców; na naszą cześć wykonują wariacje na temat kazachoneza. Dla Węgra jest czardasz. Potem śpiewają ładną pieśń *Gorosza strona Bołgaria.*

Czternastoletnia Lida Biernikowa deklamuje:

Słyszycie, bankierzy Wall Streetu,
chcemy pokoju, nie chcemy wojny...

Ma niewątpliwy talent sceniczny ta mała Lida z okrągłą, dziecinną buzią o zadartym nosku i szaroniebieskich oczętach. Ale nie zarodzi tego talentu, nie swobodna poza ani całkiem poprawna dykcja Li-

dy uciszają do reszty wielką poczekalnię dworcową, sprawiają, że oczy słuchaczy mają szczególny blask. To jej ton, nie wyuczony, przeżyty, ton pełen gniewu i zdecydowania. Wpatrzony w to chucherko łapię się na wstrzymaniu oddechu, jakby rzeczywiście jej słowa przez to łatwiej mogły dotrzeć do tych ciemnych chamów amerykańskich.

28.IX. W samolocie Omsk — Irkuck

Nocny start, dwie godziny lotu w ciemnościach, gwałtowne nurkowanie i Nowosybirsk. Jest ciepło. Godzinę czekamy na dworcu, znowu lot. Ogromne skupisko ogni Nowosybirska, potem ciemność.

Świt zastaje nas nad górami; lekcja geografii trwa. Po zachodniosyberyjskiej nizinie zaczęła się górzysta Syberia wschodnia. Żółte modrzewie, ciemne świerki na szarawych zboczach górskich. Pełno powykręcanych rzek i rzeczułek.

Drobne baranki pod nami zaczynają gęstnieć, niebawem tylko olbrzymia, lekko sfalowana płachta chmur i daleko na południu łańcuch śnieżnych szczytów: przejście od Ałtaju do gór Sajańskich.

Słońce gramoli się z naprzeciwka i z niebem zaczynają się dziać różne malownicze historie. Zachód nabiera koloru soczystej młodej zieleni, góry stają się malinowe, po chmurkach biegają złotawe refleksy. Całość jak w filmie kolorowym, ale ładniejsza.

Nagle nurkujemy w chmury, pół minuty chybotania, las tuż pod samolotem, jeszcze niżej lotnisko. Krasnojarsk. Jest zimnawo i słonecznie.

Znowu lot. Między drzewami w górach trochę śniegu. Chmury, jakby ktoś zalał mlekiem. Lecimy na wysokości 3100 metrów, tu jest słońce. Czasem z tego mleka wynurzy się czarną głową jakaś skałka. Sajany nieprzerwanym łańcuchem ciągną się na południu.

28.IX. Irkuck

Tu jest ciepło i deszcz. Dyżurny portu lotniczego po obiedzie przychodzi do nas: może kto ma ochotę na teatr? Jest operetka i teatr dramatyczny. Większość delegatów wybiera się na W e s e l e w M a l i n ó w c e. Przeglądam lokalną gazetę. Akurat dziś tutejsi literaci mają swoje kolejne zebranie. Jestem bardzo ciekaw, jak to wygląda. Ależ, proszę bardzo, dyżurny zapewnia nam samochód. Dwóch Bułgarów, sekretarz Związku Literatów Rumunii, Szelmaru, i ja — jedziemy na zebranie.

Oddział Związku Literatów Radzieckich w Irkucku mieści się w osobnym, niedużym, ale przyjemnym domu parterowym. Ma on 6 pokojów (dla naszych literatów z Lublina, Szczecina, Bydgoszczy czy Gdańska, już 2-pokojowy własny lokal byłby szczytem marzeń), w tym salkę na 50 — 80 osób. Przywitania z miejscowym kierownictwem. Parę danych cyfrowych o pracy Oddziału irkuckiego: członków około 30. Zebrania dyskusyjne raz w tygodniu. Miejscowe wydawnictwo obwodowe wydaje rocznie 150 — 160 pozycji literatury pięknej — w tym

oro dla sąsiedniej Buriat-Mongolskiej republiki autonomicznej, która esztą ma także swoje własne wydawnictwo.

W sali około 50 osób, w tym sporo młodzieży uniwersyteckiej. Jed- czy dwie dziewczyny o charakterystycznych rysach buriackich. Ze- anie jest poświęcone omówieniu wydanego właśnie zbiorku opowia- ń reportażowych miejscowej początkującej literatki. Tematem opo- adań jest praca irkuckiego odcinka (kilkaset kilometrów) kolei sy- ryjskiej.

Po odczytaniu przez autorkę jednego z opowiadań następuje rzeczo- i ciekawa dyskusja. Kilku literatów zabiera głos, polemizując mię- y sobą z dużą zawziętością. Opowiadanie wydało mi się niezłe, toteż stem dosyć zaskoczony ogólnym tonem dyskusji, dalekim od pobłażli- ości. Zarzuty zresztą na ogół też wydają się trafne. Pozazdrościć szym kolegom irkuckim temperamentu i zdolności krytycznych. Nie zakończono dyskusji, bo kierownictwo chciało nam pokazać oich poetów. W drugiej części wieczoru poeci Inocenty Ługowskoj, arek Siergiejew, Mikołaj Pieriewałow i paru innych odczytali swoje ersze z wydanego właśnie zbiorku poetów irkuckich pt. *My za mir* esteśmy za pokojem). Zbiorek zawiera wiersze 16 poetów.

Wiersze na ogół recytowano znakomicie. Jeden z poetów, wysoki, surowej twarzy i niskim, potężnym głosie, major armii radzieckiej, eriewałow, odczytał wiersz, chropowaty i nierówny (autor dopiero czyna pisać), ale o dużym ładunku uczuciowym:

Nienawidzę ciebie, Yankee,
Za rozdarty trup Koreanki
.....
Odpowiesz swą głową ciemną
Przed całym światem i przede mną.
Ja, radziecki żołnierz, w pochodach
cztery ciężkie spędziłem lata
.....
Szedłem, życie i los ratować
tych, kogo dzisiaj tyś pomordował...

Inny młody poeta, Mandrzyk, (jedyny, któremu trema debiutanta pozwoliła na swobodną recytację) odczytał parę, całkiem dobrych, kawych wierszy z Cyklu kurylskiego.

Na zakończenie zabraliśmy i my głos, dzieląc się naszymi nielicz- mi wprawdzie, ale intensywnymi wrażeniami z tej błyskawicznej dróży przez Związek Radziecki.

Wrażenia zaś z tego wieczoru były między innymi takie: wysoki na ł poziom członków tego, bądź co bądź, prowincjonalnego i nielicz- go ośrodka literackiego, związanie się tematyczne pisarzy irkuckich wielkimi sprawami swego kraju, i z lokalną, irkucką czy wschodnio- eryjską tematyką, wreszcie niesłychanie serdeczny stosunek do nas, edstawicieli krajów demokracji ludowej.

Na sali, wśród tych kilkudziesięciu ludzi spotkałem przecież jedną aczkę, córkę powstańca z 63 roku, Jana Zielińskiego, mówiącą jesz-

cze nieźle po polsku, choć, oczywiście, urodzoną już na Syberii. Pracuje ona w miejscowym wydawnictwie jako redaktorka. Zresztą żona prezesa Oddziału też się wywodzi z rodziny powstańczej, z domu nazywa się Pruszyńska...

W hotelu reszta delegacji opowiada o wrażeniach z teatru. Mimo że nikt z nich nie włada swobodnie rosyjskim — wszyscy bawili się doskonale, zwłaszcza nasza Liga Kobiet. W przerwie publiczność jakoś się dowiedziała, że wśród zagranicznych gości jest Fuczikowa. Zrobiono jej gorącą owację. Książka Juliusza Fuczika jest tutaj powszechnie znana. Szczególnie przejęte były uczennice wyższych klas tutejszej szkoły średniej.

Idziemy spać. Za oknem przez cały czas potworne rykowisko marznących motorów. Mimo to zasypiamy.

29.IX.

Pobudka. Jeszcze pełna noc.

Na korytarzu hotelowym ruch. Nagle wpada kilkanaście dziewcząt, otaczają Fuczikową. Okazuje się, to te same z wczorajszego teatru. Przyszły tu na wpół do szóstej, w mroźną noc, parę kilometrów od miasta, aby jeszcze raz zobaczyć wdowę po bohaterze czeskim. Fuczikowa ginie w ich tłumie, przyjmuje kwiaty, rozdziela autografy.

Zbieramy się wreszcie w pełnym ekwipunku, czekamy. Nadciąga świt, chłodny i pogodny. Czekanie się przeciąga. Wreszcie wiadomość: Ułan Bator nie przyjmuje, nie ma pogody. Może później.

Do południa ta paskudna niepewność. Tutaj grzeje słońce, niebo bez chmurki. Na skwerku przed dworcem blado-złote osypisko topolowych liści. Trudno uwierzyć, że o paręset kilometrów są mgły, chmury, czy jeszcze coś w tym rodzaju. Klniemy lotnictwo jako takie: dwie godziny lotu, ale czasem doba czekania.

Po południu sprawa zostaje przesądzona: za późno na lot. Miejscowe władze pocieszają nas: jedziemy nad Bajkał, odległy stąd o kilkadziesiąt kilometrów.

Zaraz za miastem chłodna i szybka Angara, wciśnięta między dwa kamieniste brzegi. Ten naprzeciwko jest wysoki, skaliste pagórki zielenią się świerkami. Tuż nad wodą białe pióropusze pary, idą transsyberyjskie pociągi.

Droga wymija wioski, kołchozy. Dawno sprzątnięte zasiewy. Chaty nieduże, sporo nowych, błyszczących bielą bierwion. Parę osad fabrycznych i znowu pagórki, las, Angara.

Nadchodzi zmierzch — za długo czekaliśmy na ułanbatorską pogodę. Góry rosną. Szofer pokazuje palcem przed siebie. Angara jakoś się rozszerza, choć jedziemy w górę prądu.

Angara rośnie, rozdyma się. Śnieżne szczyty, jeszcze słońcem zalane, choć tu już zmierzch. One, te góry, uzmysławiają nam nagle, że nie wielką rzekę mamy już przed oczami, ale ogromne jezioro. Szofer opowiada legendę o starym Bajkale, który — widząc, że córka jego, Angara, ucieka od swego narzeczonego, Jenisieja — ciska w nią skałami.

ako dowód rzeczowy pokazuje nam kamień, zwany Szaman, czarny łaz, wystający w połowie rzeki, tuż przy jej początku. Notujemy ilnie.

W narastającym wieczorze oglądamy majestatyczną panoramę tego ajgłębszego z jezior świata. Opowiadają nam o jedynych w swoim odzaju słodkowodnych rybach głębinowych, które pękają pod wpły-vem ciśnienia wewnętrznego, gdy burza wyrzuci je na powierzchnię. Niewielki port w robotniczej osadzie, filia Akademii Nauk w piętrowej amienicy. Dochodzimy do jeziora. Jak niewierni Tomasze, ręce wkła-amy w lodowatą, ciemną i przezroczystą wodę Bajkału.

Góry z naprzeciwka gasną, pora wracać. Pół godziny — to w sam az na pierwszą wizytę u takiej znakomitości jak Bajkał.

Na dworcu ruch — tuzin dzieci z Jakucka jedzie do szkół w Chaba-owsku (drobiazg, ze trzy tysiące kilometrów!). Krzyżuje się tutaj ilka wielkich linii lotniczych. Te lotniska syberyjskie, których pół uzina oglądaliśmy, to jak dawne karczmy, budowane co trzydzieści ilometrów dla zmiany koni pocztowych, nakarmienia podróżnych itd. Tyle, że odległości kilkanaście razy większe, no i komfort.

OD BAJKAŁU PRZEZ GOBI NA PEKIN

0.IX. W samolocie Irkuck — Pekin

Tym razem wszystko w porządku, startujemy tuż przed świtem. Piękna pogoda. Śnieżne Sajany z prawa, bliżej nieregularna, biała ręga Angary. Na pagórkach lasy rudych modrzewi, cedrów. Pow-arzamy wczorajszą drogę. Z wysokości 2000 metrów to, co widzimy, est na pograniczu krajobrazu i mapy plastycznej.

Z daleka Bajkał, wygięte, ogromne pęknięcie ziemi, wypełnione bie-ejącą pod porannym niebem wodą. Przed nim wznosi się brzeg, stro-ne skalne urwiska, pofałdowane i czarne. Południowy koniec oto-zyły wysokie, ośnieżone góry.

Właśnie wychodzi czerwone półkole słońca.

Kwadrans lotu nad Bajkałem. Z góry wygląda mniej tajemniczo, le bardziej majestatycznie.

Znowu góry, aż po szczyty pokryte lasami. Trochę śniegu. Słońce uż płonie na szczytach Sajanów. Jeden z naszych delegatów przycho-zi do mnie ze skargą: nie widział Bajkału, pewnieśmy go ominęli.

Nad górami trochę huśta, wlatujemy w dosyć wąską dolinę rzeki, amkniętą z obu stron łańcuchami skalnymi. Jeziorka w dole, osady lasy.

Wlatujemy do Mongolskiej Republiki Ludowej. Pejzaż zrazu ten am, tylko lasów coraz mniej.

Z przejęciem studiujemy na mapie ten nowy kraj. Któryś nagle ówi — Słuchajcie-no, w tej Mongolii ktoś od was musiał budować ikie jedno miasto, o tutaj — i pokazuje na mapie. Wybucha ożywiona yskusja, nikt nie chce się przyznać, jedna organizacja zwala na dru-ą ten przypuszczalny współudział. Przebiegam w myśli tzw. odcinek

kulturalny — ileż kandydatów! Organizacje teatralne, pisma. Może jednak mój wysoki (teraz już 3000 m. nad poziom morza) punkt widzenia pomaga mi odrzucić pokusę tanich porachunków. Skromnie i samokrytycznie rzucam: „Nie kłóćcie się, to pewnie ze Związku Literatów".

Miasto bowiem zwie się po prostu Bałagan!

Góry, rude modrzewie i śnieg. Mgły poszarpane, nieruchome z daleka, rozsnuwają się białymi pasmami, gdy wpada w nie samolot.

Góry wysokie, ich szczyty tak blisko pod nami, że aż ciarki po skórze, czy nie zahaczymy... Jeszcze wyższe wyskakują z przodu, rozpadlina przed nami i głęboko w dole kilka drobniutkich, białych klocków, jakby ułożonych przez grzeczne dziecko w symetryczne wzorki.

Ułan Bator. Ach, to dlatego wczoraj nas nie puszczono! Ostatni szczyt odlatuje do tyłu, teraz przepaść z tymi klockami w dole. Samolot, jak narciarz, pochyla się, zjeżdża w tę przepaść.

Ułan Bator rośnie w oczach. Wielki plac w środku, dokoła białe, długie, zapewne nowe domy. Na skrajach w geometrycznym porządku rozstawione szare punkciki, jurty. Gąsienica z pionowym, białym, pióropuszem: pociąg.

Jak narciarz leci ten samolot, zakosami, telemarkami, zbyt wąska ta dolina, zbyt blisko stromy mur skalny. Ułan Bator wyskakuje z prawej, z lewej, ogromnieje i oddala się zarazem. Niebieska rzeka dziesiątkiem odnóg płynie w środku doliny.

Ziemia tuż tuż, ale zegar wysokości ciągle jeszcze stoi na 1500 metrach. Lądujemy. Stolica Mongolii żyje dwa razy wyżej od Zakopanego.

Nie widać jej zresztą, przesłonił ją niewysoki garb ziemi. Tu tylko wesołe, białe domki lotniska i kilkunastu krępych i uśmiechniętych ludzi, którzy biegną nam na spotkanie.

Działacze młodzieżowi, obrońcy pokoju, związkowcy, kobiety. Wychodzimy na ziemię mongolską, wymieniamy uśmiechy i znaczki kongresów pokojowych. Dwóch z gospodarzy było w Warszawie w 48 i 49 roku — to od razu pozwala na zadzierzgnięcie rozmów. Robimy moc zdjęć. Gospodarze są wyjątkowo przyjemni i serdeczni.

Trzy kwadranse tej przerwy i odlot. Właśnie wylądował następny samolot, rycząc i kurząc sunie ku nam.

Teraz uporczywe „podchodzenie", zanim samolot znajdzie wyrwę między górami. Zaiste, starczyłoby parę kubłów mgły, aby tę dolinę zalać i lądowanie tutaj uczynić zabawą niemniej ryzykowną niż tzw. „amerykański pojedynek".

Ale dzisiaj pogoda jest wspaniała. Wdrapaliśmy się wreszcie na najbliższe góry, kurs na południe ku wschodowi. Nieskończone szeregi coraz niższych pagórków, zrazu na północnych zboczach porośniętych jeszcze szczotkami lasów, potem całkiem nagich, szaro-rudawych. Czasem jeźdźcy, czasem karawana wielbłądów.

Znowu lądujemy, wprost na pustyni. Pagórki tu całkiem łagodne i niewysokie. Grunt twardy, żwirowaty. Co metr czy półtora kępka

burej, wyschłej trawki. To już przecież Gobi, obok Sahary najsłynniejsza pustynia świata.

Parę jurt w pobliżu. Wielbłądy, jak kozy, pasą się w okolicy, tyle że nie uwiązane do kołka. Przypominam sobie nędzne szałasy z trzciny, niezmierzonymi tłumami otaczające mury miast francuskiego Maroka, przypominam sobie ten zwłaszcza, który oglądałem w szczerym polu, między Casablanką i Marakeszem: legowiska ze słomy wprost na ziemi i nagie pręty trzciny i nic poza tym, ani sprzęciku, ani skrzyneczki. Idziemy całą kupą obejrzeć tutejsze domostwa.

Jedna z jurt jest jednak zamknięta na kłódkę. Na szczęście druga, choć bez mieszkańców, jest otwarta. Wchodzimy.

Zrobiona z gęstego wojłoku — jest przestronna, wysoka i widna. Przy jednej ze ścian żelazne, proste łóżko, typu szpitalnego. W kącie „kuchennym" naczynia, maszynka do siekania mięsa. Drugie żelazne łóżko, piecyk żelazny po środku.

Inny kąt: nieduży stolik, płyty gramofonowe i dwie książki po mongolsku — jakaś powieść i Zagadnienia leninizmu Stalina.

Wychodzimy pod wrażeniem tej jurty. Koczowniczy naród, który po dziś dzień nie zna jeszcze prawie jarzyn i chleba, który zmuszony jest przez klimat swego kraju do tak trudnego i jednostronnego zajęcia jak hodowla bydła na polach, gdzie — jak mówiłem — trawka od trawki rośnie w metrowych odstępach, naród, który od stuleci wymierał z nędzy, chorób i ciemnoty — dzięki swemu nowemu ustrojowi, dzięki pomocy Związku Radzieckiego — potrafił dziś wznieść się na poziom kulturalny nie do pomyślenia w warunkach kapitalistycznych. Od dziś pojęcie koczownika rozłamuję na dwa: koczownika-nędzarza i półdzikusa różnych Afganistanów, Arabii, Afryki Północnej i koczownika Ludowej Mongolii.

Przypisek późniejszy. Delegacja Mongolii Ludowej brała udział razem z nami w zwiedzaniu Chin. Należeli do niej — literat, profesor, górnik-przodownik z kopalni węgla i robotnik z fabryki obuwia. Już samo wyliczenie tych zawodów świadczy, że Mongolia Ludowa zwycięsko kroczy od ustroju rodowo-feudalnego ku socjalizmowi — nie grzęznąc po drodze w bajorku kapitalizmu. Naród półdzikich ongiś pasterzy, wyzyskiwany i gnębiony przez urzędników i kupców chińskich oraz własnych feudałów — ma dziś własną klasę robotniczą i własną inteligencję. Trzeba stwierdzić, że delegacja mongolska w Chinach była jedną z najsympatyczniejszych. Zawsze z przyjemnością braliśmy udział w zwiedzaniu miast i wsi chińskich w jednej grupie właśnie z Mongołami.

Teraz wracamy do samolotu. Jest przy nim paru tubylców, pewnie mieszkańców jurty, którąśmy dopiero zwiedzili. Stara kobieta o pomarszczonej twarzy, w kożuszku i wysokich butach, namiętnie pali papierosa za papierosem. Może dziesięcioletni chłopak o szerokiej twarzy i skośnych, żywych, czarnych oczach nie od razu podchodzi do nas. Stoi przy samolocie i pieszczotliwie głaszcze ogromne, dwa razy większe od niego śmigło. Podobnym gestem jego dziadowie klepali kyrgyski i głaskali chrapy swoich wierzchowców.

Lot i już tylko pustynia. Koryta niedawno wyschłych rzeczułek są jedynymi zielonymi nićmi w tej monotonnej, rudawo-czerwonawej tkaninie. Chmurki nadbiegają z południa, zrazu rzadkie i nieduże, potem baranki te zbijają się w coraz gęstsze stada. Ziemi nie widać, jak przed nowym aktem skryła się za kurtyną.

Ta przerwa trwa dość długo. Pasażerowie zaczynają się nudzić, Rumuni nucą piosenki swojego kraju, nasza Liga Kobiet przy pomocy CRZZ wykonuje półgodzinny repertuar podhalańsko-mazowiecki. Chmury jednak trwają dłużej, pod koniec nasz duet stacza się do „Ludwiko, ach, Ludwiko".

A ja, jak przed Moskwą, przygniatam czoło do szyby, szukam okienek w chmurach, próbuję unieść rąbka tej ciężkiej białej i opalowej kurtyny, ujrzeć jak najszybciej, co tam w nowej odsłonie szykuje się dla nas.

Wysoko, 3400 metrów. Trochę huśta. Czasem przecież chmury jak ubranie na łokciach nieco się przecierają. Z tej wysokości ziemia jest już tylko mapą, szarą, czasem brunatną. Wyschłe koryta rzek. Łańcuch górski wyskakuje nagle i mija szybko, na prawo od nas widać śnieg w rozpadlinach.

Jeszcze jedno okienko — jakieś duże miasto, podzielone na całą masę jakby komórek pszczelich, tyle że prostokątnych; otoczone murem podwórka parterowych chałup.

Dolina mija, nowy łańcuch gór nadbiega z przodu. Chmury rzedną, zaczynamy widzieć. Tu trochę zieleni. Trochę wiosek. Tarasy uprawnej ziemi pną się zboczami aż pod szczyty.

Otwierają się drzwi od kabiny pilotów — zaraz będzie Wielki Mur.

Góry gwałtownie rosną, znów podłażą aż pod skrzydła. Są szare, skaliste, bezleśne. W samolocie robi się ciemno; przy każdym z okienek delegaci.

Jest.

Ileś tam metrów w dole, od szczytu do szczytu, przez urwiska strome granie, biegnie cieniutka zygzakowata linia, supełkami wież podzielona na odcinki, które z tej wysokości wydają się nie dłuższe od ołówka.

Chmury nikną, z lewej tęcza jak brama triumfalna oparta o dwa szczyty.

Samolot zniża się, zaczyna mocno huśtać i z każdym wstrząsem skały są coraz bliżej, jak to się mówi: rękę podać.

Dolina przed nami, pędzimy do niej na łeb na szyję, bez chrystianii jak w Ułan Batorze, bo końca jej nie widać, horyzont płaski jak linia, tyle że mgiełka upału, niebieskawa i nierzeczywista.

Patrzymy w dół oszołomieni. Takiego kontrastu nikt z nas się nie spodziewał.

Była pustynia, czerwona, szara, żółtawa. Były urwiste i nagie góry.

A tutaj zieleń. Niezmierzona, płaska nizina zaczyna się o krok od ostatniej stromej skały, bez żadnego przejścia. U nas Tatry, pod Tatrami różne Babie Góry, potem pagórki, potem sfalowane pola podkrakowskie i zanim się dotrze do podwarszawskiej płaskiej równiny, ile

jeszcze takich różnych miechowskich i nadpilickich dolinek i pagórèczków.

A pod Pekinem inaczej. Kończą się te góry, niewiele niższe od Tatr, ale nie mniej skaliste i — jakby ziemi nalano, jakby zatopiła ona wszystkie podgórza, a potem zastygła tak równo, że choć w bilard grać na niej. Kontrast zdumiewający.

Zieleń tej niziny też nie zwyczajna: podzielona na podłużne kratki pól ryżowych, poletek bawełny i prosa, tu i ówdzie przyozdobiona kępkami drzew, tulących się do szarych, glinianych zagród. Ryż jest rudawo-zielony, bawełna ciemno-szaro-zielona, ogrodowizna szmaragdowa i fioletowa, proso szaro-żółte. Cała gama tej zieleni, radosna, pełna życia. Wioski jedna przy drugiej.

Staw i skała, na skale „wieżowiec" pagody. Jej sylwetka, znajoma z obrazków, z pozadzieranymi do góry szczytami siedmiu czy ośmiu dachów. Czy nie letni pałac? Komin fabryczny z czerwoną flagą. Kolonia nowych domów.

Kołujemy nad lotniskiem.

30.IX. Pekin

Pierwszy do samolotu wtargnął upał, potem witający. Gromadka dzieci z kwiatami. Bezradnie oglądamy się za tłumaczem; zanim nadeszli, odpowiadam jedynym znanym nam słowem: uśmiechem.

Ta nieziemska nizina z bliska wygląda nieco inaczej. Upał i kurz odbierają jej trochę uroku.

Niewiele przecież, bo natłok zieleni nie był mirażem. Drzewa i rośliny niezwykłe, ludzie niepodobni do naszych. Te stożkowane kapelusze ze słomy, jak pagoda, znane z obrazków — wywołują osobliwą radość. Jakbyśmy poznali osobiście kogoś, o kim dużo słyszeliśmy.

Wiatr i kurz. To wiatr z Gobi, ten sam, który przedzierając się przez góry, rozhuśtał nas tak mocno, że nasza Liga Kobiet ledwo potem doszła do samochodu. Wielu rowerzystów. Co trzeci czy czwarty ma na ustach maseczkę z waty, przywiązaną czterema sznurkami. Prawie jak lekarz przy operacji. Ta niewygoda podobno kompensuje się ochroną przed kurzem.

Pola, poletka, ogrody, sady. Czasem ruina jakiejś pagody, czasem jakieś inne dziwne rzeczy: płyty kamienne na kamiennych, półtorametrowych żółwiach. Wypytujemy: grobowce. Stoją pośrodku pól, na miedzach, przy drodze, pojedynczo i parami.

Gliniane szare domki zagęszczają się, wjeżdżamy w pekińskie przedmieścia. Oto i ulica — parterowa, choć szeroka, cała złożona ze sklepów, sklepików, straganów. Kowale, szewcy, ślusarze. Owoce, galanteria. Szyldy. Afisze. Hieroglify.

Ulica kończy się bramą w potężnym murze z szarej cegły, wysokości trzypiętrowego domu. Wjeżdżamy do właściwego miasta. Znowu szerokie ulice i parterowe domki ze sklepami. Aleje drzew, głównie akacje.

Skręcamy — i na lewo zaczyna się znowu mur, niższy. Nad nim szczyty drzew. Chyba z kilometr ciągnie się ta ogrodzona dzielnica. Tłumacz mówi: tam się mieści Rząd Centralny.

Wyjeżdżamy wreszcie na ogromną arterię, szerokością dorównującą Polom Elizejskim. I tu nie ma wysokich budynków, tylko czerwony mur dawnego pałacu cesarskiego i naprzeciwko mury i ogrody dzielnicy dyplomatycznej.

W czerwonym murze brama, znana z fotografii. Oto Tiań Ań Myń „brama niebiańskiego spokoju", równie typowa dla sylwetki Pekinu, jak wieże kremlowskie dla Moskwy, kolumna Zygmunta dla Warszawy, wieża Eiffla dla Paryża.

Znamy wszyscy jej dziwne i doskonałe proporcje, linię dachu o wygiętych do góry rogach, od biedy możemy z obrazków zorientować się co do jej wymiarów. Ale mimo to jestem zaskoczony: kolor. Jest krwisto-czerwona, z odrobiną ceglastego rumieńca. Dach ma z polewanych żółtych kafli, tu i ówdzie są ornamenty o skomplikowanym deseniu zielonym i niebieskim. Ta jaskrawość nadaje budynkowi jakiegoś bardzo egzotycznego przepychu.

Przed bramą fosa, przez fosę przerzucono jeden przy drugim kilka mostków z białego marmuru, który wiatry, mrozy, upały uczyniły chropowatym i matowym.

Dwie dziwne kolumny, u szczytu kończące się stylizowanymi obłokami — z tegoż matowego marmuru. Na szczycie lwy po chińsku, to znaczy z pyskami buldogów.

Obok dwie wysokie trybuny, udekorowane na czerwono i żółto.

Tu jutro będzie wielka defilada.

WIDZIAŁEM MAO TSE-TUNGA

Tegoż dnia w nocy

Oczywiście, spóźniliśmy się: właśnie wczoraj było spotkanie delegacji zagranicznych z przedstawicielami Rządu Centralnego i Partii. Delegacje radziecka, węgierska, mongolska, NRD, koreańska, indyjska, pakistańska, vietnamska, indonezyjska i birmańska były na nim obecne.

Umieszczono nas w hotelu Pekin, paręset metrów od Tiań Ań Myń. Hotel ma sześć pięter, jest jednym z najwyższych gmachów Pekinu.

Parterowość tego ogromnego miasta tłumaczą nam bardzo prosto. Cesarski pałac jest parterowy, jakże więc zwykły śmiertelnik mógł budować domy piętrowe. Żeby z góry patrzeć na cesarza? A fe! Nasz hotel wybudowano już po rewolucji 1911 roku.

Zbieramy się, przychodzi tłumacz. Jest profesorem w Instytucie Języków Obcych, mówi nieźle po rosyjsku. Nazywa się Lian Ta. To *t* Chińczycy wymawiają jakoś pośrednio między naszym *t* i *d*. W każdym razie szybko spolszczyliśmy to nazwisko na „Landau".

Lian Ta oznajmia nam wieczorem, że jedziemy na wielkie przyjęcie do towarzysza Mao Tse-tunga. Powszechne podniecenie. Ujrzeć człowieka, który symbolizuje nie tylko 30 lat walki partii chońskiej, ale i jej wielkie zwycięstwo dzisiejsze. Przypuszczaliśmy, że zobaczymy go jutro na defiladzie, ale już teraz, zaraz...

Przed hotelem kilkadziesiąt samochodów. Włazimy do „naszych", kilometrowy wąż reflektorów i klaksonów. Wymijamy Tiań Ań Myń, boczną bramą wjeżdżamy do dzielnicy rządowej.

Tu aleje drzew, budynki. Wysiadamy przed niewielkim wejściem: misternie rzeźbione z drzewa kolumny i bramy, pomalowane na czerwono, mały dziedziniec wewnętrzny. Idziemy korytarzami. Wielka sala. Tu mieścił się teatr dworski.

Sala ma pełno kolumn drewnianych po bokach, drzwi, balustrad, oddzielających od niej kilka bocznych salonów czy westibulów. Wszystkie te drewniane elementy są także pomalowane na ceglastą czerwień. Wewnątrz sali kilkanaście długich stołów, po pięćdziesiąt metrów każdy. Przy stołach gęsto stoją ludzie w jednakowych, granatowych lub szaro-niebieskich ubraniach tegoż kroju co ubiór Mao, znany z fotografii.

Są to przodownicy pracy, aktywiści partyjni, przedstawiciele inteligencji, chłopi — zaproszeni przez Rząd Centralny na wspólną kolację z okazji święta narodowego.

Na stołach tace z daniami mięsnymi, rybą, jarzynami, słodyczami, owocami. Miseczki z ryżem. Sterty pałeczek. Butelki.

Sala huczy od tysiąca przyciszonych rozmów. Wszyscy stoją, patrzą w kierunku sceny, na coś czekają.

Nas ulokowano w jednym z bocznych salonów, oddzielonym od sali tuzinem oszklonych i pootwieranych drzwi. Tu też stoły zawalone jedzeniem, tyle że mniejsze. Zapoznajemy się z resztą delegacyj. Anna Seghers i Kuba w delegacji NRD. Wśród Węgrów rej wodzi siwowłosa i czarnobrewa Vas, prezeska tamtejszej Ligi Kobiet, którą przed rokiem poznałem w Budapeszcie. Wśród Hindusów grupka starszych panów, z wielkim mistrzostwem otulających swoje ciała w nienagannej białości prześcieradła. Birmańczycy przyszli w sukniach wieczorowych z tkliwie liliowego lub złotawego jedwabiu. Szczególnie twarzowo wygląda w tym stroju nestor birmańskiej literatury, Tachin Kadumaja, starzec z siwymi wąsami, o dobrych, zmęczonych oczach. Vietnamczycy mają okrągłe twarze, z rzadkimi wąsikami, są niewysocy. Jeszcze niżsi — Indonezyjczycy w czarnych, pluszowych papachach, noszonych trochę na bakier.

Jeszcze jeden znajomy: Mulk Raj Anand, literat hinduski, tłumaczony u nas. Pakistańczycy, wysocy i niscy, ale wszyscy bardzo czarni.

Związek Radziecki reprezentują między innymi akademik Oparin, znany z Warszawy, sekretarz WCSPS Sołowiew, którego znam z Paryża, bardzo inteligentny i uprzejmy, najwyższy i najdowcipniejszy ze wszystkich kompozytorów Kabalewski, wiceprzewodniczący WOKS-u Jakowlew i inni.

Po Kongresie Warszawskim nie trudno o znajomych na świecie: wśród Koreańczyków widzę literata, który był u nas. Witamy się serdecznie.

A oto Neruda z małżonką i Erenburg. Przyjechali tu przed kilku dniami dla wręczenia nagrody pokoju wdowie po Sun Jat-senie, Sun Cin-ling. Byli już na południu, opowiadają cuda o mieście Handżou.

Nie mogą dokończyć, na sali obok poruszenie, oklaski, okrzyki. Wszedł Mao. Nie widzimy go stąd, widzimy tylko rozklaskane ręce, odwrócone głowy, wpatrzone w jakiś punkt naprzeciw sceny.

Krzyki, oklaski wzbierają jak wodospad. W naszym salonie tłumacze zaczynają się kręcić, ustawiać gęsiego delegacje. Reflektory, fotografowie. Wreszcie rusza delegacja radziecka, za nią Indie. Jedna po drugiej grupy delegatów toną w ogromnej sali. Przychodzi kolej i na nas.

Idziemy wąskim przejściem między ścianą naszego salonu i najbliższym stołem. Chińczycy klaszczą teraz rytmicznie, jakby poddając nam krok. Uśmiechamy się nawzajem, mijamy stół, skręcamy w lewo, obchodzimy dokoła ogromną salę, widzimy tysiące twarzy. Tu już nie granatowe stroje, mundury wojskowe: ochotnicy z Korei i przedstawiciele wojska. Grupa ludzi w białych chustkach na głowie, jak turbany, tyle że końce tych chustek sterczą z przodu do góry — chłopi. Na lewo, w dużym westibulu mignął jakiś starzec w fantastycznym stroju, z piórami na głowie.

Zbliżamy się do sceny. Dziwne uczucie mnie ogarnia — podniecenie, trema, bo ja wiem? Nie widzę tłumu z prawej, z lewej reflektory i gromadki fotografów. Tracę głowę.

Koło sceny stoi kilku ludzi. Tłumacz coś mówi, ściskam rękę pierwszego. Jest wysoki, pełny, ma spokojne spojrzenie, uśmiecha się. Ściskam mu rękę i już jestem przy następnym. Potok witających płynie tak prężnie i szybko, że nie nadążam zapamiętać tych twarzy, tych oczu.

Dopiero kiedy odchodzę, kiedy zbliżam się do salonu — uświadamiam sobie, że ten pierwszy to był Mao.

Jak źle wykorzystałem te dwie czy pięć sekund!

Gwar rośnie i urywa się. Cisza i głos Mao. Tłumacz szepce mi po rosyjsku zdanie po zdaniu. Półgłosem tłumaczę to na polski dla reszty delegacji. Obok piętnaście innych przekładów. Przemówienie Mao jest krótkie, jest raczej rozwiniętym toastem na cześć bohaterów pracy i walki o pokój, przodowników wsi i miasta, ochotników koreańskich, gości zagranicznych.

Podchodzimy do stołów. Zagadkowe potrawy — poza owocami (jabłka, winogrona, banany) niesposób odcyfrować, z czego się składają. Najważniejsze, że są smaczne.

Przyjęcie trwa. Wznoszą toasty. Przypominam sobie tamtego dziwnego starca z piórami. Z Anną Seghers idziemy go szukać.

Nie jest to trudne. W tłumie jednakowych, granatowo-niebieskich postaci, ta sylwetka wyróżnia się z daleka. Starzec ubrany jest w powłóczysty, szaro-różowy strój indyjskiego kroju, ma zawój z trzema

długimi piórami, w uszach duże kółka kolczyków. Patrzymy na niego, urzeczeni tą niepodrabianą egzotyką i nie od razu dostrzegamy, że i on na nas patrzy jak na rarogów. Nie tylko on, zresztą. Od sąsiednich stołów podchodzi parudziesięciu innych, w strojach mniej jaskrawych, ale nie mniej malowniczych. Całkowita bezradność: ni słowa po chińsku, tłumacza nie wzięliśmy. Więc tylko uśmiechy, szybko przez nich podchwytywane. Ściskamy się za ręce, zaczynamy mówić każdy po swojemu, pełni dziwacznych złudzeń, że choć cząstka, choć ułamek cząsteczki naszej perory zostanie przez nich pojęty. Że zrozumieją: nie chodzi o gapienie się, ale o dziwne uczucie braterstwa, które wybucha nam w sercach na widok tak biegunowo dalekich od nas szczepów ludzkich.

Zrozumieli przecież ten uścisk ręki. Żegnamy się o wiele cieplej, wracamy.

Tamta część sali, jak wyjaśnili nam tłumacze, przeznaczona była dla przedstawicieli mniejszości narodowych, zamieszkujących ogromne terytorium chińskie. Byli tam Mongołowie z Mongolii Wewnętrznej, Dungańczycy — chińscy mahometanie, Tybetańczycy, Ujgurowie — trzy narodowości z zachodniej połowy Chin. A starzec, który nas tak zaintrygował, jest wodzem jednego ze szczepów małej narodowości, zwanej Miao, zamieszkującej wysokogórskie okolice pogranicza Birmy, Indochin i chińskiej prowincji — Jun-nan.

Przed końcem przyjęcia przychodzi do nas Czu Teh, wódz naczelny chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Jest niższy od Mao, siwawy, ma dobry uśmiech. Trąca się z nami, wznosi toasty na cześć krajów demokracji ludowej.

Wychodzimy. Noc jest ciepła i gwiezdna. Tłoczą się samochody i szybkimi kolumnami wymijają nas niekończące się gromady opuszczających przyjęcie bohaterów pracy i walki nowych Chin.

RADOSNY POCHÓD

I.X.

Z rana wyjeżdżamy samochodami, parę kroków i jesteśmy przy Tiań Ań Myń. Na klapach mamy przypięte paski z czerwonego, jedwabistego papieru, upstrzone kilkoma hieroglifami: przepustki na trybunę.

Oglądam się. Z lewej i z tyłu Tiań Ań Myń. Na właściwej bramie, jak wiadomo, wznosi się jakby dom z wysokim dachem. Między czerwonymi kolumnami zawieszono osiem ogromnych, czerwonych lampionów. Tam, przy balustradzie, otaczającej szczyt bramy, pod dachem domu — jest miejsce Centralnego Rządu. Jeszcze jest puste.

Na wprost bramy szeroka i krótka ulica, a może raczej wydłużony plac, obramowany murami. Stoją tam ogromne prostokąty wojska. Morze czerwonych sztandarów.

Wojsko stoi też na tej szerokiej magistrali miejskiej, która biegnie wzdłuż dawnego miasta carskiego. Dwie mniejsze bramy zamykają

ją z prawej i z lewej strony od Tiań Ań Myń, jak dwie arki triumfalne, też pomalowane na czerwono.

W sumie teren wygląda jak duża litera T z krótszą kreską pionową i bardzo długą poziomą.

Kolory: czerwień bram — ceglasta. Czerwień sztandarów — krew i płomień, bo są z cienkiego, falującego jedwabiu. Bruk, balustrady, marmurowe mosty, kolumny, smoki i lwy — biały, szarawy. Trochę zakurzonej zieleni drzew wyzierających spoza murów. Ogromne, błękitne niebo.

Punktualnie o godzinie 10 z pobliskich ogrodów zaczyna bić artyleria. Salwy powitalne: Rząd Centralny zajmuje miejsce na bramie Tiań Ań Myń. Salwy milkną, wojska prężą się na baczność: kilkusetosobowa, zbiorowa orkiestra Armii gra hymn państwowy. Mao stoi pośrodku przywódców Partii i Rządu. Na prawo od niego Sekretarz Generalny Partii, Lu Szao-ci, na lewo jeden z wiceprzewodniczących Rządu Centralnego, Li Ci-szen, z rewolucyjnego komitetu Kuomintangu.

Przez głośniki biegnie komenda. Stojąc w samochodzie wojskowym Czu Teh wyjeżdża na przegląd wojska. Orkiestra gra porywający Marsz 8 Armii.

Piętnaście minut i Czu Teh wraca. Podchodzi do mikrofonu i wygłasza przemówienie do wojska i ludności. Mówi o trzech wielkich osiągnięciach ubiegłego roku: reformie rolnej, zniszczeniu sił kontrrewolucyjnych, wreszcie o walce z agresją amerykańską w Korei. Nawołuje do czujności wobec planów remilitaryzacji Japonii. Przypomina o ostatniej, niewyzwolonej jeszcze prowincji chińskiej — Wyspie Taiwan (Formozie).

Wiatr się zrywa. Słońce, jaskrawe i gorące, niebo bez chmurki — i ten wiatr. Sztandary łopocą. Baczność. Zaczyna się defilada.

Otwiera ją Szef Sztabu Armii Ludowo-Wyzwoleńczej Nie Jen-dżen, w otwartym samochodzie wojskowym. Idą najpierw wychowankowie szkół oficerskich— piechota, doskonale wyrównana w zwartych szerokich kolumnach. Czołgiści w białych rękawiczkach i skórzanych hełmach. Kolumna marynarzy w białych kostiumach robi znakomite wrażenie swoim zgraniem, swoim rytmicznym krokiem i ogólną postawą. Lotnicy — w skórzanych kurtkach. Spadochroniarze.

Wreszcie nadchodzą jednostki piechoty. Na czele każdej kolumny dowódca i zastępca do spraw polityczno-wychowawczych. Jedna po drugiej, długie i szerokie wynurzają się z bramy na lewo, mijają nas, wybijając krok, nikną w bramie na prawo. Kolumna partyzantów Hebeju — prowincji pekińskiej. Inna kolumna — partyzanci najstarszych prowincji rewolucyjnych, na południe od Jang-tse, z Hunań, Kwejczou, Kwan-tungu. Mają chłopskie białe chustki na głowach i zwyczajne, granatowe ubrania.

Tymczasem krótka i szeroka ulica naprzeciw Tiań Ań Myń wyludnia się, kolumny wojska spłynęły okólną drogą, przeszły koło nas, znikły. Na ich miejsce wchodzą ogromne kolumny demonstrantów, granatowe, z morzem czerwonych sztandarów. Stanęły naprzeciw bra-

my, patrzą na nią. Chwila przerwy na głównej osi defilady — w pustej przestrzeni biegnie nagle przerażony własną śmiałością pies z podwiniętym ogonem, próżno starając się ujść uwadze tysięcy widzów. Nasz tłumacz, Lian Ta, pochyla się do mnie: „to Czang Kaj-szek, ten piesek". Śmiejemy się. Podobno taka sama historia zdarzyła się przed rokiem na jakieś innej defiladzie i obecny podówczas Simonow zrobił to właśnie, bardzo dosadne porównanie.

Nadciąga kłusem kawaleria. Nieduże koniki, o długich ogonach, świetnie wyrównane. Tuzin kolumn mija nas w parę minut. Doskonale oporządzone baterie konnej artylerii. Potem zmotoryzowana artyleria przeciwlotnicza. Reflektory na samochodach. Działa przeciwpancerne — lekkie i ciężkie. Haubice. Traktory z rykiem ciągną ciężkie działa.

A potem jadą słynne „katiusze".

Krótka przerwa — nadjeżdża piechota zmotoryzowana. Samochody mijają Tiań Ań Myń, zaraz komenda: spocznij — łokcie piechurów, wyprężone na wysokości ramienia, spadają do pasa. Upał rośnie.

Teraz ryk targa powietrzem: zza lewej bramy wyskakują lekkie i ciężkie czołgi. Motocykliści, samochody pancerne, artyleria pancerna. Po gromadzie ciężkich czołgów wypełzają spłaszczone sylwety ciężkich dział pancernych. Plac jest niebieski od dymu.

Jedenasta piętnaście, pół minuty przerwy, cichnący ryk czołgów z prawej. Wszyscy zezują w niebo. Są.

Jedna po drugiej, wyrównanym trójkowym szykiem, nadlatują eskadry bombowców, bombowców nurkowych, szturmowców, myśliwców. Znów kilka sekund przerwy. Zjawiają się na niebie czarne kreski z krótkimi skrzydełkami. Z niewiarygodną szybkością nadlatują przed trybuny, mijają je. Cisza i dopiero paręset metrów za nimi grom rozdzieranego powietrza. Pędzi następna trójka samolotów odrzutowych, wyrównana po mistrzowsku. Fale ryku.

Jedenasta dwadzieścia pięć. Koniec defilady wojskowej. Odchodzi orkiestra, wypełniając setkami swoich trąb i waltorni całą szerokość defiladowej alei. Z megafonów padają hasła. W krótkiej uliczce, naprzeciw Tiań Ań Myń, nieruchoma, kilkudziesięciotysięczna kolumna demonstrantów. Tylko wiatr z prawej strony, znad Gobi, gorącym i suchym oddechem wydyma czerwone sztandary.

Pochód pracujących otwierają pionierzy. Wolno nadciągają ogromne portrety. W pierwszym rzędzie Mao Tse-tung i Sun Jat-sen. W drugim Czou En-laj, Lu Szao-ci i Czu Teh. Napływają znajome i drogie oblicza Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Przywódcy krajów, wyzwolonych z opresji kapitalistycznych, krajów walczących z kapitalizmem. Kim Ir-sen, Ho Szi-min, Bolesław Bierut, Gottwald, Wilhelm Pieck, Georghiu Dej, Rakosi, Czerwienkow, Enver Hodża, Czojbołson, Thorez, Togliatti, Harry Pollit, Dolores Ibarruri i inni. Pionierzy skandują: Stalin wanze! (Niech żyje Stalin!) i wypuszczają chmurę gołębi.

Idą coraz to nowe kolumny dzieci. Rytmicznym, pełnym wdzięku gestem unoszą do góry raz książkę, raz piłkę. Następna kolumna przechodzi przed trybunami i nagle kilkaset dzieci wyciąga w kierunku

Mao bukiety kwiatów. A potem łamie się rytm pochodu, dzieci zbiegają się przed Tiań Ań Myń i zachłannymi oczami wpatrują się w wysoką postać tego, który dał im szczęśliwe dzieciństwo — jakże niepodobne do dziecięcego losu ich ojców, ich dziadów. Któreś rzuca swój bukiet, stado bukietów leci pod Tiań Ań Myń, pada koło marmurowych mostów — barwna sterta na jaskrawo-białym tle.

Kolejarze w granatowych drelichach. Ogromny wąż, po 60 — 80 w rzędzie, przelewa się przez lewą bramę, nadciąga. Portrety, sztandary. Podnoszą pięści, znany salut antyfaszystowski z epoki frontu ludowego. Zabłąkany gołąb kołuje nad kolumną, wreszcie siada któremuś na ramieniu.

Przed naszą trybuną fosa o kamiennych, stromych brzegach. Inny gołąb, jak to się mówi: niedysponowany, wybrał złe miejsce do lądowania, spadł do wody i bezradnie bije skrzydłami. Skądeś wysuwa się bez szmeru łódka, żołnierz armii chińskiej z karabinem na plecach podpływa do gołębia, pieczołowicie wydobywa go z wody, odpływa. Klaszczemy, po prostu wzruszeni tym ludzkim uczynkiem, przejęci jego mimowolną symboliką. Żołnierz podnosi głowę, śmieje się do nas.

Idzie tzw. kadra, urzędnicy państwowi, pracownicy partii. Te same drelichy. Gwiżdżą kierownicy ruchu, okrzyki falami przebiegają przez pochód: Mao-cu-szi wanze! (Przewodniczący Mao niech żyje!) Fala niewysokich dziewcząt. Górnicy w hełmach z bambusu. W jednej z kolumn same portrety — na jednej stronie Stalin, na drugiej Mao. Chłopi w białych chustach. Telegrafiści. Trzy rodzaje sztandarów; wszystkie czerwone, ale flaga państwowa ma jedną dużą gwiazdę złotą i cztery małe, flaga partii — sierp i młot, flaga Armii Ludowo-Wyzwoleńczej — hieroglif w kształcie spłaszczonej, odwróconej piątki rzymskiej i kreski, co oznacza: 1 sierpnia (data powstania w Nańczanie, w roku 1927, od którego liczy swoje życie Armia). Hasła z megafonów, słowa, i intonacje tak niepodobne do naszych, że brzmi to jak jakiś egzotyczny instrument muzyczny. Okrzyki są tłem tej melodii, wzbierają i gasną bez przerwy.

Sportowcy, studenci. Gołębie. Studenci niosą na głowach zielone hieroglify: „Pokój" i wymachują wiązankami kwiatów. Już w pół do drugiej. Upał. Pracownicy kultury ułożyli z kwiatów ogromny hieroglif „Mao-cu-szi wanze". Inna grupa studentów w białych koszulach i granatowych spodniach rytmicznie podnosi raz czerwone książki, raz portreciki Mao. Nadpływa złote popiersie Mao, jest ogromne. Globus, który się kręci, i napis po rosyjsku: „Pokój na całym świecie!" Kilkumetrowe „miniatury" Tiań Ań Myń. Z portretów Mao ułożono hieroglifami napis „Brońcie pokoju światowego". Posąg ochotnika z Korei. Huk z boku — i oto na niebie zjawiają się baloniki z wiązanką flag narodowych krajów demokracji ludowej. Wolno spływają na wschód, pędzone wiatrem znad Gobi.

Ledwo stoję na nogach, tłumacz radzi mi spocząć. Pod trybuną stoły z owocami, wodą, przekąskami. Przy jednym Neruda, Erenburg, Mulk Raj Anand, Anna Seghers. Przy inny kupka „neutralnych" dyplomatów dokoła przedstawiciela Anglii, którego sytuacja prawna wy-

daje się tutaj dość zagmatwana. Gdzie indziej delegacje zagraniczne ze „swoimi" ambasadami.

Siedzę z pół godziny. Hasła i okrzyki, gwizdki i szurgot dziesiątków i setek tysięcy nóg. Głośniki rozbrzmiewają teraz najpopularniejszą pieśnią Chin Ludowych Mao Tse-tung — Stalin, nagrodzoną, jak wiadomo, na Berlińskim Festiwalu. Piękna i oryginalna melodia. Nasz młodzieżowiec postanowił nauczyć się jej jak najszybciej.

Wracam z trudem na trybunę.

Mówiono nam rano, że defilada potrwa od 10-ej do 15-ej. Jest za kwadrans trzecia. Sceptycznie myślę: jak zwykle nawalą, niemożliwe, przecież nie widać końca tej powodzi ludzkiej! A w dodatku jeszcze ze sto tysięcy czekających naprzeciwko!

Potężny bęben z oddali: wszyscy się poruszyli. — *Jang-ko!* — mówią mi nasi dyplomaci — no, zobaczycie!

Jest to ludowy taniec chiński. Nadciąga nowa kolumna. Trzy wielkie posągi: chłopa, robotnika, żołnierza. Nadjeżdża wielki bęben, ciągniony przez parę mułów. Jest to kocioł parometrowej średnicy. Maleńki — wobec jego rozmiarów — człowieczek stoi na wózku i z nieprawdopodobnym rozmachem wali w bęben, odrzucając ręce z pałkami aż do tyłu.

Tańce ludowe, z bębnami, ze zwojami różnokolorowych, zwiewnych tkanin, które, porwane szybkością tańca, dokonują w powietrzu najdziwniejszych ewolucyj, naśladując pęd wody (zielono-niebieskie) przez kamienie górskie, strzelając w niebo czerwienią płomieni.

Potem właściwe *Jang-ko*. Nadchodzi ogromna kolumna dziewcząt i chłopców w białych koszulach i niebieskich spodniach. Każde niesie na brzuchu podłużny, czerwony bęben kształtu krępego wrzeciona o ściętych końcach. Rytm i ruchy są proste i w tej prostocie najbardziej dziwne dla nas, niezwyczajne i urzekające. Rytm jest prosty: trzy uderzenia wolniejsze, trzy szybsze, jedno wolne, przerwa i znowu tak samo. Trzy kroki miękkie, posuwiste, ze zgiętymi lekko kolanami. Potem zahamowanie, zmiana nogi i znów od początku.

Dochodzi trzecia, a kolumna z naprzeciwka ani drgnęła. Oj, niedobrze. Posuwistym krokiem idą szeregi tancerzy *Jang-ko*, biją bębny, wiatr wieje, łopocą flagi. Zdrowym, ceglastym rumieńcem zaczynają pałać czoła naszych delegatów.

Jang-ko spłynęło, chwila przerwy. I nagle ogromna kolumna, od czterech godzin czekająca naprzeciwko trybun, zamiast — jak inne — prześlizgiwać się przez dalekie, wąskie bramy, obchodzić i spływać na główną arterię gdzieś koło naszego hotelu — rusza wprost przed siebie. To znaczy wprost na nas. Idą ławą szerokości ze sto metrów, długości ze czterysta.

Idą, dochodzą do fosy, do mostów. Paręset czerwonych sztandarów z cieniutkiego jedwabiu łopoce na przedzie. Stają, zbijają się i nagle bucha potężny krzyk, lecą kwiaty, pochylają się sztandary, widać jak ci z dalszych szeregów wyciągają ręce, wyciągają głowy, patrzą na szczyt Tiań Ań Myń, na Mao Tse-tunga.

Może ze dwie minuty trwa ta manifestacja, najpotężniejsza, najbardziej żywiołowa ze wszystkich. Potem gwizdki przywódców kolumn mieszają się z niesłabnącym krzykiem, z tym wołaniem o zdrowie i długie życie dla Mao. „Regulatorzy" ruchu biegają, wymachują chorągiewkami. Czoło kolumny zaczyna się łamać na dwa nurty, jeden w prawo, drugi w lewo, wzdłuż fosy odpływają od Tiań Ań Myń. Ale jeszcze ten i ów z odchodzących zatrzymuje się przy balustradzie, jeszcze krzyczy, jeszcze parę sekund wpatruje się w uśmiechniętą twarz Mao na szczycie bramy. Napierają dalsze szeregi, krzyk trwa nieustanny. Wolno formują się dwa rozdarte potoki. Odchodzą.

Sterty kwiatów przy mostach. Głośniki huczą pieśnią „Mao Tse-tung — Stalin". Wiatr i słońce. Koniec.

Nie do wiary! Piętnasta pięć!

Około miliona ludzi przeszło przed nami w ciągu trzech i pół godzin!

NOC NAD PEKINEM

Wieczorem z trudem zbieramy się. Samopomocowiec i związkowiec mają twarze koloru nierozcienczonego soku malinowego. Lian Ta proponuje pójść na dach hotelu. Wiatr teraz jest chłodny. Pekin, zbiorowisko bezkreśnych, płaskich świateł, tu i ówdzie sporymi gromadami neony sklepów. Tiań Ań Myń i dwie bramy na ulicy iluminowane. Płoną czerwone kule lampionów. Na placu przed bramami mają być sztuczne ognie. Potoki ludzi na dole śpieszą na plac, idą gromadki rozśpiewanych studentów, rowerowe ryksze przemykają się gęsiego. Małe lampiony ze świeczkami. Aż na to szóste piętro dochodzi radosna atmosfera ludowego święta.

Nie możemy doczekać się ogni, a zresztą tu na dachu jest chłodno i daleko od tego tłumu. Schodzimy na dół bez tłumaczy, wpadamy w coraz gęstszy nurt ludzki. Za nami śpiewają coś znajomego; po chwili rozumiem, to B a n d e r a r o s s a w chińskiej interepretacji. Młodzieżowiec zaczyna pomagać po swojemu, po polsku. Mimo to jakoś trzyma się kupy ta włoska, wspaniała melodia.

Ulica wysadzona drzewami i przy każdym jakiś przekupień. Orzeszki ziemne, słonecznikowe pestki, owoce „kaki", jabłka, banany, cukierki. Ścisk coraz potworniejszy: idziemy gęsiego, jeden trzyma się drugiego. Ostatni idzie związkowiec. Przy pierwszej bramie przepychamy się za załom muru. O rozpaczy! Związkowca nie ma. Próbujemy go wołać, ale nawet mój głos ginie w tym świątecznym rwetesie.

Przed trybunami kordon wojska, pomagają nam czerwone wstążeczki zdobiące jeszcze nasze klapy. Wielki plac przed Tiań Ań Myń, na którym stała do końca defilady owa ogromna kolumna, teraz wypełniony jest po brzegi zwartym tłumem. Tu i ówdzie pochodnie. Tu i ówdzie muzyka. Z trybuny widać okrągłe, niewielkie rozrzedzenia w tłumie: tam tańczą. Megafony grzmią pieśniami. Grzechotki, okrzyki. Przed trybunami zespoły tańca czekają na swoją kolejkę. Ładne dziewczęta smagli, zgrabni chłopcy, wszystko umalowane, w jaskrawych, dziwnych strojach.

Szmer przebiega przez tłum. Czerwony błysk przed nami i grom salwy moździerzowej. Ognie sztuczne. Od zwykłych, jednokolorowych rakiet przechodzą do bardziej złożonych. Wypryskują złociste grona, zielone kaskady, czerwone i białe deszcze ogniste. Potem tuzin gwiazdek i każda z kolei wybucha. Tuzin kaskad. Wiatr dmie ciągle, rakiety wolno żeglują na wschód, wolno gasną. Chmury dymu tworzą fantastyczne desenie i płyną. Jaskrawy Jowisz gubi się w tym natłoku świateł, zdaje się płynąć na zachód.

Potem zapalają się dalekie reflektory. Prawie przezroczyste w tej bezchmurnej nocy pochylają się aż do rakiet, wyłapują chmury dymu, prześwietlają je, czynią je niemal namacalnymi, podobnymi do światła zodiakalnego czy zorzy polarnej.

Ognie trwają długo. Wracamy, niespokojni o związkowca. Nie doceniliśmy go; zgubiwszy się wrócił po prostu do hotelu i z dachu podziwia to szaleństwo świetlne nie gorzej od nas.

Po dwóch godzinach na niebie zostają tylko reflektory. Zjawiają się trzy o szczególnie intensywnym fioletowym kolorze. Razem z innymi tworzą ogromną gwiazdę, rozpiętą nad całym Pekinem. Potem zaczynają się miotać i tańczyć. Trzy — fioletowy, biały i niebieski dostały kręćka, wirują nad nami. Inne tworzą takie same kółka na peryferii. Dym z ogni wzniósł się wyżej, wisi rozrzedzony nad miastem i reflektory stają się mniej klarowne, ale bardziej zawiesiste, jak akwarela.

Czas jakiś trwą ta gimnastyka. Wytyczają koło, tworzą kopułę, łączą się parami w ramiona ogromnej gwiazdy. Odbywa się to niezwykle sprawnie — Lian Ta mówi, że są kierowane przez radio.

Proch, który Chińczycy wynaleźli dla wspaniałego widowiska świetlnego — przez Europejczyków użyty został do celów śmierci i zagłady. Chińczycy zrewanżowali się, czyniąc z reflektorów — wynalazku wojennego — niezwykłe narzędzie uciechy ludzkiej.

Co nie znaczy — jak słusznie stwierdził pewien nasz nader skrupulatny dyplomata — jakoby nie umieli oni i jednego, i drugiego używać z wielkim powodzeniem dla celów obronnych.

Jedenasta. Głośniki jeszcze dudnią. Ulicą płynie tłum, powracający z placu. Śpiewają. Są zmęczeni i radośni.

PAŁAC ZIMOWY

2.X.

Przed południem przedstawiciele władz i organizacyj odwiedzają delegacje zagraniczne, aby dowiedzieć się, jaką mieliśmy podróż, jak się czujemy w Pekinie, co byśmy chcieli zobaczyć. Do nas przyszli między innymi znany mi z Warszawy i Berlina wybitny działacz Światowej Rady Pokoju (jeden z jej wiceprzewodniczących) wicepremier Kuo Mo-żo i minister transportu, Czan Bo-cziuń.

Po obiedzie krótka narada szefów delegacji: ustalenie ramowego planu pobytu w Chinach.

Jedziemy do dawnego pałacu cesarskiego. W rzeczywistości — to całe miasto, ongiś oddzielone od miasta mandżurskiego, chińskiego i dziel-

nicy dyplomatycznej całą serią murów, fos itd. Część tych murów zburzono, zostało jeszcze jednak dosyć.

Lian Ta tłumaczy: Pekin został zbudowany według ściśle przestrzeganych zasad geometrii i astronomii. Ulice przecinają się zawsze pod kątem prostym i biegną ze wschodu na zachód, z północy na południe. „Bagatela — myślę — my w Warszawie mamy jedną trasę W—Z i tak z niej jesteśmy dumni, a tutaj takich „wuzetów" setki".

Objeżdżamy cesarskie miasto. Tiań Ań Myń — to była główna brama z południa. Teraz mamy wjechać od bramy północnej.

Na ulicach ruch fantastyczny. Całe stada ryksz rowerowych. W wózkach, które przypominają, zmniejszone do jednej czwartej tylne połówki naszych dorożek — siedzą kobiety z dziećmi, stare i młode, dostojni panowie, babki, gospodynie wracające z zakupów — wszystko w niebieskich drelichach. Ciągną karawany wózków, zaprzęgniętych w muły i osły, wiozą drzewo-budulec, jarzyny, wory z ziarnem. Ten i ów rykszarz pedałuje zaciekle, obładowany kilku cielskami świń. Dwukołowe wózki na samochodowych kołach, obładowane na wysokość paru metrów, ciągnie dwóch czy więcej — zaiste burłaków, gołych do pasa, ociekających potem na tym słonecznym skwarze. Sklepy, sklepiki, stragany.

Zakręcamy raz i drugi. Szeroka ulica, z prawej otoczone murem wzgórze, nazywane „węglowym". Podobno ongiś, w czasie któregoś z oblężeń miasta, nakazano gromadzić zapasy węgla. Ludność miejska i okoliczna naniosła go tyle, że powstał ogromny stos. Nie bardzo wiedziano, co z tym zrobić. Po zakończeniu wojny ktoś wpadł na pomysł, aby nasypać na węgiel trochę ziemi — i proszę: wdzięczny pagórek, trochę drzew na zboczach, na szczycie zgrabniutka altanka. Parę innych, mniejszych, poniżej.

Na prawo Brama Północna, mniej majestatyczna od Tiań Ań Myń, ale także potężna. Mury czerwone, dach z żółtej, polewanej dachówki, Jest szeroko otwarta, tłumy ludzi przewalają się w obie strony. Dużo młodzieży, wojskowi płci obojga — żołnierki wyjątkowo w spódniczkach i wysokich butach — dzieci, cywile.

Za pierwszą bramą nowy mur i nowa brama. W tym pierwszym, podłużnym podwórzu jedyną osobliwością są ogromne kadzie drewniane: hodowla słynnych złotych rybek. Są fantastyczne. Głowy z dużymi wypukłymi oczami, krępe, karasiowate tułowie i płetwy jak welony, przezroczyste i powiewne, falujące przy każdym skręcie rybki jak szale z jedwabiu w ręku doświadczonej tancerki. Z kształtu są wszystkie podobne, ale kolory! Złote, złoto-czerwone, czerwone, czerwono-srebrne, srebrne, czerwono-czarne, fioletowe, czarne. Te ostatnie mają płetwy ogonowe tak długie i wąskie, jakby to były pióra rajskiego ptaka. Jeden z gatunków oczy ma tak ukształtowane, że patrzą tylko do góry. Dosłownie, widzą niebo i nic poza tym. Jakże im zazdrościć muszą niektórzy z naszych ezoterycznych poetów!

Popędzają mnie; opuszczamy te staroświeckie akwaria. Za drugą bramą nowy mur, ale bardziej w głębi. Tu zaczyna się cesarski ogród. Wchodzimy do najbliższego pawilonu. Każą nam odpocząć, że niby bardzośmy się zmęczyli. Stół, owoce, ciastka, herbata — ta jaśminowa, jaśniej-

sza od naszej, niesłodzona, oczywiście, ale doskonała. W pałacu krąży kilka grup z delegacyj zagranicznych, spóźnieni z powodu owego zebrania. Do jednej z nich mamy się dołączyć.

To nie jest takie proste. Ruszamy wreszcie: żadnej nie odnaleziono. Niebawem zrozumiem dlaczego.

Bo oto kończy się ogród. Wąska uliczka, wytyczona dwoma ślepymi murami dwu i półmetrowej wysokości. Rzadkie drzewa zza muru. Skręcamy w lewo: znów dwa mury, bez jednego okienka. Z rzadka bramy, szczelnie zamknięte. Inne korytarze między murami. Labirynt.

Idziemy tym labiryntem. Żółtawy mur, jaskrawo-żółte, zielone, niebieskawe dachówki błyszczą w słońcu. Dziwność, nierzeczywistość tego pejzażu. Nie wiem czemu przypominają mi się sny z okresu dzieciństwa. Czytało się podówczas tyle baśni o zaczarowanych pałacach, a potem we śnie podniecona wyobraźnia usiłowała jakoś je odtworzyć, ujrzeć. Teraz, po trzydziestu paru latach widzę je na własne oczy.

Wchodzimy przez którąś z bram. Naprzeciw niej, o dwa kroki w głąb podwórza stoi płaska i duża płyta z czarnego kamienia, rzeźbiona w jakieś smoki i hieroglify. Lian Ta śmieje się: to przeciw złym duchom! Szatan, jak wiadomo, chodzi zawsze prosto. Tutaj zaś wszedłby przez bramę i bęc! — głową w ten kamień! I musiałby zawrócić!

Dziwna wydaje mi się taka koncepcja obyczajów szatańskich. W naszych krajach chadza on raczej krętymi ścieżkami i ten typ przeciwszatańskiej przeszkody nie na wiele mógłby się nam przydać. Zdaje się, że chodziło tu o rzecz inną. Nie tyle o złe duchy, ile o niedobre (niedyskretne, zawistne itp.) spojrzenia. W tych zakątkach bowiem mieszkały cesarskie nałożnice. Dostawcy i służebnicy pukali do bramy, otwierała im przyboczna dostojnej lokatorki, brała, co trzeba, odchodzili, ujrzawszy z całego przybytku tę właśnie pięknie rzeźbioną płytę z kamienia i nic poza tym.

Tak czy owak, od szatanów przemyślniejsi, skręcamy w lewo lub prawo. Starochiński schemat mieszkania: podwórze, wyłożone kamiennymi płytami, jedno czy dwa wypielęgnowane drzewka. Po bokach parterowe oficynki dla służby czy celów gospodarskich. Na wprost właściwy dom mieszkalny, też parterowy. Schody, przedzielone pośrodku marmurową, pochyłą płytą z płaskorzeźbami. Dom jest wysoki i ciemnawy. Na suficie rzeźbione belki i jakby draperie z drzewa. Kilka pokojów. Muzeum.

Oglądamy kilka takich pawilonów, w osobnych podwórzach, otoczonych murami. Albo mieszkały w nich nałożnice i żony cesarskie, albo były to gabinety przyjęć etc. Teraz zgromadzono tu starochińskie obrazy, wazy z emalii, porcelanę, rzeźby z nefrytu, porfiru i innych malowniczych kamuszków. Nie wszystkie sale są równie wspaniałe. Kuomintangowcy, ewakuując muzeum w 37 roku, po drodze rozkradli kolekcje i tylko część ich wróciła teraz na miejsce. I malarstwo, i porcelana na przykład — w tych salach, któreśmy zdążyli obejrzeć — wyglądały raczej skąpo.

Za to kamuszki były ciekawe. Jaspisowe wazy sprzed dwóch tysięcy lat. Kilka pokojów, zastawionych wyrobami z białego, zielonego i różo-

wego nefrytu, który jest najcenniejszym w Chinach materiałem dla tego rodzaju produkcji. Całe kompozycje z ametystu: figurki 20—30 cm wielkości, lwy rzeźbione itd. Z niezrównanym naturalizmem wykonane wazony z balzaminą i lotosem, dosłownie „jak żywe" — z nefrytu, ametystu, czy czegoś tam jeszcze. Flety z nefrytu, całkowicie zdatne do użytku. Malachit po chińsku zwie się „pawi kamień". Nazwa trafna — widzimy to na puzderkach z niego zrobionych. Ogromne bryły nefrytu i jaspisu: wyrzeźbiono w nich całe kompozycje pejzażowe, ze skałami, chińskimi sosnami, postaciami ludzkimi, mostkami, pagodami, gaikami bambusów.

Dziwny przyrząd: podłużna ni to łyżka, ni to widelec z ostro zagiętymi końcami. Nie od razu można zrozumieć jego przeznaczenie. Okazuje się, że są to skrobaczki zwane *żu-i*. Kiedy kogoś zaswędziła skóra między łopatkami — przyrząd taki, znakomicie przedłużając rękę, przynosił natychmiastową ulgę. Przypominam sobie, że widziałem to już w starożytnym klasztorze Piła, w górach bułgarskich. Tu skrobaczka taka dostąpiła nielada zaszczytu: cesarze zrobili z niej symbol swojej łaski i rozdawali faworytom. Był to właściwie order, równie pożądany przez dworaków jak w Anglii order podwiązki, a w Danii bodaj — łaźni. Cesarze chińscy byli jednak większymi realistami. Ich łaska przydawała się przynajmniej na coś konkretnego.

Po błądzeniu między ślepymi murami, inny pawilon. Tu mieszczą się skarby władców Chin z ostatnich paru stuleci. Ostatnia mandżurska dynastia Cinów czy Tsingów. Epoka wzrastającego nacisku imperialistów, epoka penetracji misjonarzy i kupców, których rychło zastąpiły eskadry wojenne, bombardowania portów, wysadzanie desantów, epoka wojen opiumowych, koncesyj zagranicznych, karnych ekspedycyj. Popatrzmy, co dla ostatnich cesarzy było w tym czasie rozrywką i odpoczynkiem.

Ciemnawa sala błyszczy od złota. W szklanych gablotkach zebrano 48 zegarów. Tu słoń ze złota. Nakręcony, wznosi trąbę i macha nią z niejakim wdziękiem, kręcąc jednocześnie ogonem. W innej wiewiórka, która skacze po gałęziach. Gdzie indziej ptaszek, który śpiewa, trzepoce skrzydełkami, a potem błyskawicznie przeskakuje na inną gałązkę, robi w tył zwrot i zaczyna od początku. Inny: kobieta przystojna i dosyć obnażona, która bije w bęben, bardzo melodyjnie. „Patefony" z XVIII i początku XIX wieku, nader udoskonalone pozytywki.

Kto to robił? Okazuje się, że Anglicy i Francuzi. Były to „załączniki" do not dyplomatycznych, proponujących otworzenie tego czy innego portu dla handlu europejskiego, odstąpienie tej czy innej skały przybrzeżnej, tego czy innego skrawka ziemi. Chiny były podówczas daleko, tajfuny darły na strzępy żagle okrętów, nie łatwo było francuskim czy angielskim kupcom dotrzeć do tego bajecznego kraju.

Ale w połowie XIX wieku prezenciki jakoś rzedną. Wiadomo: parowce okazały się szybsze i pewniejsze. Z epoki piernika kapitalizm europejski przeszedł do epoki bata. Po zegarynkach zaczęły się wojny opiumowe. Karne ekspedycje „obrońców kultury europejskiej" niszczyły miasta, paliły zabytkowe pałace, rabowały bezcenne skarby sztuki chińskiej. Najpiękniejsze kolekcje starochińskiej porcelany obejrzeć można

dziś raczej w British Museum (o ile nie sprzedano ich jeszcze Amerykanom). Za to tutaj możemy obejrzeć te właśnie cudeńka myśli i smaku zachodnio-europejskiej cywilizacji.

Jeszcze jeden pawilon. Tu cesarz szykował się, że tak powiem, do dorocznej ceremonii religijnej, pościł i umartwiał się. W tym kraju odwiecznych rolników nosił on tytuł „pierwszego rolnika", „niebiańskiego rataja" czy coś w tym rodzaju. Symbolizować to miały między innymi bardzo nędzne warunki jego życia. Na przykład, powinien był spać na ziemi. W tym kamiennym mieście trudno było ją znaleźć. Przyniesiono więc trochę ziemi z zewnątrz i posypano nią wytworną, marmurową posadzkę. Została tu po dzień dzisiejszy, sprawiając pewnie nielada kłopot sprzątaczom: jak ją zachować nietkniętą, uprzątając co dzień kurze?

Jeszcze ogromny stół z czerwonej laki; przy nim urzędował cesarz. Nie wiem, czy tu przyjmował europejskich ambasadorów. Trzeba przyznać, że los ich był nie do pozazdroszczenia. Im bardziej upadało cesarstwo chińskie, tym bardziej wysilało się utrzymać swój prestiż zewnętrzny. Ambasadorom zawiązywano oczy: by nie popsuli sobie wzroku od światła cesarskiego majestatu, jak troskliwie ich zapewniano. Korzystając z tego cesarze podstawiali na swoje miejsce któregoś z mandarynów, sami zaś słuchali nakręcanych szczygłów i słowików, podziwiali złocone słonie i kobiety walące w bębny.

Na ścianie tryptyk malarski — starzec, dziecko płci męskiej i jeszcze coś bardzo obfitego ilościowo. Całość symbolizuje szczęście po starochińsku: długowieczność, majątek i męskie potomstwo.

Wychodzimy, oszołomieni nadmiarem tego, cośmy obejrzeli. Muzea są potwornie trudne do oglądania wszędzie i zawsze, zwłaszcza jeśli eksponaty nie są komponowane w logiczne ciągi. Tu egzotyka, niezwykłość, piękno — czynią rolę oglądającego jeszcze trudniejszą. A najgorsze — to poczucie odpowiedzialności wobec naszych polskich przyjaciół, znajomych, towarzyszy. Pięć par oczu wysłanych przez kraj o $7^1/_2$ tysiąca kilometrów na wschód musi napatrzeć się tutaj, aby móc odpowiadać tam, w kraju, na wszelakiego rodzaju pytania. Młodzieżowiec, związkowiec, ligawica notują zaciekle. Ręka mnie boli od ściskania ołówka.

Znów jaśminowa herbata. Park, bez trawników, tylko kamienna posadzka i drzewa. Ogromne tuje o pniach pokręconych prawie jak oliwki. Chińska oliwka o drobnym, pachnącym kwiatku. Chińska mimoza o różowych kwiatach. Sosna o pniu do złudzenia podobnym do platana. Jej kora ma usuwać liszaje. Dziwna aleja: w wazonach umieszczone są kamienie w kształcie ni to ogromnych korali ni to krzaków. „Mądre kamienie" — mówi Lian Ta. — Mają dużo dziur, otworów, kryjówek. Tak jak głowa ludzka, uszy! Stąd tak cenione kiedyś".

Pawilon, w którym mieszkał nauczyciel ostatniego następcy tronu, oczywiście Anglik. Tu najwięcej tej kamiennej mądrości.

Tłumy ludzi. Weseli żołnierze, roześmiani studenci. Całe rodziny z dziećmi. Chodzą, oglądają, sami i z przewodnikami. Weseli, swobodni, czują się tu jak u siebie w domu.

W tym radosnym tłumie niebieskich i zielonych strojów jedna i druga postać ubrana na czarno. Staruszki bezzębne, pomarszczone. Ale nie

to jest w nich żałosne. Chodzą drobnymi kroczkami. Tę trzeba prowadzić pod rękę. Tamta siedzi, wyciągnąwszy bezradnie nogi.

Trzeba widzieć te nogi, aby zrozumieć potworność krzywdy, którą ówczesnym kobietom wyrządziła ówczesna epoka, ówczesna moralność i estetyka. Istotnie, są maleńkie, wielkości dłoni, ale zgrubiałe i niefo-remne jak pień nadłamanego drzewka, okaleczone, koślawe i straszne. Spojrzysz na nie i własne stopy zaczynają boleć.

Nie śpieszmy jednak z osądem. Nie wywyższajmy się przedwcześnie: jacyśmy oświeceni i kulturalni w tej Europie. Tortury fizyczne, które zadawała kobietom chińskim odległa o czterdzieści lat epoka (zaczęto zrywać z tym zwyczajem po 1911 r.) — były oczywiście potworne, wykoślawiały im życie raz na zawsze. Ale Chiny skończyły z tym przesądem. A ile przesądów, koślawiących duszę (a i ciała! W Częstochowie można widzieć po dziś dzień „pielgrzymów" pełznących na kolanach przez całe miasto!) nie mniej okrutnie niż te stopy — panoszy się u nas po dzień dzisiejszy.

W CHIŃSKIM TEATRZE KLASYCZNYM

Tegoż dnia w nocy

Wieczorem poszliśmy do teatru. W tej samej wielkiej sali, gdzie przedwczoraj odbywało się przyjęcie, urządzono teraz galowe przedstawienie dla delegacyj zagranicznych i zamiejscowych gości, którzy zjechali z całych Chin na święto.

Rozdano nam streszczenia sztuk, które miały być wystawione — po rosyjsku, angielsku i francusku.

Oto streszczenie pierwszej, pt. S a n C z a-k o u, wiernie przełożone przeze mnie:

„Za czasów dynastii Sun ojciec i syn z rodziny Janów byli wybitnymi wodzami w walkach z dynastią Lao. Wysoki dygnitarz Wan Czinczao, który okazał się zdrajcą na usługach Lao, postanowił obu tych wodzów zabić. W tym samym czasie mieszkał w stolicy inny wybitny generał Dziao Dzan, który próbował bezskutecznie wyperswadować zdrajcy jego niecne zamiary. Wtedy Dziao Dzan zabił zięcia zdrajcy, imieniem Sie Dżu-u. Zdrajca Wan Czin-czao chciał zabić Dziao Dzana, ale przestraszył się wzburzenia opinii publicznej przeciw sobie.

Wobec tego zdrajca sfałszował rozkaz cesarski, skazujący Dziao Dzana na wygnanie na wyspę Szamyńchaj, generałowi zaś Sie Caj rozkazał zabić w drodze Dziao Dzana.

Dziao Dzan udał się na wygnanie, po drodze zatrzymał się na noc w San Cza-kou, w oberży Lu Li-chua. Właściciel oberży wiedział, że Dziao Dzan jest wybitnym generałem. Dowiedział się także, że Sie Caj ma go zabić. Po naradzie z żoną Lu Li-chua zabił Sie Caja, uratował od śmierci Dziao Dzana i ukrył go w swojej oberży.

Gdy Dziao Dzan udawał się na wygnanie, generał Jan Jeń-czao (ojciec) po kryjomu wysłał swego generała Żeń Tan-choja dla ochrony Dziao Dzana. Żeń Tan-choj również zatrzymał się na nocleg w tejże

oberży. Lu Li-chua nie wiedział o tajnej misji Żeń Tan-choja i sądził, że jest on agentem zdrajcy Wan Czin-czao. Żeń Tan-choj również nie wiedział, co za człowiek jest ten Lu Li-chua. Na tym tle wybuchła między nimi bójka. Żona Lu Li-chua i Dziao Dzan, słysząc hałas wybiegli także i dołączyli się do bójki. Nieporozumienie wyjaśniło się wreszcie. Żeń Tan-choj i Dziao Dzan udali się razem do Sanguań".

Przeczytałem parokrotnie to streszczenie swoim towarzyszom. Nie byłem pewien, czy się połapią w skomplikowanych powiązaniach między dosyć licznymi bohaterami sztuki. Wyglądało, jakby rozumieli. Widocznie byłem od nich bardziej tępy.

Tymczasem kurtyna się podniosła. Scena bez żadnych dekoracyj. Wchodzą trzy postacie: jedna z ogromną brodą w biało-czarnej masce z groźnie uniesionymi brwiami, we wspaniałych szatach, ma ręce skute kajdanami. Dwie inne wyglądają na dosyć niezaradne.

— To Dziao Dzan — szepce Lian Ta — a tamci, to konwojenci.

Jeden z nich piskliwym głosem oświadcza drugiemu, że tego generała ma, jak to się mówi, w garści.

Rzeczywistość nie omieszkała zadać kłam temu twierdzeniu, bo oto Dziao Dzan, bezbronny i zakuty, nagle grzmi potężnym basem.

— Żąda, żeby mu zdjęli kajdany — szepce Lian Ta i chichoce.

Ma rację Lian Ta, bo żołnierz-samochwał bezradnie ogląda się na swego kompana, który również jest zdetonowany. Jeszcze jeden ryk generalski i zaraz zdejmuje mu się kajdany. Generał z nieomylnym wyczuciem taktyki natychmiast wykorzystuje sukces początkowy; tupie nogą i rozkazuje zakuć w kajdany samochwała. Drugi żołnierz galopem to wykonuje. Przychodzą do oberży w zmienionym szyku; koniec sceny.

Następna: Żeń Tan-choj, młody, elegancki, w długiej, złotem haftowanej szacie, z przedłużonymi niemal do uszu brwiami, zjawia się na widowni. Jest nader wytworny w ruchach i minach, mówi mało. Lu Li-chua, w błazeńskiej czarnej i obcisłej szacie, przyjmuje go na noc.

Wygląda to tak: pusta scena, tylko coś w rodzaju niewysokiej i dość szerokiej dwupiętrowej etażerki w głębi i pośrodku. Żona Lu Li-chua przychodzi z wyciągniętą pustą dłonią. Żeń Tan-choj ostrożnie bierze tę pustkę z jej dłoni, nachyla się ku etażerce, stawia pustkę na podłodze. Oberżystka wychodzi. Żeń Tan-choj zdmuchuje pustkę. Była to zapalona świeca. Kładzie się na górnym piętrze etażerki, przybiera pozę Zygmunta Augusta z krakowskiego grobowca: głowa podparta prawą ręką, lewa noga na pół zgięta, całość zwrócona ku widowni.

— Jest całkiem ciemno — zapewnia mnie Lian Ta. Nie omieszkałem poinformować o tym reszty delegacji.

W tej ciemności zjawia się czarno ubrany oberżysta. Kocimi krokami zbliża się do rampy. Czyni parę gestów, zaprzeczających przysłowiu, że z próżnego i Salomon nie naleje. Z tym nieistniejącym kubkiem nieistniejącej wody skrada się do nieistniejących ścian sypialni Żeń Tan-choja, długo i ostrożnie polewa wodą nieistniejące drzwi.

— Żeby nie skrzypiały! — szepce Lian Ta.

Potem szablą (prawdziwą, choć nader starożytną) zaczyna drzwi wyważać. Te ostrożności trwają tak długo, że Żeń Tan-choj zaczyna nie-

spokojnie wiercić się na swojej etażerce. Po chwili zeskakuje z niej. W porę, bo oberżysta właśnie uniósł szablę do ciosu.

Zaczyna się półgodzinna (dosłownie!) walka w ciemności. Jest to właściwie akrobatyczny taniec, w którym oberżysta objawia się nam jako wspaniały mistrz. Jego skoki, siady, koziołki, plus założenie, że walczący nie widzą się nawzajem stwarzają dogodne pole do licznych scen o niezaprzeczalnym komizmie. Sala wybucha co chwila śmiechem, nasza delegacja jest szczerze ubawiona. Reżyser znakomicie wygrywa te możliwości. Żeń Tan-choj dokonywuje około dwóch tuzinów bardzo hieratycznych ruchów ręką, brwiami i stopami, Lu Li-cha wiruje dokoła niego jak bąk. I żaden z nich nie może drugiego ugodzić. Oto zmęczony oberżysta włazi na dolne piętro etażerki, gość zajmuje swoje miejsce na górnym. Chwilę leżą spokojnie i znów rzucają się na siebie. Znów bez skutku.

Historycznie rzecz biorąc, wypadek taki nie jest niemożliwy. Jeden z bohaterów narodowych Szwajcarii, generał (także generał!) Dufour przez rok przeszło tak umiejętnie manewrował swoją armią w ostatniej szwajcarskiej wojnie domowej (przeszło sto lat temu), że ani razu nie spotkał przeciwnika, natomiast tak go wymęczył i wynudził, że zmusił wreszcie do kapitulacji.

Tu sprawa kończy się szybciej. Zbudzeni hałasem wpadają: sprawca całej chryi Dziao Dzan i oberżystka. Ciemności trwają, nikt nie wie o co chodzi, tworzą się dwie pary, które skaczą i tarzają się koło siebie frenetycznie. Jak w turnieju szachowym, każdy po kolei walczy z każdym. Najdłużej i najzacieklej biją się pary w zestawieniu: generał ze swoim obrońcą i mąż z własną żoną. Ta zresztą okazała się najinteligentniejsza, przyniosła wreszcie nieistniejące światło. No, rozpoznali się nareszcie, apoteoza, koniec.

Ubawiliśmy się szczerze. Pantomima była dobrze zrobiona, walory akrobatyczne wykonawców niezwykłe. Pokazano nam zresztą tylko parę scen.

Zaraz potem opera klasyczna Legenda o białej żmii, pokazana również tylko w wyjątkach. O ile pierwsza miała wyraźny charakter komiczny, a tyle ta okazała się dramatem baśniowo-lirycznym o tym, jak niedobry kapłan pokłócił zakochane małżeństwo. Tu dało się zapamiętać stroje i zalążki dekoracji, żywe obrazy z udziałem jakby baletu (fale jeziora walczące z wojskiem niedobrego kapłana) oraz bardzo dziwne partie śpiewane z akompaniamentem klasycznej chińskiej orkiestry. Wykonawcą głównej roli kobiecej jest mężczyzna, ma lat 50, nazywa się Mej Lan-fan i jest jednym z największych mistrzów swego zawodu. Inną rolę kobiecą wykonuje jego syn, wdrażający się w ten sposób w tajniki tej niełatwej sztuki. Rolę młodego małżonka, safanduły i zdrajcy — gra 66-letni starzec, też znakomitość scen chińskich, nazwiskiem Dzian Miao-sian.

Aktorzy śpiewają falsetem, dziwnie przypominającym w tonie i barwie któryś z instrumentów orkiestry chińskiej, która bez przerwy towarzyszy występom.

Dziwne wrażenie robi ten teatr. Są w nim elementy atrakcyjne i dla

nas: pantomima, taniec akrobatyczny, scenki komiczne i żywe obrazy. Charaktery wydają się być bardzo uproszczone, ograniczone do jednej cechy (tchórzostwo, okrucieństwo, bohaterstwo, wspaniałomyślność), nie ulegające zmianom w ciągu sztuki. Nie znając języka łatwo oskarżyć dialogi o dłużyzny. Zresztą język obu sztuk nie jest zupełnie jasny, nawet dla — Lian-Ta. Jest to archaiczny język teatralny, który różni się zasadniczo od dzisiejszego języka literackiego, odmłodzonego od 30 lat, dużym zastrzykiem słownictwa ludowego.

W sumie widowisko bezsprzecznie ciekawe, warte obejrzenia. Trzeba by robić raban, by wysłali do nas zespół z taką właśnie wiązanką urywków klasycznych sztuk chińskich.

Tylko akcja tego San Czau-kou wydaje się jednak zanadto pogmatawana, wymyślona, by nie powiedzieć, wyssana z palca. Za dużo wątków, nie ma w niej tej oszczędności słowa, czynu i postaci cechującej antyczną sztukę sceniczną Grecji.

PRZEMAWIA KUO MO-ŻO

3.X.

Dzień luźniejszy, w przeciwieństwie do dwóch poprzednich. Z rana spotkanie u chińskich obrońców pokoju. Prawie naprzeciwko hotelu Pekin, w dawnej ambasadzie włoskiej. Jest to stereotypowy budynek „dyplomatyczny", położony w sporym ogrodzie, gdzie ustawiono trochę rzeźb i trochę ogromnych brązowych urn starochińskich.

Przyjmują nas przywódcy chińskiego ruchu obrońców pokoju — Czin Szu-tun i znany dobrze zagranicą Kuo Mo-żo. Ten pierwszy — to niewysoki staruszek z długą brodą.

Kuo Mo-żo opowiada nam o pracy swojej organizacji:

Komitet Obrońców Pokoju powstał 2 października 1949 roku, zaraz na drugi dzień po proklamowaniu Republiki Ludowej. Oczywiście, świadczy to o wadze sprawy obrony pokoju dla Chin. Naród chiński kocha pokój, zna jego cenę. Wiemy, że obronić pokój można tylko we wspólnym wysiłku wszystkich uczciwych ludzi całego świata. Po napadzie Ameryki na Koreę Komitet przybrał nazwę Komitetu Obrony Pokoju i Walki z Agresją Amerykańską. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że najpewniejsza droga zapewnienia pokoju światowego — to zwalczenie agresji tam, gdzie już się ona zaczęła.

Co komitet chiński zrobił w ciągu tych 2 lat? Przeprowadzono ogromną pracę organizacyjną, tworząc na całym terenie Chin komitety lokalne. Jeszcze większy wysiłek włożono w pracę uświadamiającą. O wynikach, o wzroście uświadomienia politycznego narodu chińskiego świadczą cyfry trzech wielkich akcyj, przeprowadzonych w tym czasie przez komitet.

1. Podpisów pod Apelem Sztokholmskim zebrano 223 miliony 390 tysięcy.
2. Pod apelem o pakt 5 mocarstw — 344 miliony.
3. Pod apelem przeciw remilitaryzacji Japonii—339 milionów 903 tysiące.

Oznacza to, że praktycznie cała świadoma ludność Chin zna program, wysuwany przez Komitet Obrony Pokoju i Walki z Agresją Amerykańską i program ten podziela.

Bardzo wytężoną pracę Komitet przeprowadził dla okazania pomocy Korei i walki z agresją amerykańską. Nie ulega wątpliwości, że imperializm amerykański wkroczył na drogę awanturniczego imperializmu japońskiego. Konferencja w San Francisco dowiodła niezbicie, że Amerykanie szykują się do wojny przeciwko narodom Azji. Naród chiński wysyła ochotników na pomoc narodowi koreańskiemu, bo w Korei broni się Chin, pokoju w Azji i na całym świecie. Ochotnicy chińscy walczą na Korei już blisko rok. Odepchnęli oni Amerykanów do 38 równoleżnika. Imperializm amerykański otrzymał poważny cios. W tym czasie zginęło przeszło 323 tysiące żołnierza agresorów, w tym ponad 140 tysięcy Amerykanów, Anglików, Francuzów i Turków. Wynika z tego, że 1/3 wojsk amerykańskich na Korei przestała istnieć. Z osiemnastu dywizji amerykańskich siedem zostało rozbitych. W ciągu pierwszego roku wojny na wschodzie Azji, w 1941 — 42 r. Amerykanie stracili zaledwie 54 tysiące żołnierza, teraz zaś prawie 3 razy więcej.

Amerykanie ponieśli także wielkie straty materialne i moralne. Rok wojny odsłonił przed całym światem okrucieństwo i zbydlęcenie wojsk amerykańskich, które przedtem maskowały się liberalizmem i demokratyzmem.

Widzimy więc, że nie ma podstaw, aby bać się siły imperializmu amerykańskiego. Należy tylko uświadomić sobie dobrze jego podłość i okrucieństwo.

Natomiast dla nas rok ten odznaczył się znacznymi sukcesami.

Po pierwsze — wygraliśmy w sensie wojskowym, rozbijając i odpędzając przeciwnika do 38 równoleżnika. Zdobyliśmy doświadczenie walki z uzbrojonym po zęby przeciwnikiem. Te nasze wysiłki — jeśli ostatecznie nie pokrzyżowały, to z pewnością odroczyły wybuch trzeciej wojny światowej.

Po drugie — wzrosło uświadomienie polityczne ludności, o czym świadczyły podane poprzednio cyfry. Imperializm amerykański, który poprzednio mniej był znany w Chinach niż brytyjski czy francuski — ukazał się przed oczami każdego uczciwego Chińczyka we właściwym świetle, jako najbardziej bezwzględny, okrutny i krwawy ze wszystkich.

Nic dziwnego, że akcja pomocy dla Korei i walki z amerykańską agresją przybrała u nas rozmiary naprawdę masowe. Zebrano przeszło 118 miliardów juaniów na pomoc dla Korei, wysłano 600 tysięcy worków z podarkami i 1 milion 260 tysięcy podarków indywidualnych.

W okresie od 1 czerwca do 25 września zebrano na zakup broni kwotę wystarczającą na opłacenie 2.481 samolotów odrzutowych—997 miliardów juaniów. Zbiórka ta jest prowadzona we wszystkich miastach i wsiach, na wszystkich płaszczyznach — od ogólnego uświadomienia do konkretnego czynu. Nadaje ona walce z agresją amerykańską i walce o pokój cech konkretnej, codziennej działalności, w której bierze udział każdy mieszkaniec Chin.

Przeprowadzamy właśnie wielką kampanię tzw. zobowiązań patriotycznych. Każdy świadomy obywatel naszego kraju zobowiązuje się do szeregu czynów, mających zwiększyć siłę naszego kraju, walkę naszą o pokój, nasz opór wobec amerykańskiego agresora. Zobowiązania takie obejmują np. zwiększenie własnej wydajności pracy w fabryce, wzrost produkcji rolnej na własnym gospodarstwie itd.

W prowincji Hubej na ogólną ilość 15.908 wsi zobowiązania takie podpisali już mieszkańcy 13.096 wsi. Świadczy to o bardzo poważnym zasięgu naszej pracy.

— Drodzy przyjaciele! — kończy Kuo Mo-żo. — Naród chiński kocha pokój i zawsze sprawy pokoju broni. Chce on pokojowego rozwiązania sprawy koreańskiej. Amerykanie chcą zremilitaryzować Japonię, aby podbić narody Azji. Te plany amerykańskich agresorów — jasne dziś dla każdego — powinny obudzić narody Azji. Narody Azji powinny zewrzeć swoje szeregi, aby pokrzyżować i uniemożliwić amerykańską agresję. Prosta to prawda, że zjednoczenie jest siłą. Byliśmy zawsze razem w walce o całość i szczęście swego narodu. Będziemy zawsze razem z narodami Azji w walce o całość i pokój narodów Azji. Będziemy zawsze razem z tymi, którzy walczą o pokój na całym świecie.

Klaszczemy wszyscy. Patrzę na twarze delegatów Azji. Oto Birmańczycy w kolorowych zawojach, o długawych twarzach, okrągłolicy, niewysocy Vietnamczycy, całkiem maleńcy Indonezyjczycy w czarnych, pluszowych papachach nad romboidalnymi twarzami, Hindusi w prześcieradłach, paru bardzo przystojnych i czarnych Pakistańczyków, Koreańczycy o podłużnych nosach, Mongołowie. Są dla nas egzotyczni i ciekawi, ale jak trudno uzmysłowić sobie, że reprezentują — razem z naszymi gospodarzami — przeszło połowę ludności kuli ziemskiej. Oklaski trwają długo, jest w nich podziw dla osiągnięć wielkiego narodu chińskiego, jest trochę tej dobrej formy zawiści, która każe uczyć się i naśladować tego, kto cię wyprzedził. My, Europejczycy, klaszczemy także, dla nas to także rewelacja. Wiedzieliśmy o Chińczykach niewiele, tyle że są z nami i że jest ich bardzo dużo. Widzimy teraz, co potrafią.

Przemawia imieniem delegacji radzieckiej znakomity uczony, członek Akademii Nauk ZSRR, profesor Oparin. Mówi o przyjaźni łączącej narody chiński i radziecki, o walce narodu radzieckiego o pokój. Przemówienie jest ciepłe, dobrze zbudowane, krótkie. Jest już trzecia godzina spotkania.

Ale szef delegacji hinduskiej, należący do partii Kongresu, Pandit Sunderlal, nie zważając na spóźnioną porę, wygłasza z wielkim zapałem godzinne przemówienie.

Oto w streszczeniu to, co powiedział ten polityczny kolega Pandita Nehru:

Drodzy bracia i siostry! Przemówienie naszego przyjaciela Kuo Mo - żo jest dla nas ogromnym bodźcem. Nie jestem politykiem, ale przemawiam w imieniu całego narodu Indyj. Jestem pełen radości i dumy, bo przekonałem się, że ludzie nie chcą barbarzyństwa, że chcą ludzkich stosunków między ludźmi. Chcę was zapewnić, że my dobrze wiemy, że ZSRR jest dzielnym bojownikiem o pokój. Chiny także, ale

Indie również walczą o pokój. Chwała Mao, jako bojownikowi o pokój na całym świecie. W ciągu krótkiego pobytu w Pekinie widzieliśmy wielkie sukcesy Chin i życzymy wam dalszych sukcesów. Chiny — to przykład dla innych narodów Azji nie tylko w wojnie, ale i w budownictwie pokojowym. Chcę powiedzieć przedstawicielom krajów Wschodu i Zachodu — Vietnamu, Indonezji, Birmy, NRD: będziemy zawsze z wami w walce o pokój. Chcemy, żeby Vietnam, Indonezja, Niemcy były krajami wolnymi i niepodległymi. To samo dotyczy Korei. Sens naszego przyjazdu tutaj polega właśnie na pragnieniu zjednoczenia narodów, usunięcia istniejących między nimi sprzeczności, walki o pokój na całym świecie. Wierzymy głęboko, że pod przewodnictwem Stalina i Mao taką jedność szybko wywalczymy. Rząd Indyj też walczy o pokój. Nehru uznał Chińską Republikę Ludową i walczy o miejsce dla Chin Ludowych w ONZ. Jesteśmy przeciwni separatystycznemu pokojowi z Japonią. Oburza nas fakt, że kraj azjatycki — Japonia — znajduje się w ręku imperialistów. Dlatego nie byliśmy w San Francisco. W delegacji naszej są reprezentanci różnych organizacji — ale w walce o pokój wszyscy jesteśmy zjednoczeni. W Indiach też toczy się kampania o pakt 5 mocarstw. Chcielibyśmy, by konferencja pięciu była zwołana w Delhi.

Jako bojownik o pokój życzę wam, abyście jak najszybciej doczekali się takich czasów, gdy broń stanie się łomem żelaznym. Naród Indyj będzie zawsze z narodami ZSRR i Chin w walce przeciw agresji, w walce o pokój!"

Potem zabierali głos Cen Sien-jen w imieniu Korei, Anna Seghers, przedstawiciele Indonezji i Birmy. Ten ostatni, siedemdziesięcioletni staruszek, pisarz, mówił o sobie, swoich losach osobistych i o imperializmie. Miał mocne i ciekawe przemówienie.

Kończymy okrzykami na cześć Stalina, Mao Tse-tunga, Kim Ir-sena. Czwartego okrzyku nie rozumiem! Okazuje się, że to na chwałę pamięci Gandhi'ego, którego nazwisko w wymowie chińskiej brzmi mniej więcej: „Kani".

Pięć godzin trwało to spotkanie. Słaniając się na nogach wracamy do hotelu.

Po południu — wolne! To znaczy — w ambasadzie naszej spotkanie delegacji z grupą studentów polskich, stypendystów rządu chińskiego. Są tu już osiem miesięcy, nauczyli się 1000 hieroglifów, trochę rozmawiają po chińsku. Za dwa lata będziemy mieli garstkę młodych specjalistów chińskiego języka i kultury.

Są inteligentni i przyjemni. Nie ma wśród nich plotkarsko-klikarskich nastrojów, jak to czasem zdarza się w małych, oderwanych od kraju środowiskach.

Wieczorem błądzimy trochę po uliczkach i zaułkach Pekinu. Ogromna ilość neonów, owoce na stoiskach przed sklepami zajmują całe chodniki, krzyk, hałas, ruch, jak w miastach arabskich północnej Afryki. Jest jednak czysto, żebraków nie ma. Koło dworca wysoka brama i nad niej trzypiętrowy bodajże dom. Mieści się tu Ministerstwo Kultury. Na dworcu neonowy gołąbek Picassa macha bez ustanku skrzydełkami

W PEKIŃSKIM WILANOWIE

4.X

Razem z delegacją radziecką jedziemy do Ihojuaniu, letniego pałacu cesarskiego. Nasz związkowiec został w mieście, ma jakieś lokalne wystąpienie i dołączy do nas później.

Mijamy przedmieścia, znane już z drogi z lotniska. Lian Ta opowiada nam dzieje cesarzowej Cy Si, panującej przez ostatnie pół wieku chińskiego cesarstwa. Najazdy Francuzów i Anglików, ogromne powstanie ludowe Tajpinów, bunty chłopskie, wojna „bokserska", najazd kilku imperialistycznych armii, rabunki, pożogi w imię ratowania „europejskiej kultury", wojny z Japonią — i na tym ponurym tle historycznym nie kończące się intrygi dworskie, walki z rywalkami, uśmiercenie cesarskiego małżonka, który właśnie chciał Cy Si potajemnie zgładzić, rządy w imieniu syna, potem — gdy dorastał — trzymanie go niemal dosłownie na uwięzi. Gdy ów pojął za żonę nie tę, którą mu Cy Si przeznaczyła, nie waha się ona przed niewiarygodnymi, zdawałoby się, intrygami, podsuwa mu przelotne kochanki, zachęca do orgii, osiąga wreszcie, że ten zapadłszy na syfilis, umiera. Wtedy Cy Si narzuca dworowi czteroletniego siostrzeńca na cesarza i w jego imieniu nadal rządzi. Nawet po dojściu jego do pełnoletności Cy Si potrafi utrzymać go na uboczu. Stara i schorowana, czując zbliżającą się śmierć, zdobywa się jeszcze na zgładzenie siostrzeńca, w obawie, że objąwszy wreszcie władzę będzie się mścił na jej ulubieńcach. Umiera w 1908 roku, zostawiając nadszarpnięte cesarstwo dwuletniemu Pu I, który później haniebnie się wsławi jako kukła japońska w marionetkowym państewku Mandżukuo.

Słucham tej frapującej opowieści. Nie bardzo umiem się połapać we wszystkich tych dynastycznych perypetiach. Nie studiowałem historii Chin, ale opowieść ta wydaje mi się jakoś znajoma, coś mi przypomina.

Przecież to ten sam styl, co San Cza-kou, opera klasyczna, którąśmy przedwczoraj oglądali! Niekończące się wojny, zdrady, intrygi, fałszerstwa, zabójstwa — które się nam wydały nagromadzeniem nieprawdopodobnych, naciąganych komplikacji, konwencjonalną, formalistyczną, jeśli chcecie, zabawką — w zestawieniu z atmosferą dworską zmierzchu cesarstwa chińskiego wyglądają zupełnie inaczej. Mógłbym zaryzykować twierdzenie, że San Cza-kou — to dramat historyczny, dosyć realistycznie odtwarzający atmosferę chińskiego feudalizmu.

A zresztą i rząd Kuomintangu — w gruncie rzeczy — nie tak bardzo różni się od epoki San Czau-kou. Ile zdrad, morderstw, intryg i okrucieństwa ma na swym koncie Czang Kaj-szek i jego klan czy klika!

Pola pokryte gęstą, rudo-zieloną trawą, podobną na pierwszy rzut oka do naszych szuwarów. Ryż!

Dojeżdżamy, wychodzimy.

Naprzeciw bramy mosiężne posągi mitycznych zwierząt, palmy, dekoracyjne drzewa.

Pawilon audiencyjny. Tu Cy Si przyjmowała wizyty w dniu swoich urodzin. Tron, świeczniki w kształcie stylizowanych czapli, trzymających w dziobie kwiat lotosu. Na niezliczonych półeczkach w niezliczonych pokoikach setki i setki przedmiotów, które wydawały jej się ładne: gałązki koralu wetknięte do wazonów, bo przypominają roślinki, polerowane płyty białego marmuru, w którym czarne żyłki i plamy przypadkowo układają się w kształt góry, owianej chmurkami, albo głowy smoka, korzeń jakiegoś drzewa, tak pokręcony i koślawy, że od biedy mógłby straszyć dzieci jako baśniowy potwór.

Przechodzimy na inny dziedziniec. Wygląda normalnie: na lewo oficynka, na prawo także, pośrodku pawilon mieszkalny. Tu była rezydencja Kon Siu, tego siostrzeńca, którego Cy si używała jako cesarskiej marionetki. Lian Ta prowadzi nas do oficyny. Przez pokoiki, parę metrów od zwyczajnych, oszklonych okien biegnie równie zwyczajny, solidny mur z cegły. Innymi słowy, było to coś w rodzaju więzienia, gdzie mury dla niepoznaki schowano w takich właśnie sielankowych, podłużnych oficynkach.

Pawilon Kon Siu dosyć skromny. Miła ciotuchna w tym względzie była bardzo oszczędna. Jeden z pokojów ma na suficie akurat 13 latarni. Nie umiem powiedzieć, czy nie po to, by przynosiły nieszczęście cesarskiemu lokatorowi.

Dziedzińce za dziedzińcami, w głowie zaczyna się trochę kręcić. Pałac zbudowano w początkach tego stulecia (poprzedni spalili kulturalni Europejczycy podczas drugiej wojny opiumowej), ale wszystko to wygląda dosyć starożytnie. Cy Si była wielbicielką tradycyj i kazała naśladować dawną architekturę chińską. Dachy są kryte dachówką — jest ona szara, z przebłyskami zieleni. Okazuje się, że zagubiono tajemnicę polewy, która pozwoliła takiej Tiań Ań Myń zachować przez kilkaset lat swój olśniewający kolor. Te też były kolorowe, ale w ciągu pięćdziesięciu lat spłowiały. Co zresztą nie odbiera całości swoistego wdzięku.

Dziedziniec z ogromnym, „mądrym" kamieniem pośrodku. Lian Ta mówi, że to „kamień bankructwa". Gdy go znaleziono gdzieś daleko w górach, pewien dygnitarz, widząc, że cesarz chciałby koniecznie tę mądrość ulokować u siebie — zaofiarował się dostarczyć go do pałacu. Cesarz wzruszył ramionami: nie dacie rady. Dygnitarz założył się, że sprowadzi.

Zakład wygrał cesarz. Dygnitarz zużył cały swój majątek na opłacenie transportu skały, dociągnął ją gdzieś do połowy drogi i zbankrutował, po czym zmarło mu się ze zmartwienia. Cesarz dokończył dzieła, płacąc z państwowej kabzy.

Patrzymy na tę skałę. Istotnie, podziurawiona jest jak rzeszoto, ale w bardziej wymyślny sposób. Ha, kamień może i mądry, ale ci ludzie, co się oń wykłócali?

Zwolna dochodzimy do prywatnych apartamentów Cy Si. Sypialnia: duże łoże, sporo poduszek. „Drewniane melony", owoce, melonowe

w formie, drewniane w treści, które się trzymało w jej pokojach dla przyjemnego zapachu. Powonienie musiała mieć nader wrażliwe, bo żadnego zapachu nie jestem w stanie poczuć.

A oto wreszcie coś, czego się nie zapomni: prywatny teatr cesarzowej. Podwórze, otoczone zewsząd parterowymi oficynami. Naprzeciw głównego pawilonu jakby dwupiętrowa altana, bez ścian, tylko wsparta na kilku kolumnach. We drzwiach pawilonu zasiadała Cy Si, w bocznych oficynach siedzieli dygnitarze. W altance — na parterze czy na piętrze, zależnie od sytuacji dramatycznej — występowali aktorzy.

Wszystko jest pokryte tą samą, zszarzałą dachówką. Jej kształt podłużnie falisty, a zwłaszcza jej dzisiejszy kolor przypominają jakoś nasze zestarzałe słomiane strzechy. Całość nasuwa skojarzenia z budownictwem wiejskim, jakby ono właśnie leżało u podstaw klasycznej architektury chińskiej.

Mieści się tu teraz dom wypoczynkowy dla przodowników pracy z Pekinu i okolicy. Zaglądamy przez okna oficyn. Maleńkie, czyściutkie pokoiki, jedno lub dwa łóżka, umywalki, stoliki, parę książek. Po podwórzu chodzą dzisiejsi mieszkańcy pałacu. Czują się swobodnie i po gospodarsku, nie śmiecą, nie hałasują. Wymieniamy moc uśmiechów.

Stąd zaczynamy wdrapywać się wyżej. Na zboczu pagórka niewielki staw, otoczony zewsząd drewnianą galeryjką podpartą lekkimi słupkami. Dokoła drzewa. Na wodzie jasnozielone liście lotosu. Absolutna sztuczność tego wszystkiego — i trzeba przyznać — absolutne, bajkowe piękno. Siadamy z profesorem Oparinem i kompozytorem radzieckim Kabalewskim. Próbujemy wykryć, co sprawia wrażenie skończonej piękności tego miejsca. Oparin — botanik, specjalista od drzew — mówi o przemyślnym ich doborze (głównie bardzo podobne do naszych — płaczące iwy). Kabalewski doszukuje się w tym jakiegoś niemal muzycznego rytmu. Nie ma wśród nas malarza: ten by i o kompozycji przestrzennej mógł coś powiedzieć i o niebie pekińskim, przyprószonym leciutką woalką loesowego kurzu i o słońcu, po letniemu gorącym, po jesiennemu niskim. Dosyć że — jak w labiryncie murów pałacu zimowego — po raz drugi przeżywam tu skojarzenie ze snami dzieciństwa po przeczytaniu jakichś Andersowskich baśni.

Lian Ta objaśnia, że tu Cy Si łapała ryby, napędzane przed jej oblicze przez służbę.

Idziemy wyżej, wdrapujemy się na pagórek, który oglądaliśmy z samolotu w dniu przyjazdu. Droga stroma i długa, słońce potężne. Lian Ta opowiada o pagórkach, posągach, altankach porozrzucanych wśród drzew na zboczach pagórka.

Pawilon, w którym Cy Si spożywała posiłki. Ale tylko w czasie niepogody — śniegu czy deszczu. Nie rozumiem. Lian Ta pokazuje daleko w dole dachy cesarskiej kuchni. Obok niej — przypominam sobie — była cesarska jadalnia.

Okazuje się, że z kuchni do jadalni dania podawali z rąk do rąk ustawieni rzędem posługacze. Do jadalni było blisko i miła Cy Si nie znaj-

dowała w tym przyjemności. Dlatego podczas słoty kazała się zanosić w lektyce na górę i tu miała absolutną pewność, że każdy jej posiłek sprawia służbie dużo nieudawanych kłopotów i cierpień. Ponoć szczególną przyjemność sprawiało jej oglądanie moknących i marznących podawaczy.

Na szczycie wzgórza pagoda, zwana, nie wiem czemu, Morzem Mądrości. W środku ogromny, złocony posąg Buddy. Na zewnątrz cały mur jest ozdobiony małymi również złoconymi posążkami Buddy. Do wysokości 2,5 — 3 metrów mają one poobijane tułowie i głowy, wyżej są całe. Okazuje się, że podczas wojny bokserskiej „kulturtregerzy" europejscy wpadli tutaj, świątynię chcieli podpalić — bezskutecznie, bo z kamienia, te zaś posążki poobijali bagnetami, nie wiadomo czy na pamiątkę, czy licząc, że są ze szczerego złota.

No, na pamiątkę — to się im udało. Całe pokolenia Chińczyków mają możność podziwiania tych dowodów cywilizacji Europy kapitalistycznej. Teraz np. przybywa tu naraz parę wycieczek.

Kilka stopni w dół, sztuczne głazy, imitujące naturalne urwisko. Nieco niżej inna świątynia. Tu grzeje słońce, widok na duże jezioro, na góry — liliowo-szare — osłaniające dolinę Pekińską od pustyń Mongolii, mgiełka nad Pekinem. Cisza. Duże czerwone lub czarne boże krówki, do naszych niepodobne, spadają na głazy.

Schodzimy, przez galeryjkę — ponoć parokilometrowej długości — dobieramy się do pawiloniku, gdzie nas czeka obiad po chińsku. Tu miał się do nas dołączyć nasz związkowiec, ale go jeszcze nie ma.

Zaczynamy: zakąski, potem smażone pędy bambusu, kaczka po pekińsku, wargi rekina, krewetki, ryba w miodzie, na deser kompot z nasion lotosu. Jak to smakuje, opowiem przy innej okazji.

Bo tymczasem inne zmartwienie nas absorbuje: związkowiec. Dawno minęła umówiona godzina. No, to jeszcze pół biedy, spóźnianie się jest naszą cnotą narodową. Gorzej, że potem, nie bardzo wiem, jakim sposobem, gospodarze nasi dowiedzieli się, że związkowiec przybył na teren Ihojuania — bez tłumacza! — i że sam zupełnie ruszył nas szukać. Ani słowa po chińsku, poza uśmiechem, ani słowa w żadnym innym języku — poza polskim. Do tego kilkadziesiąt podwórek, budynków, bram. Minuty czekania wydały się nam godzinami: tak jaskrawo wyobrażaliśmy sobie nieme widmo rodaka, błąkającego się samotnie po Ihojuaniu.

Wreszcie odnalazł się, bardzo z tego dumny. Powtórzono dla niego obiad. Może za karę dodano mu jeszcze jedną potrawę: przysmażane ścięgna, którymi ślimak zamyka swoją skorupę.

Zeszliśmy wreszcie nad jezioro. Sztucznie wykonane, duże, ponad kilometrowej średnicy. Pośrodku wyspa, połączona z brzegiem pięknym kamiennym mostem.

— Most 17 Przęseł — oświadczył Lian Ta. — A tam most Pasa Nefrytowego.

Ten był na prawo. Miał tylko jeden łuk, za to dosyć stromy. Mandarynowie nosili ongi na wystających brzuchach ogromne obręcze z nefrytu. Łuk mostu odbija się w wodzie i rzeczywiście powstaje owalna obręcz.

Oglądamy słynną galerię z marmuru. Zbudowana w połowie XVIII wieku z typowym dla łodzi chińskich prostokątnym dziobem i rufą, posiada dwa pokłady w kształcie dosyć zgrabnej altany. Ma wszystkie atrybuty statku, aż do steru włącznie, tyle że oczywiście nie może pływać.

Nie zwiedzamy jej, bo jest w remoncie. Czeka na nas drewniana jej miniatura, z takim samym, skrzyniowego typu dziobem. Wolno ruszamy przez zarośla lotosu. Nie bez racji Egipcjanie uznali go za świętą roślinę. Podobno kwitnie przepięknie — jak nasze lilie wodne — ale ma kwiaty większe, białe i różowe. Niestety, teraz już przekwitł. Ale, prócz piękna, ma inną zaletę. Ziarna lotosu są — jak przekonaliśmy się przed chwilą — jadalne. Jadalne są również jego korzenie.

Dopływamy do Szy Ci Kun Cian — mostu 17 przęseł czy łuków. Jego balustrady są ozdobione 108 niewielkimi lwami z marmuru. Każdy inny, co drugi ma parę wdzięcznych lwiątek.

Most zbudowano w drugiej połowie XVIII wieku. Jest w nim jakaś lekkość, kojarząca się z epoką europejskiego rokoka.

Obok na wybrzeżu brązowy posąg świętej krowy, bardzo realistyczny. Miała chronić przed powodziami.

Wracamy, na dziedzińcach Ihojuaniu ruch ogromny, przechodzą całe kolumny wycieczkowiczów: żołnierze w zielonych drelichach, przodownicy pracy, delegaci z prowincji zaproszeni na święto Republiki, studenci. Każdy ma na bluzie przypięte wstążeczki z hieroglifami, oznaczającymi przynależność organizacyjną do tej czy innej wycieczki.

Na którymś podwórku spotykamy kilku ludzi, dźwigających na bambusowych drągach pary koszów z patatami — słodkimi bulwami, które tu spełniają funkcje naszych kartofli. Niosą je do kuchni domu wypoczynkowego w dawnym teatrze cesarskim. Któryś z tragarzy postawił swoje kosze na ziemi, pali papierosa. Jest mały, szczupły, uśmiechnięty, nie pierwszej młodości.

Próbuję udźwignąć te kosze. Są nieprawdopodobnie ciężkie. Strach przed kompromitacją wobec reszty zmusza mnie do najwyższego wysiłku. Prostuję się zlany potem, jak diabeł z bajki Puszkinowskiej, czynię dwa kroczki, przy trzecim rezygnuję. Tragarz wyraźnie wstydzi się za mnie, czeka, aż odejdziemy. Odwracam się, widzę, jak chwyta ładunek na swój chudy bark i rusza lekkim krokiem, uginając kolana w tanecznym niemal rytmie.

— *Jang-ko* — mówi Lian Ta — jest stylizacją kroku tragarza. Nie zapominajmy, że ogromną większość transportu towarowego w Chinach dokonują na swych barkach właśnie kulisi. Wiecie, że dróg mamy bardzo niewiele...

Wychodzimy z Ihojuaniu. Fantastyczne zwierzęta z brązu. Tuż przed bramą stoi coś najbardziej niezwykłego: zwierzę, które powstało ze

skrzyżowania lwa, wołu, jelenia i telefonu. Po tym ostatnim odziedziczyło ono uszy w kształcie tuby telefonicznej.

— Zapomniałem powiedzieć — śpieszy Lian Ta — Kiedy Ihojuan został splądrowany podczas powstania bokserów, Cy Si zabrała się do odbudowy. W tym czasie, po klęsce z Japonią przeprowadzano zbiórkę na flotę wojenną. Cy Si po prostu zamiast floty zbudowała to wszystko...

CZERWONE GWIAZDY I RAJSKIE PTAKI

Wieczorem na koncercie śpiewu i tańca w tejże wielkiej sali, gdzie grano San Cza-kou. Na początku chór siedemdziesięciu kilku śpiewaków wykonuje pięć pieśni: Zorza ze wschodu — pieśń ludowa z północnej części prowincji Szen-si, ułożona przez miejscowego chłopa, Pieśń o ojczyźnie, Wolą narodów całego świata — najpopularniejsza pieśń dzisiejszych Chin, słyszana przez nas już wielokrotnie pieśń o Mao Tse-tungu i Stalinie (druga nagroda na Festiwalu Berlińskim), pieśń o Mao Tse-tungu, wreszcie powszechnie znana, piękna Kantata o Stalinie Aleksandrowa.

Chór śpiewa całkiem „po europejsku". Głosy są dobre i przyjemne. Wydaje się tylko, że śpiewacy nie bardzo jeszcze opanowali „cieniowanie" melodii, najlepiej się czują w „forte".

— Tak, słusznie — komentuje nasz attaché kulturalny — ale trzeba pamiętać, że ten chór istnieje zaledwie rok! Przedtem śpiew chóralny w ogóle nie był tu znany!...

Potem jest starochiński „taniec z szablami" w wykonaniu dwu kilkunastoletnich dziewczynek.

Potem kilka śpiewów solowych. Nie znam się na muzyce. Były to pieśni ludowe, odmienne w gamie i budowie od naszych, ale nie umiem powiedzieć, na czym te różnice polegały. W każdym razie teksty były współczesne. Jedna z pieśni opowiadała, jak w czasie wojny z Japończykami żołnierze armii ludowo-wyzwoleńczej pomagali chłopom w pracy na roli. Inna (Pieśń o taczkach) mówi o chłopach, którzy na taczkach nieśli ładunki wojskowe w czasie wojny domowej. Trzecia wreszcie opiewa dożynki po reformie rolnej. Wszystkie trzy bardzo się podobały. Bisowano.

Następuje „taniec artylerzystów". Ze dwudziestu tancerzy w stylizowanych mundurach wojskowych demonstruje przed widownią wszystkie ewolucje baterii artyleryjskiej, poczynając od wyboru pozycji ogniowej. Orkiestra wielkimi bębnami usiłuje „pokazać" ogień dział. Jest w tym może nieco naturalizmu, ale całość widowiskowo jest wcale dobra, doskonale wyszkoleni tancerze bardzo się podobają.

Znowu śpiewy solowe, między innymi Hymn młodzieży demokratycznej i pieśń radziecka Wielki Stalin prowadzi nas do komunizmu.

Potem gra zespół muzyki ludowej, złożony z bardzo dziwnych instrumentów: skrzypce, składające się jakby z dwóch jednostrunnych

smyczków, krótkie, pękate i płaskie flety, inne, złożone z kilku coraz krótszych piszczałek — jak antyczna grecka syrynga. Wykonują najpierw *Mejuj* — rodzaj muzyki ludowej z prowincji Szensi. Jak wiadomo, w lecie 1942 roku, w pełni wojny antyjapońskiej Mao Tse-tung przeprowadził w mieście Jenan (siedziba sztabu 8 Armii rewolucyjnej) słynne rozmowy z pracownikami literatury i sztuki, które stały się punktem zwrotnym w rozwoju dzisiejszej kultury chińskiej. Po tych rozmowach muzyka *Mejuj* stała się osnową współczesnej chińskiej kompozycji muzycznej. Utwór wykonany składał się z trzech części — wyrazistej i wesołej, powolnej i nieco sentymentalnej, wreszcie szybkiej i potężnej w wyrazie.

Prawdziwym arcydziełem wydała mi się P i e ś ń p a s t u c h a wykonana później. Jest to pieśń ludowa z prowincji Hobej. Jak mam opisać jej piękno? Niepodobne do naszych instrumenty, inna gama — a przecież daje upust wzruszeniom, przywołuje bezkształtne, ale przejmujące obrazy, wprawia słuchacza w dziwny trans uczuciowy.

Jeszcze dwa utwory symfoniczne współczesnych kompozytorów chińskich, oparte na muzyce ludowej.

Ostatnia część koncertu jest wielką suitą taneczną, poświęconą zjednoczeniu narodu chińskiego.

Pierwszy jest T a n i e c c z e r w o n e j g w i a z d y, oparty na ludowych zwyczajach chińskich. Jak wiadomo w piętnasty dzień po nowym roku (wg. kalendarza księżycowego) na wszystkich domach chińskich wywiesza się kolorowe lampiony i świętuje się ten dzień śpiewem, tańcami, sztucznymi ogniami. Obecnie przerobiono lampiony, nadając im kształt czerwonej gwiazdy i w rocznicę Republiki tworzy się tradycję tego tańca.

Na scenie dekoracja przedstawiająca bramę Tiań Ań Myń. 16 tancerzy w białoszarych i niebieskoszarych kostiumach. Każdy ma dwa lampiony w kształcie czerwonej gwiazdy. Scena lekko ściemniona — efekty wzrokowe są nadzwyczajne. Tancerze wykonują cały szereg prostych ale pomysłowych ewolucji. Trzydzieści dwie gwiazdy migają nam przed oczami, tworzą jakby smoka ognistego, kaskady czerwonych ogni, figury geometryczne, wirujące młynki. Ustawiają się wreszcie w skomplikowanym szyku. Gwiazdy tworzą teraz jakiś hieroglif. Porwany tym widowiskiem zapomniałem zapytać Lian Ta, co on oznacza.

Potem taniec tybetański, oparty na ludowym tańcu *paansiuandzy*. Dziwne stroje: koszule o rękawach długich na dwa metry. Przypominają kaftany bezpieczeństwa. Taniec zresztą ciekawy, pełen nieoczekiwanych ewolucji, podskoków, zakrętasów.

Dalej zbiorowy taniec mniejszości narodowych — kompozycja, złożona z elementów tańców ludowych drobnych narodowości Chin południowo-zachodnich. Niesłychanie barwne kostiumy czynią z niego coś w rodzaju tokowiska rajskich ptaków.

Potem taniec mongolski — na cześć autonomicznej republiki Mongolii Wewnętrznej (w odróżnieniu od Mongolskiej Republiki Ludowej,

tzw. Mongolii Zewnętrzej, która jest państwem niepodległym ze stolicą w Ułan Bator). Przekłada on na język tańca dwie charakterystyczne czynności Mongoła: jazdę konną i strzelanie z łuku.

Potem taniec wejgurów (lub ujgurów): S p o t k a n i e w i o s n y.

Potem znane nam już *Jang-ko* — najpopularniejszy taniec chiński, oparty na posuwistym kroku kulisa.

Wreszcie — apoteoza — T a n i e c z j e d n o c z e n i a n a r o d ó w. Każdy z poprzednich tańców uderzał barwnością strojów i oryginalnością taneczną. Teraz wszystkie sześć grup wypadają na scenę. Umiejętna reżyseria i doskonałe wyszkolenie tancerzy tworzą z tego jedyne w swoim rodzaju widowisko.

Wstajemy, klaszczemy z zapałem.

Wracam do hotelu trochę nieprzytomny z nadmiaru wrażeń.

Ci Chińczycy nie tylko mają ogromne skarby kultury ludowej, odmiennej, samoistnej i bogatej. Ich reżyserzy, autorzy, kompozytorzy są obdarzeni dużą pomysłowością. Szablony, które — choćby u nas — nieraz „kładą" widowiska — nie dają się tu odczuć. Nawet „sloganowy" tekst, dzięki czasem niewielkiej inwencji reżyserskiej, traci swoją natrętność.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Jerzy Putrament

PAWEŁ JASIENICA

Łopata pomaga kronikarzom

Wieże obserwacyjne — to rzecz powszednia na terenie robót wykopaliskowych. W Biskupinie, u północnego cypla półwyspu, wznosi się potężna, stała konstrukcja, z platformą górną, obliczoną na ciężar dziesięciu osób. Patrząc stamtąd, poprzez płytką wodę zalewów łatwo policzyć wszystkie belki, którymi przed dwu i pół tysiącami lat moszczono ulicę obwodową łużyckiego grodu lub wyróżnić zarys trzech chat, stojących niegdyś u wewnętrznego podnóża obwarowań. Gdzie indziej zaś widok z „lotu ptaka" starają się umożliwić wielkie drabiny z podporami, ukośnie sterczące ponad zrytą ziemią. Ze szczytu tych rusztowań dokonuje się zdjęć wykopów i ujawnionych na ich dnie szczątków budowli, z których poprzednio łopatą i małym szpadelkiem zeskrobano żółtą glinę albo czarne sadze pogorzeliska.

Nie ma archeologa, który by nie marzył o namówieniu władz wojskowych do wypożyczenia balonu na uwięzi. Fotografia bowiem dokonana pod kątem 90 stopni zdradzić może nieoczekiwane tajemnice. Zdarza się, iż jakieś drobne, nie zauważalne niemal wypukłości na łące, widziane wprost z góry ułożą się raptem w logiczny kształt. Innym zaś razem forma cieni lub bure plamy na jaśniejszym tle gleby skierują badacza na trop spraw, o których milczą najdawniejsze kroniki kraju.

Grodzisko w Tumie pod Łęczycą posiada punkt obserwacyjny jedyny w swoim rodzaju i równie jak ono samo czcigodny. Spod arkad bliźniaczych okien drugiego piętra wieży romańskiej kolegiaty, ufundowanej przez wdowę po Krzywoustym, widać owalny pierścień wałów, leżący na obszarze przerozległej łąki. O parę kilometrów ku zachodowi, za tą zieloną płaszczyzną i połyskującym pasem Bzury, piętrzą się dachy dzisiejszej Łęczycy. Dawniej jednak rzeka płynęła zupełnie inaczej, bliżej — pomiędzy kolegiatą a grodem — tutaj gdzie obecnie jest rów, rzędy topoli i tamta jaskrawa łączka.

Mocno objąwszy ramieniem wdzięczną kolumnę romańską można wychylić się z okna i daremnie starać się ogarnąć okiem olbrzymią równinę, rozciągającą się na prawo, ku północy. Linijka horyzontu ciemnieje o dziesiątki chyba kilometrów. Ten płaski, bezleśny, z dawien dawna uprawny kraj — to dolina pra-Wisły, która tysiące lat temu płynęła nie tak jak dziś, na północ — tylko w kierunku zachodnim. Na wyniosłościach i suchszych miejscach tej łatwej do uprawy ziemi nawarstwiało się życie zapomnianych plemion.

— Pierwsze osiedla ludzkie tutaj datujemy na IV — VI wiek naszej ery. Gród ten założono na kępie, wznoszącej się na jakieś półtora metra nad poziomem mokradła. W tej najniższej warstwie — obwiedziony gumą koniec laski oparł się o samo dno przekopu — ujawniliśmy źle zachowane ślady najstarszego obwarowania. Był to podwójny częstokół, bez nasypu ziemnego. Wskazują na to ślady pali, wbijanych prosto w calec.

Przypominam sobie, że calec w języku archeologów oznacza warstwę ziemi już pozbawioną dowodów działalności człowieka i nadal pilnie słuchając, usiłuję zmieścić się jakoś w wąskim skrawku cienia. Wrześniowe słońce pali dziś akurat tak samo jak przed dwunastu laty. Od niczym nieosłoniętych pionowych ścian wykopów bucha żar. W powietrzu ciężki, przegrzany zapach jesiennych pokosów.

Przykład mój naśladują inni. Nawet sam wykładowca, prof. Konrad Jażdżewski — tęgawy, jowialny i dobroduszny pan, ubrany w pumpy i rozchełstaną koszulę — przerywa na chwilę, z westchnieniem spogląda w blade niebo i chustką ociera opaloną na brązowo łysinę.

— A dalsze losy grodziska można szczegółowo odczytać na tej oto ścianie, pod którą stoimy.

W ślad za szerokim ruchem laski spojrzenia nasze powędrowały aż do zbielałych w upale badyli, wieńczących obłą krawędź.

Tum pod Łęczycą jest to dwunaste z rzędu „stanowisko" archeologiczne, jakie w tym roku oglądam. Ale ani razu jeszcze nie patrzyłem na tak precyzyjnie odrobiony preparat tej gałęzi wiedzy.

Wyobraźmy sobie, że wzięliśmy połówkę cebuli i ułożyli ją na stole — płaszczyzną w dół, oczywiście — potem zaś bardzo ostrym nożem raz jeszcze przekroili wzdłuż osi na dwie ćwiartki, które rozsunęliśmy nieco tak, by powstała między nimi „uliczka". W ściankach tych ćwiartek widać wyraźnie łukowate, jednobarwne warstwy. — A teraz wyobraźmy sobie jeszcze, że taka ścianka ma pięć metrów wysokości, poszczególne jej warstwy stanowią żółto-czarno-bury przekładaniec, tu i ówdzie upstrzony plamami odmiennych kolorów, uliczka zaś jest dostatecznie szeroka, by pomieścić całą gromadę osób.

Jesteśmy oto w przekopie, którym przecięto wał grodziska w Tumie.

— Tamten prymitywny częstokół to była najpierwsza, najstarsza faza osadnictwa na tej kępie wśród bagien — zaczyna znowu, odsapnąwszy, prof. Jażdżewski — Odkryliśmy ją — rozumie się — na samym końcu, zdejmując ziemię warstewkami od góry.

— Faza druga pochodzi z VI — VIII stulecia po Chrystusie. Budowniczowie tego drugiego umocnienia zasypali szczątki pierwotnego obwarowania i pokryli je grubym płaszczem gliny. O — proszę! To jest ta właśnie żółta, zwężająca się ku krańcom, półkolista warstwa w ścianie! Na tym dopiero wzniesiono wał właściwy. Była to konstrukcja drewniano-ziemna, tzw. „przekładka". Belki szły na przemian, raz równolegle — raz poprzecznie względem kierunku wału. Samego drewna było dwadzieścia warstw, co można policzyć. Od zewnątrz bronił przystępu zasiek z grubych, zaostrzonych kołów, sterczących pod kątem 45 stopni. Tutaj widać to wszystko bardzo wyraźnie.

Sic transit gloria mundi: po mocnych kłodach „przekładki" w ciemnej warstwie okrywającej owo gliniane jądro pozostały mdłe, niewyraźne prążki i lekkie ślady próchna! Drewno zetlało niemal do szczętu i zostało sprasowane przez ciężar później jeszcze nasypanej ziemi. Łopatki i szpadelki badaczy zdejmujące ją delikatnie, warstewka za warstewką, wykrywają pierwotną szerokość belek, których grubość pod wałcem czasu zmalała jednak do paru milimetrów. Potężne zaś bierwiono daw-

nego zasieku wygląda dziś jak ciemna, dość długa, lekko w dół wygięta smużka, jak ślad po wtłoczonym w glinę i zupełnie przerdzewiałym drucie.

Ładnych kilkaset lat sterczało pewnie to umocnienie, zanim — w XII już stuleciu — w nieuszkodzonym przez człowieka stanie dostało się pod kolejny nasyp. Bardzo tu musiało być spokojnie w tych centralnych ziemiach pra-Polski, skoro ani w pierwszej, ani w drugiej „fazie" grodu nie ma niezawodnego świadectwa ruiny wojennej, czyli węgla, śladu pożaru. Oba grody, starszy i młodszy, umarły śmiercią naturalną. Brak szerszej ponadplemiennej organizacji państwowej uniemożliwił utrzymanie twierdzy w stanie należytym. Nikt nie pilnował, nie zmuszał do napraw i remontów. Wszystko z wiekiem pochyliło się ku ruinie.

O następnym zaś etapie w dziejach Tumu opowiada już nie tylko ściana przekopu, lecz także pisana historia. Tutaj właśnie mamy do czynienia z cenną możliwością sprawdzenia dziejowego faktu przy pomocy dwu metod badawczych.

W rubryce „rok 1107" opowiada kronika Galla, jak to Bolesław Krzywousty, ścigając śmiertelnego swego wroga i w jednej osobie przyrodniego brata — Zbigniewa, starą tę fortecę odnowił i umocnił — *contra Masoviam*, przeciwko Mazowszu.

Taki to był etap historii, że Wielkopolskę należało ubezpieczać od strony dzisiejszej Warszawy. Łęczyca jest to najdalej na wschód wysunięty gród Wielkopolski. Nazajutrz po jej zwiedzeniu oglądaliśmy — już na terenie ziem odzyskanych — resztki grodziska w Miliczu, które strzegło jedynego niemal przejścia przez bagna Baryczy, ubezpieczało z kolei Śląsk od strony Wielkopolski.

W podręcznikach historii wszystko to nosi lakoniczną nazwę „Polski dzielnicowej". Ale przecież grody ówczesne miały znaczenie nie tylko jako podpory zewnętrznej, zagranicznej polityki. Każdy z nich był utrwalaczem feudalnego ustroju, zabezpieczał go przed wstrząsami idącymi od dołu.

W Tumie mamy okazję naocznie się przekonać, przy pomocy najbardziej rzeczowych dowodów sprawdzić prawdomówność przekazów pisanych. Nie zełgali kronikarze! Niezbyt, zaiste, sielankowe musiały w tej Polsce dzielnicowej panować stosunki, skoro Krzywousty aż tak starannie obwarowywał się nad Bzurą. Ciekawe i znamienne, iż poczynał on sobie wedle tej samej z grubsza metody, którą stosowali budowniczowie drugiej „fazy" grodu.

Zbutwiałe fortyfikacje dawniejsze kazał grubo pokryć gliną (laska prof. Jażdżewskiego podniosła się wyżej, już ponad nasze głowy, i pokazała kolejną, znowu żółtą warstwę przekładańca). Innowacja polegała na skrzepieniu tego nasypu wpuszczanymi weń poziomo belkami (to są te smugi, wyglądające, jakby kto palcem ciemną farbę rozsmarował). Na tej podstawie stanęły fortyfikacje, których szczyt wznosił się na 10, czy nawet 12 metrów ponad poziom mokradeł, a szerokość u dołu równała się bitym 15 metrom.

Rdzeń nowego umocnienia stanowił wał drzewno-ziemny — „przekładka" — od góry zakończony potężną konstrukcją skrzyniową, zawie-

rającą ziemię i kamienie. Podobna skrzyniowa konstrukcja przylegała od frontu, utrudniając podtaczanie machin oblężniczych. Od środka dachy przybudowanych do wału klaci mieszkalnych tworzyły coś w rodzaju ganku obiegowego.

Gdybyż to jednak naprawdę mieć do rozporządzenia ów wymarzony balon! Wprost z góry tak to niewątpliwie musi wyglądać, że wokół grodziska, niby wokół pluśniętego w wodę kamienia, obiegają koncentryczne kręgi. Jest ich trzy. Tyluż bowiem niższymi, zaporowymi wałami i tyluż fosami opasał Krzywousty główny bastion. Od wschodniej strony te dodatkowe fortyfikacje częściowo już rozkopano, odsłaniając między nimi coś w rodzaju mostu. Gdzie indziej tylko lekkie sfalowania łąki znaczą ich ślad.

Rozkrojona przekopem ściana wału nie ma już dla nas tajemnic. Bo i pochodzenie tej tutaj — wysoko nad głowami — czarnej plamy wyjaśniają kroniki: to węgiel, datujący się dokładnie z 1293 roku. Wiadomo, że wtedy właśnie nagły najazd Litwinów puścił z dymem gród, będący już siedzibą księcia łęczyckiego. Spłonęły skrzyniowe konstrukcje, ziemia i kamienie runęły w dół, zasypując pierwszą fosę. Ocalałe drewno zbutwiało z biegiem czasu do grubości niteczek, wał osiadł i dzisiaj — jeszcze imponujący — posiada akurat połowę pierwotnej wysokości.

Napad Litwinów i katastrofa musiały się zdarzyć w porze ciepłej, a w kilka dni później spadł ulewny deszcz. Milczą o tym kroniki, ale świadczy charakterystyczne rozmycie pogorzeli, czarne smugi zacieków, widoczne w rozsypisku.

Pora już, niestety, porzucić ocienioną pozycję. Przez przekop w przeciwległej partii wału, gdzie starannie preparuje się fortyfikacje „drugiej fazy", wychodzimy na zachodnią połać błonia. Daleko za rzeką Łęczyca. Na zielonej równinie widnieje rząd tyczek.

— To panowie ustawili te żerdki?

— Tak, ale to nie są żerdki, tylko żelazne słupki, wpuszczane w betonowe podstawy. Proszę, niech się pan dobrze przyjrzy. Nic nie widać? Trzeba uważnie śledzić barwę łąki wzdłuż linii słupków. Dostrzega pan takie rude pasemko?

Istotnie. Wzdłuż tej linii kolor trawy jest jakby inny. Pasemko, o którym wspominał profesor, składać się zdaje z szeregu rdzawych plam. Nieregularnym zakolem przecina ono łąkę, początkowo przebiega niedaleko od grodziska, później zaś wyraźnie odchyla się w kierunku miasta.

— Teraz dostrzegam. Owszem. Ale co to jest takiego?

— Rudą barwę nadaje temu pasmu szczaw, szukający dla siebie zawsze miejsc chociaż odrobinę wyższych, a przez to bardziej suchych. Ta wyznaczona przez nas słupkami linia jest śladem średniowiecznej drogi. To ją właśnie ryglował gród tutejszy. Strategicznie zatykał on szlak wiodący z południowej Wielkopolski na południowe Mazowsze. I na tym polegał sens istnienia tej twierdzy, która wobec bagna naokoło nie miała danych na rozwinięcie się w ośrodek wytwórczy. Drogę tę, jak pan widzi, wyznaczył najpierw szczaw, a potem my. Zamierzamy ją

zrekonstruować. Kiedyś była ona od 5 do 15 metrów szeroka i moszczona faszyną. Wiodła zaś w poprzek całej doliny Bzury, od tamtej wyniosłości, gdzie stoi kolegiata, w kierunku obecnego miasta.

Drugi to już raz oglądam w tym roku pozostałość po wczesnodziejowej arterii komunikacyjnej. Kilka tygodni temu, w towarzystwie poznańskich archeologów, stałem nad wygrzebanymi z torfowiska szczątkami grobli czy mostu pod Gieczem. Ale tam, nad rzeką Moskawą (co do której w porze letniej tylko z mapy można się przekonać, w jaką stronę płynie), z bagnistej łąki do dnia dzisiejszego wystają szczątki pradawnych słupów, umacniających ongi drogę. W Gieczu przebiega ona w sposób zupełnie styczny do wału: całkiem tak, jakby budowniczy umyślnie pragnął, by podróżni przejeżdżać musieli pod samym obwarowaniem — obecnie jeszcze na 11 metrów wysokim — skąd ruchy ich kontrolować mogła zbrojna straż.

I na tym się właściwie wyczerpują luźne porównania z Gieczem, który w odróżnieniu od Łęczycy, rozwinął się w potężny ośrodek wytwórczy. Otoczony był wieńcem czterech osad produkcyjnych. W samym zaś grodzie wykryto nie ulegające wątpliwości dowody wytapiania surówki żelaznej. Ten sam proceder uprawiano też w odległej o 1 km wsi, zwącej się dzisiaj Borzejewo. Wiedział Brzetysław czeski, co robił, kiedy w roku 1038 wygarnął stąd i przesiedlił do swego kraju całą ludność rzemieślniczą. Teraz jeszcze egzystuje w Czechach miejscowość Hedczany. Kierownictwo badań nad początkami Państwa Polskiego zawarło umowę z czeskimi uczonymi, którzy zobowiązali się pokopać w Hedczanach i sprawdzić rezultaty „inwazji" polskich fachowców.

Czwarty dopiero sezon letni trwają u nas systematyczne badania nad początkami państwa. A już wydobyto z ziemi wiele takiego materiału, który skłania do rewizji zadawnionych, tradycyjnych poglądów. Tak np. nie da się już dłużej utrzymać mniemanie, iż powodzenia pierwszych Piastów wynikały li tylko z ich geniuszu politycznego oraz z wierności i męstwa drużyny bojowej, stacjonującej w twierdzach. Nie same tylko wyniosłe wały, przerdzewiałe miecze i groty oszczepów świadczą o budowie pra-Polski. W jamach licznych wykopów widnieją starannie oczyszczone ślady palenisk, polep, kamieni skruszałych w ogniu. Obły, żużlem pokryty ułamek gliny budzi powszechną uwagę, poddawany bywa najskrupulatniejszemu badaniu. Podobnie rozsiane obok czerwonawe ślady rudy darniowej. Wszystko, słowem, co dowodzi istnienia w danym miejscu — tysiąc lat temu — ówczesnego ciężkiego przemysłu. Stwierdzone już zostało, że każdy niemal prapolski gród — to silny, nieraz bardzo nawet silny ośrodek wytwórczy.

Oto Biskupin. Ale nie tamten najstarszy, łużyckie miasto z V wieku przed Chrystusem. Biskupin inny, o 1500 lat młodszy, ten z X stulecia naszej ery, wzniesiony na pokładach łużyckiego drewna, resztkach późniejszej osady otwartej i plemiennego grodu. U nasady półwyspu zakole umocnień maleńkiego gródka. Niewiele w nim znalezisk. Jałowe, nieproduktywne miejsce. Za to o 100 metrów dalej ku południowi, już

na stałym lądzie wykopano osiedle, w którym tak wszystko wygląda, jak gdyby ludzie byli tu tylko niezbędnym dodatkiem do wytwórczych warsztatów. Stłoczenie wręcz nieprawdopodobne. Koncentracja przemysłu doprowadzona do maksimum. Oto szczątki pieca hutniczego, o trzy metry dalej centrum obróbki rogu i kości, na majdanie wsi-„okolnicy" osiemdziesiąt jam produkcyjnych! Wędzarnie, smolarnie, doły-magazyny, pracownie przedmiotów z bursztynu. — Liczne były wyroby biskupińskich fabryk z X wieku. Pod względem jakości ustępowały jednak znacznie dziełom ówczesnych gnieźnieńskich majstrów.

Tak przedstawia się utrwalony pod płaszczem wilgotnej ziemi wycinek obrazu młodego państwa polskiego. Wszystko wyraźne jak pod mikroskopem. Jest stolica — jest i prowincja. W tamtym maleńkim gródku siedział, a może tylko od czasu do czasu pojawiał się reprezentant władzy. Tu, na „okolnicy" tłoczyli się i pracowali rządzeni. Dowody klasowego podziału ludności nie mogą być poddawane w wątpliwość. Istnienie i funkcjonowanie sprawnie rządzonego państwa też. Wiek X!

Stłoczona biskupińska „okolnica", dymarki w Gieczu i na Śląsku, piece Igołomi, warsztaty Gniezna, Gdańska, Wrocławia, Poznania, Opola i tysiąca innych miejscowości — to jest także, a może nawet przede wszystkim fundament naszej państwowości. W nich też kryje się wyjaśnienie tajemnic licznych piastowskich sukcesów politycznych. W stosunkowo bardzo znacznym rozwoju produkcji przemysłowej.

Tum pod Łęczycą nie przyczyniał się jednak do jej pomnożenia. We wnętrzu grodu mającego kształt owalny (80 x 140) nie wykryto dotąd nawet siedziby księcia. Znaleziono jedynie resztki chat, właściwie półziemianek. Książę mógł zresztą mieszkać w jednej z nich. Pojęcia o komforcie i wygodach życiowych z biegiem dziejów ulegały radykalnym zmianom. Kiedy przed wojną prof. Jakimowicz badał trumny książęce w Dawidgródku, nazbierał w nich pełne pudełko martwych wszy.

Pokaźna liczba srebrnych monet znalezionych w Łęczycy, a także ości olbrzymich, na pewno importowanych jesiotrów, potwierdzają fakt istnienia tutaj książęcej rezydencji.

Znalezisk z dwu pierwszych „faz" we wnętrzu grodu stosunkowo niewiele. Wały Krzywoustego sypano bowiem w ten sposób, że wybierano ziemię ze środka, z przestrzeni wewnętrznej twierdzy. Wygrzebano więc niemal wszystko, co mogło kryć się w glebie. Wtedy też — w „trzeciej fazie" — powstały dwie studnie, głębokie na 8 m. każda, umocnione cembrowaniem z dranic dębowych lub dębowych i sosnowych okrąglaków. Studnia, oznaczona teraz dla porządku numerem I, została prawdopodobnie przez mieszkańców zasypana jako nie nadająca się do użytku. Do końca istnienia grodu funkcjonowała natomiast studnia nr II. Ale właśnie tamta pierwsza, wcześnie zasypana, dostarczyła prehistorykom obfitego i bardzo zagadkowego materiału.

Wyciągnięto więc z niej kielich drewniany, toczony, zupełnie podobny do romańskich naczyń liturgicznych. Wydobyto trzewik skórzany, tudzież doskonale zachowane wiadro drewniane z żelaznymi obrę-

czami. I jeszcze — niezbite dowody, iż w Tumie, w wieku XII lub XIII naszej ery, w samej rezydencji księcia i o trzysta metrów od czwórwieżowego romańskiego kościoła uprawiano kult phalliczny. Do muzeum łódzkiego odwieziono stąd dwa drewniane, naturalistycznie wyrzeźbione phallusy, z których jeden jest ułamany, drugi natomiast cały i w dodatku u nasady ozdobiony wizerunkiem głowy bóstwa.

Studnię tę wykopano na pewno po roku 1107, zasypano zaś na pewno przed rokiem 1293.

W miarę postępu badań naukowych doczekamy się niejednej jeszcze rewelacji i niejednego sprostowania nazbyt już sielankowych mniemań o systemach wierzeń i obyczajach naszych praszczurów. Cóż — ostatnia ofiara pogańska na ziemiach polskich złożona przecież została w roku 1937 (tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym). Gotowane kartofle ustawione u stóp przedhistorycznej kultowej rzeźby pogańskiej (niesłusznie zwanej „mnichem") we wsi Garncarsku koło góry Ślęży w okolicach Wrocławia widział wtedy badacz niemiecki Fritz Geschwendt. Maria Cebula, siedemdziesięcioletnia Ślązaczka ze wsi Strzegomiany, całkiem dobrze pamięta te i tym podobne zwyczaje. Mówili mi o tym w Niemczy dr Helena i prof. dr Włodzimierz Hołubowiczowie, prowadzący roboty wykopaliskowe w tej części Śląska.

Daleko jednak, aż w głąb Śląska, zaprowadziły nas rozważania, rozpoczęte w cieniu wałów najbardziej wschodniej z twierdz Wielkopolski. Nie mogło jednak być inaczej, skoro Łęczyca nie jest dziś u nas unikatem, jedynym przedmiotem badań.

Towarzysze podróży zabrali ze sobą do samochodu potrzebne w drodze odcinki map, zwyczajnych „pięćsetek". Leży w tej chwili przed nami arkusz „Łódź", na którym uwidoczniona jest i Łęczyca wraz z Tumem. Ale na tej samej karcie jest i Lutomiersk i Kalisz i Wrocław. A oprócz nich jeszcze Biskupin, Poznań, Gniezno, Giecz, Lednica, Strzelno, Kruszwica i Trzemeszno. Wszędzie tam — jak również w Błoniu, Starym Bródnie, Gdańsku, Szczecinie, Niemczy, Sobótce, Ślęży, Opolu, Cieszynie, Krakowie, Tyńcu, Igołomi, Warszawie oraz w Wiślicy — z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki są lub były prowadzone intensywne poszukiwania, w dotychczasowej historii nie tylko naszej ale i europejskiej nauki nie znajdujące precedensu. Kiedy prace te rozpoczynały się w 1948 roku przypuszczano, iż da się uruchomić je w kilku najwyżej punktach. Bo zaraz po wojnie było w całej Polsce 30 archeologów, w tym specjalistów od epoki wczesnodziejowej — aż czterech. Doświadczenie zaś powiada, że na jednego uczonego w tej dziedzinie potrzeba: jednego dokumentatora (czyli technika i fotografa w jednej osobie), dwóch preparatorów i co najmniej kilku wykwalifikowanych robotników. Jeśli zaś przy kopaniu natrafi się na skomplikowane warstwy kulturowe — podane wyżej cyfry ulec muszą pomnożeniu. Badania postawione na właściwym poziomie wymagają stałej współpracy chemików, paleobotaników, zoologów, ichtiologów, ornitologów i innych, że już o antropologach, architektach i historykach sztuki wspominać nie będziemy.

Aparat polskiego „millenium" ruszył i rozkręca się coraz lepiej. Obok starszych specjalistów pracują już młodzi naukowcy, którzy ukończyli uniwersytety Polski Ludowej. Na wielu wykopaliskowych „stanowiskach" napotkać można ludzi takich, jak dwudziestosiedmioletni Zygfryd Różański, który trzy lata temu przyszedł w Gnieźnie do łopaty, a dziś — na wyspie jeziora Lednicy — jest pomocniczą siłą naukową, sporządza barwne plany odkrywek i bez pudła, nie marnując klisz, dokonywuje trudnych fotografii. A jeszcze dwa lata temu nie wiedział, jak się trzyma aparat w ręku.

W opolu, staraniem miejscowych „autochtonów" i tych, co od razu „rozpakowali walizki", już w 1947 roku powstał i teraz działający Komitet Badań Prehistorycznych. Długo chodziłem po tamtejszych magazynach, pracowniach i biurach. Takich pomieszczeń nie posiada warszawska centrala. A wszystko osiągnięte pracą Komitetu i poparciem lokalnych władz.

We wnętrzu tumskiego grodu, bliżej południowego odcinka jego wału sterczą baraki zbite z sosnowych desek i kryte papą. Tutaj mieści się wykopaliskowa ekspedycja łódzkiego uniwersytetu (która dobrowolnie przybrała nieoficjalną nazwę K a p i t u ł y T u m a n ó w). Kilkanaście osób, studentek i studentów, rozlokowało się w tym miejscu na cały sezon. Pod kierunkiem prof. Konrada Jażdżewskiego i jego zastępcy, magistra Andrzeja Nadolskiego — człowieka młodego i energicznego znawcy nie tylko prehistorii lecz także dziejów wojskowości oraz botaniki — pracują i pogłębiają wiedzę. Wywieszony na ścianie spis zapowiada całą serię wykładów i referatów, obok jest podręczna biblioteka, a zdobiący ścianę rząd kolorowych „herbów" uczestników ekspedycji dobrze świadczy o humorach, rysunkowych zdolnościach i zmyśle obserwacyjnym wykonawców. Na jednym z „herbów" jest, a jakże, wyobrażenie miejscowego, łęczyckiego diabła, słynnego Boruty, co to wedle legend grasuje od wieków po tutejszych błotach.

W innych ośrodkach ekspedycje bywają mniej liczne. W takiej Lednicy trzy tylko osoby. Ale za to robotników tam wyjątkowo dużo, bo aż dwunastu. Najludniej było jednak tego roku w Biskupinie.

Zorganizowane w roku ubiegłym na krakowskim, warszawskim i poznańskim uniwersytecie Studia Historii Kultury Materialnej wysłały tu swych słuchaczy na jednomiesięczny, odbyty w dwu turnusach kurs. Każdy student musiał przejść wszystkie fazy pracy. Co dzień od rana gromady półnagich postaci ubranych w plażowe stroje pochylały się nad wykopaliskami. O piętnastej całe to bractwo, spocone, zmęczone, czarne od sadz szło kupą do jeziora na ablucje. Po obiedzie obowiązywały ich wykłady. Kierownik biskupińskiego ośrodka, dr Zdzisław Rajewski, dbał pilnie o swoich pupilów, karmił świetnie, ale i roboty tęgiej wymagał.

Ten kurs odbyło w tym roku 96 studentów. Impreza bez precedensu — również w całej Europie.

W Opolu Ignacy Kuźniewski i dr Koszyk, Ślązacy rodowici, jedni z założycieli wzmiankowanego Komitetu, zaprowadzili mnie przed wiszącą na ścianie mapę województwa. Wyobrażone na niej były zarysy rzek,

widniały także bardzo liczne, pomarańczowej barwy kółeczka. Cały dosłownie obszar Opolszczyzny był nimi pokryty.

— Nie wystarczy przekopać i zbadać samo tylko Opole, proszę pana — mówiono mi — Nasza ambicja, nasz cel na tym polega, by zbadane zostały te wszystkie stanowiska w liczbie 300, istniejące na terenie naszej ziemi. Bo tam w nich kryją się dowody jej rdzennej, tysiącletniej polskości!

Tysiącletniej! Piękne słowo! A co, jeśli badania „millenium" wykażą, iż miara tysiąclecia — to grubo za mało dla sondowania spraw polskich?

Spadzisty, popielatej barwy wał zeskalowej gliny na górze Lecha w Gnieźnie istniał na pewno już w końcu VIII stulecia. Lat temu bez mała tysiąc dwieście! Sama zaś góra była wtedy o pełnych dwanaście metrów niższa niż obecnie.

Wzgórze Zamkowe w Cieszynie ogrodzone zostało w tym roku gęstym parkanem. Umieszczony na bramie napis „wstęp surowo wzbroniony" budzi żywe niezadowolenie amatorów pięknego widoku bratniej Czechosłowacji i romantycznych przechadzek we dwoje pod gałęziami drzew parku. Szacunek zaś dla korzeni tychże drzew, będących istotnie wyszukanymi okazami krajowej i zagranicznej flory, z konieczności ogranicza rozmach prac wykopaliskowych. Dotychczas wyryto tutaj dwie jamy, z których każda posiada rozmiary sporego pokoju mieszkalnego. Trzydzieści ton wczesnohistorycznego drewna powędrowało stąd do Opola, do konserwacji. W odkrywce bliższej skłonu wzgórza pokazało się półkole ciemniejszej barwy. Znaleziska pozwoliły określić, że jest to resztka wału, pamiętającego IV stulecie. Prosty rów prowadzi stąd w kierunku odległej o kilka metrów, oplecionej dziś rusztowaniami odbudowy rotundy romańskiej z XI wieku. Nad całym terenem pracy wznosi się wieża, jedyna naziemna pozostałość zamku Piastów Cieszyńskich, zniszczonego przez Szwedów w w. XVII — w dwa lata po śmierci ostatniej Piastówny — i do reszty zdewastowanego przez Habsburgów kilkadziesiąt lat temu.

— Na tym wzgórzu w Cieszynie spotykamy ślady osiedli i twórczej działalności człowieka, poczynając od IV stulecia aż do czasów najzupełniej historycznych. Czy istnieją naukowe podstawy do przypuszczeń, że wszystkie one są dziełem ludności, pochodzącej z tego samego pnia? A więc konkretnie: słowiańskiej, a z biegiem czasu — polskiej?

Mgr Alina Kietlińska, kierowniczka cieszyńskiej ekspedycji, nie bardzo ma dziś czas na rozmowy. Właśnie bowiem za kilka godzin otwarta zostanie wystawa, obrazująca roczny dorobek wykopalisk. Siedzi przy stole, ubrana w robocze szarawary tudzież dwa swetry, pisze, wyciera, komenderuje.

— Ależ oczywiście — odpowiada, nie przerywając skrobania żyletką po brystolu z napisem „piszczałka dziecinna" — Ależ oczywiście! Tutaj w Cieszynie mamy nieprzerwany ciąg osadnictwa poczynając od IV stulecia. Znaleziska zaś, szczególnie ceramika i narzędzia pracy niezbicie świadczą o nieprzerwanym ciągu rozwojowym. Istnieje, rzecz jasna, wyraźna ewolucja, ale nie napotykamy żadnych gwałtownych przeskoków ani raptownych zmian świadczących o pojawieniu się obcego

elementu. Ceramika z okresu rzymskiego jest tu trudna do odróżnienia od wczesnośredniowiecznej. Taki nieprzerwany ciąg rozwojowy świadczy o nieprzerwanej podstawie ludnościowej.

— Stwierdza więc pani, że to, co się tu zaczęło w stuleciu czwartym, prostą, nieprzerwaną drogą — jeśli wolno się tak wyrazić — wjeżdża w historię polską?

— Owszem, można się tak wyrazić. A trzeba jeszcze panu wiedzieć, że natrafiliśmy tutaj na ślady niewielkiej grupy kulturowej, obejmującej Beskid Zachodni, najdalej zaś na wschód sięgającej pod Kraków. Obecność znalezisk z tej grupy pozwoli nam może przesunąć w głąb datowanie tamtego wału, który pan oglądał w wykopie i moment jego budowy oznaczyć na II stulecie.

— Na drugi wiek po Chrystusie???

— Właśnie. Drugie stulecie naszej ery. Tylko bardzo pana proszę nie podawać tego za pewnik naukowy. Jest to prawdopodobne, ale hipotezę tę traktujemy ostrożnie.

Złożyłem p. Kietlińskiej uroczyste przyrzeczenie, iż zachowam ostrożność i powściągliwość czyli cnoty zasadnicze dość obce dziennikarzom (którzy właśnie dlatego traktowani są przez prehistoryków jako element wybitnie podejrzany). Inna jednak rzecz, iż nie było powodu dziwić się tak bardzo, kiedy mi wymieniono owo drugie stulecie.

Powinienem był pamiętać o tezie prof. Józefa Kostrzewskiego, że Słowianie zamieszkują nasze ziemie od połowy drugiego tysiąclecia przed naszą erą. I o tym, że prof. Aleksander Gieysztor — towarzysz samochodowej wędrówki do Łęczycy — powiada, iż nie może być mowy o zrozumieniu procesu powstawania państwa naszego, dopóki się nie zbada „najważniejszych przemian produkcji, ustroju ekonomicznego i niektórych, znanych z konkretnego materiału, zjawisk nadbudowy w czasie od II/I stulecia przed naszą erą aż po okres ustalania się feudalizmu".

Tak napisał w sprawozdaniu, drukowanym w tym roku w P r z e g l ą d z i e Z a c h o d n i m (nr III).

W Łęczycy zaś przynaglał do szybszego żegnania się z łódzką ekspedycją. Tego samego bowiem dnia powinniśmy byli zobaczyć Kalisz, miasto, które tysiąc osiemset lat temu — kiedy Rzymem rządził „filozof w koronie", Marek Aureli — nosiło tę samą co i dzisiaj nazwę rdzennie słowiańskiego pochodzenia.

Wymienił je przecież Ptolomeusz w II właśnie stuleciu naszej ery.

Paweł Jasienica

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

Nad brulionem Sonetów Krymskich

Brulion dziesięciu Sonetów Krymskich (tzw. Album Piotra Moszyńskiego opublikowany w Pamiętniku Literackim im. Adama Mickiewicza, Rocznik IV, 1898) zawiera pasjonujący materiał do studiów nad sztuką poetycką Mickiewicza. Szkice, pierwsze rzuty wyobraźni, skreślenia, przeróbki pozwalają prześledzić żmudną, nieraz bardzo długą drogę poetyckiego trudu. Mickiewicz nie pisał łatwo. Mozolił się, biedził, kreślił, przerabiał, nim wizję poetycką uformował w realistyczny obraz, nim obraz ten wprawił w niezawodnie przylegającą doń formę. Czytając Sonety Krymskie, te utwory najbardziej wyszukane w całej twórczości Mickiewicza, podziwiamy w ostatecznym kształcie ich caliznę wyobraźniową. Przy całej, nieraz wypominanej przecież Mickiewiczowi kunsztowności, nie ma w nich pięknostek ani ozdobników. Każdy z tych sonetów może uchodzić za klejnot i to klejnot z jednego kawała poetyckiego kruszczu. To jedno. A drugie: podziwiamy realność, sprawdzalność najbardziej wyszukanych i egzotycznie pysznych obrazów, z których żaden nie rozwiewa się w fantastyczność. Brulion Sonetów Krymskich ukazuje wysiłek, z jakim Mickiewicz dążył do tej realności, jak zmagał się z natrętnymi niekiedy ułatwieniami; ukazuje także wytrwałość, z jaką krok po kroku, słowo po słowie zbliżał się do ostatecznego kształtu.

Rzecz ciekawa: rym nie stanowił bynajmniej zasadniczej czy bodaj równorzędnej w stosunku do innych przeszkody, które Mickiewicz w Sonetach pokonywał. Nie napotykamy w brulionie Sonetów na jakikolwiek ślad męki rymotwórczej. Nie ma ani jednego wypadku, w którym by poeta ustąpił rymowi i zrezygnował z precyzji poetyckiego wyrazu. Jedynie brulion sonetu B u r z a może uchodzić za przykład rymotwórczego trudu:

Zdarto żagle, ster prysnął (śród szumu zawiei) *) ryk wód, szum
zawiei,
Głosy (trwożnych żeglarzów) trwożnej gromady, pomp zło-
wieszcze jęki,
Ostatnie liny majtków wyrwały się z ręki...

Brak czwartego wiersza nie jest jednak dowodem trudności znalezienia rymu. Może to być brak przypadkowy, wynikający z pośpiesznego pisania lub przepisywania z jeszcze innego, niezachowanego brulionu. Tym bardziej że poeta nie pozostawił wolnego miejsca na późniejsze uzupełnienie strofy:

Słońce krwawo zachodzi, z nim reszta nadziei.

*) W nawiasach zwykłych umieszczamy skreślenia dokonane ręką poety. W nawiasach kwadratowych — jego dopiski.

Rym nie odgrywa bynajmniej roli strażnika dyscyplinującego wyobraźnię. Inna poważniejsza od rymu dyscyplina organizuje Mickiewiczowskie strofy. Dyscyplina realizmu poetyckiego. Album Moszyńskiego wskazuje właśnie na łatwość, z jaką poeta gospodarował rymami zastępując jedne drugimi wtedy, gdy zależało mu na wzmocnieniu, nasileniu prawdą przeżycia poetyckiego obrazu.

Brulion pierwszej strofy sonetu B a k c z y s a r a j:

(Jeszcze) Wspaniała lecz już pusta Girajów dziedzina,
Przez progi zamiatane niegdyś baszów czołem
Skacze szarańcza; sofy skąd okiem wesołem
Nęciły branki, teraz zaległa gadzina.

w porównaniu ze znaną wersją ostateczną:

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina.
Zmiatane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

jest przykładem tej właśnie szczodrej gospodarki. Poeta porzuca rymy, które ograniczają swobodę rozbudowania strofy. Poeta porzuca przerzutnię (enjambement) jako niepotrzebny we wprowadzeniu czynnik „dramatyzujący" tok wiersza: przerzutnia bowiem taką na ogół rolę odgrywała w poetyce Mickiewicza. Praca nad precyzją realistycznego widzenia („obwija gadzina" zamiast „zaległa gadzina") — oto główny powód, zasadniczy dla poety, zastąpienia jednej pary rymów inną.

Wszystkie przeróbki, których ślad zachował się w Albumie Moszyńskiego, stanowią przede wszystkim materiał do studiów nad pracą wyobraźni Mickiewicza. Droga od pierwszego rzutu do ostatecznego kształtu prowadzi zawsze od luźniejszej do ściślejszej konkretności porównania, metafory, od mniejszej do większej realności poetyckiego obrazu. Jest to zawsze droga prowadząca do precyzji. Ta droga (od mniejszej do większej konkretności) widoczna jest już w pracy nad poszczególnymi słowami, jak np. zastąpienie ogólnikowego „zrobił" przez ścisłe „odlał" w sonecie W i d o k g ó r z e s t e p ó w K o z ł o w a:

Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?

zamiast pierwotnego

Czy aniołom tron zrobił z zamrożonej chmury?

A cóż dopiero w pracy nad prostymi czy złożonymi obrazami poetyckimi? Samo zestawienie brulionu z ostatecznym kształtem jest wymowne. Zakończenie sonetu Ż e g l u g a np.

W brulionie:

Patrzę, nie śmiem odetchnąć, bujam śród odmętu,
I myśl wzdęta powiewa, jak warkocz tych żagli,
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem,

Wyciągam ręce, piersią cisnę przód okrętu,
I myślę, że pierś moja do pędu go nagli:
Rzeźwo mi! lekko! lubo! — wiem, co to być ptakiem.

W ostatecznej wersji:

I mój duch masztu lotem buja śród odmętu,
Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz tych żagli,
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem;

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem, co to być ptakiem.

Brulion pierwszej tercyny przez stopniowanie wyliczanych doznań (patrzę, nie śmiem odetchnąć, bujam śród odmętu) dramatyzował mimowolnie stan uległości wobec wrażenia. Usuwając pierwotną wersję, zastępując ją frazą spokojną, potoczystą, poeta w drugiej tercynie przez kontrast wydobywa dramatyczny akcent współdziałania z okrętem (wyciągam ręce, padam na piersi okrętu) w jego zmaganiu się z falą.

A cóż powiedzieć o zastąpieniu „piersią cisnę przód okrętu" przez „padam na piersi okrętu... pierś moja do pędu go nagli"!

Albo zestawienie brulionu i ostatecznego kształtu sonetu W i d o k g ó r z e s t e p ó w K o z ł o w a. Brulion:

Czy tam Allach postawił w poprzek morze lodu?
Czy aniołom tron zrobił z zamrożonej chmury?
Czy(li) ludzie (z) ćwierci ziemi napiętrzyli w mury,
Ażeby gwiazd nie puszczać idących ze wschodu?

Tekst ostateczny:

Tam! — czy Allach postawił ścianą morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?
Czy Diwy z ćwierci lądu dźwignęli te mury,
Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze wschodu?

W każdym zdaniu, w każdym wierszu jesteśmy przy narodzinach precyzji.

A dalej:

Byłem. Tam sofa zimy, tam dziuby potoków
I gardła rzek (wołki) łaknących wiszą u jej gniazda;
Byłem, gdzie się grad studzi, pomykałem kroków...

Zamiar porównania rzek do łaknących gardeł wilków (wołków) grozi przeładowaniem. Mickiewicz upraszcza obraz, uspokaja i tym samym wyolbrzymia:

Tam? — Byłem; zima siedzi, tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem pijące z jej gniazda;
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków...

Droga od brulionu do ostatecznego kształtu Pielgrzyma prowadzi do realności poetyckiego widzenia z bardzo daleka. W brulionie cały sonet zbudowany jest na pytajniku. Poeta chce początkowo przede wszystkim zachować jednolitość formalną całego utworu. Także strofa druga, w której zwraca się z inwokacją do Litwy, była zgodna z tym „formalistycznym" założeniem. Była także zbudowana na pytajniku. Ale przecież poeta pytał w niej o to, co ani nie budziło w nim niejasności, ani nie było źródłem powątpiewania. Było to pytanie czysto retoryczne:

Litwo! czy wdzięczniej grały twe szumiące lasy,
Niż słowiki śród laurów pośród skał krynice?
Czyliż weselej twoje deptać trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy?

Mickiewicz jakby dostrzegł jednak, że to retoryczne pytanie osłabia siłę tych innych pytań zawartych w sonecie, które bynajmniej retoryczne nie były:

Dlaczego stąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i — niestety jeszcze dalsze czasy?

Dlaczegóż roztargniony wzdycham bezustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubej dziedzinie, która mi odjęta...
. . . . . czyż o mnie pamięta?

W ostatecznej wersji Mickiewicz porzuca łudzącą go początkowo jednolitość formalną i zamiar zbudowania całego sonetu na pytajniku. Odrzucił pytanie retoryczne. Cały utwór wzbogacił się niezafałszowaną cieniem retoryki prawdą poetyckiego przeżycia:

Litwo! piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Najwięcej danych do studiów nad pracą wyobraźni Mickiewicza dostarczają bruliony Stepów Akermańskich. W Albumie Moszyńskiego znajdujemy dwa pełne bruliony sonetu, a niektóre wiersze posiadają po cztery warianty.

Brulion pierwszy:

Podróż do Akermanu

Poznałem stepowego podróż oceanu;
[Żeglowałem i w suchych stepach oceanu]
[Wjechałem na suchego stepy Oceanu]
(Kiedy wóz mój) nurtami zielonemi brodzi;
[Pocztowa łódź]
(Wśród szumnej)

Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi
Widać gdzieniegdzie krasne ostrowy burzanu.
[mi usiane zatoki zboża i wyspy burzanu]
Noc mię zaszła w obszarach niezmiernego łanu;
[już zmrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu]
Patrzę w niebo, gwiazd szukam (przewodni) dla kierunku łodzi:
Tam zdala błyszczy niebo (obłok), jakaś gwiazda wchodzi,
To błyszczy (błyszczał) Dniestr, to wschodzą lampy Akermanu.

W głuchem milczeniu nocy słychać lot powolny
Dzikich gąsiorów, drżących przebudzić sokoła,
(Słychać, co swej kochance szepce konik polny)
I co kochance w ucho szepce konik polny,
I gdzie wąż śliską piersią (ob) dotyka się zioła.

(Ja drzemię w)
Jak lubo drzemać, patrzyć i słuchać do koła,
(Roskosz snu i czuwania zarazem czuć zdolny)
(w pół senny, w pół na jawie czuć i marzyć zdolny)
Senny i czujny razem, czuć i marzyć zdolny,
(Stójmy jak cicho! słychać ciągnące żórawie
Którychby niedojrzały źrenice sokoła,
Słyszę (gdzie się) kędy się motylek kołysa na trawie,
(lub wąż s)
I gdzie wąż śliskiem licem pocałuje zioła...
W takiej ciszy, tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... jedźmy, nikt nie woła!)

Brulion drugi:

Podróż do Akermanu

Okrążyły mię stepy nakształt oceanu,
Pocztowa łódź nurtami zielonemi brodzi,
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Mijam zatoki zboża i wyspy burzanu.
[omijam koralowe ostrowy burzanu]
Już mrok zapada; nigdzie drogi ni kurhanu.
Patrzę w niebo gwiazd szukam, przewodniczek łodzi,
Tam zdala błyszczy obłok, jakaś gwiazda wschodzi
[gwiazdeczka]
To błyszczał Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Stójmy! jak cicho! słyszę ciągnące żórawie,
Którychby niedojrzała źrenica sokoła,
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,
Kędy wąż śliskiem licem pocałował zioła;
[kędy wąż śliską piersią dotyka s zioła]
W takiej ciszy, tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy — jedźmy! nikt nie woła.

O trudzie powstawania pierwszej strofy Stepów Akermańskich świadczy ilość brulionów. Cztery zachowane warianty pierwszej linijki, to cztery etapy formowania się obrazu. A przecież porównanie przestrzeni, lądu do oceanu, morza — nie jest u Mickiewicza nowe. Już w Farysie (powstałym przed Stepami Akermańskimi) pustynia jest suchym morzem. Dla Przybosia (Słaby i mocny wiersz) porównanie pustyni, stepu, nieba i zieleni do oceanu-morza jest nawet właściwością Mickiewiczowskiej wyobraźni.

A więc nie samo porównanie stepu do oceanu jest przyczyną spiętrzonych trudności. Istotnie, we wszystkich czterech brulionach pierwszej linijki sonetu samo porównanie stepu do oceanu nie budzi wątpliwości poety. Mickiewicz mając już za sobą tę wstępną pracę wyobraźni dąży do wbudowania porównania w obraz złożony, w którym byłoby już ono elementem. Obrazem poetyckim jest nie sam step jako taki (porównany do oceanu) ale podróż po stepie, rzeczywista „podróż do Akermanu".

Skąd więc te wątpliwości? Że wątpliwości te były jak najbardziej zasadnicze, wskazuje na to czwarty z kolei brulion. Mickiewicz był o krok od porzucenia rozbudowanej już przenośni. Nie zadowalała go, chciał już powrócić do prostej formy porównania („otoczyły mię stepy na kształt oceanu").

Co było powodem odrzucania niezadowalających poetę prób? Z pewnością natarczywy powrót „stepu" w metaforze, która ma przecież step wyrazić: „suche stepy oceanu", „podróż stepowego oceanu". A przecież poeta już w Farysie pokonał te trudności, znajdując dla pustyni odpowiednik „suchego morza". Dlaczegóż więc tak długo i uciążliwie dochodzi w Stepach Akermańskich — do „przestworu suchego oceanu"? Rzecz w tym, że Mickiewicz w Stepach Akermańskich zmaga się już nie z elementarną trudnością, lecz z ciężarem metafory, która go spycha w kierunku nierealności. Przez porównanie stepu do oceanu podróż po stepie zaciera się, nabiera charakteru bajkowego, przenośnia poetycka odrealnia konkretne przeżycie poety. Zmagania z tą przenośnią — to właśnie próby ocalenia obrazu realistycznego. Próby zwycięskie. Mało zwycięskie, dopiero to ocalenie, ocalenie realności dało metaforze całą wyrażoną w niej pełnię. Uporczywe, nawet za cenę tautologii zachowywanie w pierwszej linijce „stepu" miało utrzymać równowagę wobec żeglowania. Tym bardziej że ciężar metafory (step = ocean) zepchnął już poetę w kierunku nierealności, wóz stał się łodzią pocztową, a podróż po stepie — żeglowaniem łodzi pocztowej po oceanie... Poeta czując z jednej strony niebezpieczeństwo nierealnego przerysowania, a z drugiej groźbę tautologii („suche stepy oceanu"), w czwartym brulionie powraca do prostego porównania („okrążyły mię stepy na kształt oceanu"), które będąc rezygnacją, rezygnacją z metafory, ratuje jednak realność obrazu.

Wjechałem na suchego stepy oceanu,
Pocztowa łódź nurtami zielonymi brodzi,
Śród fali łąk szumiących śród kwiatów powodzi
Widać gdzieniegdzie czarne ostrowy burzanu.

(brulion I)

Okrążyły mię stepy na kształt oceanu
Pocztowa łódź nurtami zielonymi brodzi,
Śród fal łąk szumiących śród bogactw powodzi
Mijam zatoki zboża i wyspy burzanu.

(brulion II)

W obu brulionach obraz podróży jest realistyczny. W pierwszym brulionie „stepy" — „wjechałem" równoważą żeglowanie pocztowej łodzi. W drugim brulionie proste porównanie jest dostateczną gwarancją realności.

Mickiewicz nie poprzestał, jak wiadomo, na tej obronnej pozycji. Wrócił do metafory. Do metafory pełnej i jednocześnie wypranej z tautologii.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu,
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Przez odrzucenie przenośni i wprowadzenie prostego porównania wozu do łódki pogłębia się siła realnego zjawiska, które równoważąc wizję pozwala na pełną metaforę.

Wiele jest w sonecie miejsc starannie i żmudnie przez poetę przepracowywanych. Wielokrotne na przykład wahania poprzedzające ostateczne, tak bardzo celne, zestawienie czasu teraźniejszego z czasem przeszłym: „To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu" (uprzednio: dwa czasy teraźniejsze: „To błyszczy Dniestr, to wschodzą lampy Akermanu", dwa czasy przeszłe: „To błyszczał Dniestr, to weszła lampa Akermanu").

Drugim obok pierwszej strofy miejscem sonetu odsłaniającym laboratorium Mickiewicza jest pierwsza tercyna. Funkcją jej jest przygotować i umożliwić nadzieję na słyszalność głosu z Litwy. Ma ona wyrazić ciszę doskonałą.

Chcąc ten zamiar osiągnąć Mickiewicz początkowo absolutyzuje pojęcie ciszy. Aby więc wyrazić ją, aby wyrazić absolutną ciszę, ciszę idealną, nieistniejącą w świecie rzeczywistym, poeta sięga do czystej fantastyki:

Słychać co swej kochance szepce konik polny

Wkrada się element nierealny, obcy wyobraźniowo i nie do utrzymania w jednolitym poetycko obrazie. Mickiewicz nie od razu go jednak porzuca. Usiłuje utrzymać i upozorować obecność fantastyki stanem pół jawy pół snu-marzenia, w jakim ukołysany stepem się znajduje:

Jak lubo drzemać, patrzyć i słuchać dokoła
Senny i czujny razem, czuć i marzyć zdolny.

Jak bliski był Mickiewicz tego rozwiązania, świadczy związanie rymami elementu fantastycznego z tłumaczącym jego obecność stanem półsennego marzenia (polny — zdolny).

Lecz wprowadzenie (dla upozorowania fantastyki) snu, marzenia osłabia główny akcent i całą siłę utworu. Głos z Litwy nie w marzeniu może być słyszany. Głos z Litwy — to przecież głos konkretny, to głos fizyczny. A głos fizyczny jedynie w materialnej, realnej ciszy może się rozlegać. Oto droga, która od pojęcia ciszy absolutnej, idealnej, nieistniejącej doprowadza Mickiewicza do ciszy doskonałej doskonałością rzeczywistego świata.

Stójmy! — jak cicho! — słyszę ciągnące żurawie,
Których by nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,
Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła.

Jest to już cisza świata realnego, cisza poznawalna zmysłami i wyobraźnią człowieka.

Zmaganie się Mickiewicza z poetyckim tworzywem posiada, jak świadczą bruliony, wyraźny kierunek. Nie zdarza się, byśmy spór wiedli z poetą o dokonane przezeń przeróbki. Zmiany nigdy nie są przypadkowe. Można by zaryzykować twierdzenie, że każda z nich ma podłoże ideologiczno-poznawcze. W tym i w każdym sensie brulion Sonetów Krymskich jest znakomitą szkołą poetyckiego realizmu.

Zbigniew Bieńkowski

EUGENIUSZ ONIEGIN

Rozdział siódmy

O, córko Rosji ukochana,
Moskwo, gdzie szukać równej tobie?

Dmitriew

Rodzimej Moskwy któż nie kocha?

Boratyński

Pojeździł pan — i już na Moskwę anatema?
A gdzież jest lepiej?

Gdzie nas nie ma.
Gribojedow, przekład Tuwima

I

Pod wiosennymi promieniami
Gór okolicznych śniegi tają,
Mętnymi płyną strumieniami,
Nizinne łąki zatapiają.
Natura, we śnie jeszcze, wita
Jasnym uśmiechem ranek roku;
Błękit wybłyska spod obłoku.
Dąbrowa jeszcze nie podszyta
Puszkiem zieleni się jakoby;
Doliny schną i roje pszczół
Rzucając kątek swój woskowy
Lecą pobierać z młodych ziół
Daninę; w polu stado ryczy;
Nocą słyszano śpiew słowiczy.

II

Jak smutno witam przyjście twoje,
Poro miłości, dniu wiosenny!
Jakież to mgliste niepokoje
Budzą się we krwi mojej sennej!
Jakież bolesne rozczulenie
Zakrada się do mojej duszy,
Gdy tak rozkosznie w sielskiej głuszy
Bije mi w twarz wiosenne tchnienie!
Czy już nie dla mnie ta uciecha,
I wszystko, co dziś życiem wre,
Co się raduje i uśmiecha,

Nudę i tylko żale mdłe
Wsącza mi w duszę obumarłą —
Wszystko maluje się na czarno?

III

Czy zamiast cieszyć mnie powrotem
Liści opadłych na jesieni
Dawną przynosi mi zgryzotę
W majowym gaju szum zieleni?
Może z przyrodą obudzoną
Nasza niechętna dusza splata
Szybko więdnące nasze lata,
Którym powrócić nie sądzono?
Może nam snuje się w pamięci
Wiosenny dzień, ale nie ten,
I drżące serca nasze nęci
Zamierzchły poetycki sen —
Jakaś daleka okolica
I cudna noc, i twarz księżyca...

IV

O, przyjaciele, przyjaciółki,
Epikurejscy moi lenie,
Pisklęta z Lewszynowskiej *) szkółki,
Szczęśliwych mędrców pokolenie,
Zbliża się pora: wiosna woła!
Nie ociągajcie się, Pryjamy,
I wy, sentymentalne damy;
Tu kwiaty, grządki, wieś wesoła;
Czas promenady, ciepłych nocy
Upajający idzie czas.
Pocztowe konie do karocy
I dalej, bracia, w pole, w las!
Ładujcie kufry i manatki,
Cugiem ciągnijcie za rogatki.

V

I ty, w kolasie zagranicznej,
Ty, czytelniku mój łaskawy,
Zostaw za sobą gwar uliczny,
Dogasające rzuć zabawy.
Z kapryśną muzą moją pójdziem
Słuchać, jak szumi gaj wiosenny

*) Lewszyn, autor licznych dzieł z zakresu rolnictwa (przyp. Puszkina).

Opodal rzeki bezimiennej,
Gdzie rozkoszując się odludziem
Niedawno we wsi swej zimował
Melancholijny próżniak nasz,
Gdzie z marzycielką sąsiadował,
Młodziutką Tanią, którą znasz;
Ale niedługo tam zabawił
I tylko smutny ślad zostawił.

VI

Śród gór, co ciągną się półkolem,
Pójdziemy tam, gdzie prąd strumyka
Do rzeki mknie zielonym polem
I pod lipowy gaj umyka.
Tam słowik, ulubieniec wiosny,
Noc całą śpiewa; kwitną głogi
I źródło gada; tam pod nogi
Rzucają cień dwie stare sosny.
Grób się ukaże naszym oczom,
A na nim skromny wiejski głaz:
„Włodzimierz Leński tutaj spoczął,
Śmiercią odważnych młodo zgasł,
Tyle a tyle lat na świecie
Przeżył. Spokojny sen poecie!"

VII

Bywało nieraz, że nad rankiem
Wietrzyk zapędzał się w te strony
Kołysząc tajemniczym wiankiem
Na sęku sosny pochylonej;
Bywało, że tu dwie dziewice
Późnym wieczorem przychodziły
I wpół objęte u mogiły
Długo płakały pod księżycem.
Teraz — nagrobek tu żałośnie
Stoi. Utarty zarósł ślad.
Wianek nie chwieje się na sośnie,
I tylko pastuch, siwy dziad,
Jak dawniej, śpiewa u strumyka,
Łapcie ubogie plecie z łyka.

VIII.IX.X.

Mój biedny Leński! Przecież ona
Niedługo cię opłakiwała.
Niestety! Młoda narzeczona
W żałobie swej nie bywa stała.

Wkrótce kto inny się spodobał,
Kto inny ją pocieszył czule,
Słodkim pochlebstwem uśpił bóle,
Ułan jej serce zawojował,
Ułan najmilszym jej wybrankiem...
Oto przed ołtarz idzie z nią, —
A ona, kryjąc twarz pod wiankiem,
Pochyla głowę, oto lśnią
Spod przymrużonych powiek oczy,
Na ustach uśmiech gra uroczy.

XI

Mój biedny Leński! W kraju głuchej
Wieczności, czy za próg mogiły
Dobiegły cię fatalne słuchy,
Czy cię, pieśniarzu, zasmuciły,
Czy też we śnie na brzegu Lety
W obojętności swej bez granic
Już nie oburzysz ty się na nic
I świat ten zamilkł dla poety?
O, tak! Gdy sypią nam kurhanek,
Nagle za nami cichnie głos
Wrogów, przyjaciół i kochanek,
Zanika pamięć ziemskich trosk
I tylko spadkobierców chóry
O schedę wiodą spór ponury.

XII

Uleciał dźwięczny głosik Oli,
Nim się w rodzinie spostrzeżono.
Ułan, niewolnik swojej doli,
Musiał do pułku jechać z żoną;
I na rozstaniu pół omdlała
Staruszka łzy roniła gorzkie
Żegnając córkę swą, pieszczoszkę;
Tatiana płakać nie umiała;
Wyszła przed dom, śmiertelnie zbladła.
Gdy zataczano przed sam próg
Karetę dla młodego stadła
I ganek roił się od sług,
Zajęła miejsce obok siostry;
Tak ujechała ze trzy wiorsty.

XIII

A potem, jakby mgłą owiana,
Śledziła w dali cień karety...

Oto samotna jest Tatiana!
Oto siostrzyczka jej, niestety,
Daleko losem uniesiona;
Od tylu lat jej powiernica,
Młodziutka, miła gołębica
Na zawsze od niej oddzielona.
Tatiana brodzi przez aleje,
Spogląda na zacichły park...
Znikąd otuchą nie powieje,
Łzy w oczach, usta pełne skarg,
Lecz ona spłynąć im nie daje —
Na dwoje serce się w niej kraje.

XIV

W osamotnieniu dzień jej płynie,
Mocniej goreją namiętności,
I o dalekim Onieginie
Serce jej mówi coraz głośniej.
Ach, nienawidzieć go powinna!
Kim dla niej był? Zabójcą brata...
Tak łatwo zgładził go ze świata
I nikt już dzisiaj nie wspomina
Poety... Olga pokochała
Innego i odeszła z nim, —
Pamięć poety uleciała,
Jak na błękitnym niebie dym,
Dwa jeszcze serca po nim może
Tęsknią... Tęsknota cóż pomoże?

XV

Był zmrok. Ciemniało niebo. Wody
Płynęły szemrząc. Żuki brzmiały.
Z łąki schodziły korowody;
Za rzeką dymiąc się gorzały
Rybackie ognie. Szlakiem polnym,
Pod srebrną księżycową smugą,
W marzeniach zatopiona, długo
Tatiana krokiem szła bezwolnym.
Szła, szła. Aż nagle niedaleko
Widzi ze wzgórka pański dom,
Wioskę i gaj, nad jasną rzeką
Zdziczały park zasnuty mgłą.
Patrzy — i ze wzmożoną siłą
Gwałtownie serce w niej zabiło.

XVI

Wahania długo krok pętają:
„Czy pójdę naprzód, czy zawrócę?...
Jego tu nie ma. Mnie nie znają...
Na dom, na ogród okiem rzucę."
I oto schodzi moja Tania,
Dech w niej zamiera, wystraszony
Obraca wzrok na wszystkie strony...
Dziedziniec, dom, zabudowania,
Wszystko jakoby pustką świeci.
Warcząc wypadły psy na dwór.
Za nimi biegną wiejskie dzieci.
Tatiana w krzyk, a one w spór,
Kto ma uporać się ze sforą.
Wreszcie w obronę pannę biorą.

XVII

Tatiana pyta ich: „Czy mogę
Obejrzeć pański dom?" Urwisy
Z ochotą pokazują drogę,
Biegną po klucze do Anisy.
Jest i Anisa; więc otwiera
Drzwi i odwodzi wszystkie spusty.
Tatiana idzie z nią przez pusty
Dworek naszego bohatera.
Patrzy: w bawialni zapomniany
Kij od bilardu w kącie śpi,
Na zmiętej kapie otomany
Pejcz leży. Wchodzą w dalsze drzwi.
Staruszka mówi: „Ot, kominek,
Dla pana zimą odpoczynek.

XVIII

Sam jeden często pan tu siadał,
Tu sąsiad nasz, nieboszczyk Leński,
Zimą z nim obiad nieraz jadał.
A tu miał pan gabinet wiejski;
Tu sypiał, kawę pijał z rana,
Tu rządcę o nowiny pytał,
Tu sobie książkę jaką czytał...
To izba nieboszczyka pana;
On tu w niedzielę okulary
Wkładał i w durnia ze mną grał.

Taki miał zwyczaj pan nasz stary...
Oby mu Bóg zbawienie dał
I oby zimna ta mogiła
W spokoju kostki uchroniła."

XIX

Wszystko wydaje się tu cenne,
Wszystko Tatianę niepokoi,
Wzruszenia budzi w niej tajemne,
Gorzką radością duszę poi:
I stół, i lampa nieświecąca,
I pełna książek etażerka,
Pod oknem łóżko, na nim derka,
Za oknem nikły blask miesiąca,
Widok doliny mgłą zasnutej
I połowiczny blady zmrok.
Tam na portrecie — Byron, tutaj
Figurka z brązu więzi wzrok:
Ręce na krzyż, a pod pierogiem
Spojrzenie chmurne sieje trwogę.

XX

Tatiana długo w celi modnej
Stoi bez ruchu — czar ją musnął.
Już późno. Wietrzyk powiał chłodny.
W dolinie ciemno. Gaik usnął,
Rzeka ukryła się w tumanach,
Za wzgórkiem zniknął sierp księżyca.
Zapamiętała się pątnica,
A tu do domu czas! Tatiana
Wyszła z pokoju Eugeniusza,
Westchnęła tylko raz u wrót;
Nie dając poznać, jak ją wzrusza
Ten dom, odchodzi, ale wprzód
Pyta, czy może tu powrócić,
Na książki w izbie okiem rzucić.

XXI

U wrót rozstała się z klucznicą.
Minął dzień jeden; wczesny ranek
Zaledwie wstał nad okolicą,
Znów przesunęła się przez ganek
I w opuszczonym gabinecie
Zamknięta — długi czas siedziała,
Na osobności tam płakała

Nie pamiętając ni o świecie,
Ni o tych książkach. Cóż? Bez chęci
Z początku brała je do rąk,
Ale ją dziwny dobór znęcił,
I oto książki w nowy krąg
Wciągnęły duszę mej Tatiany,
Otwarły przed nią świat nieznany.

XXII

Choć wiemy, znając Eugeniusza,
Że machnął ręką na lekturę
I książki posłał do lamusa,
Jednak oszczędził poniektóre:
Zachował *Giaura* i *Juana*,
Dołączył dwie lub trzy powieści,
W których się obraz wieku mieści
I całkiem wiernie jest oddana
Nieobyczajna i wyniosła,
Doświadczająca błędnych złud,
Współczesnych ludzi dusza oschła,
Samolubnego serca chłód,
Mózg, co ze światem się poróżnił,
I wre, i działa, ale w próżni.

XXIII

Nieraz dojrzała na stronicy
Kreskę paznokciem naznaczoną;
Wtedy uważny wzrok dziewicy
Zaciekawiony żywiej płonął.
Tak poznawała mimochodem,
Jakie sentencje, jakie zdania
Trafiały mu do przekonania,
Na co wyrażał cichą zgodę.
Niekiedy puszczał w ruch ołówek,
Na marginesach znaczki kładł:
Z krzyżyków i króciutkich słówek
Układał się misterny ślad
I wyłaniała się z nich dusza
Nieobecnego Eugeniusza.

XXIV

I tak powoli — Bogu dzięki —
Wyraźniej widzi moja Tania,
Dla kogo musi znosić męki.
W głowie jej kłębią się pytania,
Kim jest ten dziwak niebezpieczny,

Zrodzony w piekle czy też w niebie,
Anioł czy szatan pewny siebie.
Może to tylko niedorzeczny,
Przybrany pozór, kopia blada
Cudzych fantazji, cudzych snów,
Nędzna maniera, maskarada,
Leksykon pełen modnych słów,
Moskwicz w ubraniu Child-Harolda?
Może ten człowiek — to parodia?

XXV

Więc rozwiązana już zagadka?
Więc słowo trafne wreszcie padło?
Czas mija; w domu czeka matka
I dwóch sąsiadów tam zasiadło,
O córce toczy się rozmowa:
„Co robić, moi wy kochani?
Przechodzą latka naszej Tani —
Utyskiwała stara wdowa. —
Oleńka młodsza jest, a przecie!
Wiadomo, panna w domu schnie,
Ale co robić z nią, powiedzcie?
Wszystkich odpala: nie i nie,
Nie pójdę! Smuci mi się, biedna,
Po lesie chodzi sama jedna."

XXVI

„Może się kocha w kim?" „A w kim to?
Bujanow tu się swatał — wara.
Pietuszkow — także spuścił kwintą.
Gościa tu mieliśmy, huzara;
Ten się rozkochał w niej — bez granic,
A jak zabiegał, dobrzy ludzie!
Myślałam: szybko teraz pójdzie.
Ależ! I znowu wszystko na nic."
„Nie szkodzi, cóż? Do Moskwy, matko!
Tam konkurentów cały rój,
Tam jarmark panien: pójdzie gładko."
„Dochodu mało, ojcze mój!"
„Starczy na zimę i na drogę;
A zbraknie — to pożyczyć mogę."

XXVII

Staruszka cenić potrafiła
Rozumną, dobroczynną radę;
Skalkulowała, zestawiła

Cyfry, orzekła: zimą jadę!
Dla Tani przykre to nowości:
Na wielkomiejski gust wybredny
Wystawiać swój obyczaj biedny
Prowincjonalnej poczciwości,
Strój przestarzały i wytarty,
Niemodny styl, nieśmiały krok,
Moskiewskich Cyrcej ściągać żarty,
Galantów jadowity wzrok!
O, grozo! Lepiej w leśnej głuszy,
Jak dawniej, zaszyć się po uszy.

XXVIII

Odtąd z pierwszymi promieniami
Po okolicy biegać lubi,
Rozczulonymi spojrzeniami
Ogarnia pola i tak mówi:
„Żegnajcie mi, doliny senne,
Żegnajcie mi, wyżyny strome,
Lasy żegnajcie mi znajome
I wy, kolory nieba zmienne!
Naturo, żal mi twej urody!
Zamieniam cichy, miły świat
Na zgiełk próżności, na blask mody!
Żegnaj, swobodo młodych lat!
Dokąd i po co ulatuję?
Co przeznaczenie mi gotuje?"

XXIX

Przechadzki ciągną się do zmroku.
Tatiana coraz to przystaje:
Tyle nowego dziś uroku
Nabrały wzgórki i ruczaje.
I jeszcze raz do zagajnika,
Do swojej łąki leci pędem,
Jak do przyjaciół na gawędę.
Wesołe lato szybko znika,
Jesień wyzłaca stare klony
I stoi drżący, blady bór
Jak na ofiarę wystrojony...
Północ zganiając stada chmur
Dmuchnie, zawyje, przed oczyma
Zjawi się czarownica zima.

XXX

Przyszła, rozparła się, łachmany
Wiesza na dębach i ze śniegu
Ściele nam dywan sfałdowany;
Brzeg i potoki ścięte w biegu
Zrównując, puchem je zarzuca.
Zaświecił mrozek. I chwalimy
Zbytki matuli naszej, zimy.
Tatiana lubi wciągnąć w płuca
Mroźną kurzawę, w dal popatrzeć,
Z dachówek b a n i pierwszą kiść
Suchego śniegu zdjąć i natrzeć
Twarz, piersi, plecy, ale dziś
Wcale nie kwapi się nieboga,
Przeraża ją zimowa droga.

XXXI

Ucieka termin po terminie
Aż niepodobna zwlekać dłużej.
Wyszykowano już Łarinie,
Odmalowano do podróży
Landarę dawno zapomnianą.
Konwój złożony z trzech kibitek
Wiózł gospodarstwo i dobytek.
Jedne na drugie ładowano
Kufry i garnki, materace,
Słoje konfitur, świeży puch
Do pierzyn, statki, kubki, tace,
Klatki z kurami. Wrzask i ruch
Podniósł się nagle: służba płacze
I w osiemnastkę wiodą klacze —

XXXII

I do pojazdu zaprzęgają:
Pradawny zwyczaj to bojarski.
Kucharze ciasta dopiekają,
Na baby klnie woźnica dziarski.
Brodaty foryś siadł na szkapie
Chudej, kosmatej; tłum czeladzi
Gęsto przy wrotach się gromadzi,
Żegna dziedziczki. Pełznie, człapie
Za wrota powóz nasz dostojny.
Tatiana szepcze jak we śnie:

„Żegnaj, zakątku mój spokojny,
Żegnaj, pustelnio, kto to wie,
Czy cię zobaczę?“ Spuszcza oczy
I spod powieki łza się toczy.

XXXIII

Kiedy dla darów oświecenia
Szerzej otworzą się granice,
Nadejdzie czas (do obliczenia
Filozoficzne bierz tablice),
Nadejdzie czas za pięć stuleci,
Że drogi zmienią się kompletnie,
Niejedna Rosję szosa przetnie,
Tu ją połączy, tam obleci.
Żelazne mosty nad wodami
Przerzucą swój szeroki łuk,
A pod górami, pod rzekami
Przebiegnie sieć zuchwałych dróg,
I lud chrześćjański dla wygody
Wszędzie wystawi nam gospody.

XXXIV

Dzisiaj jeździmy drogą żmudną,
Dziś zapomniane mosty gniją,
Na stacjach nocą usnąć trudno,
Gdy pchły i pluskwy krew z nas piją;
A gospód nie ma. W izbie chłodnej
Wisi jadłospis wyśmienity
I tylko drażni apetyty
Pustą przechwałką; czekasz głodny —
Przy ogniu wiejskie dwa cyklopy
Długo badają smutny stan
Kolaski; wytwór Europy
Rosyjskim młotkiem leczą z ran
I błogosławią wyboisty
Gościniec ziemi swej ojczystej.

XXXV

A za to w porze śnieżnej, chłodnej,
Jazda wywinie się jak z płatka.
Jak wiersz bezmyślny w pieśni modnej,
Tak w zimie droga będzie gładka.
Nasz chłop — woźnica zawołany,
I trójki mkną co koń wyskoczy,
Wiorstowe słupy, ciesząc oczy,

Migają gęsto jak parkany.
Łarina miała wzgląd na koszty;
Nieszczęściem konwój nasz się wlókł
Nigdzie nie biorąc koni z poczty
I panna nudą naszych dróg
Dowoli pasła się w karocy:
Jechały siedem dni i nocy.

XXXVI

Już niedaleko. Już i wokół
Gorejąc złotem w oczach rosły
Krzyże na czubach starych kopuł
Białokamiennej mojej Moskwy.
Ach, kiedy nagle mnie otoczył
Widok pałaców, parków, dzwonnic,
Już nie pytałem, bracia, o nic,
Ledwiem ze skóry nie wyskoczył!
Zagnany losem na pustkowie,
Jak często, tłumiąc w piersi jęk,
Moskwo, myślałem ja o tobie!
Moskwo... ten jeden tylko dźwięk
Ile odgłosów, ile treści
Dla rosyjskiego serca mieści!

XXXVII

Oto Piotrowy zamek; dęby
Wysoko wznoszą tu korony.
Tu w dzień, co przeszedł do legendy,
Stał Napoleon upojony
Sukcesem — i daremnie roił,
Że hołdowniczą ujrzy Moskwę,
Że klucze wręczą mu kremlowskie...
Nie, Moskwy mojej nie rozbroił;
Nie pochyliła głowy starej,
Nie chleb i sól, nie lenny dar
Ofiarowała, lecz pożary,
A wtedy on na dłoniach wsparł
Posępne czoło i w złowrogiem
Milczeniu długo patrzył w ogień.

XXXVIII

Wnet rozstaniemy się ze świadkiem
Strąconej chwały. Ano, jazda!
Między słupami przez rogatkę
Kolaska wtacza się do miasta

I skacze po wybojach Twerskiej.
Migają w drodze baby, szopy,
Latarnie, sanie, sady, chłopy,
Kramy kupieckie i fryzjerskie,
I Bucharczycy, i handlarki,
Klasztory, gmachy, lwy u wrót,
Kozacy, baszty, miejskie parki,
Apteki, magazyny mód,
Bulwary, place i balkony,
Na krzyżach sejmujące wrony.

XXXIX.XL

I tak kolaska niestrudzona
Godzinę kręci się po mieście.
W zaułku koło Charitona
U wrót jakiegoś domu wreszcie
Stanęli. Tutaj mieszka stara
Ciotka; biedaczka, rok już czwarty
Schnie na suchoty. Dwór otwarty;
Z pończochą w ręku, w okularach,
W starym strzępiącym się kaftanie
Siwiutki kałmuk stoi w drzwiach.
W bawialni krzyk na powitanie,
Księżna wołając och i ach
Odrywa głowę od poduszki,
Płaczą, ściskają się staruszki.

XLI

„Księżno, mon ange!“ — „Pachette!“ — „Alinko!“ —
„Kto by pomyślał? — Moja miła
Na długo? — Kopa lat, kuzynko!
Siadaj — ach, mądrześ to zrobiła!
Doprawdy, scena jak w romansie...“ —
„To moja córka, wiesz? — Tatiana.“
„Ach, Tania! podejdź tu kochana —
Bredzę jak w magnetycznym transie...
Powiedz, pamiętasz Grandissona?“
„Jak? Grandissona?... Ależ tak!“
„On mieszka tu, u Simeona;
Siwy, powiadam ci, jak szpak;
Był u mnie kiedyś na jesieni,
Mówił, że właśnie syna żeni.

XLII

A ten... No, później ci opowiem.
Jutro pokazać trzeba Tanię
Krewniakom. Źle jest z moim zdrowiem.
O, jaka szkoda, moje panie,
Że sama z wami nie pojadę,
Ale już ledwie ciągnę nogi.
Gadam, a wy zmęczone z drogi.
Chodźmy odpocząć... Piersi słabe...
Tchu brak... Mnie nawet radość gniecie,
Nie tylko smutek... Taki grat,
Że nic już po nim na tym świecie...
Podła jest dola starych lat..."
I tu, zmęczona, we łzach cała,
Głośno się księżna rozkaszlała.

XLIII

Wzruszają serce mej Tatiany
Pieszczoty chorej, lecz nieswojo
Czuje się w mieście; wiejskie ściany
Jeszcze po nocach jej się roją.
Jedwabne na cóż jej zasłony?
Na świeżym wierci się posłaniu,
Nie śpi, a kiedy o świtaniu
Na trud poranny biją dzwony,
Dźwięk ich wyciąga ją z pościeli;
Siada u okna. Rzednie mrok,
Ale się przed nią nie zabieli
Znajome pole; smętny wzrok
Obiega jakiś dwór nieznany,
Tu — stajnia, kuchnia, tam — parkany.

XLIV

Po wszystkich krewnych na obiadek
Dzień w dzień Tatianę obwożono,
By cieszyć oczy dziadków, babek —
Jej melancholią roztargnioną.
Gdzie tylko krewne ze wsi wpadną,
Wszędzie serdeczne pocałunki,
Okrzyki, wszędzie poczęstunki.
„Ach, jak wyrosła! Nie tak dawno,
Zdaję się do chrztu cię trzymałam.
Na ręce brałam cię, ot tak!
Ja prztyczka w ucho ci dawałam!
Mnie wyjadałaś z ciasta mak!"
I chórem babki powiadają:
„Tak nasze lata uciekają!"

XLV

A nie znać po nich żadnej zmiany.
Ciotka Helena — spójrzcie, proszę —
Ten sam czepeczek haftowany,
Iwan Piotrowicz — liczy grosze,
Siemion Piotrowicz — kiep jak dawniej.
Różuje twarz Lukieria Lwowna,
Kłamie jak z nut Lubow Pietrowna
I do Pelagii Nikoławny
Ten sam przyjaciel na śniadanie,
Monsieur Fine-Mouche przychodzi wciąż,
Ten sam pinczerek na dywanie,
Ten sam, tak samo głuchy mąż,
Tak samo klubem tylko żyje,
Tak samo je za dwóch i pije.

XLVI

Córeczki ich, moskiewskie gracje,
Patrzyły milczkiem na kuzynkę,
A gdy skończyły już lustrację,
Orzekły: chuda odrobinkę,
Trochę za blada i wyraźnie
Prowincjonalna, mało składna,
A zresztą wcale, wcale ładna.
Potem objęły ją przyjaźnie,
Posłuszne prawom swej natury;
Wzięły do siebie, ciemny włos
Modnie upięły jej do góry,
Naniosły szmatek cały stos
I wyśpiewały z przekonaniem
Sekrety serc, sekrety panien,

XLVII

Nadzieje, psoty i marzenia,
I każdy podbój salonowy,
A te niewinne ich zwierzenia
Miały leciutki smak obmowy.
Wycałowały ją szczebiotki
Swoim panieńskim obyczajem
I spodziewały się nawzajem
Usłyszeć od niej sekret słodki.
Ale Tatiana biernie słucha,
Pozwala, ile zechcą, pleść
I na zachęty panien głucha
Skarb swego serca, czułą treść
Marzeń i łez w ukryciu chowa,
Nikomu nie wyjawi słowa.

XLVIII

Z początku bardzo ją ciekawi,
O czym się mówi w gronie gości,
Co ich zajmuje, co ich bawi —
I słyszy stek niedorzeczności.
Słów beznamiętnych płynie potok,
Te same zdania w kółko żują
I nudzą, nawet gdy szkalują.
Pośród jałowych nowin, plotek,
Nawet przypadkiem myśl nie błyśnie
I senny umysł ani drgnie,
A serce, choćby i kapryśnie
Miało przemówić, także nie!
Ba, nawet śmiesznej nie znajdziecie
Bredni w tym pustym, wielkim świecie!

XLIX

Z daleka patrzą się czupurnie
Wszyscy młodzieńcy archiwalni,
Coś sobie szepczą o niej chmurnie,
Roznosząc wyrok po bawialni.
Smętny się błazen raz nadarzył,
Ideał znalazł w niej najżywszy
I w pół się drzwiami przysłoniwszy
Na Tani cześć elegie smażył.
U nudnej ciotki na wizycie
Wiaziemski koło Tani siadł;
Na chwilę zdołał tchnąć w nią życie;
Widząc go przy niej stary dziad
Już pyta babki o ich wnuczkę,
Poprawia żakiet i peruczkę.

L

Lecz tam, gdzie namiętnością wrząca
Przeciągle Melpomena wyje,
Gdzie błyska szychem jej opończa
I nikt oklasków jej nie bije,
Gdzie Talia cicho sobie drzemie
I milczy tłum do braw nie skory,
Gdzie tylko wdzięki Terpsychory
Podziwia młode widzów plemię
(Jak i za dawnych lat, niestety,
O czym wiadomo mnie i wam),
Nie prześladują jej lornety
Światowców i zawistnych dam,
I na jej wejście znawca z loży
Szkiełka do oczu nie przyłoży.

LI

Na Assemblée czyli Zebranie
Wiozą Tatianę: słup gorąca,
Grzmoty orkiestry, świec mruganie,
Para za parą wirująca,
Na pięknych paniach strój obcisły,
Rojne galerie, łuk szeroki
Panien do wzięcia, blaski, mroki —
Elektryzują wszystkie zmysły.
Tu galant stoi na galancie,
Huśta niedbale swe lorgnon,
Wypina gors i arogancję.
Tu na urlopie w tańcu grzmią
Huzarzy; zjawią się, zaświecą
Szlifami, olśnią i ulecą.

LII

Noc ma na niebie wiele gwiazdek,
Wiele ślicznotek Moskwa rodzi,
Jaśniej od gwiazd i od niewiastek
Na wysokości Luna wschodzi.
Ta, której lutnia moja nie śmie
Trwożyć tonami czułej struny,
Zaćmiewa majestatem Luny
Panie i panny w całym mieście.
Rzekłbyś, niebianką, że tak godnie
Stawia na ziemi lekki krok!
Pierś jej oddycha tak łagodnie!
Tak słodko marzy cudny wzrok!...
Lecz dosyć, dosyć tego będzie:
Na Boga! Znowu śnisz w obłędzie.

LIII

Gwar, śmiech, ukłony, walczyk szumny,
Oberek, galop... A Tatiana
Między ciotkami, u kolumny,
W natłoku ledwie dostrzegana,
Tatiana patrzy i nie widzi;
Nieznośny wir wielkiego świata
Odpycha duszę, pierś przygniata...
Marzenie woła ją gdzie indziej —
Do wsi, gdzie mieszka chłop ubogi,
Gdzie na ustroniu jasny zdrój
Opływa łąki i rozłogi,
Gdzie książki — swoje, kwiatek — swój,
Gdzie stoi mrok lipowych alej,
Tam, gdzie we dwoje się spotkali.

LIV

Stała tak, marząc na uboczu,
Gwar balu w uszach jej zamierał,
Tymczasem jej nie spuszczał z oczu
Pewien znaczniejszy gość — generał.
Ciotki mrugnęły powiekami,
Trąciły Tanię nagłym ruchem
I każda szepcze jej nad uchem:
„Spójrz się na lewo... Tam za nami...'
„Na lewo? Gdzie? I co was dziwi?"
„Nie pytaj, złotko, tylko spójrz...
Tam, gdzie mundury... Spójrz się żywiej...
Na lewo dwaj... a ten tuż, tuż...
Ruszył się... stanął z drugiej strony..."
„Kto? Ten generał wypasiony?"

LV

Tu powinszuję mojej Tani:
Nie lada podbój podejrzewam;
I pójdę dalej, bom już dla niej
Prawie zapomniał, o kim śpiewam.
„Śpiewam tu młodość przyjaciela,
Jego postępki chimeryczne
I fanaberie jego liczne.
O, niechże muza mi udziela
Błogosławieństwa w długim trudzie,
Niech da mi kostur, iżbym mógł
Opędzić się kłamliwej złudzie!"
Lżej mi — spłaciłem ciężki dług
Klasycyzmowi: jeszcze zda się
Ta inwokacja, choć po czasie.

przełożył **Adam Ważyk**

Przekład komedii Lopego Vegi pt. „Pies ogrodnika"

Naczelna zasada tłumacza

I

W myśl wszystkiego, co głosiłem i głoszę, za najważniejsze zadanie mojego przekładu uznałem wierne ukazanie ludzi dramatu. Chodziło mi o to, żeby u mnie jak najbardziej byli tym, czym są u Vegi, i to nie tylko w ogólnych zarysach, ale we wszystkich kreskach. Chodziło mi o to, żeby każda ich wypowiedź była dla każdego z nich tak charakterystyczna, jak charakterystyczną chciał mieć ją autor, i żeby była taka nie tylko z przybliżonej myśli, nawet nie tylko z doboru słów, więcej! jeszcze z budowy zdania, z jego szyku regularnego lub rwanego, bo one nie mniej niż treść zdań są wyrazem charakterów i momentów charakterystycznych. I — ważne! — od ich uwydatnień zależą możliwości aktorskie przy stawianiu figur na scenie, przy nadawaniu im konturu. A więc — wierność autorowi w jego widzeniu i słyszeniu ludzi, w jego stosunku do każdej wypowiedzi jako charakterystyki mówiącego i jako charakterystyki momentu, w którym mówiący mówi.

Wiem, że u nas postępuje się inaczej. U nas naczelnym celem tłumacza jest gładkość wiersza. Zawsze, gdy przedmiotem rozmowy czy artykułu staje się przekład poetyckiego dramatu, literaci i aktorzy ocenę swą zaczynają i kończą tą właśnie sprawą: czy wiersz „płynie gładko". Przeoczają, że u takich pisarzy dramatycznych, jak Szekspir i Vega, nie zawsze płynie gładko, i że właśnie w odstępstwach od gładkości otrzymujemy klejnoty dramatopisarstwa. Nie wnika się u nas w sprawę najistotniejszą: czy ludzie przekładów mówią zgodnie z tym, czym są w dramacie.

A mnie o tę właśnie zgodność chodziło — przed wszystkim innym. To, co tę zgodność stwarza, uznałem za wartość przewyższającą wszystkie inne. To, co tę zgodność stwarza, uznałem za jedyne „naj", za jedyny superlatyw, za czynnik rozstrzygający wszystkie inne kwestie. Tym samym otrzymałem drogowskaz dla wszystkich rozdroży tłumacza, i otrzymałem dobro, w którym znalazłem pociechę po nieuniknionych stratach.

Rymy

II

Z mojej zasady naczelnej musiało wynikać, że w hierarchii wartości rymy otrzymały rangę najniższą. Mus dobierania słów, które by ze sobą rymowo współbrzmiały, nieuchronnie wprowadziłby w przekład okaleczenia najboleśniejsze. Z mocy wewnętrznych praw rządzących słowami — słowo mające ulec zrymowaniu ciągnie za sobą serię słów złączonych z nim nierozerwalnie; a ponieważ w różnych językach słowa rymorodne pochodzą z innych spraw życia i z innych ośrodków świata, więc i zależne od nich serie słów różne są w różnych językach.

Już w obrębie jednego zdania, ujętego rymowo, powstają w przekładzie zestawienia słowne inne niż w oryginale. A gdzie są inne zestawienia słowne, tam są inne zestawienia wyobrażeniowe; a gdzie są inne zestawienia wyobrażeniowe, tam wypowiedź jest ludzko inna.

Nie koniec na tym. Bo przecie w następnym zdaniu tłumacz rymujący nie

snuje dalej swego przekładu tak, aby dawać n a t u r a l n y ciąg dalszy tych zestawień słownych, które sam zastępczo (= odstępczo) wprowadził, lecz kieruje się częściowo słowami autora, częściowo zaś słowami rymorodnymi swojego języka. Popełnia teraz odstępstwo w stosunku do tego, co sam w zdaniach poprzednich napisał.

W wyniku powstaje mieszanina nie mająca w sobie związków wyobrażeniowych zgodnych z psychiką ludzi dramatu.

Wyobraźcie sobie człowieka, który idzie łąką; ma swój cel i odpowiednio do niego wybiera linię swej drogi. Ale ledwie zrobił dwa kroki, ktoś daje mu szturchańca i spycha go w bok; on znowu stara się wrócić na swą linię, robi dwa kroki w jej kierunku, i — znowu dostaje szturchańca. Tak szturcha rym. Kto by nie widział szturchającego, a oglądał linię drogi, jaką przechodzi szturchany, nie mógłby tej linii zrozumieć. Czasem nie mógłby nawet pojąć, dlaczego nieszczęśliwe popychadło dochodzi w końcu do tego miejsca, do którego dochodzi. Tak nienaturalnymi są często drogi ludzi w przekładach rymowanych. Trzeba dodać, że celem drogi jest w dramacie nie tylko punkt długodystansowej akcji; może nim być także cel rozmowy, nawet cel jednego zdania.

Rym działa w przekładach jak tyrańskie fatum. Gdy ja sam jestem autorem utworu, dyktat rymu (czy asonansu) jest jedną z uciech tworzenia, bo to ja sam dyktuję sobie samemu, ja sam stawiam sobie przeszkody po to, aby przetworzyć je w dźwięczące wiosła, które popędzają moją myśl w najściślejszej zgodzie z prawdą o mnie lub o innych ludziach. Gdy zaś jestem tłumaczem, rym jest tyranem; jest nim dlatego, że zmusza mnie do posłuchu w złej sprawie, w sprawie, która ludziom zadaje gwałt, która nie pozwala być im takimi, jakimi są, nawet gdy owładnęły nimi chwile najlepsze.

Trzeba jednak uczynić zastrzeżenie, że nie we wszystkich rodzajach literatury sprawa ta ma jednakową ważność. Ktoś raz zachwycał się w mojej obecności jakimś poetą zagranicznym za jego przekład z Goethego czy Heinego; zacytował pierwszą strofę w obu językach; podnosił w przekładzie gładkość wiersza i jego zupełną wierność rytmom oryginału i jego układowi rymowemu. Cóż się okazało? Aby taką wierność wydobyć, zamienił tłumacz drzewo autora na inne drzewo, lecz na tym innym drzewie pozwolił leżeć śniegowi tak samo jak na drzewie autora, co w danym wypadku nie było zgvca[illegible] z naturą zjawiska. Takie sprzecz[illegible]zi mogą nie być bardzo ważne w odniesieniu do śniegu na jodle czy śniegu na sośnie, ale w dramacie, gdzie chodzi o ludzi, przeinaczają ludzi.

III

Gdy otrzymałem tekst hiszpański, kilka spojrzeń wystarczyło, by stwierdzić, że panuje w nim rygor rymowy (lub asononsowy), ale—że nie prowadzi on do jednostajności niezachwianej. Dominuje schemat *abba*, połączony z 8-zgłoskowcem, który jest w komediach wierszem zasadniczym. W przemówieniach pompatycznych wiersz przedłuża się do 11 zgłosek, a wtedy rym występuje w innym schemacie: *ababacc* Niektóre monologi utrzymane są w rygorze sonetowym: *abbaabbacdcdcd*.

Są więc w utworze partie, w których rymują się nie tylko dwa słowa, lecz trzy, a nawet cztery! Przekład, który by chciał być wierny takim rygorom rymowym, musiałby kazać ludziom mówić zupełnie co innego, niż mówią w oryginale, i być kim innym, niż są w oryginale, bo tak działałoby tyrańskie fatum rymowe.

Skoro moim superlatywem ważności, moją najważniejszością, jest wierność wobec człowieka, musiałem zrezygnować z tego, co ją uniemożliwia.

IV

Z nierymowania wyniknęło kilka korzyści dodatkowych:

Autor oryginału, choć pisarz genialny, zmuszony był nieraz wpychać watę dla wypełnienia przestrzeni międzyrymowych, rozszerzonych trzykrotnymi i czterokrotnymi rymami. Ja — watę mogłem pomijać. Dotyczy to nie tylko słów, ale — w nielicznych co prawda wypadkach — nawet zdań.

Słowa, którymi — przy szukaniu rymów — zmuszony był r a t o w a ć s i ę dla podtrzymania schematu rymowego, opartego dobrze sem aż na trzech lub czterech słowach rymujących się, mogłem zastępować słowami właściwszymi. Niektóre z Vegowskich słów ratunkowych — jak np. *gusto, remedio, ocasion, decoro* — występują w oryginale tak często, że miejscami czynią słownictwo nie tylko nużącym, ale i nieprawdziwym; więc ile razy wyczuwałem takie skutki tyranii rymu, mogłem w miejsce słów ratunkowych wmyślać inne, bardziej zgodne z charakterem i momentem mówiącego.

Analogicznie mogłem odnosić się do układu myślowego niektórych wypowiedzi, gdy na układzie tym ciążył również wpływ schematu rymowego (czy asonansowego) powodując niezgodność z psychiką mówiącego.

Zazębienia dialogów, gdy u autora zależały tylko od rymu, mogłem poddawać prawu naturalności.

Moje odstępstwa uzasadniam racją pisarską:

1. Jestem w nich wierny naczelnym ideom Lopego Vegi, wypowiedzianym w wyznaniach o dramaturgii, w których żądał prawdy o ludziach i naturalności mowy. Moje odstępstwa od autora są w gruncie wiernością wobec autora.

2. Pozwalając sobie na bezrymowość, miałem obowiązek dać dziełu wszystkie korzyści, jakie bezrymowość dać mu może.

3. Wypadki moich odstępstw nie są liczne.

Czy racja pisarska jest po mojej stronie?

V

W moim przekładzie są też rymy. Są, gdzie być powinny.

Powinność ta obowiązywała mnie przy niektórych sformułowaniach myśli, gdy trzeba było dać im dosadność. Obowiązywała mnie także w ostatnich częściach aktów, spełniających szczególną funkcję teatralną.

Niezbędne były rymy w monologach, bo te partie utworu zajmują w dramaturgii Vegi miejsce szczególne. Mają być czynnikiem urozmaicającym przedstawienie — brzmieniowo. Vega pragnie, żeby od reszty przedstawienia odróżniały się wywoływaną przez nie odrębną przyjemnością słuchową. Dlatego często nadaje monologom formę sonetu lub utworu z refrenem, i jeszcze w oba rodzaje wprowadza dla efektów brzmieniowych wymyślne gry słów. Niesłuszne byłoby lekceważyć zupełnie takie intencje dramaturgiczne; coś z nich należało uwzględnić.

Bywają u mnie jeszcze rymy nie w dosłownym znaczeniu; nazwałbym je rymami treściowymi. Tu i ówdzie wprowadzam równoległości myślowe, a raz — w opowiadaniu lokaja o uczonym — powtarzam serię zdań. W jednym i drugim działam w duchu Vegi. Powtórzenie zdań, które powierzchownemu badaczowi mogłoby wydać się dowolnością, ma jednak u autora analogię: zaraz na samym początku komedii ochmistrz powtarza bez zmian czterowierszową

wypowiedź; potem w pożegnaniu sekretarza z hrabiną również pojawiają się powtórzenia.

Muszę zaznaczyć z naciskiem: rymy wprowadzane w granicach, w jakich ja je wprowadzam, nie kolidują z obowiązkami tłumacza utworów dramatycznych, bo, skoro — dzięki zasadzie bezrymowości — ludzie utworu, ich przeżycia i charakterystyczne momenty otrzymały w przekładzie odpowiedniki najściślejsze z możliwych, to niektóre rymowane miejsca nie wnoszą już zniekształceń.

Respektowanie rymów

VI

W swym traktacie dramaturgicznym zaleca Vega, żeby autorowie dramatów rozumnie przystosowywali wierszowanie do tematów; niech uzależniają wiersz od tego, czy człowiek na scenie skarży się, czy czeka, czy wypowiada uczucia miłości, czy relacjonuje zdarzenia. Stworzył sobie Vega własną psychologię rytmu. W moim przekładzie przestrzegałem jej pilnie.

Wraz z autorem przyjąłem więc jako rytm główny — 8-zgłoskowiec. Ile razy autor dla uwydatnienia charakteru dialogu przedłuża wiersz np. do 11 zgłosek, chętnie idę za nim, bo idę za jego ludźmi; tylko chwilami troska o wierność sensowi wypowiedzi skłania mnie do powiększenia lub pomniejszenia wiersza o 1 zgłoskę, i to tak, że nie wpływa to ani trochę na charakter obrazu przemieniowego.

Ze szczególną dbałością realizowałem wszystkie z a b u r z e n i a rytmów jako bezsłowne wyrazy duszy i — ważne! — jako okazje do rozwinięcia gry aktorskiej. Znając niewybredne poglądy na rytm, podtrzymywane u nas przez niekompetentnych, i przewidując możliwość niewyczucia intencyj autora, nie bałem się przed uchwytnym dla oka zaznaczaniem rytmowych zaburzeń; zaznaczałem je interpunkcyjnymi kropeczkami. Vega, choć często ten znak pisarski umieszcza na końcu wypowiedzi, nie posługuje się nim w e w n ą t r z wypowiedzi; dlatego zaburzenia zdaniowe nie zawsze są widoczne, a czasem głębszy sens zdania nie jest zrozumiały nawet dla zawodowych znawców Vegi. Nie uwzględniają tego vegowskiego zjawiska niektórzy tłumacze, zdania zaburzone wewnętrzym nurtem uczuciowym wygładzają i wnoszą w przekład rytm jednostajny. Czyż to jest Lope de Vega? Czy to są jego ludzie?

VII

Aby nie pominąć niczego ważnego: sprawa 7-zgłoskowca jako odmiany 8-zgłoskowca.

W czasie pisania przekładu łodzianin znający zagraniczne przekłady dzieł Vegi, zadał mi pytanie:

— A co pan robi z rymami męskimi?

— Po co rymom nadawać płeć? Ich cechy płciowe istnieją tylko w wyobraźniach zacofanych.

— Nie zgadzam się.

— Więc chodzi panu o częstość, z jaką u Vegi występują rymy jednozgłoskowe, i o trudność, jaką to stanowi dla tłumacza p o l s k i e g o? Bo w języku polskim ilość rymujących się słów jednozgłoskowych nie jest wielka? Tak?

— Właśnie, właśnie — uśmiecha się złośliwie.

— Mimochodem powiem, że niewielka ilość rymów jednozgłoskowych zapewniła wielkiej poezji polskiej jedno ze źródeł potęgi.

— Wróćmy do tematu.

— Wracam: na rymach jednozgłoskowych mało mi zależy.

— Więc w przekładzie nie daje ich pan?

— Tylko wtedy kiedy mają wewnętrzną rację bytu.

— Więc, choć u Lope de Vegi 8-zgłos-

kowiec przechodzi w 7-zgłoskowiec, u Pana pozostaje 8-zgłoskowcem?

— Nie inaczej.

— I nie uważa Pan tego za szkodę?

— Wcale nie.

— Przecież cierpi na tym melodyjność wiersza.

— Ale moim zdaniem taka melodyjność nie jest melodyjnością wysokiego gatunku. Ostatecznie, gdybym koniecznie chciał ją jakoś uwzględniać, mógłbym dawać 7-zgłoskowce asonansowe lub białe. Czynię to jednak tylko wtedy, gdy nie przeinaczam tym charakteru ludzkich wypowiedzi. Wiersz 7-zgłoskowy, jeśli pojawia się u mnie, to nie wyłącznie dla waloru brzmieniowego i nie jako coś, co samo nawija się pod pióro; musi on mieć wewnętrzną rację istnienia; gdy ją uzyskuje, staje się wartością. Chcę, żeby zdania rytmizowały prawdę swej treści.

Kwestia epoki

VIII

Ludzie oryginału, osadzeni w epoce, od której oddaleni jesteśmy o trzy stulecia, osadzeni są także w niektórych drobnych szczegółikach niezrozumiałych lub nie dość zrozumiałych dla ludzi dzisiejszych. Czyniłem je zrozumialszymi, ponieważ pragnieniem moim było, żeby z przekładu wyszedł utwór, który by sam w sobie tłumaczył się najpełniej.

Nawiasowe instrukcje, dotyczące scenicznego postępowania aktorów, ogranicza Vega — w myśl panującego w jego czasach zwyczaju — do minimum: „wychodzi" „czyta" „upada" „za kulisami śpiewają" „Diana na stronie do Anardy". Nawet wejścia osób nie są notowane, jako że każde wejście nowej osoby wytwarza nową „scenę", która w nagłówku otrzymuje kolejny numer porządkowy i spis występujących w niej osób; z tego spisu wynika, kto przybył. Tylko w rzadkich wypadkach, gdy bardzo zależy Vedze na jakimś działaniu scenicznym, a z wypowiedzi osób nie dałoby się ono wywnioskować, tylko wtedy daje instrukcję. Tak czyni z hrabiną, zanim zacznie ona dyktować sekretarzowi wyzywający list; zaznacza w nawiasie: *„hrabina siada w krześle wysokim"*.

Zachować zupełną wierność takim ograniczeniom, podyktowanym zwyczajami epoki? Nie wolno przeoczać, że współcześni (aktorzy i czytelnicy) znali znakomicie sposoby swego wielbionego autora i przedstawienia teatralne jego dzieł, że więc z wypowiedzi osób umieli wydobywać więcej niż to jest możliwe dla ludzi czasów o wiele późniejszych. Jeśli wiele arcymistrzowskich sytuacji i powiedzeń nie ma paść ofiarą dziejowej odległości, interwencja tłumacza, choć dokonywana tylko w nawiasach, jest pożądana.

A skoro już miałem dawać instrukcje, to notowałem także wejścia osób. Myślę, że gdy przekład ukaże się drukiem, czytelnicy będą mi wdzięczni za odstąpienie od okrucieństwa, jakiemu byliby poddani, gdyby mieli ze spisu osób, umieszczonego w nagłówku sceny, obliczać, kto na scenę przybył.

Robiłem mój przekład dla teatrów i dla czytelniczego ogółu. Pragnąłem, żeby utwór podobał się tak, jak podobał się w jego epoce. To jest również wierność wobec epoki.

IX

Wszystko dotąd to fraszka w zestawieniu z trudnością, jaką stanowią formy mowy stosowane w zwracaniu się osób do siebie.

Lokaj mówi do sekretarza, swego pana, niemal stale „ty", a sekretarz do niego tak samo. Hrabina mówi do swego dworzanina, szlachcica, dłuższy czas w drugiej osobie liczby mnogiej, ale w

tej samej scenie i w następnej mówi do niego także w drugiej osobie liczby pojedynczej. Ten zaś dworzanin skierowuje do hrabiny w pierwszym odezwaniu się etykietalne *vuestra senoria*, ale zaraz w drugim odezwaniu się mówi do niej w drugiej osobie liczby pojedynczej, w trzecim odezwaniu się daje jej tytuł „pani", w czwartym powraca do drugiej osoby liczby pojedynczej. Tych kilka przykładów niech ilustruje nieokreśloność, z jaką występują u Vegi formy zwracania się do siebie ludzi z różnych szczebli społecznych.

Mogłoby się wydawać, że mamy tu do czynienia z autorską swobodą przeciągniętą aż w dowolność. Ale u pisarzy tej miary, co Lope de Vega, swobody są tylko rozszerzeniem praw. Jakież to mogły być prawa?

Może — (tu mogliby zabrać głos historycy) — były one w związku z jakimiś analogiami życiowymi? A może z ówczesnymi umownościami teatru hiszpańskiego pochodzącymi między innymi z motywów wersyfikacyjnych, z potrzeby uwalniania wypowiedzi od tytułów, które z 8 zgłosek wiersza często musiałyby zabierać dla siebie aż 6!

Gdy to lub coś podobnego rzeczywiście podtrzymywało prawa autora hiszpańskiego, rozumielibyśmy Vegę lepiej. Moglibyśmy powiedzieć, że te właśnie prawa rozszerzał, że korzystał z nich swobodnie, lecz nie wyraziście.

Gdyby tłumacz przekładał te jego swobody zupełnie dokładnie, mógłby przekład wydać się naszym widzom teatralnym i czytelnikom — niedorzeczny. Stanąłem przed kwestią niełatwą. Nie mogłem przyjąć całości tego, co jest u Vegi, a nie chciałem zmieniać tego całkowicie. Uznałem, że należy zachować miarę w jednym i drugim, ale tak, żeby swobody Vegi jednak zwracały na siebie uwagę. Widz i czytelnik staną przed zjawiskiem niejasnym, a jeśli należą do ludzi myślących, zamyślą się.

X

Gdy miałem do czynienia z powiedzeniem, które w czasach Vegi było ogólnie zrozumiałe, a w naszych czasach naszemu widzowi nie mówiłoby nic, przekładowym chwycikiem sięgałem po wyraz właściwy.

Już choćby sam tytuł komedii: P i e s o g r o d n i k a. Oparty on jest na dykteryjce u nas niemal nieznanej, więc w przekładzie trzeba było na nią wskazać. Odbyło się to w ten sposób, że hrabina zadaje pytanie: „Jaki pies?", a sekretarz odpowiada: „No ten z tej bajki". Oczywiście, pytanie hrabiny nie oznacza, że ona bajki nie zna, lecz jest wyrazem zdumienia, zakłopotania, gniewu, z jakimi przyjmuje sekretarzowe zestawienie jej z „psem ogrodnika". Sprawa wymagała wplecenia 6 słów.

Analogicznie postąpiłem z ostatnimi zdaniami komedii, tymi, w których jeden z aktorów, kończąc przedstawienie, zwraca się do widowni i — jak we wszystkich innych komediach Vegi — nazywa publiczność senatem. Tłumacze (np. Morstin w O w c z y m Ź r ó d l e lub tłumacz rosyjski w S a b a k i e n a s i e n i e) nie uwzględniają tego słowa. Swego czasu, w esseju opublikowanym w T w ó r c z o ś c i, dowiodłem wielkiego jego znaczenia. Wskazałem na pomijaną przez hispanologów sprawę jego związku z demokratyzmem poety i z całym jego stosunkiem do teatru. Aby dochować Vedze wierności w jego poglądzie na widownię jako na „senat", wydobyłem z jego ulubionego słowa istotną zawartość. Chwyt udał się. A ilość wierszy powiększyła się tylko o 1.

T e o d o r:
(do widzów)
Tu koniec naszej komedii.
Wy, szanowni zgromadzeni,
(Przy wypowiadaniu wiersza następnego

patrzy autor na najwyższy balkon, na miejsca najtańsze)
i ty, wysoki senacie,
sekret Teodora znacie,
lecz nie zdradźcie go nikomu!
A sąd o naszej komedii
wydajcie — nie pokryjomu!

Uwagi końcowe

Podając myśli, jakie mną kierowały przy tłumaczeniu P s a o g r o d n i k a, podaję je jako przyczynek do dyskusji, które toczą się u nas w sprawie przekładów.

Aby jednak uniknąć nieporozumień, uważam za nieodzowne dorzucić kilka uwag:

Z tego, co tutaj napisałem, nie wynika bynajmniej, że w s z y s t k i e zasady, jakie uznałem za kierownicze, powinny być odniesione do w s z y s t k i c h dzieł przekładanych. Estetyka przekładów nie powinna dążyć do wypracowania zasad wszechobowiązujących, lecz do określenia zależności wymogów od rodzaju dzieł i cech dzieł.

Kto słuszność tych zależności dostrzeże, ten np. uzna możliwość przekładania Szekspira czy Aischylosa — prozą, a to ze względu na ważność, jaką w ich dziełach należy przypisać każdemu słowu, każdemu zdaniu i każdej kolejności słów i zdań. Lope de Vega, choć również pisarz miary olbrzymiej, nie budował swych dzieł z równą ścisłością. Niektóre przyczyny tego ukazałem powyżej; w ich świetle staje się zrozumiałe, że przekładom Vegi należy stawiać wymogi inne niż np. przekładom Szekspira.

Bywają odstępstwa od przekładanego dramatu, które są wiernością wobec niego i wobec jego autora. Ale prawo do takich odstępstw mają wyłącznie ci tłumacze, którzy całą swoją twórczością pisarską wykazali wnikliwość w rozumieniu ludzi literackich.

Charakter odstępstw od oryginału i ich motywy powinny być znane czytelnikowi. Powiadomienie czytelnika o nich — niech tłumacz wykonuje po swojemu; niekiedy wystarczy krótka notatka.

Tadeusz Peiper

Warszawa, 1949, wrzesień.

O niektórych zagadnieniach budownictwa przemysłowego

Zaczęło się od najogólniejszych danych i od liczb Planu. „Rozpocząć budowę 1425 obiektów we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej, w tym 1287 oddać przed końcem 1955 r. do użytku". I trzecia liczba — 183 miliardy złotych (6 bilionów w starej walucie) na realizację tego zadania.

Zaczęło się od słowa „będzie", od czasu przyszłego „wybudujemy", „zwiększymy", „oddamy do użytku", „uruchomimy", „podejmiemy produkcję", „osiągniemy" itd. Od tych dni minęło niewiele miesięcy, a przecież coraz częściej zaczynamy posługiwać się czasem przeszłym lub teraźniejszym, kiedy mówimy o naszym budownictwie. To, o czym mówiliśmy: „będzie" — coraz częściej już: „jest". Dotyczy to nie tylko tych budowli, które rozpoczęliśmy pod koniec Planu 3-letniego, jak np. Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu, cementownia w Opolu, elektrownia wodna w Dychowie, kombinat syntezy chemicznej w Dworach-Oświęcimiu. Dotyczy to również wielu obiektów, zapoczątkowanych już w okresie Planu 6-letniego, jak np. Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie, nowa stalownia w hucie C z ę s t o c h o w a, przędzalnie kombinatu bawełnianego w Piotrkowie Trybunalskim.

Trzeba powiedzieć, że przez długi okres przeciętny obywatel słabo orientował się, co oznacza owych 1425 obiektów. Na wiosnę 1950 r. dowiedzieliśmy się, że zaczęto już budowę Nowej Huty w okolicy Krakowa, że ma ona produkować tyle stali, ile wszystkie przedwojenne huty w całej Polsce razem wzięte, czyli około 1,5 miliona ton rocznie. I że wszystkie nowoczesne urządzenia wraz z całkowitą dokumentacją techniczną i sprzętem budowlanym otrzymamy ze Związku Radzieckiego.

Zaczęło się od Nowej Huty... Potem stopniowo, dzień za dniem, stawał przed naszymi oczyma obraz całego tego olbrzymiego wysiłku: elektrownie Jaworzna, Dychowa i Miechowic, zakłady włókiennicze Piotrkowa i Andrychowa, cementownie Opola i Wierzbicy, giganty chemii w Dworach, Brzegu, Kędzierzynie, Gorzowie i Wizowie, nowe kopalnie węgla, stalownia częstochowska, dwie fabryki samochodów. Prasa pisała codziennie niemal o innym budującym się obiekcie.

Jacy dumni byliśmy budując w okresie dwudziestolecia międzywojennego Gdynię, nową linię kolejową Herby-Gdynia, fabrykę nowozów azotowych w Mościcach, parę pomniejszych zakładów przemysłowych... Chociaż to tak niewiele, byliśmy dumni, że jednak coś się buduje, chociaż często zbyt często budował obcy kapitał i ciągnął korzyści z budowy — obcy kapitał. Szczególnie charakterystyczny pod tym względem był przykład budowy magistrali węglowej Śląsk-Gdynia, finansowanej i eksploatowanej przez francuski koncern zbrojeniowy Schneider-Creusot. Zręcznie żonglując zamówieniami na materiały, udzielanymi swoim własnym przedsiębiorstwom w Polsce, francuski koncern szybko obłowił się na budowie linii kolejowej w polskiej kolonii.

Pewien stary zdrajca klasy robotniczej, doświadczony wyjadacz (czy raczej — ujadacz) WRN-owski, powiedział kiedyś, bodaj w 1947 r., że „przy każdym rządzie coś się buduje, nie jest więc specjalną zasługą obecnego rządu ludowego, że kraj odbudowuje się".

Rzeczywiście — na ogół przy każdym rządzie coś się buduje. Chodzi jednak o to, co i dla kogo się buduje. Budowała sanacja, a właściwie budowali kapitaliści rodzimi i zagraniczni za rządów sanacji — np. budowali fabrykę, która produkowała nawozy tak drogie, że aż niedostępne dla znacznej części chłopów; budowali linię kolejową, na której dorobił się francuski koncern handlarzy śmierci.

Oni zamykali — my budujemy

Budowali mało, ale za to o wiele więcej zamykali zakładów pracy, zatapiali kopalń węgla, zagważdżali szybów naftowych, unieruchomiali cukrowni, hut żelaza, cegielni. Mówi o tym jakże przekonywająco Mały Rocznik Statystyczny z 1939 r.

Nie wszyscy muszą zaglądać do tego wydawnictwa, by unaocznić sobie różnicę między ówczesną a dzisiejszą Polską, między ówczesnym a dzisiejszym budownictwem. Różnica bije w oczy na każdym kroku, jest źródłem niekłamanej dumy, źródłem ogólnonarodowej radości. Tej dumy i tej radości nie zakłócą żadne trudności zaopatrzeniowe czy inne.

Zajrzyjmy jednak do Małego Rocznika. Od 1923 do 1938 r. liczba czynnych kopalni węgla spadła z 125 do 60-ciu. Dziś nie tylko czynne są wszystkie kopalnie Górnego i Dolnego Śląska, osuszamy bowiem zatopione szyby w Zagłębiu wałbrzyskim i budujemy 8 nowych kopalń ze zdolnością produkcyjną 6—10 tysięcy ton węgla na dobę każda.

W tym samym okresie przedwojennym (1923—1938 r.) kapitaliści polscy i zagraniczni unieruchomili w Polsce co najmniej 6 zakładów hutniczych oraz co najmniej 16 zakładów hutnictwa cynku i ołowiu. Dziś nie tylko czynne są wszystkie huty, nawet te, których modernizacja wymaga olbrzymich nakładów, dziś budujemy Nową Hutę, rozbudowujemy do 10-krotnie większej zdolności produkcyjnej hutę Częstochowa, w której płynie już stal z kilku nowych pieców martenowskich, gdzie niedługo ruszy walcownia i gdzie trwa budowa wielkich pieców.

Przebudowa wielkiego pieca w hucie Bobrek dała zwiększenie zdolności produkcyjnej o połowę, huta Batory otrzymała nowego martena, huta Kościuszko — nowy wielki piec „B", jeden z największych w Europie. Rozbudowuje się na dużą skalę huta im. Stalina w Łabędach.

17 wielkich, wielooddziałowych zakładów przemysłu włókienniczego przestało pracować — według urzędowej statystyki — w latach 1932—1937. A w tych czynnych — w takim np. 1932 roku — aż 51,5%, czyli więcej niż połowa ogółu zatrudnionych robotników pracowała od 1—5 dni w tygodniu...

I znowu — do dawnych uruchomionych zakładów dodajemy nowe i modernizujemy istniejące, pokapitalistyczne rudery. Po niespełna roku budowy Piotrkowskiego Kombinatu Bawełnianego uruchomione zostały dwie nowoczesne przędzalnie. Poważnie zaawansowane są prace na budowie wielkich zakładów włókienniczych w Andrychowie. Nadeszła już ze Związku Radzieckiego dokumentacja techniczna dla nowego kombinatu bawełnianego, który stanie w Zambrowie. Będzie on podobny do piotrkowskiego. Projekty dwu dalszych zakładów bawełnianych są opracowywane. Plan 6-letni przewiduje budowę 8 takich obiektów!

Czym była nasza przedwojenna chemia? Była kopciuszkiem polskiego przemysłu. Kwasu siarkowego produkowaliśmy w ostatnim roku przed wojną 6 razy mniej niż szóste na świecie Włochy i przeszło 10 razy mniej niż trzecie

— Niemcy; soli potasowych — 20 razy, a azotniaku — 9 razy mniej niż Niemcy, superfosfatu — 10 razy mniej niż np. druga w skali światowej Japonia, siarczanu amonu — 16 razy mniej niż Niemcy, jedwabiu sztucznego — 23 razy mniej niż Japonia, celulozy — 12 razy mniej niż Finlandia. Zaiste — pozycja godna „mocarstwa" międzywojennego!

Czym staje się chemia, przemysł chemiczny w Polsce Ludowej? Staje się drugim — po węglu — przemysłem narodowym, ważnym źródłem naszej siły i bogactwa. Trwa budowa Zakładów Przemysłu Organicznego Rokita w Brzegu Dolnym, wielkiej bazy półproduktów dla przemysłu włókienniczego, garbników, farmaceutycznego oraz dla rolnictwa.

Zgierska Boruta rozbudowuje dział barwników i rozpoczęła produkcję PAS-u, środka przeciwgruźliczego.

O jednym z największych obiektów naszej sześciolatki — Zakładach Syntezy Chemicznej Oświęcim-Dwory — pisano w Twórczości w numerze październikowym. W Kędzierzynie na Opolszczyźnie rośnie kombinat syntezy chemicznej, którego główne części składowe — to fabryka nawozów azotowych i fabryka syntetycznych kwasów tłuszczowych. Buduje się fabryki celulozy i papieru w Skolwinie i Kostrzyniu.

Przemysł chemiczny wzbogacił się o nowy dział produkcji syntetycznego włókna w uruchomionych w lipcu br. Zakładach w Gorzowie, jednej z pierwszych tego rodzaju fabryk na świecie. Przybyła nam nowa fabryka sztucznego jedwabiu w Zydowcach: równolegle z produkcją trwa tam rozbudowa urządzeń fabrycznych.

Prawie w tym samym czasie co Gorzów — rozpoczął produkcję inny wielki zakład chemiczny: fabryka kwasu siarkowego Wizów. Węgiel nazywają: „chlebem", kwas siarkowy zaś „krwią" dla przemysłu. Tak bardzo potrzebny jest nam ten produkt w najróżnorodniejszych gałęziach produkcji przemysłowej, a zwłaszcza — w produkcji nawozów fosforowych, włókna sztucznego, garbników, barwników, artykułów farmaceutycznych i wielu innych.

Z 17 cementowni czynnych w 1930 r. — w 1936 r. zostało zaledwie 11, a w 1937 r. — 12. Dziś nie tylko nie znajdziecie nieczynnej cementowni, nie tylko pracują cementownie na Ziemiach Odzyskanych, ale jeszcze budujemy nowe: w Opolu, w Wierzbicy i w Rejowcu, a oprócz tego — klinkrownię (fabrykę półproduktu cementowego) w Ogrodzieńcu.

Cenną pozycją w planach rozwoju naszej chemii jest budowana w Bydgoszczy fabryka ekstraktów garbarskich, której uruchomienie pozwoli na ograniczenie kosztownego importu.

6-krotnie musi zwiększyć się w Planie 6-letnim produkcja energii elektrycznej w kraju, aby zaspokoić potrzeby przemysłu, komunikacji i rolnictwa oraz oświetlenia miast i wsi. Temu zadaniu nie podołają nasze stare elektrownie. Trzeba więc nowego wysiłku, często zresztą ponad miarę naszych możliwości w dziedzinie produkcji urządzeń energetycznych. Na tym szczególnie trudnym odcinku — olbrzymią wagę ma pomoc radziecka (kompletne wyposażenie elektrowni w Dychowie i Jaworznie).

Przedwojenna — pożal się Boże — motoryzacja, to dziesiątki marek wozów importowanych ze wszystkich możliwych krajów. Ta mozaika typów samochodów kursujących w Polsce — biła nas szczególnie dotkliwie wtedy, kiedy wozy psuły się, wymagały remontu i brak było do nich części. Pod względem liczebności taboru staliśmy prawie na ostatnim miejscu w świecie (Polska

— 10 pojazdów mechanicznych na 10 tysięcy mieszkańców, Rumunia — 13 pojazdów, Finlandia — 110, Dania— 379, Francja i Anglia — ponad 500, Australia, Kanada i Nowa Zelandia — ponad 1000 itd.).

Całe 20-lecie „osiągnięć" międzywojennych — to jedna skromna montownia Fiata. Plan 3-letni przyniósł już własną fabrykę ciężarówek „Star-20" całkowicie polskiej konstrukcji, a obecnie rozpoczęły produkcję dwie fabryki, wyposażone w pełni przez Związek Radziecki i pracujące na radzieckich, bezpłatnie nam udzielonych licencjach: FSO na Żeraniu produkująca wozy osobowe „M-20 Warszawa" oraz FSC w Lublinie, produkująca wozy ciężarowe „FSC-51 Lublin". Obie fabryki w początkowym okresie montują tylko części przychodzące z ZSRR, stopniowo jednak coraz więcej części produkować będziemy w kraju, aż za parę lat „Warszawy" i „Lubliny" wykonywane będą całkowicie rękoma polskiego robotnika. Łącznie ze „Starami" produkcja samochodów osiągnie w ostatnim roku Planu — 37 tysięcy wozów rocznie.

Duży wysiłek inwestycyjny cechuje również przemysł spożywczy. W końcu listopada ub. r. ruszyła np. nowa cukrownia w Sokołowie Podlaskim. Warto przypomnieć, że w kampanii 1924/25 r. pracowało 75 cukrowni, a w ostatnich latach przed wybuchem drugiej wojny światowej — zaledwie 60—61. Czy można sobie wyobrazić obecnie, by w warunkach stale rosnącego zapotrzebowania na cukier, w warunkach, gdy spożycie cukru na głowę ludności dwukrotnie przewyższa poziom przedwojenny — mogła być nieczynna choć jedna cukrownia? A jednak było tak w owe czasy, kiedy cukrownictwo cierpiało na „brak konsumentów", kiedy miliony wydawane na reklamę („cukier krzepi") nie wzruszały nikogo, gdyż pustka w kieszeni decydowała bezapelacyjnie: nie kupować!

Czynna już od lipca br. wielka olejarnia w Brzegu, budujący się kombinat tłuszczowy pod Klemensowem (pow. zamojski), nowe browary, octownie, zakłady i fermentownie tytoniu — oto reszta programu nowego budownictwa w przemyśle rolno-spożywczym.

Trzy rodzaje trudności

Ograniczyliśmy się do pozycji najważniejszych spośród tych, które znajdują się już w budowie, albo nawet zostały oddane do użytku. Ale już i to zwięzłe omówienie przekonuje nas, że budujemy nie dla „byle kogo", lecz dla ludzi pracy, dla całego narodu; że budujemy nie byle jakie „coś", jak to po swojemu nazwał WRN-owski zdrajca, ale budujemy podwaliny przyszłej naszej potęgi gospodarczej, budujemy obiekty, na których oprze się rozwój sił wytwórczych Polski — rozwój niezbędny dla zbudowania podstaw socjalizmu w naszym kraju; że wreszcie i pod względem wielkości naszych przedsięwzięć budujemy nie „byle co", ale potężne obiekty, o których śnić się mogło najwyżej przed wojną.

I dlatego realizacja zadań programu budownictwa przemysłowego, połączonego w wielu wypadkach z budową dużych osiedli mieszkaniowych, a nawet całych nowych miast (Nowa Huta, Tychy, nowe dzielnice Warszawy) nie jest rzeczą łatwą, a na odwrót — nastręcza wiele trudności. Pierwszą i podstawową trudnością jest zapewnienie dopływu niezbędnej ilości rąk roboczych i zaopatrzenie tych ludzi przesuniętych ze wsi do miast — w artykuły pierwszej potrzeby.

W połowie 1951 r. na wielkich i średnich budowlach pracowało około miliona robotników, łącznie z załogami zakładów pracy, zaopatrujących wielkie

udowle w sprzęt, materiały i urządze-
ia produkcyjne. W tym milionie ro-
otników bardzo poważny odsetek sta-
owią chłopi, przybywający do miast
v poszukiwaniu dodatkowego zarobku.
est to więc element wymagający odpo-
viedniego przygotowania fachowego.
rzeba tu dużego, systematycznego wy-
iłku szkoleniowego. Z drugiej strony
rzeba olbrzymiego wysiłku aprowiza-
yjnego, który w warunkach szczegól-
ych trudności, jakie wyłoniły się na
esieni 1951 r. (susza!) pociąga za sobą
nane zaburzenia rynkowe i braki
v zaopatrzeniu w artykuły żywnościo-
ve pierwszej potrzeby.

Drugą podstawową trudnością jest
lostarczenie dla wielkich budowli nie-
będnych ilości materiałów budowla-
ych. Przecież zanim nowe cegielnie, ce-
ientownie i huty zaczną dostarczać
egłę, cement i żelazo, materiały te po-
rzebne będą w wielkich ilościach
ównież po to, ażeby wybudować te
właśnie cegielnie, cementownie i huty!
A są to ilości bardzo poważne! Taka No-
va Huta zużywa dziennie około 500 ton
etonu, a ogólny dowóz wszystkich ma-
eriałów wymaga codziennie paruset
vagonów kolejowych. Do dnia uruchо-
ienia pierwszego tylko pieca marte-
owskiego w rozbudowywanej hucie
Częstochowa wykonano około 10
ysięcy metrów sześc. żelbetu, zmonto-
vano przeszło 5 tysięcy ton konstrukcji
al itd. Przy rozbudowie huty Kościusz-
o (wielki piec „B" i inne agregaty)
montowano do końca czerwca 1951 r.
koło 10 tysięcy konstrukcji stalowych,
do budowy samych tylko zasobników
la magazynowania tworzyw wielkopie-
owych zużyto około 30 tysięcy metrów
ześciennych betonu.

Trzecią podstawową trudnością jest
ostarczanie niezbędnych środków fi-
ansowych. W tym kierunku idziemy
woma torami. Po pierwsze — poprzez
lanowe gromadzenie tych środków (niemałą rolę odegrała tu Narodowa Pożyczka Rozwoju Sił Polski), po drugie zaś — poprzez obniżanie kosztów własnych nie tylko w samym budownictwie, ale również w całej naszej gospodarce narodowej. Wiadomo, że sumy przeznaczone na wykonanie naszego 6-letniego planu inwestycyjnego skalkulowane są w ten sposób, iż koszty własne muszą być bardzo znacznie obniżone w porównaniu z poziomem końca 1949 r.

Z obniżeniem kosztów wiąże się konieczność podniesienia wydajności pracy w budownictwie o 85%. Jest to jednocześnie niezbędne ze względu na możliwości werbunku kadr. Gdyby bowiem w 1955 r. każdy robotnik budowlany pracował z taką samą wydajnością jak w ostatnim roku Planu 3-letniego, to — żeby wybudować tyle, ile przewiduje sześciolatka — trzeba by było zatrudnić w budownictwie jeszcze o 530 tysięcy ludzi więcej niż zaplanowano i niż jest to możliwe (werbunek i szkolenie).

Podniesienie wydajności pracy w budownictwie będzie osiągalne dzięki upowszechnianiu nowych, bardziej wydajnych metod pracy, dzięki lepszej organizacji pracy i wreszcie — dzięki postępom mechanizacji robót w budownictwie. We wszystkich tych trzech kierunkach posuwamy się naprzód, choć nie zawsze tempo jest wystarczające, zwłaszcza jeżeli chodzi o upowszechnienie wydajniejszych metod pracy zespołowej, organizacji pracy potokowej i należytego wykorzystania posiadanego sprzętu budowlanego.

Zadania naszego budownictwa socjalistycznego nie będą łatwe do wykonania. Czynić nadzieje, że zadania będą łatwe, to znaczy — czynić nadzieje demobilizujące, fałszywe. To znaczy niczego nie nauczyć się z przykładu trudności, jakie musiał pokonywać i pokonuje Związek Radziecki. A z drugiej strony — właśnie przykład Związku Radzieckiego jest tym bardziej pouczający,

że pokazuje, jak w praktyce potwierdza się słuszność polityki industralizacji, jak dzięki wielkim wysiłkom inwestycyjnym (ze szczególnym uwzględnieniem rozbudowy przemysłu ciężkiego) — umacnia się potęga gospodarcza państwa, jego odporność na ewentualne ciosy wroga zewnętrznego, jego niezależność gospodarcza, a co za tym idzie — polityczna.

Źródłem tego, że niektórzy wyobrażali sobie zadania naszego budownictwa socjalistycznego jako zadania łatwe, jest — po pierwsze niewątpliwy brak znajomości praw rozwojowych społeczeństwa w naszym okresie, w okresie przejściowym do socjalizmu. Brak znajomości przede wszystkim zasadniczej dysproporcji między tempem rozwoju socjalistycznego przemysłu a tempem rozwoju indywidualnego, drobnotowarowego rolnictwa. Dysproporcja ta bowiem musi powodować trudności w dziedzinie zaopatrzenia ludności pracującej miast, ludności rosnącej (liczebnie) szybciej, niż wzrasta produkcja artykułów rolniczych.

To, co osiągnięte i to, co stoi przed nami

Źródłem błędnych, fałszywych przypuszczeń, jakoby zadania te nie miały być bardzo trudne do wykonania, jest — po drugie — niewątpliwy brak orientacji co do wielkości podjętego dzieła i samouspokojenie z powodu odniesionych sukcesów w początkowym etapie. Wciąż jeszcze dużo jest ludzi i to nawet wśród inteligencji, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, że największe nasze dotychczasowe osiągnięcia stanowią niekiedy po prostu nieznaczną część zadań Planu 6-letniego na danym odcinku.

Dla przykładu: w Nowej Hucie stoi już co prawda znaczna część przyszłego miasta, jeżeli jednak chodzi o właściwy kombinat hutniczy, to dopiero pod koniec 1951 roku albo na początku 1952 gotowy będzie pierwszy oddział produkcyjny. Ale nie ma tu jeszcze nawet mowy o wielkich piecach, o stalowniach, o walcowniach i innych zasadniczych oddziałach Nowej Huty.

Inny przykład: w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu czynna jest dopiero montownia, to samo w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Oczywiście, początek mamy już za sobą, ale nie mniejsze trudności — przed nami. Tym bardziej że dzisiejszy montaż — to kwestia kilkuset sztuk rocznie, gdy w 1955 r. trzeba będzie dojść co najmniej do planowanych kilkunastu tysięcy wozów rocznie w każdej z tych fabryk.

Albo spójrzmy na rozbudowywaną hutę Częstochowa: mamy tam dopiero pierwszą stalownię i w niej kilka pieców martenowskich; walcownia — w budowie, wielkie piece — zaledwie zapoczątkowana budowa. Pierwszy spust stali z pieca martenowskiego Nr 1 był wielkim, ogólnonarodowym świętem, niemniej do powiększenia zdolności produkcyjnej huty ze 110 tysięcy ton stali rocznie za czasów niemieckiego kapitalisty Bernarda Handtke do planowego 1 miliona 100 tysięcy ton — bardzo jeszcze daleko!

Piotrkowski Kombinat Bawełniany pracuje już (dopiero!) połową planowanej liczby wrzecion. Kędzierzyn najwcześniej za rok rozpocznie produkcję nawozów. Jeszcze nie jutro wydobędziemy pierwsze tony węgla w pierwszej z ośmiu nowych kopalń. W Dychowie czynny jest tylko pierwszy turbozespół, a Jaworzno i Miechowice są jeszcze przed tym „wielkim początkiem". Słupy dla trakcji elektrycznej na linii kolejowej Warszawa-Katowice przeciągnięto dopiero na odległość pierwszych kilkudziesięciu kilometrów. Nie wcześniej niż na 1 maja 1952 r. załoga Wierzbicy zdoła ukończyć dzieło wznoszenia największej w kraju cementowni; jest

ze później ruszy Rejowiec. Magistrala iaskowa, która zaopatrywać będzie ko-alnie śląskie w piasek, by umożliwić ksploatację dodatkowych milionów ton węgla, „zamrożonych" w filarach kopal-ianych — wielkie dzieło przemysłu węglowego, budowane kosztem ok. 50 ilionów zł. rocznie, daje piasek chwilo-wo tylko do paru pierwszych kopalń.

A nowe fabryki maszyn, nowe fabry-i sprzętu elektrotechnicznego, zakłady hemiczne, huta cynku i ołowiu, nowe oksownie? A dziesiątki wielkich i set-i średnich obiektów, których budowy otychczas jeszcze nie rozpoczęliśmy: uta stali szlachetnych, druga fabryka awozów azotowych, fabryki obrabiarek innych ciężkich maszyn, kopalnie zakłady przetwórcze miedzi, metro arszawskie (dopiero odbywa się głę-ienie pierwszych szybów), dalsze za-łady bawełniane, fabryki celulozy, fa-ryki kombajnów i innych maszyn rol-iczych, nowa fabryka kwasu siarko-wego wytwarzanego z gipsu, nowe fa-ryki sody, supertomasyny, dalsze za-łady olejarsko-mydlarskie, dalsze gar-arnie, dalsze zakłady przetwórstwa ybnego, wielkie zbiorniki wodne (oprócz udującego się w Goczałkowicach), setki ilometrów nowych linii kolejowych?

Nie znaczy to oczywiście, że jesteśmy późnieni w wykonaniu zadań Planu -letniego. Wprost przeciwnie: to, czym mówimy z dumą, że „już wy-onaliśmy", „już uruchomiliśmy" — to szystko oddane zostało do użytku rzedterminowo. Ogrom zadań stojących rzed nami nie przerasta możliwości arodu, który zwycięsko przeprowadził zieło odbudowy w Planie 3-letnim pomyślnie realizuje zasadnicze zadania lanu 6-letniego. Nie przerasta możli-ości narodu, który w krótkim czasie ruchomił już dziesiątki poważnych obiektów. Ale nie wolno nie doceniać wielkości i trudności tych zadań!

Cenna pomoc

Kiedy mowa o wielkości i trudności stojących przed nami zadań, nie możemy pomijać dwu istotnych momentów: olbrzymiej roli pomocy, udzielanej nam przez Związek Radziecki oraz przez kraje demokracji ludowej i Niemiecką Republikę Demokratyczną. Nie możemy też pomijać doniosłej roli, jaką w realizacji naszych ambitnych zamierzeń odgrywają wspaniałe osiągnięcia polskich naukowców, inżynierów i przodujących robotników.

Kiedy przystępowaliśmy do wykonania Planu 6-letniego, pomoc radziecka w budowie wielkich obiektów przemysłowych była już zapowiedziana i zagwarantowana w umowach gospodarczych ze stycznia 1948 r. i czerwca 1950 r. Początkowo otrzymywaliśmy głównie sprzęt budowlany. Dziś — postanowienia umów przybrały realne kształty całkowicie wyposażonych hal montażowych na Żeraniu i w Lublinie, kompletów maszyn uruchomionej przędzalni cienkoprzędnej w Piotrkowie, czynnego już turbozespołu w Dychowie, automatyki wielkiego pieca „B" w hucie K o ś c i u s z k o, największej w Polsce elektrowni cieplnej w Jaworznie, szeregu transportów nowoczesnych urządzeń hutniczych dla Nowej Huty i innych naszych hut, dokumentacji technicznej i głównych urządzeń dla zakładów chemicznych R o k i t a itd.

Pomoc radziecka — to nie tylko urządzenia, ale i dokumentacja techniczna, to także bezpłatnie udzielane licencje (na produkcję samochodów osobowych „M-20 Warszawa" oraz ciężarowych „FSC-51 Lublin"). Rzecz to niepraktykowana w stosunkach handlowych między państwami kapitalistycznymi, by przekazywać innemu państwu

licencję na najnowsze modele produkcyjne — bezpłatnie. Rzecz to natomiast praktykowana i normalna w stosunkach nowego typu, jakie wiążą państwa obozu pokoju i postępu.

Tam, gdzie korzystamy z radzieckich urządzeń, doświadczeni radzieccy inżynierowie i monterzy-technicy pomagają w montażu i ustawianiu maszyn. Dzięki pomocy radzieckich fachowców sprawniej odbywa się montaż, szybciej można uruchomiać poszczególne obiekty, a co nie mniej ważne— wzbogacają się nasi robotnicy i majstrowie o nowe, cenne doświadczenia.

Liczne obiekty (już uruchomione i znajdujące się jeszcze w budowie) otrzymują dostawy urządzeń i maszyn z Czechosłowacji, Węgier i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Czechosłowacja wyposażyła we wszystkie urządzenia nową cementownię w Opolu, nowoczesną garbarnię w Gnieźnie, dostarczyła urządzeń dla koksowni Zdzieszowice i Makoszowy, dostarczyła turbozespół dla elektrowni w Miechowicach, zaopatruje fabrykę związków azotowych w Kędzierzynie i inne obiekty.

Republika Węgierska dostarczyła szeregu urządzeń do ekstrakcji oleju w wielkiej olejarni w Brzegu (już czynnej) i dostarczy dla kombinatu tłuszczowego pod Klemensowem (w budowie). Zespół turbinowy dla potężnej fabryki celulozy w Skolwinie również pochodzi z Węgier.

Przemysł NRD zaopatruje bazę rybołówstwa w Świnoujściu (urządzenia zamrażalni ryb), fabrykę mebli giętych w Radomsku, wielkie zakłady graficzne w Warszawie (Dom Słowa Polskiego) i w Katowicach (Dom Prasy — maszyna rotacyjna o wadze 350 ton i maszyny odlewnicze). NRD przysyła także urządzenia dla Rokity, wielkie kotły dla Skolwina, maszyny dla największej w Polsce wykańczalni tkanin bawełnianych w Ozorkowie.

Wkład polskiej nauki i techniki

Nie jest przesadą, gdy stwierdzamy, że cały naród z niesłychanym zapałem wznosi wielkie budowle socjalizmu. Są jednak przy tym ogólnonarodowym zapale — i zasługują na specjalne wyróżnienie — wybitne osiągnięcia jednostek i zespołów, które mogły wyrosnąć jedynie na gruncie troskliwego stosunku Państwa Ludowego do nauki, do postępów techniki i do racjonalizatorskiej inicjatywy robotniczej.

Po raz pierwszy opracowana została w skali przemysłowej produkcja kwasu siarkowego z surowca krajowego — anhydrytu (gipsu bezwodnego) ze złóż dolnośląskich. Nasze zasoby pirytów — podstawowego surowca do produkcji kwasu siarkowego — są niesłychanie ubogie i dotychczas zdani byliśmy prawie wyłącznie na import. Dzieło mgr. Akermana, inż. Żurakowskiego, inż. Żmudzińskiego i inż. Dietze (laureatów zespołowej Nagrody Państwowej I stopnia) pozwoliło dokonać wyłomu: powstała fabryka kwasu siarkowego Wizów.

Potrzeby naszego budownictwa są tak wielkie, że od dłuższego już czasu nie ustawały wysiłki w celu opracowania krajowej metody produkcji cementu szybkosprawnego, który umożliwiłby znacznie szybsze twardnienie betonu a co za tym idzie — skracanie terminów budowy hal fabrycznych. Metoda taka została opracowana przez inż. Grzymka (laureata Nagrody Państwowej I stopnia). Pierwsze hale wzniesione z betonu, do którego użyto nowego szybkosprawnego cementu, ujawniły jego wysoką jakość.

Do robót bardzo pracochłonnych zalicza się montaż ciężkich konstrukcj

stalowych mostów, hal fabrycznych i wielkich agregatów przemysłowych. I oto inż. Lubiński unowocześnił montaż, wprowadzając metodę łączenia odrębnych, drobnych części montowanego obiektu w olbrzymie elementy konstrukcyjne, które następnie podnosi się przy pomocy odpowiednich mechanizmów, dwukrotnie skracając czas montażu. Metoda ta, wyróżniona Nagrodą Państwową I stopnia, znacznie przyśpieszyła montaż potężnych pieców obrotowych fabryki kwasu siarkowego Wizów i cementowni w Wierzbicy.

Całe lata trwały badania laboratoryjne nad opracowaniem metody produkcji włókna syntetycznego — artykułu, który zaczęto produkować zagranicą dopiero w okresie drugiej wojny światowej. To, że dziś mamy już czynną fabrykę takiego włókna w Gorzowie jest przede wszystkim zasługą inżynierów: Chwalińskiego, Albrechta, Wyrzykowskiego, Mrazka i Brodawskiego (laureatów zespołowej Nagrody Państwowej).

Nigdy przed wojną właściciele polskich hut — zagraniczni kapitaliści — nie powierzali polskim inżynierom projektowania nowych agregatów hutniczych. Były więc obecnie kłopoty z projektowaniem pieców martenowskich do nowej stalowni w hucie Częstochowa. Podjął się tej pracy inż. Musiałek, syn hutnika i sam były hutnik, któremu dopiero po wojnie, w Polsce Ludowej udało się ukończyć wyższe studia. Opracował on konstrukcję pieców martenowskich 75-tonowych (największe dotychczas piece mogły dawać jednorazowy spust stali do 50 ton) i dokonał pionierskich prób stosowania nowych procesów technologicznych, ułatwiających szybkie wytopy.

Wybudowaliśmy nowoczesną fabrykę urządzeń radiowych, której projekt opracował inż. Brochsztajn, laureat Nagrody Państwowej. Przed wojną nie obeszłoby się w takim wypadku bez kosztownej „pomocy" różnych Philipsów czy Telefunkenów. Tym razem obeszło się — dzięki polskim inżynierom.

Modernizacja portu szczecińskiego wymagała odpowiednich urządzeń. Zaplanowany przed kilkoma laty taśmowiec, umożliwiający szybkie i sprawne ładowanie całych wagonów (np. węgla) wprost na statki — zamówiony został na Zachodzie. W wyniku jednak imperialistycznej polityki dyskryminacji w handlu zagranicznym, otrzymaliśmy tylko część potrzebnych urządzeń: imperialistom chodziło o to, by Polsce Ludowej utrudnić przekształcenie Szczecina w port węglowy o najlepszych urządzeniach w Europie. Ale taśmowiec — w 34 rocznicę Rewolucji Październikowej — załadował już węgiel na polski statek Brygada Makowskiego, drugi spośród wybudowanych na polskich stoczniach po wojnie. Przemysł krajowy dostarczył dla taśmowca brakujące urządzenia, zaprojektowane przez polskich inżynierów; polscy robotnicy zmontowali całość w rekordowo szybkim tempie.

Wydaje się, że wybitne osiągnięcia polskich naukowców, inżynierów i robotników, którzy ułatwiają i przyspieszają realizację zadań naszego socjalistycznego budownictwa — są stanowczo zbyt mało popularyzowane w naszej prasie, czasopismach i wydawnictwach.

* * *

Wydaje się wreszcie, że jeszcze jedno zagadnienie wymaga oświetlenia, zwłaszcza obecnie, w okresie zaostrzonych trudności. Chodzi o zagadnienie długotrwałości napiętego wysiłku, niezbędnego do wznoszenia wielkich budowli socjalizmu. Jasne jest, że napięcie to musi wzrastać przez cały czas naszej sześciolatki, chociaż postępy mechanizacji (np. robót budowlanych) czynić

będą pracę coraz lżejszą. Przykład pierwszej pięciolatki radzieckiej świadczy o tym, że po wykonaniu głównego zadania programu industrializacji kraju, a mianowicie — po oparciu przemysłu, transportu i rolnictwa na podstawach nowoczesnej techniki, jak również po wzniesieniu obronności kraju na należyty poziom, możliwe jest stosowanie mniej przyspieszonego tempa wzrostu produkcji przemysłowej (Stalin — Wyniki pierwszej pięciolatki, Zagadnienia leninizmu, str. 352—3).

Niewątpliwie — tak jak po pierwszej radzieckiej pięciolatce — najpilniejszym naszym zadaniem po wykonaniu Planu 6-letniego będzie doskonałe opanowanie nowych fabryk i nowej techniki, poważne podniesienie wydajności pracy, wydatne zmniejszenie kosztów produkcji. Zadania te stoją zresztą przed nami już teraz.

I dlatego — podobnie jak dziś słowo drukowane pokazuje najszerszym masom patos naszego budownictwa, budzi podziw i mobilizuje entuzjazm dla przyspieszania tego budownictwa, tak samo słowo drukowane w bardzo już niedalekiej przyszłości będzie musiało szerzyć entuzjazm dla dzieła opanowywania nowej techniki, podnoszenia wydajności pracy i obniżania kosztów produkcji.

To jest zadanie nie tylko na jutro. Z tym zadaniem trzeba się zmierzyć już dziś!

Antoni Dutlinger

WŚRÓD KSIĄŻEK

LESŁAW BARTELSKI: *Ludzie zza rzeki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951; str. 279.

Powieść Lesława Bartelskiego Ludzie zza rzeki ukazuje wczesny etap walki klasowej na polskiej wsi powojennej, gdy zaktywizowana i uzbrojona ideologicznie przez partię biedota zaczyna odbierać ster spraw gromadzkich bogaczom wiejskim, łamać ich autorytet i po raz pierwszy skutecznie przeciwstawiać im swą wolę.

Walka klasowa, jaka się rozpala w Maryszewie Starym — to dopiero walka wstępna — to nieskomplikowany pojedynek „harcowników" na przedpolach właściwej bitwy, która się dopiero rozegra. Zasygnalizuje ją podpalenie stodoły Marcysia — na ostatniej stronie powieści.

Czytelnika zaskoczy niewątpliwie dość nieoczekiwana pora roku, jaką autor wybrał dla akcji swej powieści, styczeń—marzec 1950 r. — pora na wsi niemal gospodarczo martwa — przedwiośnie. Pora ta jednak ma duże znaczenie: schyłek zimy — to okres natężenia życia społecznego, rodzinnego i gromadzkiego na wsi, to okres refleksji, obrachunków, planów i zamierzeń, co autor nie omieszkał skrzętnie wykorzystać.

Cofnijmy się na chwilę do pozycji wyjściowych książki Bartelskiego. Punktem wyjściowym Ludzi zza rzeki jest wieś o kapitalistycznym jeszcze układzie sił klasowych, taka jaką zastaliśmy po rozgromieniu opozycji mikołajczykowskiej i prawicowo-nacjonalistycznego odchylenia w partii.

Spójrzmy na Marcyszew Stary. Jest początek roku 1950, a kułactwo wciąż jeszcze trwa mocno okopane na swoich pozycjach wykorzystując zarówno zależność ekonomiczną biedoty (przykład Marcysia) jak i swój autorytet „moralny" — dla chwiejnego średniaka wciąż jeszcze stanowi ponętny wzór kapitalistycznego dorobku. W spółdzielczym sklepie panoszy się Ambroziakowa — zaufana zauszniczka kliki bogacza Nieszpora. Przewodniczącym zarządu gromadzkiego koła ZSCh jest bogacz i spekulant — Wójcik. Dopiero niedawno usunięto ze stanowiska sekretarza organizacji partyjnej, Szymczyka — poplecznika bogaczy. Nawet sołtys Marcyś, biedniak, siedzi w kieszeni u kułaków. Bogacka klika trzęsie komitetem sklepowym. W pokoiku za sklepem ubija się przy butelce ciemne interesy kumoterskie, sporządza listy na nawozy, pożyczki i towary przechwytywane przez kułactwo, podczas gdy biedota zza rzeki wydzierżawia otrzymane z reformy rolnej działki młynarzowi nie posiadając środków i inwentarza, by je obrobić na własną rękę.

Tak wygląda w Marcyszewie Starym smutna resztówka mikołajczykowskiej i gomułkowskiej polityki, która usiłowała zniweczyć owoce reformy rolnej i zagrodzić wsi drogę do socjalizmu. Lecz partia czuwa, otrząsa się z wrogich elementów, wskazuje właściwą drogę. Rezultaty pracy partii widać i w Marcyszewie Starym. Wśród ludzi zza rzeki podrósł, umocnił się i uzbroił ideologicznie biedniacki aktyw: Świderski, Kubas, Radulski, Jamioł. Uzbrojony ideologicznie wskazaniami III Plenum ten właśnie aktyw po raz pierwszy w historii Marcyszewa Starego zdobywa się na samodzielną, oddolną, świadomą klasowo inicjatywę.

Dużo nazbierało się spraw do załatwienia — sprawa wspólnego siewu na działkach i nieodnowienia umowy dzierżawy z młynarzem, sprawa odebrania Nieszporowi gromadzkiej drogi i most-

ku, bezprawnie przez tego kułaka zagarniętych, sprawa nowych wyborów do zarządu koła ZSCh i przewietrzenia kumoterskiej atmosfery wokół spółdzielczego sklepu...

Lecz żadna z tych spraw nie potoczy się utartym, administracyjnym torem. Grunt jest podminowany. Burza, na którą się zbierało od lat, wisi w powietrzu. Najzwyklejsza sprawa może stać się teraz punktem zapalnym, najmniejszy bodziec wywoła dramatyczne spięcie.

Pospolity na wsi zatarg o mostek, który niedawno jeszcze skończyłby się zwykłym wyrokiem sądowym, a nawet sprawa po kumotersku rozdzielonych butów — w tej sytuacji i na tym etapie rozpęta narosłe od lat antagonizmy klasowe.

Jeśli o tym etapie historycznym będziemy pamiętać, zrozumiemy łatwo, dlaczego to właśnie pozornie mało ważny spór biedoty z kułakiem o drogę i mostek wysunął autor na czoło powieści.

Ta właśnie dysproporcja między „obiektywną" ważkością mostku a wielkością konfliktu, którego stał się on przyczyną, jest miarą klasowego napięcia i wewnętrznych przeobrażeń, jakim podlega Marcyszew Stary. Jest znamieniem czasu, czasu budzenia się sił rewolucyjnych na wsi.

Niespodziewany rozwój zatargu zaskakuje gromadę — okazuje się, że jednak „coś" się na wsi zmieniło, że rzeczy idą nowym torem.

„Droga jest nasza, bo tak chce naród" powie Kubas, a słowa te wyrażają całą z takim trudem zdobytą, świadomość klasową biedniaka.

Dopiero ta zdobyta w walce klasowej z kułactwem świadomość pozwoli „ludziom zza rzeki" rozwiązać zagadnienie wspólnego zagospodarowania działek — stanie się mostem wiodącym do spółdzielni produkcyjnej.

O tyle więc wydaje się niesłuszne stanowisko Krystyny Leśniewskiej (Recenzja we W s i Nr 35) ubolewającej nad zachwianiem przez autora proporcji w potraktowaniu tych dwóch spraw (sprawy siewu i sprawy drogi) tj. zbytniego rozbudowania zatargu z kułakiem o drogę kosztem ważniejszej sprawy „wspólnego siewu".

Równie ciekawie przedstawił Bartelski rozwój „świadomości" bogacza wiejskiego. Aktywna bojowa postawa biedniaków i niespodziewany obrót wypadków, zaskakuje kułactwo. W pierwszym starciu bogacz Nieszpor, przyzwyczajony do dotychczasowej przewagi, zbyt ufny w swe siły i rozumujący „po staremu", stosuje tradycyjne chwyty kapitalisty: szantaż gospodarczy, nacisk „moralny", a w ostatniej instancji sąd, gdzie dobrze opłacony adwokat „wygrywa" sprawę u „przedwojennego" sędziego.

Nieszpor nie docenia przemian, jakie zaszły w biedniackim aktywie, nie rozumie sensu rewolucji, jaką przyniosła wsi władza ludowa. Rychło jednak nauczy się nowych metod walki. Będzie unikał otwartych wystąpień. Przybierze za to maskę obrażonej niewinności, zacznie udawać przyjaciela biedoty. Obejdzie „po sąsiedzku" Marcyszewskich biedaków, „urobi" sobie Sikorzynę. Jadasiowi zaofiaruje dzierżawę łąki... Zbliży się podstępnie nawet do robotników z ekipy łączności (upicie Wiącka).

Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że sama postać Nieszpora, ewolucja metod jego walki i postępowania, jest żywym dokumentem przemian zachodzących w Marcyszewie — ich czułym negatywem.

Obok kierowniczej roli partii potrafił Bartelski przedstawić w sposób realistyczny znaczenie sojuszu robotniczo-chłopskiego. Uwagę zwraca ciekawa postać młodego robotnika Wiącka,

rozwijającego się ideologicznie podczas pracy w ekipie robotniczej.

Osobnym zagadnieniem w powieści Bartelskiego jest sprawa średniaka. Jego pozycję wyznacza z jednej strony Szymczyk — poplecznik bogaczy i w ich sterujący stronę na swoich dziesięciu hektarach niezłej ziemi, z drugiej zaś — Szymonek, który pod koniec książki przezwycięży swe apetyty posiadacza i „kalkulanta" i przystąpi do „wspólnego siewu" ramię przy ramieniu z biedotą.

Sprawa średniaków nie została jednak przez autora rozwinięta. W walce, jaką toczy biedota z kułactwem, skłaniają się oni raz ku jednej raz ku drugiej stronie, nie odgrywają jednak poważniejszej roli w akcji.

A przecież średniak jest „figurą centralną" naszej wsi, o niego toczy się najtrudniejsza walka. On w swej „podwójnej duszy" posiadacza i chłopa pracującego zarazem, przeżywa największy konflikt wewnętrzny. Od jego pozyskania zależy wygrana walki klasowej na wsi. Dlatego niewysunięcie tej postaci w powieści narusza realistyczne proporcje obrazu.

Inny bardziej ogólny zarzut, to szkicowość i fragmentaryczność budowy powieści Bartelskiego. Szczególnie razi spłycenie życia osobistego Świderskiego. Wątek ten bardzo ciekawy w pomyśle i posiadający dużo dramatycznego ładunku został przez autora w znacznym stopniu zmarnowany.

Wiele traci książka z powodu braku ciągłości w prowadzeniu akcji. Rozpada się ona na poszczególne, słabo z sobą związane obrazy. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że autor ciągnie jednocześnie kilka wątków, ale przede wszystkim dlatego, że wątki te raz po raz rwie, że nie pozwala czytelnikowi skupić się na jednej sprawie, wdrożyć w bieg akcji, lecz każe mu z każdą niemal sceną zaczynać „bieg wyobraźni" na nowo, że zmusza do nużących skoków myślowych a w rezultacie rozprasza uwagę, i — co równie ważne — nie pozwala zżyć się z postaciami powieści.

Zaletą pióra Bartelskiego jest powściągliwość i umiar w percepcji rzeczywistości, jest troska o to, by ludzie i sytuacje dokładnie „kryły autora", by tłumaczyły się same przez się. Stąd i komentarz autorski Bartelskiego jest dyskretny i oszczędny. Autor lękał się wszelkiego biologizmu, psychologizmu czy ludomanii (i słusznie, bo stanowią one poważne niebezpieczeństwo dla piszącego o wsi) lecz, jak to często bywa, „wylał dziecko razem z kąpielą".

Jego chłopi poruszają się nieco przyciężko, brak im werwy, humoru i ciepła. Zbyt są wyłuskani z wiejskiego kolorytu. Nie chodzi tu oczywiście o kontynuowanie tradycji literackich typu „Bajecznie kolorowa" — ale o tę, określoną warunkami bytu specyfikę społecznej atmosfery wsi.

Za mało zindywidualizował autor postacie, nie wszystkie wbijają się w pamięć, tak jak Marcyś czy Nieszpor. Niektóre, a zwłaszcza postać głównego bohatera pozytywnego — Świderskiego, rażą swoją sztywnością i oschłością. Oczywiście nie znaczy to, by Bartelskiego nie stać było na większe nasycenie życiem swych bohaterów. Wprost przeciwnie. Pewne sceny i osoby (Wiącek, Marcyś, Nieszpor) mają nawet w sobie potencjalnie duży ładunek życia, humoru lub pasji, celowo jednak jakby przez autora rozładowywany i wstydliwie ściszany.

Dalszy wysiłek pisarski autora L u d z i z z a r z e k i powinien iść w kierunku większego uplastycznienia spraw i bohaterów i uczuciowego przybliżania ich do czytelnika. Jest to warunek pełnego oddziaływania powieści na odbiorcę, a do pozyskania masowego czytelnika książka Bartelskiego wyraźnie pretenduje.

Edmund Niziurski

BOGDAN HAMERA: *Doznania ludzkie* Książka i Wiedza, Warszawa, 1951; str. 202.

Wartość wychowawcza literatury realizmu socjalistycznego polega między innymi na tym, że rozwiązuje ona niedwuznacznie problemy etyczne, na jakie natrafia człowiek we współczesnej rzeczywistości.

Z tego względu interesującą próbą śmiałego i bezpośredniego podjęcia tematyki moralnej jest tomik opowiadań Bogdana Hamery D o z n a n i a l u d z k i e. W każdym z nich (z wyjątkiem opartego wyłącznie na anegdocie opowiadania N a s t y k u) rozwiązuje autor jakąś kwestię moralną z tych, które przyniosła niedaleka przeszłość.

Czy ma prawo matka, ryzykując życie, nakarmić chlebem, przeznaczonym dla własnych dzieci, jeńców radzieckich, morzonych głodem przez faszystowskich oprawców? (Z a g a d n i e n i e c h l e b a).

Czy wolno Przecińskiemu ze S p o j r z e n i a n a s i e b i e odmówić pomocy rannemu czołgiście radzieckiemu?

Czy lekarz, któremu Gestapo przywiozło ciężko rannego komunistę do podleczenia go na tyle, by mógł stanowić materiał do badań, powinien tego człowieka podleczyć czy... zabić? A może istniało trzecie wyjście? (C z y s t a c h i r u r g i a).

Czy niewinny maszynista pociągu z niemiecką amunicją, który utracił rękę na skutek wysadzenia tego pociągu przez partyzantów, ma prawo czuć do nich żal? (D r o g i r ó ż n i e s i ę k r z y ż u j ą).

Na wszystkie te pytania autor daje jasną odpowiedź „tak" lub „nie".

Uważny czytelnik zwróci od razu uwagę, że w postawionych przez Hamerę pytaniach czynnymi osobami konfliktu są ludzie o nieokreślonych bliżej poglądach politycznych a często nawet o zupełnie nieokreślonej przynależności społecznej, że ściśle oznaczony profil ideowy mają tylko osoby będące niejako biernym przedmiotem konfliktu.

Byłoby jednak uproszczeniem upatrywać w takim przedstawieniu tylko zwykłych niedociągnięć pisarskich. Ustawienie to bowiem u Hamery jest, jak nam się wydaje, świadome i celowe. Stawia on sobie zadanie ukazania nie pierwszych linii walki o wolność i socjalizm, lecz zaplecza tej walki, szerokiego antyfaszystowskiego frontu, którego dewizę w książce ilustrują słowa lekarki wypowiedziane nad uratowanym od śmierci czołgistą radzieckim:

„Pomagając naszym sprzymierzeńcom ze Wschodu ratujemy siebie... i... cały świat od zalewu barbarzyństwa."

Są to więc opowiadania o moralnych sojusznikach idei wolności i socjalizmu, których te idee zyskiwały właśnie w ogniu walki z barbarzyństwem hitlerowskim, przy czym autor świadomie nie interesuje się ich przeszłością ani sytuacją społeczną. Lecz od sojuszników wymaga się także bohaterstwa i poświęcenia, a to z kolei stawia ich w konflikt z ciasną, oportunistyczną, personalistyczną „etyką" mieszczańską. Autor ukazuje właśnie takich anonimowych ludzi z zaplecza, których wojna wyciąga, często wbrew ich woli, na plac boju, a których zetknięcie z bojownikami o wolność i socjalizm zmusza do przełamania się, do opowiedzenie się po ich lub po wroga stronie. W walce tej „mały", „zwykły" człowiek ma szanse osiągnięcia po raz pierwszy moralnej wielkości.

Anonimowej kobiecie, która za przykładem żony komunisty rzuciła chleb jeńcom radzieckim, cytuję za Hamerą, „wydało się, że dokonała czegoś wielkiego, czegoś ponad miarę, że zadecydowała o losach świata."

Szczególnie wyraźną formę zmagań ideologiczno-moralnych przybierze ten konflikt w dwu ostatnich i najlepszych

opowiadaniach książki: Czysta chirurgia i Drogi się różnie krzyżują.

W opowiadaniu Czysta chirurgia lekarz inteligent drobnomieszczański o AK-owskiej orientacji politycznej staje przed problemem moralnym, wobec którego zawodzi jego kodeks moralny i etyka lekarska, staje przed problemem na tym terenie, który uważał dotąd za wydezynfekowany i wyjałowiony gruntownie z zagadnień natury politycznej i moralnej, gdzie wszystkie kwestie etyczne zostały raz na zawsze rozstrzygnięte. Okaże się jednak, że w zmaganiach ideologicznych naszej epoki nie ma stref neutralnych, że front walki przebiega i przez stół operacyjny, a kitel chirurga nie zapewnia moralnego azylu, że stara, burżuazyjna etyka nie potrafi rozstrzygnąć kwestii, jaką wniosła nowa rzeczywistość. Lekarz poczuł — pisze Hamera — „że w tych ciężkich chwilach zmagania się z niecodziennym problemem brakowało mu jakiegoś trwałego i niezawodnego drogowskazu, czegoś, co ten oto leżący bezsilnie na łóżku człowiek bezwzględnie posiada. Nie mógł sobie uzmysłowić, co to jest, ale czuł, że jest to coś wielkiego." Tu potrzeba było innej, wyższej — komunistycznej etyki. Niezdecydowanemu, bezradnemu chirurgowi lekcję tej nowej etyki daje jego tragiczny pacjent — bojownik komunistycznego podziemia. Popełnia on samobójstwo, by nie dostarczyć gestapowcom „materiału śledczego" (kiedy dowiedział się, że „sypie" w malignie).

Zauważyliśmy wyżej, że brak kontekstu politycznego a nawet społecznego przy ujmowaniu bohaterów poszczególnych opowiadań wynikł z założenia autorskiego odmalowania szerokiego antyfaszystowskiego frontu, jednoczącego się w walce z hitlerowskim barbarzyństwem.

Czy jednak wolno było rzeczywiście autorowi pozbawiać się tego kontekstu? Oczywiście, nie. Na tym też polega zasadniczy brak książki Hamery. Aby konflikt moralny przedstawiany w powieści był realny i artystycznie prawdziwy, a jego rozwiązanie przekonywające, musi być zawsze odniesione do jakiegoś układu klasowego i czasu historycznego.

Błąd ten zaciążył nad opowiadaniami Hamery. Postępowanie jego bohaterów, sposób rozwiązywania przez nich konfliktów moralnych jest dlatego właśnie częstokroć nieuzasadniony, sprowadzany do jakiegoś ogólnego ponadczasowego poczucia „uczciwości" i „ludzkości". Nie jest wcale przypadkiem, że najlepszymi jego opowiadaniami są właśnie te, gdzie błąd ten zaznaczył się tylko nieznacznie.

Brak motywacji sytuacyjnej, politycznej i klasowej usiłuje autor zastąpić komentarzem autorskim, co oczywiście jest artystyczną przegraną. Nie potrafi np. przekonywająco wyjaśnić antyfaszystowskiej postawy Wiany. Wiana w ogóle ideologicznie się autorowi nie udał. Hamera upozował go na biernego pacyfistę i sentymentalnego ślamazarę, a jednocześnie każe mu reprezentować nowe rodzące się stosunki przyjaźni między demokratycznymi Niemcami a Polską, a przecież przyjaźń ta opiera się na wspólnej walce o pokój, a nie na pacyfizmie.

Jeszcze gorzej wypadł Olek, bohater pierwszego, najsłabszego opowiadania Syzyfiada, którego akcja rozgrywa się jeszcze przed wojną. Naiwny chłopak bez charakteru i światopoglądu wciągnięty przez reakcyjnych protektorów do akcji wynarodowienia Ukraińców przełamuje się na skutek jednej rozmowy w pociągu i drugiej z chłopką ukraińską i ucieka z „placówki" nie objąwszy dobrze płatnej posady.

Tutaj obraz literacki staje się już

tylko ilustracją tezy udowadnianej publicystycznie.

Słabą stroną Hamery są również opisy myśli i przeżyć moralnych jego bohaterów. Autor zbyt często umieszcza je *in extenso* w swym niekiedy naiwnym i nieporadnym komentarzu, nie potrafi natomiast wyrażać ich sytuacyjnie, uzewnętrzniając je w zachowaniu i czynach bohaterów opowiadań.

Osobną pozycję stanowi opowiadanie Na styku. Jest to pouczający przykład, jak martwo artystycznie wypada pasjonująca skądinąd fabuła, gdy braknie organizującej i ożywiającej roli konfliktu.

Byłoby jednak błędem wyciągać na podstawie tych opowiadań pesymistyczne wnioski na temat rozwoju pisarskiego Hamery. Niedociągnięcia artystyczne Doznań ludzkich tłumaczy bowiem w poważnym stopniu fakt, iż powstały one przed powieścią Na przykład Plewa, która reprezentuje w porównaniu z nimi wyraźny i dobrze świadczący o możliwościach pisarskich Hamery postęp.

Edmund Niziurski

WACŁAW NAŁKOWSKI: *Pisma społeczne*, Wybór. Wybrał i opracował Stefan Żółkiewski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951; str. 476

Gdyby nasza publicystyka współczesna miała tak ostre pazury jak prace polemiczne Wacława Nałkowskiego sprzed 50 laty, to przy ostrości i jasności socjalistycznego, klasowego punktu widzenia problematyki literackiej, społecznej czy w ogóle naukowej, na łamach naszych czasopism pojawiłyby się liczniejsze wystąpienia o doskonałej prostocie i niezwyciężonej argumentacji, miażdżące już nie tylko poszczególnego filistra, ale „cały ten burżuazyjny budynek, ten przybytek podłości, ucisku i grabieży", jak nazwał Nałkowski kulturę i ustrój gnijącego kapitalizmu.

Ten nieco dziwaczny wstęp do recenzji, napisany w trybie warunkowym i pouczającym, zwraca uwagę czytelnika na jedną tylko stronę twórczości wielkiego geografa i pedagoga polskiego, Wacława Nałkowskiego — publicystykę o charakterze krytyczno-literackim i społecznym, wiążącą się w istotny sposób z ideologiczną postawą autora. Rozszyfrowanie jej w obszernym artykule krytycznym, stanowiącym wstęp do wyboru Pism społecznych, stanowi zasługę Stefana Żółkiewskiego. Nie jest rzeczą przypadku, że właśnie w okresie przygotowań do I Kongresu Nauki Polskiej uczeni wielu dziedzin nauki skierowali głębsze spojrzenie w przeszłość, odnajdując postępowy nurt rozwoju nauki polskiej; w dziedzinie humanistyki ukazano w innym niż tradycyjnym burżuazyjnym ujęciu sylwetki postępowych ideologów XVIII i XIX wieku. Czasopismo Myśl Współczesna poświęciło specjalny numer postaciom ideologów Oświecenia; w tymże czasopiśmie w numerze 5/60 umieszczono kilka artykułów omawiających twórczość i pozycję ideologiczną Nałkowskiego: wspomniany artykuł Żółkiewskiego, Czesława Czapowa — Nałkowski — pedagog walczący, Stanisława Lencewicza — Nałkowski jako geograf oraz wspomnienia Zofii Nałkowskiej i Henryka Lukreca. Wydrukowano wówczas nieliczne fragmenty z pism społecznych Nałkowskiego — nie dające — rzecz jasna — z powodu szczupłości miejsca, obrazu choćby przybliżonego poglądów autora w dziedzinie społecznej. Kilkusetstronicowy wybór dokonany przez Stefana Żółkiewskiego w ramach prac IBL-u zawiera 16 szkiców, artykułów i felietonów Nałkowskiego. Autor pisze we Wstępie:

„Z niezbyt ilościowo bogatego dorobku literackiego Nałkowskiego dokonaliśmy wyboru. Chcemy bowiem dać tylko to, co dziś jest żywe w tym dorobku. Chcemy, aby jego książka była książką do czytania. Chcemy tym wyborem uzasadnić nowatorską, twórczą pozycję Nałkowskiego w historii naszej literatury" (str. 73).

Przyjrzyjmy się zatem bliżej, czy i w jakim stopniu autorowi Wstępu udało się zrealizować powyższe założenie. Innymi słowy, czy i w jakim stopniu czytelnik książki potrafi zrozumieć na podstawie przeczytanych fragmentów i artykułów postępową rolę twórcy, który w uczciwej i bezkompromisowej walce z ideologią burżuazyjną gnijącego kapitalizmu, odchodził od niej, zbliżając się do ideologii socjalistycznej, proletariackiej.

Ostatnie zdanie nie jest bynajmniej nieporozumieniem. W większości szkiców Nałkowski krytykował w namiętnym demaskatorskim tonie burżuazyjną ideologię, sprzymierzoną z zacofaniem feudalnym, rodzącą zapowiedzi faszyzmu. Lub raczej poszczególne strony tej ideologii, pozostającej w sprzeczności już nawet z ograniczonymi pozytywistycznymi hasłami postępu: tępotę, płyciznę i ignorancję filistra; obskurantyzm „uczonego" klechy, sienkiewiczowski ideał zgody społecznej i zwycięskiego chrześcijaństwa. Krytyka Nałkowskiego, choć zaangażowana mocno w program swobód demokratyczno-burżuazyjnych miała charakter immanentny. Krytyka nieba, zamiast krytyki ziemi, krytyka kultury, jako sfery rozkładającej się na zasadzie własnych wewnętrznych praw; krytyka elementów nadbudowy ideologicznej bez krytyki gnijącego ustroju ekonomicznego doby imperializmu; ustroju, którego wpływ przekształcał powoli lecz nieuchronnie „autonomiczny" świat zjawisk kulturalnych w cuchnące bagno, w którym święciły triumfy etyka i ideały Połanieckich, tych troglodytów burżuazyjnego społeczeństwa. A więc walka z burżuazją imperialistyczną z pozycji burżuazji liberalnej, lub może raczej radykalnej, ale z pozycji dość osamotnionej; z pozycji niezależnie od zastosowania tego czy innego przymiotnika — burżuazyjnej. W tym sensie wydaje się, że pozycję ideologiczną Nałkowskiego w dziedzinie krytyki literackiej, ze względu na jej tendencję rozwojową można określić jako swoisty realizm krytyczny, do którego charakterystyki w pełni odnoszą się słowa Pawła Hoffmana, wypowiedziane na Naradzie poświęconej zagadnieniom twórczości artystycznej:

„Realizm krytyczny jest tedy krytyką ustroju kapitalistycznego, która może iść bardzo daleko, ale krytyką z pozycji ideowych, wytworzonych przez tenże ustrój i będących jego nadbudową ideologiczną. Na tym polega bezradność realizmu krytycznego, bo nie można krytykować skutecznie ustroju burżuazyjnego z pozycji ideowych właściwych temu ustrojowi; krytykować ustrój burżuazyjny czy to z pozycji burżuazyjnego, postępowego racjonalizmu, czy ideologii wielkiej rewolucji burżuazyjnej, czy wreszcie z pozycji jakiegoś wyimaginowanego, ad hoc urobionego, ewangelicznego chrześcijaństwa, to znaczy krytykować ustrój burżuazyjny z tych pozycji ideologicznych, które są jego wykwitem i jego nadbudową" (Nowa Kultura — O niektórych problemach realizmu socjalistycznego, nr 46/86)

Nałkowski krytykował fragmenty burżuazyjnej kultury, czy nawet ustroju społecznego właśnie z pozycji burżuazyjnego postępowego racjonalizmu, zachowania i rozwinięcia w nowych warunkach pierwiastków pozytywizmu, zradykalizowanej pod wpływem potężniejącego ruchu robotnicze-

go i rewolucji 1905. Tu były te rozstajne drogi: uwstecznienie chwilowych radykałów i zradykalizowanie ludzi odchodzących od burżuazji. Nałkowski, jak świadczą jego prace z tego okresu, zbliżał się do ideologii proletariackiej. W tym sensie pisze Żółkiewski: „Ewolucja jego twórczości prowadzi od pozycji całkowicie burżuazyjnych, od prób nieświadomej ugody z zamaskowaną reakcją ku coraz konsekwentniejszym stanowiskom, ku coraz częstszemu akceptowaniu poszczególnych tez socjalistycznych, ku coraz wyraźniejszemu akceptowaniu rewolucji". Czy można uchwycić linię tej ewolucji w wyborze pism? Spróbujmy.

W artykule lub raczej felietonie Forpoczty ewolucji psychicznej i troglodyci (1895) autor dokonuje pesymistyczno-zjadliwej klasyfikacji filistrów, bo przecież są nimi zarówno „ludzie-świnie... filistry najgorszego gatunku, których właściwym żywiołem jest błoto" jak i „ludzie-byki... magazyny dość znacznej energii brutalnej", czy ludzie-drewna „ludzie dotknięci atrofią uczucia, idioci uczucia". Temu „troglodytycznemu tłumowi" przeciwstawia Nałkowski jednostki „dostarczające największej ilości nowych idei" stanowiące luźną elitę intelektualną, wyobcowany ze społeczeństwa zespół twórców, zajmujących w społeczeństwie (burżuazyjnym) podrzędne stanowiska społeczne. Psychologiczna analiza filistra jako określonego typu psychicznego, oderwana od analizy stosunków klasowych, jaką przeprowadza Nałkowski, musi być uważana za naukowo-chybioną i nie dającą wiele poza próbką wspaniałego błyskotliwego stylu i kilkoma głębszymi wypadami osobistymi autora na troglodytę Lutosławskiego. Jednak i krytyka kołtuńskich poglądów Lutosławskiego jako burżuazyjnego filozofa typu „kamieniczników, piwowarów i bankierów" jest krytyką filistra samego w sobie, bez wyraźnego uświadomienia sobie ideologicznej roli i źródeł ówczesnej filisterii. Mało tego: walka z filistrem to jeszcze nie walka z ustrojem burżuazyjnym, z kapitalistyczną nadbudową: spójrzmy bowiem do antyfilisterskiego obozu: któż się tam nie mieści? Obok ideologów burżuazyjno-demokratycznego kierunku, symboliści i irracjonaliści wszelkiej maści. Najbardziej rozkładowy kierunek współczesnej burżuazyjnej filozofii francuskiej, egzystencjalizm, zaciętą walkę przeciw marksizmowi i rewolucyjnemu ruchowi robotniczemu łączy z frazesem antyfilisterskim. Żółkiewski słusznie ocenia obiektywny wydźwięk antyfilisterskiej postawy w warunkach imperializmu: „Walka z filistrem — pisze jest obiektywnie tak wielkim zwężeniem zasadniczej walki socjalistycznej z burżuazją, z ustrojem wyzysku, iż w istocie przesłania główny konflikt epoki, czyni niekoniecznym obalenie starego ustroju, narzuca jedynie jego naprawę". U Nałkowskiego walka z filistrem tam, gdzie jest on pojęty jako siła społeczna, a nie pewien typ psychiczny — jest maską burżuazyjnego programu społecznego. U irracjonalistów — to niezadowolenie z kapitalizmu, z prawa.

Kampania antyfilisterska w formie walki z burżuazyjną hipokryzją przebija w artykule Skandale jako czynniki ewolucji (1898) — jednak ostrość i zakres społecznego widzenia autora jest nieporównanie większy: reakcjoniści — pisze on — pożerają się nawzajem, wykrywają swe łotrostwa. Czy można pozostać obojętnym obserwatorem tego procesu? Nie — odpowiada autor — należy przyśpieszać ten proces za pomocą „śmiałego i bezlitosnego demaskowania obłudy, dyskredytowania skandali". Zasada „im go-

rzej, tym lepiej" wydaje się mieć w tych warunkach walor obowiązujący. „Nadaremny więc trud wznosić nowe budowle, trzeba wprzódy teren dla nich oczyścić: oto najwyższe zadanie obecnej doby przełomowej" pisze Nałkowski w tym samym artykule. Mimo idealistycznego, abstrakcyjnego postawienia problemu skandali jako czynnika ewolucji, nuta rewolucyjna brzmi w tym fragmencie wyraźnie.

Obrona darwinizmu i charakterystyka filisterii krakowskiej we Wspomnieniach krakowskiego studenta — to dalsze etapy kampanii przeciw troglodytom; w tym drugim utworze analiza środowiska społecznego i przedstawienie panujących sił społecznych, mocne akcenty w charakterystyce stosunków pomiędzy wyzyskiwaczami — pracodawcami a wyzyskiwanymi stanowią silną stronę artykułu.

W szkicu wymierzonym przeciw reakcyjnej filozofii pragmatyzmu (Filozofia praktyczna a etyka pastorska) polemika z poglądami praktycznego filozofa Jamesa, przeprowadzona w niezwykle ostrym i zjadliwym tonie ukazuje nie tylko indywidualne, „naukowe" (ale z podszewką religijną) oblicze tego troglodyty — „angielskiego Połanieckiego z profesorskim mózgiem" — ale wiąże wystąpienia i prace Jamesa z zapotrzebowaniem określonych grup społecznych, z koniecznością ogłupiania mas przez ideologów praktycznych, pokrywania praktycznych łotrostw kolonialno i wewnętrzno-grabieżczych (jak np. wojna z Boerami) teoretyczną szatą etyki biblijnej. „Tego rodzaju utwory jak Jamesa — konkluduje autor są „praktyczne" głównie dla przedsiębiorców; a warto było dać też coś praktycznego dla najmitów, pierwsi są i tak dość praktyczni, dajmy jakąś praktyczną radę „marzycielom".

Interesującą pozycję w zbiorze stanowią prace polemiczne Nałkowskiego, wymierzone przeciw reakcyjnej pozycji ideologicznej Sienkiewicza* — Sienkiewicziana, Z powodu politycznych wystąpień p. Sienkiewicza, Wielkie nieporozumienie. Nie jest to już zwykła kampania antyfilisterska utrzymana w nieco młodopolskim tonie (o koligacjach tych mowa obszernie we Wstępie.) Nałkowski występuje przeciw Sienkiewiczowi „który podjął wdzięczne zadanie uidealizowania filisterii i w ogóle reakcyjnej zgnilizny", wychodząc z następujących założeń: „Krytykę tę postanowiłem oprzeć na gruncie społecznym (podkreślenie moje-MR), gdyż jedynie taka analiza może dać klucz do oceny produkcji literackiej Sienkiewicza i do zrozumienia tajemniczego motywu niesłychanej sławy tego powieściopisarza."

A więc punkt wyjścia krytyki wskazuje na szerszą platformę dyskusji z Sienkiewiczem jako ideologiem szlachecko-kontrrewolucyjnej reakcji a nie tylko troglodytą-filistrem określonego typu. Wprawdzie i tu Nałkowski konstruuje dłuższy wywód na temat typu „abiologiczno-asocjalnego" Sienkiewicza, jednak wiąże tę skomplikowaną i wątpliwą analizę jego umysłowości ze środowiskiem społecznym i drogą życiową reakcyjnego autora i wybitnego pisarza. Nałkowski zdaje się dostrzegać fundatorów sławy osobistej pana Sienkiewicza — księdza Gnatowskiego, hrabiego Tarnowskiego i burżua Spasowskiego — nie

---

Celem uniknięcia nieporozumień w związku z oceną twórczości Sienkiewicza, przytaczamy cytat ze Wstępu Żółkiewskiego: „Nie wolno nam traktować pamfletu na Sienkiewicza jakby to była pełna i aktualna ocena twórczości tego pisarza. To byłoby płaskie nieporozumienie. Świetna polemika Nałkowskiego atakuje Sienkiewicza-ideologa sprzymierzonej feudalno-burżuazyjnej reakcji, autora „Rodziny Połanieckich" „Wirów", wreszcie działacza politycznego" (str. 80).

jako oderwane przypadkowe postacie, ale jako reprezentantów trzech warstw posiadających, których zamówienie społeczne było poważnym, jeśli nie decydującym, bodźcem dla twórczości Sienkiewicza. Ci „trzej wspólnym strachem zbratani mężowie, a raczej symbole trzech warstw społecznych, zbratanych we wspólnym mroku reakcji i obawie przed świtem czasów nowych... wobec zbliżającego się pożaru stepów... złączyli się w jednym bagnisku". Do klasowego sojuszu kleru i arystokracji przystąpił nowy aliant z obozu burżuazyjno-pozytywnego „przekonawszy się, że jego broń jest obosieczną, że zwalczywszy tamtych zwraca się przeciw własnej głowie burżuazji". A więc dostrzeżenie zdrady ongiś ograniczenie postępowej pozycji burżuazji przez sojusz z obozem feudalnym w jego unowocześnionej formie. A więc krytyka Rodziny Połanieckich, jako ideologicznego odbicia w literaturze panujących stosunków społecznych wraz z ideałami panującej klasy. Krytyka ideologiczna, w ślad za którą idzie artystyczne przewartościowanie, wytknięcie słabości artystycznej powieści, wynikającej ze wstecznej tendencji, „gdyż na szczęście rzadko wielka siła, wielkie piękno idą w parze z niską wsteczną tendencją, bo idee wsteczne głoszą zwykle siły marne lub znieprawione, kupione złotem, kadzidłem, zaszczytami — a nikt za pieniądze w służbie nie walczy tak, jak walczy z głębokiego przekonania".

Z niezwykłą u inteligenckiego radykalnego ideologa ostrością atakuje Nałkowski mit bezpartyjności Sienkiewicza, o którym arystokratyczno-burżuazyjni krytycy, wyśpiewują solidarystyczne melodie w rodzaju: „Sienkiewicz kocha całe społeczeństwo, stoi on ponad partiami". Przeciwstawiając się tym bzdurom pisze Nałkowski „Arystokracja, księża i bogata burżuazja nie stanowią całego społeczeństwa; a ta garstka, która dąży do prawdy, sprawiedliwości i swobody może być „partią" tylko dzisiaj, w przyszłości ona to właśnie będzie całym społeczeństwem, całą ludzkością (podkr. moje-MR)

Głębokim patriotyzmem i troską o losy postępowego nurtu kultury narodowej i jej dobrej sławy zagranicą przejęte są fragmenty artykułu o Sienkiewiczu, omawiające reakcyjny wpływ jego utworów literackich, przyjmowanych z zachwytem w wielu krajach Europy przez środowiska politycznie bliskie ideałom Połanieckich. I tak dostrzega Nałkowski funkcję klasową Quo Vadis w warunkach ofensywy ideologicznej reakcji katolickiej, polegającą na „przykryciu dzisiejszego Rzymu — spodlonego, gnijącego, papieskiego — białą szatą rodzącego się Rzymu pierwszych chrześcijan". I ten utwór tłumaczony przez barnabitów, biskupów, obrońców dogmatów na języki obce reprezentuje polską narodową literaturę, więcej nawet — wspiera gnijącą nadbudowę ideologiczną „dobrze myślącej Rosji, która odrzuciła Tołstoja, a sprowadziła sobie pana Sienkiewicza".

Pobiedonoscew i Sienkiewicz, contra Gorki i Okrzeja — oto polityczne odpowiedniki i związki pisarzy i działaczy politycznych. Oto linia podziału klasowego, którą dostrzega Nałkowski w artykule Proletariat i twórcy. To przekonanie, którego dopracował się ten uczony i wspaniały publicysta, o niewzruszenie uczciwej postawie pisarskiej wyraża się najpełniej w jego poglądzie, utrwalonym pod wpływem potężnego zrywu rewolucyjnego proletariatu Rosji i Polski w 1905, że walka jego i garstki radykałów najlepszych spośród inteligencji była „literacką formą masowej walki proletariatu z burżuazją". W tym niewzruszonym a urabianym przez długie lata doświadczeń przekonaniu znajdujemy wyraz poli-

ycznego odejścia z pozycji burżuazyj-
ych i zbliżania się do pozycji socjali-
tycznych.

Tę postawę i nastroje nie przypadko-
ve, bo nie przemijające w obliczu za-
amań ruchu rewolucyjnego i zachwia-
ia się jego inteligenckich sympatyków,
yraża wspomniany wyżej artykuł pt.
Proletariat i twórcy, w którym
iara w nową zwyciężającą klasę spo-
eczną zwycięża akcenty pesymizmu
ość często rozrzucone w batalii antyfi-
sterskiej czy rozważaniach pozornie
artobliwych na temat troglodytów.
Wiara w twórczą rolę proletariatu musi
ię łączyć ze zrozumieniem jego rewolu-
yjnej roli w zburzeniu kapitalizmu:
Nie dość stanąć przed budą jarmarczną
– pisze Nałkowski — i zwyczajem dłu-
o krępowanych żaków pokazywać język
ramarzom — trzeba cały ten burżua-
yjny budynek, ten przybytek podłości
cisku i grabieży wysadzić w powietrze
pole spod niego zaorać. Takich bojow-
ików w twórczości może wydać tylko
a warstwa, która wydaje dziś bojowni-
ów w życiu — warstwa proletariatu,
arstwa ludu pracującego; jesteśmy w
rzededniu takiej twórczości".

Już nie Zola, lecz Gorki — już nie
unt drobnomieszczanina, ale zorgani-
owana siła proletariatu, przepojona
wiadomością celu, decydować będzie
losach i obliczu przyszłej kultury.

Czy linia ewolucji Wacława Nałkow-
kiego od ideologii burżuazyjnej, po-
rzez krytykę poszczególnych fragmen-
ów i całości kultury burżuazyjnej, po-
rzez próby uchwycenia związku mię-
zy procesami gnicia nadbudowy a de-
eneracją ustroju ekonomicznego i za-
strzającymi się stosunkami klasowymi
u pozycjom socjalistycznym — jest
chwytna? Wydaje się, że tak. I z pe-
nością zasługą wyboru pism społecz-
ych jest umożliwienie tej obserwacji
ważnemu czytelnikowi, dostrzegające-
u i akcenty młodopolskie i sympatie
naturalistyczne i drogę realizmu kry-
tycznego i rewolucyjną, odważną
i prawdziwie humanistyczną nutę ostat-
nich prac.

Recenzja niniejsza nie rości sobie pre-
tensji do zarysowania choćby podstawo-
wych problemów wiążących się z ana-
lizą niektórych prac Nałkowskiego, z ge-
neralną analizą pozycji ideologicznej
autora w związku z antagonizmami
i konfliktami czasów przezeń przeżywa-
nych. Nie dotyka nawet pobieżnie tak
interesującej kwestii, jaką stanowi zba-
danie i wykrycie specyfiki pozycji Nał-
kowskiego w odróżnieniu od środowi-
ska buntujących się inteligentów i dro-
bnomieszczan, jego koligacji młodopol-
skich i włączania się w nurt realizmu
krytycznego. Nie omawia istoty i prze-
jawów idealistycznego w zasadniczych
zarysach światopoglądu autora i wyni-
kających stąd konsekwencji dla dziedzi-
ny społecznej i politycznej. Nie wskazu-
je wreszcie na momenty sprzeczności
w jego poglądach i ich źródła. Zagad-
nienia te zostały w szerokim zakresie
omówione i wyjaśnione w obszernym
Wstępie Stefana Żółkiewskiego, o któ-
rym pisaliśmy wyżej. Właściwie analiza
poglądów społecznych i publicystyki
krytyczno-literackiej Nałkowskiego sta-
ła się pewną odskocznią dla szerszego
potraktowania sylwetki tego postępo-
wego uczonego na tle analizy podstawo-
wego konfliktu społecznego epoki i od-
bicia tej walki w ideologii warstw po-
średnich, inteligencji burżuazyjnej itd.
Z wielką sumiennością i drobiazgowo-
ścią niekiedy (w tym najlepszym sensie)
wydobył Żółkiewski specyfikę postaci
Nałkowskiego, to co odróżnia go od ide-
ologów zbuntowanej inteligencji i drob-
nomieszczaństwa z jednej strony, od
rewolucyjnych ideologów klasy robotni-
czej z drugiej, wskazał na swoistość
i niepowtarzalność jego drogi życiowej
i rozwoju politycznego, możliwej tylko

u człowieka tak niezwykle uwrażliwionego na sprawy ludzkie, niezwykle uczciwego i bezkompromisowego w walce z wrogiem. A więc i to co typowe i to co szczególne, osobiste uwzględnia Wstęp Żółkiewskiego w charakterystyce pozycji ideologicznej Nałkowskiego zbliżając przez to sylwetkę uczonego do czytelnika czasów dzisiejszych, który z zainteresowaniem i przyjemnością czyta tę książkę. Rozłożenie poszczególnych akcentów krytyki i tych czarnych i tych jasnych wydaje się słuszne i rozprasza wiele wątpliwości czytelnika.

Dlatego też odpowiedź na pytanie, co do trafności wyboru i opracowania Wstępu postawione na wstępie krótkich rozważań recenzenckich musi wypaść twierdząco: Tak, czytelnik książki potrafi zrozumieć na podstawie przeczytanych fragmentów postępową rolę twórcy, który w uczciwej i bezkompromisowej walce z ideologią burżuazyjną gnijącego kapitalizmu odchodził od niej, zbliżając się do ideologii socjalistycznej, proletariackiej.

Dziś na szczęście nie „trzeba mieć metody" *) w świecie naukowym i artystycznym. Bezczelność i ignorancja jako atrybuty „wielkości" muszą być zastąpione rzetelnymi studiami i iskrą talentu. Filister nie chlubi się swym obliczem wobec przyjaciół, zaś społeczne korzenie filisterii zostały raz na zawsze przecięte. Walka ideologiczna przeciw wstecznictwu, stanowiąc fragment ogólnego frontu walki proletariatu przeciw imperializmowi, obejmuje szeroki zakres nauki, sztuki i polityki. Burżuazyjny budynek kramarskiej kultury został wysadzony w powietrze, choć o resztki ruin często potykamy się w tworzeniu nowego. Jednak walka ideologiczna na froncie kultury i o postępową przeszłość i o perspektywy przyszłości przybiera na sile w miarę wypierania burżuazji z zatęchłych kącików reakcyjnej tr dycji, fałszywych ocen i niewiary w m żliwość postępu, w miarę przenikan imperialistycznej agentury kulturalne Dlatego pasja pisarska i celność uderz nia, siła argumentacji i umiejętność op rowania materiałem faktów, ofensyw ność i partyjność wystąpień i bezkom promisowość w demaskowaniu wroga są to cechy szczególnie potrzebne na szym publicystom. Wiele tych cech zna dziemy w pracach Nałkowskiego, któ wiele krwi napsuły szermierzom reakc Dlatego warto się uczyć od Nałkowskie go, a wyjdzie to z pożytkiem nie tylk naszym autorom ale i naszym czytelnikom.

Michał Radgowsk

ROGER GARAUDY: *Gramatyka wo ności*, tytuł oryginału: *Grammaire de liberté;* przełożyła z francuskiego Halin Suwała; Państwowy Instytut Wydawn czy, Warszawa, 1951; str. 157.

Roger Garaudy — to znakomity ess ista, znany działacz Francuskiej Par Komunistycznej i b. poseł do Zgrom dzenia Narodowego. Mieliśmy sposo ność poznać go, kiedy w początka 1948 r. przybył do Polski wraz z gru intelektualistów francuskich i wygło kilka odczytów. Jeden z tych odczyt zatytułowany B u d o w n i c z o w i i f a ł s z y w i p r o r o c y, druk wało w swoim czasie O d r o d z e n i (por. nr 10 z 1948 r.) Nie było to zresz nasze pierwsze zetknięcie się z tym w bitnym umysłem współczesnej Franc W roku 1945 Spółdzielnia Wydawnic K s i ą ż k a drukuje jego broszurę a tualną K o m u n i z m i o d r o d z n i e k u l t u r y f r a n c u s k i e w r. 1947 zaś tygodnik K u ź n i c a s stematycznie publikuje tłumaczenie st dium Rogera Garaudy pt. K o m

* Patrz: felieton Nałkowskiego „Trzeba mieć metodę".

izm i moralność, które od te- o czasu miało kilka wydań książko- ych. W latach późniejszych wydano szcze cztery pozycje omawianego au- ra: broszurę Marksizm a oso- owość (Książka i Wiedza, 1950); mik szkiców literackich pt. Litera- ura grabarzy (Książka i Wiedza 50); książkę Kościół, komunizm chrześcijanie (PIW, 1951), zawie- ającą gruntowne omówienie wzajemne- ustosunkowania się Watykanu, komu- izmu i katolików; oraz Gramatykę olności, którą to książką szerzej ajmiemy się w niniejszej recenzji.

Nie od rzeczy będzie powiedzieć na stępie, dlaczego właśnie ograniczymy oje uwagi jedynie do Gramatyki olności. Otóż po pierwsze — nie egując w żadnym wypadku wartości nych publikacji — temat poruszany tej książce wydaje się nam szczególnie godny uwagi czytelników, po drugie Gramatyce wolności w posób najbardziej pełny uwydatnił się unszt Garaudy'ego jako essaisty, essay aś jest tym gatunkiem literackim, o którego tradycjach i dorobku na gruncie rancuskim nie potrzebuję chyba szerzej pisać. Połączyć naukową precyzję głębię ze wszystkimi zaletami dobrej pasjonującej literatury pięknej — oto adanie, jakie stawia sobie Garaudy — saista.

„W dniu wczorajszym jakiś człowiek ostał zmiażdżony przez pociąg 131 na nii 3, na stacji metra Saint-Lazare... to notatka z kroniki wypadków" — tak zpoczyna Garaudy swe rozważania wolność: pisarz przygotowuje grunt la naukowca. Chodzi zaś po prostu samobójczą śmierć bezrobotnego. rzedsłowie narasta sarkastyczną gory- ą: „W biurze personalny spojrzał po- rdliwie na jego dziurawe trzewiki: e ma wolnych miejsc. Nazajutrz o sió- nej rano na stacji metro Saint-Lazare wmieszał się w tłum wracających z pracy. Wszyscy są niewolnikami zegara, wszyscy są zapracowani. On jest wolny. Jest wolny! Może iść do muzeum lub do parku. Wolno mu myśleć o fizyce Einsteina lub o Niepokalanym Poczęciu. A przede wszystkim ma możność wolnego wyboru między kurkiem od gazu a koleją podziemną. Jest siódma rano. Dzień człowieka wolnego rozpoczyna się. „Jakiś człowiek został zmiażdżony przez pociąg 131..." Bernard, człowiek wolny wśród ludzi wolnych, został przez tę wolność zmiażdżony". Jeszcze parę migawkowych wycinków z rzeczywistości współczesnej Francji i oto czytamy: „Jean-Paul (Sartre — przyp. mój) ukończył uniwersytet, uzyskując rentowny dyplom; wyższe wykształcenie pozwala na dwa befsztyki dziennie, pięciopokojowe mieszkanie, skromną bibliotekę, słowem — warunki materialne wystarczające na to, by móc swobodnie myśleć. Jean-Paul posiadał również rentowny talent literacki. Powtarzam ciągle „rentowny", gdyż w obecnym ustroju rentowność jest trzonem wolności. Jeżeli możesz „żyć z renty", cieszysz się najwyższą wolnością, w takim sensie przynajmniej, w jakim oni ją pojmują. Wszystko to mówię po to, by stwierdzić, że Jean-Paul miał możność wyboru. Oto niezwykły przywilej w tym ustroju. Mógł wybrać swą drogę — to prawda. I dokonał wyboru. (...) Publiczność Jean-Paula i jego wydawcy zażądali zatem od niego antykomunizmu i pornografii; dostarczył im jednego i drugiego. Odtąd mogą zażądać odeń wszystkiego, nawet stworzenia partii upiorów lub zwoływania przeciw-kongresów. Jean-Paul na wszystko się zgodzi, wybrał swoją drogę i nadał jej miano: Droga wolności...

Ekspozycja ta wprowadza nas w sedno problematyki. „Wolność — słowo z gumy!" Słowo, które od rana do wieczora odmieniają we wszystkich języ-

kach i we wszystkich możliwych przypadkach kapitalistyczni pismacy. Słowo, które od stuleci nie schodzi z ust wyzyskiwaczy, służąc otumanieniu mas. „Najwyższy czas — mówi Garaudy — zadać sobie pytanie: o czym mówimy? i używać słów w ich właściwym znaczeniu. Tej gramatyki nie będzie za wiele, by nauczyć się mówić poprawnie językiem tego ustroju i używać, kiedy trzeba, słowa „wolność", a kiedy trzeba — „oszustwo". Gramatyka wolności może nam pomóc w zrozumieniu, że wolność nie jest jakimś sposobem mówienia, ale sposobem życia, i że najwyższy już czas sprowadzić dyskusje o wolności „z nieba idei na ziemię ludzi."

* * *

Człowiek pierwotny był bezsilnym zwierzęciem, całkowicie uzależnionym od przyrody. Pierwszym zaś decydującym krokiem w kierunku wyzwolenia się człowieka spod panowania przyrody jest podział pracy. Ale to pierwsze udoskonalenie organizacji pociąga za sobą podział społeczeństwa na klasy. Kilka jednostek zostaje wyzwolonych spod jarzma przyrody, ponieważ większość ludzi pracuje na nich. Dlatego to, jak mówi Engels, w społeczeństwach starożytnych istnieją ludzie wolni, ponieważ istnieją niewolnicy. Podział pracy, warunek wolności dla paru jednostek, pociąga za sobą podział na klasy, to znaczy ucisk i niewolę większości. Od początku historia wolności wiąże się więc z historią ucisku klasowego. W „demokracji" ateńskiej, według spisu ludności Demetriosa z Faleronu z roku 309 przed naszą erą, 21 tys. wolnych obywateli, posiadających pełne prawa polityczne, przypadało na 400 tys. niewolników. W „republice" rzymskiej liczono w r. 204 przed naszą erą 214 tys. „wolnych" obywateli na 20 milionów mieszkańców. To, co nazywane bywa „demokracją" starożytną, w rzeczywi tości było zawsze niewolniczą oliga chią rządzoną przez plutokrację kupcó armatorów i bankierów.

System feudalny opierał się na ści łej hierarchii personalnej i na przymu sie. Poddany przywiązany był do ziem płody ziemi sprzedawano w najbliższy grodzie; obieg towarów przemysłowyc pozostałych po uiszczeniu renty feuda nej, krępowany był granicami lennym Z chwilą gdy postęp techniki, rozkw handlu i przemysłu, sieć rynków i ban ków stworzyły warunki nowej gosp darki, klasa, która posiadała bogactw w nowej formie, zażądała „wolności Chodziło o wolność gospodarczą: wo ność przewozu i transakcji, wolność pr dukcji, wymiany i pracy. Ale już w t pierwotnej formie wolność burżuazyj jest w istocie negatywna: chodzi o zn szczenie stosunków feudalnych. Dostrz ga ona jeden tylko aspekt rzeczywisto ci: prawdą jest, że niewolę naszą st nowią przymusy, ale fałszem jest, jak by wolność była tylko brakiem ty przymusów. Ostatecznym osiągnięcie roku 1789 było zorganizowanie społ czeństwa, w którym ludzie nie byli j związani ze sobą w taki sposób ja poddany z panem lub wasal z seniore rewolucja roku 1789 zorganizowała sp łeczeństwo oparte na przysługując wszystkim wolności niezależnego w twarzania dla wolnego rynku oraz wo ności niezależnego nabywania na tym wolnym rynku. Ten właśnie wolny wszelkich przeszkód dostęp do nieogr niczonego rynku stanowi w ustroju k pitalistycznym „wolność". Abstrakcyj wolność posiada jednak konkretne ci ło: ucieleśnieniem wolności burżuazy nej jest prawo własności. W 16 artyku konstytucji z roku 1793 ustawodaw stwierdza: „Prawo własności jest prz sługującym każdemu obywatelowi pr wem używania i dowolnego rozporz dzania swoimi dobrami, przychodar

owocami swej pracy i swej pilności". Ta definicja wolności jest przynajmniej konkretna: jest to definicja wolności oparta na cenzusie majątkowym. Wolność ta — jest wolnością posiadaczy. Czymże jest wolność handlu dla tego, kto nie posiada przedsiębiorstwa? Wolność pracy polega na tym, że właściciel dziennika ma prawo pisać lub zamieszczać w nim to, co chce, zwłaszcza zaś kłamstwa służące do zachowania jego przywilejów posiadacza. Ta wolność posiadaczy zawiera w sobie faktyczną niewolę nie posiadających. Zasady z roku 1789 są nową maską dawnej niewoli: w ustroju klasowym, to znaczy w ustroju, w którym kilku ludzi posiada środki produkcji, a większość jest ich pozbawiona, wolność jest przywilejem tych, którzy te środki posiadają. Żadna klasa nie może zabezpieczyć swej wolności nie naruszając wolności klasy antagonistycznej. W społeczeństwie feudalnym warunkiem wolności dla burżuazji było obalenie ustroju feudalnego. Warunkiem wolności dla klasy robotniczej w społeczeństwie kapitalistycznym jest obalenie ustroju kapitalistycznego.

Tak w syntetycznym skrócie można ukazać za Garaudy'm „narodziny i historię pewnego złudzenia". Następnie autor wykazuje, jak prawo własności pozostaje w kolizji z prawem do życia. Wolność była postulatem, o który w roku 1789, w okresie swojej wielkości, burżuazja walczyła w imieniu całego narodu przeciwko ustrojowi feudalnemu. Gdy jednak, dzięki poparciu ludu, zdobyła wolność w walce z feudałami, posłużyła się nią przeciwko klasie robotniczej. Właśnie w imię wolności burżuazja sprzeciwiała się zakazowi pracy dzieci, zabraniała organizowania się robotników w związki zawodowe, występowała przeciwko umowom zbiorowym. Dlatego właśnie przeciwko kłamstwu tej „wolności" występują wszyscy utopiści XIX wieku. Fourier w rozprawie zatytułowanej *De l'anarchie industrielle et scientifique* wykazuje, że anarchia handlowa, czyli „wolna konkurencja" jest źródłem dwóch haniebnych zjawisk społecznych: wolnej lichwy, zwanej bankiem, i wolnego oszustwa, zwanego handlem. Popularyzator Fouriera, Victor Considérant, pisał w *Destinée sociale:* Jak długo lud nie zdobędzie dobrobytu, tak długo wolność będzie tylko słowem pozbawionym treści. Czymże jest wolność biedaka, proletariusza, człowieka pozbawionego kultury umysłowej i majątku, człowieka potrzebującego, zmuszonego odstępować codziennie jakiemuś panu swoje ręce, swą pracę i energię, zmuszonego odnawiać codziennie umowę o sprzedaży własnej osoby, umowę, przez którą oddaje się w niewolę?... Dajcie nędzarzowi wszelkie możliwe wolności polityczne, dajcie mu prawo głosowania, czynne i bierne prawo wyborcze, a nie stanie się przez to ani na jotę wolniejszy, nie uwolni go to od konieczności poszukiwania co dnia jakiegoś pana celem zdobycia swego chleba powszedniego. Co go obchodzi wolność polityczna, skoro odmawiacie mu wolności społecznej?" Tak samo przeciwko kłamstwom burżuazji występują Teodor Dézamy i Louis Auguste Blanqui, dopiero jednak marksizm ostatecznie sprecyzował problem wolności, stawiając zagadnienie na płaszczyźnie klasowej. W N ę d z y f i l o z o f i i Marks przeciął wrzód: „Panowie! nie dajcie sobie imponować temu abstrakcyjnemu słówku „w o l n o ś ć". Czyja wolność? To słowo nie oznacza wolności poszczególnych osobników jednych wobec drugich. Oznacza ono wolność dla kapitału, by mógł swobodnie uciskać robotnika."

Marksizm jest f i l o z o f i ą wyzwolenia człowieka. Definiuje on dwa podstawowe prawa tego wyzwolenia: 1. w każdym społeczeństwie podzielonym na klasy warunkiem wolności jed-

nej klasy jest niewola klas pozostałych; 2. prawdziwa wolność będzie owocem społeczeństwa bezklasowego. Sprawą owej „wolności konkretnej" realizowanej przez ustrój socjalistyczny zajmuje się Garaudy w ostatnim rozdziale swej G r a m a t y k i w o l n o ś c i. W epoce swego zmierzchu, w epoce imperializmu, rozkładający się kapitalizm musi ujarzmić lud, aby móc dalej dawać zyskom monopoli pierwszeństwo przed konsumpcją mas. Wtedy oligarchia finansowa odrzuca nawet „formy" demokracji: skoro nie może już panować za pomocą oszustwa, panuje za pomocą terroru. W ten sposób rodzi się faszyzm — według definicji Dymitrowa — „jawna dyktatura terrorystyczna najbardziej reakcyjnych i szowinistycznych elementów kapitału finansowego." Faszyzm jest ustrojem, który najlepiej zapewnia wielkiemu kapitałowi kapitalistyczną wolność wyzyskiwania pracy. Burżuazja dochodząc do kresu zrzuciła maskę — nawet dekoracje „wolnościowe" okazały się dla niej niebezpieczne.

„Formą państwa najradykalniej przeciwstawną faszyzmowi jest dyktatura proletariatu" — podkreśla Garaudy. Wolność przechodzi tutaj do drugiego obozu. Demokracja burżuazyjna i faszyzm to dwie odmiany dyktatury burżuazyjnej. Pierwsza tworzy warunki polityczne wyzysku kapitalistycznego, gdy stosunki klasowe nie są jeszcze aż tak napięte przez koncentrację monopolistyczną, aby klasa robotnicza i jej sprzymierzeńcy nie mogli być opanowani przez proste sztuczki mistyfikacji „demokratycznych". Druga forma, faszyzm, tworzy warunki polityczne wyzysku kapitalistycznego, gdy napięcie stosunków klasowych jest tak silne, że tylko terror może opóźnić dojście klasy robotniczej do władzy.

W dyktaturze proletariatu, gdy władza znajduje się w ręku klasy robotniczej, chodzi o zniesienie wszelkiego wyzysku człowieka przez człowieka. Wymaga to przede wszystkim umożliwienia garstce pasożytniczych wyzyskiwaczy działania na szkodę ludu. „Dyktatura proletariatu jest wyższym typem demokracji, albowiem likwidując wyzysk człowieka przez człowieka i ciągnący za nim orszak kryzysów, bezrobocia i nędzy, stworzyła warunki dla wolności już nie formalnej, ale konkretnej. Wolność przestaje być wolnością na papierze, szumnymi formułkami ze wstępu do konstytucji burżuazyjnej. Wolności oblekły się w ciało: prawo do pracy jest efektywnie zagwarantowane, albowiem zniesione zostało bezrobocie; wolność słowa zapewniona jest efektywnie większości, ponieważ dzienniki przestały być własnością czterech trustów, a oddane zostały do dyspozycji dwustu milionów ludzi pracy; prawo do nauki jest realne, albowiem każde dziecko, niezależnie od pochodzenia, ma efektywną możność kształcenia się i doskonalenia w miarę swoich zdolności; każde dziecko noszące w sobie geniusz Newtona lub Rembrandta rozwinie go w pełni. Słowem, może żyć tutaj wolność, albowiem nędza przestała istnieć." Garaudy rekapituluje swe wywody stwierdzeniem, że „droga do wolności prowadzi przez dyktaturę proletariatu" i kończy swą książkę wspaniałym obrazem przyszłości człowieka po „skoku ludzkości z królestwa konieczności w królestwo wolności", który tak genialnie przedstawił Engels w jednym z rozdziałów A n t y-D ü h r i n g a.

G r a m a t y k ę w o l n o ś c i, książkę, gdzie naukowiec idzie o lepsze z artystą, której znaczenia i aktualności po powyższym zreferowaniu nie muszę chyba szerzej uzasadniać — weźmie z pożytkiem i przyjemnością do ręki każdy z dotychczasowych czytelników Garaudy'ego.

Ludwik Grzeniewski

LENINGRADZKI TEATR im. PUSZKINA

Występy w Warszawie, Wrocławiu i Katowicach Leningradzkiego Państwowego Akademickiego Teatru Dramatycznego im. A. Puszkina, przyjmowane z entuzjazmem przez publiczność, stały się również ośrodkiem szczególnego zainteresowania polskiego świata teatralnego.

Spodziewano się z góry, że spośród wielu czołowych teatrów radzieckich dzisiejsze oblicze artystyczne tego właśnie zespołu będzie dla nas szczególnie pouczające — historia bowiem jego zawiera liczne analogie do dziejów naszej sceny, warszawskiej przede wszystkim. Wszak to dawna „Aleksandrinka", fornalnie pierwsza scena rosyjska, stołeczny teatr „inspiratorski" — zbiorowisko gwiazd aktorskich pierwszej wielkości... ale niegdyś skazanych na dogadzanie gustom dworu, stołecznym snobizmom oraz rozrywkowym potrzebom rojowiska kupców i urzędników.

Niegdyś tam kwitła „epoka gwiazd", ze wszystkimi tego konsekwencjami dla metody prób, dbałości o jednolity wyraz przedstawienia, oraz dla obyczajów wewnątrz zespołowych. Gwiazdy były zresztą rzeczywiście pierwszej wielkości. Przypomnijmy tylko, w jakim tonie wyraża się o Dawydowie czy Warłamowie wielki K. S. Stanisławski.

Dzisiejszy Akademicki Teatr Dramatyczny im. Puszkina ma w zespole swoją jeszcze garstkę aktorów, którzy jeszcze w tamtych, przedrewolucyjnych czasach zdobyli sobie nazwiska, jak np. Tiraspolska, Domaszewa, Woronow. Od wielu lat głównym reżyserem jest uczeń Dawydowa, L. Vivien. Trzon zespołu stanowią artyści, którzy przyszli do teatru wraz z Wielką Rewolucją Październikową: jak dawny metalowiec-amator — K. Skorobogatow, jak również amator — A. Borisow, jak wychowanek leningradzkiego Teatru Młodego Widza — M. Czerkasow, jak ex-student sztuk pięknych — M. Simonow i wielu innych, należących dziś już do mistrzów teatru radzieckiego. Wychowane na żywych jeszcze wzorach starej gwardii, prowadzone mądrą ręką reżysera-pedagoga, J. Juriewa, świetne ich talenty nabrały pięknego szlifu i godnie dziś reprezentują tradycję wielkiej sztuki swych poprzedników. Następne dwie generacje — dojrzałych już artystów oraz młodzieży — to już wychowankowie całkowicie nowego radzieckiego teatru.

Zjeżdżając się z odległych środowisk teatralnych, by obejrzeć spektakle leningradczyków, witając serdecznie aktorów o nazwiskach głośnych na całym świecie, bo spopularyzowanych przez film, stawialiśmy sobie rozmaite pytania. — Co zostało z tradycji starych mistrzów? Jak zaważył na teatrze system Stanisławskiego? Jak wygląda nowy styl teatru i czy jest jednolity? I najważniejsze — jak rozwiązali i rozwiązują problemy realizmu socjalistycznego i partyjności sztuki w teatrze, który — mając podobną do naszej historię — musiał mieć również podobne trudności.

Na pytania szczegółowe teatr odpowiedział swą praktyką częściowo tylko. Na pytanie zasadnicze odpowiedział w pełni, z zaskakującą siłą, wymownie i przekonywająco.

Spośród 29 sztuk posiadanych w repertuarze przywiózł teatr leningradzki

pięć: z dramaturgii radzieckiej — Niezapomniany 1919 W. Wiszniewskiego i Głos Ameryki B. Ławreniewa; z klasyki rosyjskiej — Gorące serce A. Ostrowskiego i Żywy trup L. Tołstoja; z klasyki zachodniej Wieczór Trzech Króli W. Szekspira, oraz pokazywany specjalnie dla środowisk aktorskich program składany, obejmujący 8 scen z sześciu różnych sztuk, tak współczesnych jak i historycznych. Autor tego sprawozdania nie mógł niestety obejrzeć ani obu pozycyj z klasyki rosyjskiej, ani pozycji szekspirowskiej, sądzi jednak, że mimo całej znakomitości tamtych przedstawień, nie one zawierały odpowiedź na nasze pytania. W oglądanym bowiem fragmencie Lasu Ostrowskiego, w scenach z Puszkinowskiego Borysa Godunowa ukazane zostały perspektywy na tę stronę twórczości teatru. W Lesie — Kainis i Initina jako para wiejskich kochanków, a przede wszystkim Borysow i Tołubiejew jako Szczasliwcew i Nieszczasliwcew — dali próbki realizmu soczystego, rozwijającego bogaty obraz nie tylko charakteru, ale i losu ukazanego człowieka. Borysow zwłaszcza imponował tu kapitalną plastyką i wyrazistością. Jego Arkaszka Szczasliwcew to rósł, to malał, był na przemian uosobieniem człowieka, urazy, nadziei, załamania, słowem, wyrażając się językiem epoki, był godny pierwowzoru. — O takim aktorzynie warto było pisać sztukę. Zamykało się w tej postaci coś więcej niż jedno nieudane życie ludzkie. Technika i artyzm radzieckiego aktora nasycone są tu w sposób oczywisty tradycją najlepszych wykonawców tej roli w przeszłości. Podobnie Czerkasow (Waarłam) z Borisowem (Misart) w Borysie Godunowie. Jeszcze za kulisami wirtuozowsko rozłożona na głosy pieśń dwóch podpitych mnichów wywołuje zachwyt widowni. Któż nie śpiewa w tym teatrze?! Skor robogatow nim trafił do Leningradu był solistą opery kijowskiej. Śpiewa niegdyś i mistrz Dawydow. Kult pieśni zwłaszcza starej, ludowej, należy do pięknych cech aktorstwa rosyjskiego. Ale Borisow grając Mussorgskiego w filmie, sam, jak się okazuje, śpiewa partie operowe! Na to już kultu chyba nie wystarczy?...

Monolog cara Borysa z tejże sztuki z ogromną siłą i wspaniałą techniką głosu recytuje Mikołaj Simonow. Niezapomniany Piotr I z filmu, słynny generał radziecki Murawiow ze Zwycięzców Czirskowa, wspaniały Fiedia Protasow z Żywego trupa, tym razem wykonuje do słów tekstu monologu konsekwentnie przeprowadzoną niemal baletową pantomimę, grając doprawdy „od kulisy do kulisy". Jeśli przyjąć, że zachowanie się mnichów w scenie poprzedniej jest stylową trawestacją ruchu i słowa, to jednak ani na chwilę nie rozstajemy się tam z twardym gruntem realizmu. Stylizowana zaś partytura monologu Godunowa wydaje się tak bardzo wynikać ze starych koncepcyj interpretowania poezji na scenie, że trudno nam tu odnaleźć jakiś wspólny mianownik estetyczny. W każdym razie monolog ten, ukazując błyskotliwą technikę i przyrodzone możliwości „bohaterskie" wykonawcy, nie poruszył we mnie ani serca, ani wyobraźni.

Mniej jaskrawo, a przecież podobnie zarysowała się koncepcja rozprawy Iwana Groźnego (Czerkasow) z Bratem Zakonnym (Prokofiew) w scenie z Wielkiego Władcy Wł. Sołowiowa. Monumentalną partyturę rozprawy przytłumił Czerkasow podkreślając „samopoczucie" starego władcy, jego wiek znużenie. W rezultacie głos cara zacierał się nieraz wśród głosów bojarów w sposób raczej przypadkowy. Świetnie za to zagrał Czerkasow końcówkę tej sceny.

Scenka z Człowiekaz karabinem M. Pogodina, ukazuje znów, jak wspaniałe tradycje realizmu psychologicznego, wypracowane na repertuarze Ostrowskiego, Tołstoja i innych, pogłębiają się i rozszerzają w pracy nad ukazaniem nowego człowieka. Dialog Szadrina (Merkuriew) z rewolucjonistą Czibisowem (Guszczyn) wart jest wspomnianego już duetu Czerkasowa z Borisowem i obu tych scen widzowie długo nie zapomną. Żywiołowość chłopa udręczonego latami wojny maluje Merkuriew zaledwie uchwytnymi barwami. Spryt, rozwaga, ostrożność, pod wpływem cwanych, robociarskich „zagrań" rewolucjonisty — mienią się jak w kalejdoskopie. Wspaniałe są zmiany rytmu, wytrawna technika rysunku delikatnego a precyzyjnego, świetny „ton", dużo zdrowego, optymistycznego, prawdziwie ludowego humoru. I z tym wszystkim — żadnej popisowej ostentacji! Raczej dyskrecja.

Głos Ameryki B. Ławreniewa. Tu zastanawia przede wszystkim sama koncepcja stylu przedstawienia. Sztuka o tematyce ważnej i potrzebnej, potraktowana jednak nie głęboko. Proporcja indywidualności i typowości jest naruszona kosztem właśnie indywidualnego wyrazu bohaterów: wiemy o nich znacznie mniej, niż np. o Amerykanach ze sztuki Simonowa. Otóż teatr bynajmniej nie usiłuje tego stuszować dostępnymi sobie środkami, takimi choćby jak podkreślenie rodzajowości środowiska, rozwinięcie scen kameralnych itp. Przeciwnie, wypowiedziano tu niemal walkę kameralności: intymna, zdawałoby się, scena porozumienia się ideowego bohatera sztuki z żoną grana jest szeroko i patetycznie, jak w teatrze Cyda lub Fedry. Konsekwentnie zaostrzona jest interpretacja postaci rodzajowych; i tak K. Kalinis ze swego Percy Buttlera, matołkowatego businessmana, czyni postać z jaskrawego wodewilu, gangsterzy zachowują się jak w parodii filmu amerykańskiego, zaś senator z komisji badania działalności antyamerykańskiej — w wyrazistej i pełnej jadowitego humoru interpretacji B. Żukowskiego — prezentuje się jako rodzony brat... King-konga.

Wyjaśnienia tego rodzaju koncepcji nie daje autor monografii o Skorobogatowie, N. Waliano, pisząc, że artyście radzieckiemu nie wystarcza odzwierciedlenie rzeczywistości z pozycji obserwatora i cytując jedną z seniorek teatru imienia Puszkina, Miczurinę-Samojłową: — „Dawniej, grając role ujemne, ubarwiałam je kokieterią, wdzięczeniem się, intryganctwem; malowałam je delikatną akwarelą i starałam się je usprawiedliwić. Inaczej postaci te nie miały u mnie życia... Teraz natomiast maluję je jaskrawą farbą olejną. Biczuję ich obłudę, chciwość, egoizm, nieuleczalną tępotę. A pod tym wszystkim staram się ukazać klasowy charakter moich bohaterek". Ważne to i słuszne sformułowania, godne pilnej uwagi. Ale przecież metaforę o farbach olejnych można różnie interpretować; różnymi środkami można okazać klasowy charakter postaci oraz własną tej postaci ocenę intelektualną i uczuciową.

Uczeń Wachtangowa, reżyser B. Zachawa, wspomina o przedstawieniu, w którym przewodniczący parlamentu miał dwa dzwonki; maleńki do uciszania reakcjonistów i ogromny do poskramiania posłów lewicy. „Prawda, idea reżysera wyrażała się tu jaskrawo i wyraźnie: widz wiedział od razu, o co chodzi. A przecież pozostawał wewnętrznie niezadowolony, bo rozumiał doskonale, iż nie ma na świecie takiego parlamentu z dwoma dzwonkami. A chciałby on zobaczyć, jak w rzeczywistości przewodniczący zamykają usta posłom nastrojonym rewolucyjnie — zachowując przy tym pozory obiekty-

wizmu". — Uwagi te przychodziły kilkakrotnie na myśl podczas spektaklu Głosu Ameryki.

Trzeba jednak podkreślić, że jeśli w partiach satyrycznych spektakl — mimo bijącego w oczy talentu wykonawców ! — przechylał się ku dawno przezwyciężonemu „teatrowi masek politycznych", to w części swojej pozytywnej zdobywał i wzruszał widza. Schemat przy tym niemal klasyczny: trzy kobiety tworzą tło wzruszeniowe (lekki akcent rodzajowy wnosi doskonała w roli Murzynki-służącej — K. Aleksandrowska), partner podaje przesłankę intelektualną (dyskretny i ogromnie zmobilizowany wewnętrznie Merkuriew jako exsierżant komunista) i oto bohater główny rozwija sytuację do wielkiego, patetycznego monologu. Siła przekonania, wiara i zapał, jakie tu wykazuje A. Dubieński (w roli kapitana Kidda, postanawiającego walczyć o lepszą Amerykę ramię w ramię z komunistami) są tak wielkie, że i patos wydaje się na miejscu i sytuacja nabiera nieoczekiwanie cech naturalności i prostoty — wyższego rzędu! Tak, tego na naszych scenach nie widujemy, tego powinniśmy się czym prędzej nauczyć. A jest to nieosiągalne bez wielkiej pracy ideowo-politycznej, bez emocjonalnego przeżycia słuszności swojej sprawy, bez poczucia twórczej solidarności swojej sprawy, bez poczucia twórczej solidarności z widownią, z masami pracującymi, których trudem nasz dzień powszedni urasta do patosu klasyki!

Najdonioślejszym wydarzeniem stał się jednak Niezapomniany rok 1919 W. Wiszniewskiego. Ledwo podniosła się kurtyna, od razu najpotężniejszy akord: Lenin i Stalin w dialogu, obejmującym najistotniejsze problemy momentu historycznego. Charakteryzacja obu — kapitalna. Cokolwiek się dzieje na scenie, w jakimkolwiek by mgnieniu oka ich sfotografować — gest i wyraz aktorów nie zawiedzie. Lenin źle wymawia „r"; Skorobogatow oddaje to znakomicie, jak i całą „rodzajowość" gestów postaci. Gdy jednak przychodzi do sformułowań zasadniczych, aktor tuszuje osobliwości wymowy do minimum, ażeby forma nie zjadła treści. Lenin jest ruchliwy, Stalin bardziej statyczny. Gdy Lenin - Skorobogatow ujmuje partnera pod rękę, Stalin-Jancat nie od razu „łapie krok": ci ludzie przywykli zgodnie myśleć, ale na wspólne pod rękę spacery mało mieli czasu... Albo inny szczególik, natychmiast zauważony przez widownię: — skrupulatność, z jaką odczytuje Lenin raz jeszcze akt pełnomocnictw rządowych przed wręczeniem ich Stalinowi. Napięcie intelektualne i emocjonalne świadomości, żarliwość patrioty, marzenie — to słynne Leninowskie marzenie! — społecznika i wodza partii, a przede wszystkim myśl — czynna, sprężysta, drapieżna, kierująca w sposób niemal fizycznie widoczny działaniami Lenina, tempem jego mowy, ba! oddechem całej widowni. Stalin ma znacznie mniej tekstu, a przecież mamy wrażenie najzupełniej równorzędnego dialogu. Dzieje się tak dlatego, że Jancat umie poprzez takt, karność i ogromne zaufanie do wodza, ukazać w najbliższym współpracowniku Lenina trzeźwość i mądrość życiową oraz gotowość walki. Stalin przyniósł Leninowi groźne wiadomości. Wie, spodziewa się, że wnioski, które wyciągnie Lenin, będą takie nie inne, ale nie narzuca się z podsumowaniem ich, nawet nie manifestuje przedwczesnej solidarności — czego sobie normalnie aktor nie umiałby odmówić. I oto myśl Leninowska z myśli teoretycznej przeradza się w myśl męża stanu: już owładnęła poszczególne etapy, już brzmi jak decyzja operacyjna, wybiega dalej i dalej...

Były to wspaniałe chwile. Przeżycia, których nie spodziewałbyś się doznać w teatrze. I żadnej, najmniejszej ostentacji aktorskiej, żadnej tendencji do podkreślenia gestu, zafiksowania którejkolwiek pozy, żadnej — teatralności. Ileż pracy trzeba było włożyć, żeby osiągnąć takie wirtuozostwo! A zarazem — jak głęboko trzeba było przeżyć — intelektualnie i uczuciowo — sens historii, żeby tak podporządkować aktorstwo samej idei, samej sprawie. Ale za to z lakonizmu środków, z podziwu godnej karności wewnętrznej aktorów i reżysera, przed oczyma wdzięcznej widowni rodzi się sztuka prawdziwa, siostra mądrości.

Dodajemy nawiasem, że podobnie zbudowana i rozegrana była scena pomiędzy Leninem (Skorobogatow), a Gorkim (Czerkasow) ze sztuki Lenin w 1918 r. Złatogorowej. Natomiast w scenie ze Szczęścia Pawlenki grający Stalina Tołubiejew posunął lakonizm środków aktorskich jeszcze dalej. W jednej z opublikowanych wypowiedzi twierdzi Tołubiejew, że wszelkie „pomysły" aktorskie są swoistym aktorskim formalizmem — są wyrazem niewiary w istotną treść roli, a jednocześnie — świadomym lub mimowolnym środkiem ściągnięcia uwagi na siebie kosztem partnerów. Jest to może już krańcowe stanowisko spośród wielu wypowiedzi czołowych aktorów radzieckich, podkreślających mocno prymat ideowości i zespołowości nad popisem technicznym.

Wracając do Niezapomnianego roku 1919-go, trudno nie zatrzymać się jeszcze przynajmniej na scenie rewizji wśród spiskowców w secesyjnym salonie madame Butkiewicz, szpiegówki do wynajęcia. Scenę tę poprzedza rozmowa Stalina z dowódcą oddziałów specjalnych, marynarzem Szybajewem. Niedługo, jak się okazuje, służy Szybajew w kontrwywiadzie, a tymczasem wróg dysponuje wytrawnymi szpiegami. Krecia robota spiskowców może udaremnić wysiłki żołnierzy rewolucji. Szybajew musi odnaleźć ogniwa spisku i to bez chwili zwłoki! Czy potrafi?... Toteż poleca mu Stalin oprzeć się w rewizjach na aktywie rewolucyjnym, na robotnikach. I tak to w obrazie rewizji widzimy Szybajewa z aktywistami przeciwko bandzie wysoce kulturalnych zdrajców ojczyzny. Mógłby z tego być zajmujący epizod. Dzięki mądrej, twórczej współpracy reżysera i aktorów (m-me Butkiewicz gra Eugenia Wolff-Izrael; Szybajewa — Merkuriew) otrzymaliśmy, podobnie jak w obrazie pierwszym, bogatą, rozbudowaną całość, w której rozgrywa się ważna sprawa — awans, rozkwit sił i świadomości proletariatu rewolucyjnego, oraz tragikomiczna degrengolada wroga. Reżyser umiał dojrzeć w epizodzie myśl ogólniejszą, postawić i rozszerzyć zadanie. To samo dotyczy przeprowadzenia postaci Stalina, który jest organizatorem zwycięstwa, a więc centralną osobą akcji. Stara to zasada, że wielkość w sztuce budujemy ze stosunku do niej otoczenia. Reżyser Vivien umiał zaprząc do tej budowy i wrogów i swoich, — angielskiego szpiega Daxa (świetnie gra go W. Erenberg) i marynarza-telefonistę, który swoim „ale, ale!" krzyczanym tak zabawnie do słuchawki, ubarwia dodatkowo moment historycznego meldunku towarzysza Stalina po zwycięstwie.

Duch zespołowości oraz dominowanie idei nad rzemiosłem aktorskim sprawiają, że w tym spektaklu nie łatwo odróżnisz asa od średniaka. Samopopisowiczów — ani na lekarstwo! „Durnia poznać na scenie mimo charakteryzacji" — powiada L. Vivien i trzeba to pożyteczne powiedzionko zachować.

Jakże więc będą wyglądać odpowiedzi na postawione z góry pytania? — Staraliśmy się na nie odpowiedzieć w toku relacji. Za górami, za lasami zostały przedrewolucyjne nawyki, choć teatr nic nie uronił z tradycji samego mistrzostwa asów dawnej „Aleksandrinki". Godni następcy starych mistrzów ściślej tylko zrośli się z ludowym źródłem sztuki teatralnej oraz, wychowani przez teorię i praktykę kraju budownictwa socjalistycznego, nauczyli się swoje piękne rzemiosło aktorskie podporządkowywać idei. To jest ich metoda rozwiązywania problemów realizmu socjalistycznego. Tak pracując przez długie lata zdobyli własne doświadczenia i tradycje, uczynili swój zespół instrumentem zgranym, zdatnym na dzisiaj i na jutro. Nie boją się śmiałych zestawień barw, groteski i patosu: tego nauczyli się u klasyków, to ceni lud. Toteż teatr ich ma olbrzymią siłę oddziaływania emocjonalnego.

Pobyt Teatru im. Puszkina, choć ograniczony do kilku tylko środowisk teatralnych, dostarczył wiele materiału do przemyśleń, uzmysłowił nam lepiej trudności nasze i braki, ale też i wzmógł zapał do ich przezwyciężenia.

Józef Maśliński

P. S. — Tłumacz programu, wydanego przez Komitet Współpracy kulturalnej z Zagranicą nie zna nazwisk aktorów i dramaturgów rosyjskich, (Czirski zam. Czirskow, I. Lerskij zam. P. Lenski itd.), nie zna też terminologii teatralnej (nie „pomocnik reżysera", tylko inspicjent), nie orientuje się w transkrypcji imion angielskich (pisze: Sintia, Gerbert, Deks itd.), oraz źle radzi sobie z polszczyzną. Czy nie za dużo tych nie?

J. M.

N A W I D N O K R Ę G U

PRZEGLĄD MIĘDZYNARODOWY

Na „Forum Mussoliniego" w Rzymie

Podczas gdy w Paryżu trwają obrady
I sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ,
poświęcone między innymi sprawom
powszechnego rozbrojenia — rządy
państw należących do Paktu Atlantyc-
kiego przeprowadzają gorączkowe nara-
dy poświęcone już nie między innymi,
ale wyłącznie sprawie powszechnych
zbrojeń. Ministrowie atlantyccy dwoją
się i troją, aby zdążyć na wszystkie po-
siedzenia i konferencje, tak że zachodnia
„obsługa dyplomatyczna" na sesji ONZ
coraz mocno kuleje. Dyplomacja amerykań-
ska nie może zresztą poszczycić się spe-
cjalnymi sukcesami nawet na konferen-
cjach przeprowadzanych niejako „w
swoim gronie". Taką bardzo charakte-
rystyczną dla dzisiejszego stanu spraw
w obozie atlantyckim konferencją była
rzymska sesja Rady Paktu Atlantyc-
kiego w ostatniej dekadzie listopada.

Rada Paktu Atlantyckiego, w skład
której wchodzą ministrowie spraw za-
granicznych, sił zbrojnych i finansów
wszystkich państw, jest najwyższą instancją
tego ugrupowania. Podlegają jej rozma-
ite komitety, komisje, urzędy i wy-
działy. Najważniejszą rolę odgrywają
wśród tym — kwatera główna wojsk
atlantyckich w Europie pod kierownic-
twem gen. Eisenhowera, 12-osobowy
komitet dla spraw finansowania zbro-
jeń pod kierownictwem doradcy Tru-
mana i szefa amerykańskiej organizacji
i rozdziału „pomocy" dla zagranicy,
Harrimana, oraz tzw. stały komitet za-
stępców członków Rady kierowany
przez ambasadora amerykańskiego,
Bradforda. Pierwsza i trzecia z wymie-
nionych instytucji mają charakter per-
manentny, druga zaś jest tworem do-
raźnym, powołanym do życia na po-
przedniej sesji Rady w Ottawie we
wrześniu br. Sam fakt powstania komi-
tetu Harrimana, a w jeszcze dobitniej-
szy sposób przebieg prac tego komitetu,
były dość wyraźnym dowodem tego, co
prasa zachodnio-europejska i amery-
kańska w swych komentarzach z rzym-
skiej sesji określiła „kryzysem Paktu
Atlantyckiego".

Agresywne ugrupowanie znane pod
nazwą Paktu Atlantyckiego przeżywa
bowiem niezaprzeczalny kryzys. Kryzys
ten jest przede wszystkim rezultatem
dotychczasowych licznych niepowodzeń
i porażek polityki atlantyckiej, przy
czym do najważniejszych zaliczyć na-
leży sukcesy ofensywy ruchu obrońców
pokoju w Europie zachodniej w połą-
czeniu z umacnianiem i rozszerzaniem
frontów narodowych w poszczególnych
krajach marshallowskich, frontów kie-
rowanych przez partie komunistyczne
i uznających za swe naczelne hasło za-
kończenie okupacji amerykańskiej w
Europie zachodniej i ocalenie suweren-
ności państwowej amerykańskich „so-
juszników". Drugi kompleks atlanty-
ckich porażek związany jest z trudno-
ściami gospodarczymi spowodowanymi
przez politykę coraz to przyspieszanych
zbrojeń. Trzeci wreszcie zespół zagad-
nień przyczyniających się do wzrostu
trudności, na jakie napotyka polityka
USA, to zaostrzające się tarcia i sprze-
czności wewnętrzne w obozie imperia-
listycznym. Nie trudno dostrzec, że
wszystkie te trzy źródła porażek poli-
tyki atlantyckiej są ze sobą ściśle zwią-
zane.

Na ottawskiej sesji Rady Paktu Atlan-
tyckiego dokonano niejako podsumowa-
nia wszystkich trudności i pan Acheson
wydał polecenie „zlikwidowania" ich
do dnia 24 listopada, kiedy to rozpo-
częła się sesja rzymska. Rzeczywistość

wykazała, iż rozkazy pana Achesona to za mało, aby poradzić sobie z sytuacją. Jak wynika z oficjalnych doniesień prasowych, sesja rzymska nie tylko nie przyniosła zadowalających rozwiązań, ale nawet stała się terenem podsumowania sprzeczności jeszcze ostrzejszych niż na sesji ottawskiej. Przedmiotem obrad rzymskich były następujące główne sprawy: raport gen. Eisenhowera domagający się przyspieszenia rozbudowy sił zbrojnych i zbrojeń w Europie zachodniej tak, by kwatera sił atlantyckich w Europie mogła przy końcu 1952 r. dysponować 40 dywizjami na pełnej stopie bojowej, nie licząc dywizji zachodnio-niemieckich; raport komitetu Harrimana, który miał ustalić rozdział ciężarów zbrojeniowych pomiędzy poszczególne państwa atlantyckie; sprawozdanie Achesona i Schumana na temat włączenia Niemiec zachodnich do bloku atlantyckiego; zagadnienia struktury organizacji atlantyckiej, w tym przede wszystkim kwestia organizacji agresywnego paktu blisko-wschodniego i sprawa dowództwa floty atlantyckiej na Oceanie.

Pierwsze dwa tematy były ze sobą w sposób oczywisty ściśle związane. Nacisk amerykański w kierunku przyjęcia zaleceń Eisenhowera był maksymalnie silny. Trzeba dodać, że — jak stwierdził *Monde* — Eisenhowerowi chodziło nie tylko o zwiększenie liczby stojących do jego dyspozycji dywizji i o przyspieszenie w związku z tym rozbudowy armii antlantyckiej, ale także o przekształcenie budżetów wojskowych poszczególnych państw zachodnio-europejskich w ten sposób, by siły zbrojne tych krajów utraciły wszelką samoistność i stały się wyłącznie uzupełnieniem armii amerykańskiej. Tak np. Eisenhower zażądał, aby Francja i Włochy skoncentrowały się wyłącznie na rozbudowie armii lądowej kosztem całkowitej rezygnacji z marynarki wojennej. Zachodnio-europejscy partnerzy odpowiedzieli na żądania Eisenhowera wyciągnięciem ręki z prośbą o dodatkową pomoc amerykańską. Należy przy tym wskazać, że zagadnienie amerykańskiej pomocy zbrojeniowej — to sprawa o tyle skomplikowana, że jej odbiorcy za pomoc uważają coś zupełnie innego niż Amerykanie. W bieżącym amerykańskim roku gospodarczym, tj. od 1 lipca br. do 30 czerwca 1952, fundusze przeznaczone na „pomoc dla zagranicy" wynoszą, włącznie z kredytami przeniesionymi z poprzedniego roku budżetowego, około 8 miliardów dolarów. Z sumy tej na państwa atlantyckie przypada prawie 7 miliardów. Istota sprawy polega jednak na tym, że z owych 7 miliardów 6 stanowić mają dostawy gotowego uzbrojenia. Jedynie 1 miliard przypada na tzw. „pomoc gospodarczo-zbrojeniową", tzn. na fundusze dolarowe obracane na zakup sprzętu zbrojeniowego w fabrykach zachodnio-europejskich i, w drobnym ułamku zresztą, na dostawy surowców dla tegoż przemysłu. Jest rzeczą zupełnie jasną, że taka struktura pomocy amerykańskiej ma po pierwsze na celu zapewnienie maksymalnych zysków amerykańskim koncernom zbrojeniowym kosztem częściowo ich zachodnio-europejskich kolegów, że po drugie dostawy sprzętu są takiego rodzaju, jaki odpowiada amerykańskiej koncepcji wojsk zachodnio-europejskich jako źródła mięsa armatniego; że wreszcie dostawy te w niczym nie przyczyniają się do zmniejszenia ciężarów zbrojeniowych w Europie zachodniej, gdyż, jak to stwierdził oficjalnie szef wydziału pomocy dla zagranicy w Departamencie Obrony USA, gen. Olmsted, pomoc amerykańska „nie zastępuje własnego wysiłku Europy zachodniej, a przeciwnie — stanowić ma zachętę do wzmo

enia tego wysiłku". Państwa zachodnio-europejskie — jak to pisał *Times*— wolałyby oczywiście otrzymywać pomoc amerykańską w innej formie, tj. przede wszystkim w surowcach. Jest przy tym rzeczą ciekawą, że pomoc w dolarach przestała już być tak pożądana przez burżuazję zachodnio-europejską, jak była dwa lata temu. Dolar nie jest już bowiem walutą, za którą można wszystko kupić, a z całą pewnością nie jest walutą, za którą można kupić tanio. W wyniku wielkiej ofensywy amerykańskiej na źródła surowców przemysł zachodnio-europejski znalazł się w sytuacji, w której jego zaopatrzenie surowcowe kuleje pod każdym niemal względem. Według marshallowskiej organizacji OEEC, brak nie tylko metali kolorowych wszelkiego rodzaju, ale i takich podstawowych artykułów jak węgiel i stal. Brak olejów roślinnych, szeroko stosowanych przez USA w ich gospodarce zbrojeniowej. Brak wreszcie podstawowych chemikalii z siarką i kwasem siarkowym na czele. Brak nawet nawozów sztucznych, gdyż surowce do ich produkcji wędrują do amerykańskich fabryk śmierci. Nawet mając dolary, państwa zachodnio-europejskie nie byłyby w stanie nabyć w Ameryce potrzebnych im surowców. Ponadto amerykański wyścig surowcowy wywołał wielką zwyżkę cen i spowodował deprecjację dolara wynoszącą, jeśli chodzi o hurtowe ceny surowców, około 40% w okresie minionego roku. Wszystko to powoduje, że państwa zachodnio-europejskie chciałyby z USA otrzymywać jako pomoc przede wszystkim surowce. Jaka jest na to odpowiedź amerykańska, świadczyć może fakt, że np. Wielka Brytania zapotrzebowała w USA na okres drugiego półrocza br. 800 tys. ton stali, za którą zresztą chciała zapłacić w dolarach. Dostawy, po długich targach, wyniosą — jak podał do wiadomości szef urzędu produkcji zbrojeniowej w USA, Fleischmann — 25 tys. ton, tzn. 3% żądanej ilości! Ponadto Brytyjczycy mogą kupić w USA jeszcze 46 tys. ton stali, ale po „cenach extra" i to płatnych nie w pieniądzu, ale w aluminium, równie potrzebnym Wielkiej Brytanii jak i Stanom Zjednoczonym.

Trzeba przy tym pamiętać, że według np. ostatniego raportu OEEC brak surowców stanowi czynnik wyniszczający dziś gospodarkę zachodnio-europejską. Wiąże się on bowiem z przestawianiem tej gospodarki na produkcję zbrojeniową. Nawet w USA proces tego rodzaju powoduje — jak to przyznał ostatnio dyktator gospodarczy, Wilson — „konieczność rezygnacji z hasła: „armaty i masło jednocześnie". Można więc sobie wyobrazić, co w tych warunkach dzieje się w Europie zachodniej bez porównania słabszej gospodarczo od Ameryki i w szczególności nie dysponującej, nawet w przybliżeniu, potencjałem surowcowym, jakim dysponują Stany Zjednoczone. W rezultacie Europa zachodnia jest od przeszło roku wydana na łup szalejącej inflacji, gdyż produkcja na potrzeby cywilne stale maleje i to maleje w szybszym tempie, niż rośnie produkcja zbrojeniowa. W produkcji zbrojeniowej bowiem angażowane są takie surowce, jak np. miedź, których brak hamuje działalność całego szeregu gałęzi przemysłu konsumcyjnego, chociażby nawet poza tym jednym jedynym artykułem nie używających żadnych innych surowców deficytowych (tzw. wąskie gardła). Ponadto, jak już wskazano wyżej, dostawy surowcowe dla Europy zachodniej zmalały w wyniku akcji amerykańskiej i podział tych surowców pomiędzy przemysły zbrojeniowe i cywilne odbywa się w warunkach ciągle malejących zasobów globalnych. Po trzecie wreszcie rynek wewnętrzny Europy zachodniej dotknięty jest brakiem arty-

kułów konsumcyjnych w stopniu wyższym, niż by to wynikało z samego spadku produkcji. Kraje zachodnio-europejskie bowiem zmuszone są do forsowania za wszelką cenę swego eksportu. Zwyżka cen na rynkach światowych odbywa się w warunkach dla krajów zachodnio-europejskich niekorzystnych, tzn. że ceny artykułów importowanych przez te kraje wzrastają szybciej niż ceny artykułów exportowych. W rezultacie takiego rozwoju Europa zachodnia straciła w pierwszym półroczu br. dodatkowe 4 miliardy dolarów w swym handlu zagranicznym. Nastąpiło więc gwałtowne pogorszenie bilansów płatniczych. Dla nadrobienia strat kraje zachodnio-europejskie starają się zwiększyć wolumen eksportu. Sytuacja jest rabunkowo wykorzystywana przez Stany Zjednoczone, które zakupują w krajach marshallowskich artykuły niezbędnie potrzebne przemysłom tychże krajów. Z Francji np. wywozi się aluminium, z Niemiec stal, z Włoch rtęć itd. Wszystko razem daje w rezultacie proces inflacji powiązany z procesem zmniejszania nie tylko samej produkcji cywilnej, ale nawet całej łącznej produkcji zachodnio-europejskiej. W krajach marshallowskich mamy do czynienia z niezwykle zaostrzonym kryzysem ekonomicznym, dla burżuazyjnych ekonomistów będącym czymś paradoksalnym: inflacja i wzrost bezrobocia (w Trizonii np. o 300 tys. w ciągu półrocza!).

Klasa robotnicza w Europie zachodniej jest oczywiście pierwszą ofiarą takiego rozwoju sytuacji. Nawet zastępca Harrimana, Bissell, na konferencji przemysłowców z USA i państw marshallowskich zmuszony był oświadczyć, że „robotnik w Europie zachodniej żyje w warunkach coraz mniej możliwych do zniesienia". Klasa robotnicza prowadzi oczywiście ostrą walkę z rabunkową polityką gospodarczą realizowaną przez wielką burżuazję zachodnio-europejską na rozkaz Amerykanów. Zaostrzenie ekonomicznej walki klasowej, nie mówiąc już o tym, że osłabia dodatkowo gospodarkę marshallowską, stanowi czynnik sprzyjający wzrostowi świadomości politycznej klasy robotniczej i będący wobec tego poważną rezerwą sił w walce przeciw polityce okupacji amerykańskiej. Ponieważ zaś ciężar zbrojeń spada nie tylko na klasę robotniczą, ale również w bardzo poważnym stopniu na chłopstwo i drobne oraz średnie mieszczaństwo w Europie zachodniej, więc też istnieją obiektywne warunki ekonomiczne sprzyjające powstawaniu szerokich frontów narodowych pod wodzą klasy robotniczej wymierzonych przeciw polityce zbrojeń, tj. polityce wojny.

W tym świetle nie można się dziwić, że najbardziej proamerykański dziennik brytyjski *Daily Telegraph* pisząc o żądaniach Eisenhowera, wskazał: „Te żądania przyspieszenia zbrojeń spowodują jednak takie nadszarpnięcie zasobów gospodarczych, że zainteresowane rządy europejskie nie uważają, aby ich obywatele mogli to w ogóle wytrzymać". W odpowiedzi więc na żądania Eisenhowera ministrowie europejscy zapytali jak przedstawia się sprawa z amerykańską pomocą. Minister finansów USA, Snyder, odpowiedział całkiem autorytatywnie, że sprawa przedstawia się bardzo źle. Minister mianowicie stwierdził publicznie na konferencji prasowej że „państwa zachodnio-europejskie zrobią lepiej, nie licząc na żadną dodatkową pomoc z USA". Ekonomiczny sprawozdawca *N. Y. Times* w Europie donosi w związku z tym, że „pan Snyder nie umilił ponurej atmosfery swym ostrzeżeniem, by nie spodziewano się zwiększenia pomocy amerykańskiej. Zachodnio-europejscy ministrowie fi

ansów i eksperci ekonomiczni są po esji rzymskiej jeszcze bardziej ponuro astrojeni". Pendent do tych ponurych astrojów może być fakt, że komitet Harrimana — nota bene ochrzczony rzez prasę zachodnio-europejską „komitetem mędrców", jako że zwykli luzie nie widzą sposobu pogodzenia wyścigu zbrojeń ze zdrową gospodarką — ie potrafił przedłożyć żadnego ostatecznego raportu. „Mędrcy" nie okazali się ynajmniej mądrzejsi z powodu otrzymania tego przydomka. Z pustego próżne nie naleje nawet mędrzec, owiada jeden z nagłówków w paskiej prasie wieczornej. Wszystko, o potrafił powiedzieć na sesji pan Harman, to to, że jego, Amerykanina, zdaniem „należy zapatrywać się optymistycznie na europejskie możliwości wyzymania ciężaru szybszych, niż obecne, brojeń". Harriman musiał jednak rzyznać, i potwierdzili to zachodnioeuropejscy ministrowie, że kraje marshallowskie są zupełnie innego zdania a temat swych możliwości, niż pan arriman. W szczególności, jak pisze P, „sceptykiem" był brytyjski minister utler. Amerykański tygodnik *Newsweek* donosi, że w Rzymie „Amerykanie byli jedynymi delegatami nawołującymi do pośpiechu i wbijali bez przerwy niechętne uszy swych europejskich olegów, że godzina zbrojeń wybiła. Pobstaje faktem, że europejscy delegaci e wkładają serca w zbrojenia i robią tylko to, do czego zmuszani są zez USA groźbami bądź zachętą. Presa USA na rzecz zbrojeń nadwyrężyła ż stosunki między USA i ich aliantami do tego stopnia, że poszczególni uestnicy sesji rzymskiej prywatnie boją się tej presji nie mniej niż Związku adzieckiego i podejrzewają Stany ednoczone o plany wojny prewencyjnej". Jak na wyznawców „pokojowej polityki USA" są to opinie raczej niezwyczajne.

Sesja pod presją amerykańską zgodziła się ostatecznie, że żądania Eisenhowera „powinny być zrealizowane", ale jednocześnie postanowiła odroczyć decyzję do czasu następnej sesji wyznaczonej na 2 lutego 1952 w Lizbonie. „Komitet mędrców" ma w tym czasie zakończyć wreszcie prace nad swym raportem. Już w grudniu odbyło się posiedzenie komitetu zakończone ponownym fiaskiem, gdyż jak się okazało, każdy z członków paktu uważa, że on sam zbroi się już dostatecznie szybko i zalecenia Eisenhowera powinny dotyczyć innych partnerów. Do jakich wybiegów przy tym dochodzi, wskazywać może doniesienie tygodnika *Economist*, według którego Belgowie przedstawili komitetowi w ogóle sfałszowane statystyki swego dochodu narodowego, aby wykazać, że wydają na zbrojenia większy jego procent niż inni sojusznicy.

Drugim podstawowym zagadnieniem była sprawa remilitaryzacji Trizonii. Acheson, Eden i Schuman bezpośrednio przed konferencją rzymską obradowali z Adenauerem w Paryżu. W trakcie tych obrad ustalano koncesje, jakie otrzymać ma zachodnio-niemiecki imperializm w zamian za swój wkład wojskowy na rzecz Eisenhowera. Nie uzgodniono jednak kilku dość ważnych problemów, które prasa zachodnia podsumowuje na ogół jako tzw. „problem armii europejskiej". Jak wiadomo, w ślad za planem Schumana na arenę polityczną atlantyckiego świata wjechał w końcu ub. roku tzw. plan Plevena, inaczej „plan armii europejskiej". Tak jak plan Schumana ma na celu połączenie ciężkich przemysłów Europy zachodniej w wielki kombinat zbrojeniowy kierowany przez kapitał amerykański, tak też plan Plevena ma za zadanie stworzenie armii agresji amerykańskiej

w Europie, którą by ów kombinat uzbrajał. „Armia europejska" byłaby częścią składową atlantyckich wojsk pod dowództwem Eisenhowera. Istotą obu planów jest włączenie Niemiec zachodnich do realizacji agresywnej koncepcji amerykańskiej w Europie i to nie w podrzędnej, ale w nadrzędnej roli bezpośrednich namiestników Wall Street. Oba plany łącznie stanowią więc koncepcję amerykańsko-niemieckiej hegemonii w bloku agresji na terenie Europy. Zarazem próbuje się z całym cynizmem przedstawić oba plany jako... zapobiegające groźbie imperializmu niemieckiego! Francuscy ministrowie firmujący te plany dowodzą, jakoby remilitaryzacja Niemiec zachodnich przestawała być w wypadku przeprowadzenia jej w ramach „armii europejskiej" groźna, jakoby imperializm niemiecki mógł być przy pomocy tej armii „kontrolowany" itd. Trudności, jakie powstały w związku z „armią europejską", nie były bynajmniej wynikiem niechęci któregokolwiek z uczestników rzymskiej sesji wobec zasady udziału Niemiec w agresji przeciw krajom socjalizmu. Pod taką zasadą reakcja zachodnio-europejska podpisuje się obu rękoma. Chodzi jednak o sprawę roli i rozmiarów samodzielności, jakie imperializm niemiecki miałby przy tym otrzymać. Pod tym względem opinie są jak najbardziej rozbieżne i w rezultacie powstaje „problem armii europejskiej". Rząd francuski wykoncypował sobie, że mianuje swego przedstawiciela na stanowisko „europejskiego komisarza obrony" i że w ten sposób włączy się jakgdyby pomiędzy Eisenhowera a Bonn jako namiestnik amerykański nad armią niemiecką. Adenauer odpowiedział na to żądaniem „całkowitej równości praw" niemieckiego ministerstwa sił zbrojnych i niemieckiego sztabu generalnego. Następnie powstała kwestia kosztów. Zdaniem takiego eksperta jak były doradca Mac Cloya, Buttenwieser koszt wystawienia armii niemieckiej mającej na początek liczyć 12 dywizji w zakresie wojsk lądowych, wyniesie nie mniej niż 14 miliardów marek, tj. około 3,5 miliarda dolarów. Niemcy zachodnie płacą już teraz ponad 6 miliardów marek rocznie na rzecz utrzymania wojsk okupacyjnych w Trizonii. Adenauer stwierdził, że nie zamierza finansować i wojsk okupacyjnych, i własnej armii. W konsekwencji, korzystając zresztą z poparcia amerykańskiego (opinia m. in. frankfurckiego korespondenta *N. Y. Times*) Adenauer zaopiniował, iż armia zachodnio-niemiecka musi być sfinansowana z funduszów amerykańskiej „pomocy dla zagranicy". Znaczyłoby to jednak, że Niemcy zachodnie pochłoną około 50% tej pomocy. Nie uśmiecha się to oczywiście pozostałym podopiecznym amerykańskim. Wreszcie, imperialiści zachodnio-niemieccy korzystając z koniunktury poczęli wysuwać stale rosnące żądania i najwyraźniej dali do zrozumienia, że jeśli wojsko niemieckie ma być trzonem armii atlantyckiej, to imperializm niemiecki powinien odegrać czołową rolę w koalicji i jego interesy muszą być przede wszystkim uwzględnione przy planowaniu agresji. Adenauer zażądał więc uchylenia wszelkiej kontroli nad przemysłem Ruhry, pełnego uruchomienia wszystkich działów produkcji zbrojeniowej w Zagłębiu, likwidacji ustawodawstwa konkurencyjnego wymierzonego przeciw kartelom niemieckim itd. Minister komunikacji w rządzie Adenauera, Seebohm, oświadczył zaś ze swej strony, że Bonn nie tylko nie uznaje aktualnych granic niemieckich, ale nie uznaje też granic z 1937. Bonn pretenduje nie tylko do „niemieckiego Lebensraum" nad Wisłą Wartą i Wełtawą, ale również do Alzacji i Lotaryngii. Można sobie wyobra-

ić, co po tym oświadczeniu działo się
v reakcyjnej prasie paryskiej. Stano-
visko Wielkiej Brytanii nie ułatwiło
ynajmniej „pogodzenia" imperialistów
iemieckich z francuskimi. Londyn, jak
o otwarcie stwierdziła prasa francuska
– zagrał na rozbicie koncepcji armii
uropejskiej i planu Schumana. Fran-
uzi liczyli na angielski udział w obu
ych imprezach i mieli nadzieję, że w
en sposób uda się zrównoważyć wpły-
vy niemieckie. Churchill jednak świe-
nie zdaje sobie sprawę z faktu, że rea-
zacja planu Schumana i armii euro-
ejskiej — to hegemonia Niemiec w Eu-
opie zachodniej, to w konsekwencji za-
tąpienie Wielkiej Brytanii przez Trizo-
nię jako głównego sojusznika USA. Po
tworzeniu takiego stanu rzeczy Amery-
anie mogliby oczywiście w jeszcze bez-
rzględniejszy sposób zaatakować inte-
esy brytyjskie na wszystkich terenach.
Churchill zagrał więc na francusko-
iemieckich sprzecznościach i oświad-
zył, że Wielka Brytania do żadnych „fe-
eracyjnych koncepcji" w Europie się
ie przyłączy. Jednocześnie fiasko
zymskiej sesji Paktu Atlantyckiego by-
o Londynowi na rękę. „Eden sabotuje
brady" — pisała prasa francuska.
Churchill jedzie bowiem w pierwszej
ołowie stycznia do USA, aby przepro-
adzić tam rozmowy, które zadecydują
roli Wielkiej Brytanii w agresywnej
oalicji atlantyckiej. Im większe będą
udności amerykańskie w ramach pak-
u, tym większe koncesje ma nadzieję
ywieść Churchill z Waszyngtonu, tak
postaci dostaw surowcowych jak i
postaci politycznego zawieszenia bro-
i w dziedzinach, w których ofensywa
merykańska pozbawiła ostatnio Brytyj-
yków wielu cennych pozycji. Chur-
hill chce przy tym — jak pisze *Man-
hester Guardian* — wystąpić w Wa-
yngtonie w roli „rzecznika Europy".
ezpośrednio po sesji rzymskiej zapro-
szono do Londynu Adenauera, gdzie da-
no mu do zrozumienia, iż w zamian za
ugodowość wobec interesów brytyjskich
mógłby pozyskać sobie poparcie Wiel-
kiej Brytanii. *Mutatis mutandis* — to
samo powiedział Churchill Francuzom w
Paryżu, dokąd przybył 17 grudnia. Cała
ta gra brytyjska, stanowiąca próbę
wskrzeszenia starej koncepcji imperia-
lizmu brytyjskiego wygrywania sprzecz-
nych interesów partnerów, przypomina
zresztą taniec na linie, gdyż wielka bur-
żuazja brytyjska podpisując się pod sa-
mą zasadą przygotowań do agresywnej
wojny, nie może oczekiwać zerwania
amerykańskiego kagańca, co najwyżej
Churchill może spodziewać się paru pla-
strów na najbardziej bolące miejsca na
mocno porozbijanym łbie brytyjskiego
lwa. Jak kiepsko zaś stoją interesy te-
go ostatniego, wskazuje chociażby taki
fakt, że w trakcie debaty w Izbie Gmin
Churchill przyznał, iż pomimo najlep-
szych chęci nie będzie w stanie zreali-
zować planowanych w bieżącym roku
budżetowym zbrojeń i że, nawet przy
doraźnej pomocy amerykańskiej, wyni-
ki będą o 20% niższe od projektowa-
nych.

Splot sprzecznych interesów imperia-
listycznych spowodował, że pomimo naj-
ostrzejszego nacisku amerykańskiego se-
sja rzymska nie osiągnęła niczego rów-
nież i w sprawie armii europejskiej.
Stosunki między „sojusznikami" zaos-
trza fakt, że Waszyngton zdecydowany
jest „iść na całego" i że — jak to
stwierdza cała reakcyjna prasa fran-
cuska — jeżeli armia europejska poniesie
fiasko, Amerykanie zdecydowani są
wskrzesić całkiem już niemaskowany
Wehrmacht. Sprawy są daleko posunię-
te, gdyż mowa już o zaopatrzeniu no-
wego Wehrmachtu w bomby atomowe.
Wstępne rozmowy w tej sprawie prze-
prowadziła tam w grudniu delegacja

komisji energii atomowej USA pod kierownictwem Oppenheimera.

Pozostałe kwestie poruszane na sesji rzymskiej również nie doczekały się rozwiązania. Sprawa paktu blisko-wschodniego zawisła w powietrzu wobec stanowiska państw arabskich. Sprawa dowództwa na Atlantyku nie została rozwiązana wobec sprzeciwu brytyjskiego. Londyn wiedząc, że w razie utworzenia takiego dowództwa komendę obejmie admirał amerykański, zadeklarował, że nie widzi potrzeby jeszcze jednego atlantyckiego tworu.

W sumie — według *N. Y. Daily Compass* — sesja rzymska „przyniosła fiasko programowi amerykańskiemu mimo wszelkich prób ukrycia tego faktu".

Nie znaczy to oczywiście, aby agresorzy amerykańscy rezygnowali ze swych zasadniczych koncepcji. Podstawowy wniosek, jaki wyprowadzili oni z sesji rzymskiej, to konieczność zwiększenia presji i zaciśnięcia obroży na sojuszniczych karkach. Francuska AGEFI donosi, iż w opracowaniu jest program reorganizacji struktury Paktu Atlantyckiego w kierunku „centralizacji dyspozycji". Plany amerykańskie w tej sprawie równają się według cytowanego źródła „straszliwej dyktaturze, nie do pogodzenia z suwerennością Francji i innych krajów". Wall Street zdecydowany jest zwiększyć nacisk w kierunku przyspieszenia zbrojeń, zdecydowany jest też forsować remilitaryzację Trizonii. Ze wskazanych jednak wyżej przyczyn można powątpiewać, czy te plany amerykańskie przyczynią się do wzmocnienia atlantyckiej koalicji. Raczej przeciwnie — można przypuszczać, że wszystkie sprzeczności ulegną zaostrzeniu i że wewnętrzna słabość bloku agresji jeszcze się pogłębi. Organ najposłuszniejszego satelity amerykańskiego — de Gasperiego, *Messaggero*, pyta, „czy można być optymistycznie nastawionym do wyników prac Rady Atlantyckiej, jeśli na forum tym dwanaście dystyngowanych osobistości, 12-tu championów demokracji, zajmuje się kłótniami, o obroną partykularnych interesów i wzajemnym śledzeniem się". A duński minister spraw zagranicznych, Bjorn Kraft, nie mógł się powstrzymać od stwierdzenia: „Jeśli Stany Zjednoczone w swej polityce wobec Europy będą nadużywać swego centralnego stanowiska w naszej społeczności, wzrost uczuć antyamerykańskich w Europie będzie nieunikniony".

Krzysztof Wolicki

AKTUALNE PROBLEMY ESTETYKI W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Praca J. Stalina M a r k s i z m a z a g a d n i e n i e j ę z y k o z n a w s t w a wywołała przełom także w badaniach nad teorią literatury i sztuki. Zagadnienia swoistości zjawisk społecznych wywołały szeroką dyskusję. Przestudiowanie tej specyfiki w każdej gałęzi nauki jest ważnym zadaniem stojącym przed nauką. Przestudiowanie specyficznych właściwości literatury jest problemem w równym stopniu interesującym teoretyków literatury jak pisarzy i krytyków literackich.

Sprawy te były przedmiotem rozważań na wielu konferencjach naukowych — w całości lub częściowo — poświęconych omówieniu zagadnień estetyki w świetle pracy J. Stalina (np. na omówionej w nrze 9/1951 T w ó r c z o ś c i* sesji naukowej Instytutów Literatury i Związku Pisarzy Radzieckich, na konferencji teoretycznej w sekcji estetyki Instytutu Filozoficznego Akademii Na

*) Na widnokręgu. Zagadnienia literaturoznawcze w ZSRR w świetle prac J. Stalina o językoznawstwie.

uk ZSRR, na sesji w Akademii Nauk Społecznych przez KC WKP (b) oraz na innych konferencjach). Echa tych dyskusji znajdujemy w czasopismach literackich, artystycznych i filozoficznych.

Szczególnie ciekawe myśli o poznawczej istocie sztuki wypowiada A. Burow w artykule O g n o s e o l o g i c z n e j (teoriopoznawczej) n a t u r z e u o g ó l n i e n i a a r t y s t y c z n e g o (*Woprosy filosofii* nr 4/1951). Na wstępie autor artykułu zastrzega się przeciwko traktowaniu uogólnienia artystycznego jako rzekomo pozbawionego elementu pojęciowego myślenia abstrakcyjnego. W szczególności Burow polemizuje z definicją prof. M. Leonowa w jego pracy Z a r y s m a t e r i a l i z m u d i a l e k t y c z n e g o, w myśl której „...uogólnienia w sztuce tworzy się nie przy pomocy pojęć oderwanych, lecz za pośrednictwem typizacji w obrazach artystycznych wielu zjawisk jednorodnych" (cyt. art. Burowa j.w. str. 102). Burow w tym sformułowaniu dostrzega tautologię — dowodząc, że typizacja jest przecież też uogólnieniem.

Burow polemizuje też z określeniem charakteru i specyfiki uogólnienia artystycznego przez A. Sobolewa w broszurze L e n i n o w s k a t e o r i a o d b i c i a a s z t u k a (1947). Jakkolwiek — wywodzi Burow — w pracy swojej Sobolew doszedł do słusznego wniosku, że myślenie artystyczne nie jest wyłącznie zmysłowym poznawaniem świata zewnętrznego, lecz należy do jakościowo wyższego stopnia poznania, jakie stanowi myślenie oderwane— niemniej jednak nie wyczerpał zagadnienia, zwłaszcza w ocenie fikcji artystycznej. Burow nie zgadza się z definicją Sobolewa: „Wymysł artystyczny oparty na realnym życiu — to specyficznie artystyczne uogólnienie obiektywnej rzeczywistości", cyt. j.w. str. 103). Zdaniem Burowa — fikcja artystyczna jest tylko sposobem uformowania treści w kompletnym obrazie, lecz nie metodą jej odkrywania, ujawniania. Dlatego specyficznie artystyczne uogólnienie nie polega na tworzeniu fikcji artystycznej. Odtworzenie prawdziwie typowych obrazów, postaci — w typowych warunkach — wymaga nie tylko bezpośredniego powiązania fikcji artystycznej z realnym życiem, lecz bazowania jej na — mniej lub bardziej — wyraźnie i jasno sformułowanym uogólnieniu. Uogólnienie to wypływa z samego procesu twórczego.

Burow poświęca temu dłuższy wywód psychologiczny, z którego wynika, że wyobrażenie — w porównaniu z postrzeżeniem — stanowi przejściowy, graniczący z abstrakcją etap poznania zmysłowego. „W wyobrażeniu — wywodzi Burow — przedmioty, zjawiska, procesy nie tyko odznaczają się właściwą postrzeżeniom wyrazistością, konkretnością, lecz są już do pewnego stopnia uogólnionymi obrazami realnej rzeczywistości". Przy odtworzeniu obrazu postrzeżonego przez człowieka przedmiotu dokonuje się pewnego rodzaju elementarny dobór najbardziej charakterystycznych, najistotniejszych jego oznak i cech; pozostałe, mniej istotne szczegóły zacierają się w wyobrażeniu. W rezultacie wyobrażenie jest zarazem i konkretnym, i uogólnionym obrazem rzeczywistego przedmiotu.

Dalszą konsekwencją tego doboru jest możność odtwarzania, wykorzystania całego dorobku starych wyobrażeń, możność układania i kombinowania w wyobrażeniu poszczególnych składników, cech i właściwości różnych przedmiotów, różnych zjawisk. Na tej właściwości wyobrażenia opiera się możliwość snucia fikcji artystycznej, fantazji.

Jednak myślenie w granicach osiągalnych w wyobrażeniach, a więc w

granicach omówionych wyżej uogólnień o charakterze elementarnym — nie wystarcza. Burow przytacza znany wywód J. Stalina o myśleniu głuchoniemych*) i dochodzi do wniosku, że artysta poprzestający na myśleniu tylko wyobrażeniami — bez wzniesienia się do złożonych uogólnień abstrakcyjnych (pojęć ogólnych, sądów, wniosków, idei) — ogranicza swoje możliwości twórcze. Dzięki pojęciom artysta może ująć najistotniejsze cechy rzeczy i zjawisk, zbadać dogłębnie związki przyczynowo-następcze, wysnuć tendencje rozwojowe. Wszystkie formy świadomości społecznej dzięki pojęciom ogólnym ujawniają w poszczególnych, przypadkowych przejawach ogólną prawidłowość. Dokonuje się to zależnie od specyficznych właściwości tych form świadomości.

Co stanowi specyficzną treść literatury? Zdaniem Burowa — życie społeczne, zagadnienia społeczne, ideologiczne, moralne i estetyczne. W odróżnieniu od nauk społecznych literatura nie zajmuje się jakąś wybraną dziedziną życia społecznego, lecz całokształtem stosunków społecznych skojarzonych w człowieku. Literaturę interesuje człowiek — istota społeczna, „człowiek jako zespół stosunków społecznych" (Marks). Burow wyjaśnia to tym, że „człowieka jako całokształt społeczny— w pełnym zespoleniu jego różnorodnych związków z rzeczywistością, a więc w konsekwencji życie w całej pełni — łatwiej jest przedstawić, niż objaśnić, wyłuszczyć w formie naukowo-logicznej". (cyt. j. w. str. 105).

Forma obrazowa daje literaturze przywilej pełnego, syntetycznego i skoncentrowanego odbicia życia, odtworzenia człowieka. A. M. Gorki proponował, by nazwać literaturę „człowiekoznawstwem": tym określeniem wielki pisarz ujął głębię specyficznych właściwości poznawczych literatury.

Gdy tego wymaga zrozumienie życia, obnażenie ludzkiego charakteru, ujawnienie istoty konfliktu społecznego — pisarz może i powinien zająć się opisem zjawisk i procesów nawet z dziedziny nauk ścisłych czy technicznych. W. Ażajew w powieści D a l e k o o d M o s k w y przestudiował i odtworzył techniczny proces projektowania i budowy rurociągu naftowego, gdyż było mu to potrzebne do pełniejszego ujawnienia walki nowego ze starym i odtworzenia postaci przodujących ludzi radzieckich, do odmalowania ich wysokich zalet ideowych i moralnych.

Możliwości poznawcze literatury — jak to widzimy na dorobku literatury realizmu socjalistycznego — są tak samo nieograniczone jak możliwości nauki; w syntetycznym odbiciu istotnych stron życia literatura nie ustępuje naukom społecznym. W tym tkwi siła i znaczenie literatury realistycznej, co w pełni ocenili klasycy marksizmu. Marks pisał, że w swoich dramatach „Szekspir znakomicie odtwarza istotę pieniądza". Engels wysoko cenił moc poznawczą twórczości Balzaka, twierdząc, że dla przestudiowania społeczeństwa burżuazyjnego powieści tego realisty dały mu więcej, niż „wszyscy ekonomiści, statystycy i historycy tego okresu — razem wzięci". Częste cytowanie utworów klasycznej literatury rosyjskiej w dziełach naukowych, w przemówieniach Lenina i Stalina, ich powoływanie się na klasyczne postaci

*) „Myśli głuchoniemych powstają i mogą istnieć jedynie na bazie tych obrazów, postrzeżeń, wyobrażeń, które kształtują się u nich w życiu codziennym o przedmiotach świata zewnętrznego i ich stosunku wzajemnym dzięki zmysłom wzroku, dotyku, smaku, powonienia". J. Stalin — Marksizm a zagadnienie językoznawstwa. Odpowiedź towarzyszom. Do tow. D. Biełkina i S. Furera. Twórczość Nr 9/50 str. 5.

typy, by tym silniej, tym dobitniej jawnić i zdemaskować charakter tych zy innych postaci lub przejawów poli-ycznych (Maniłow, Obłomow, Gołow-ow i inni) — dowodzi wysokiej oceny vartości poznawczych literatury. Do-vodzi też, że realistyczna literatura ro-yjska ujęła w tych postaciach związki prawa społeczne — wnikliwie, z pra-vdziwie naukowo-poznawczą głębią.

Jeszcze jednym argumentem za u-vzględnieniem momentu logicznego w ogólnieniach artystycznych jest postu-at ideowości literatury. „Realizm — vywodzi Burow — rozpoczyna się nie d pragnienia wyobrażenia czegoś, lecz d pragnienia czy też potrzeby opowie-zenia ludziom o życiu, o odtwarzanym rzedmiocie. Realizm zaczyna się od deowości" (cyt. j.w. str. 107). Świado-na twórczość artystyczna jest nie do omyślenia bez pierwiastka logicznego.

Estetyka idealistyczna zaprzeczała i aprzecza znaczeniu myśli w sztuce, gło-iła i głosi nieświadomość, alogizm, ir-acjonalizm myślenia artystycznego, rzekreśla względnie ogranicza po-nawczą moc sztuki (Kant, Hegel). Na-omiast estetyka materialistyczna — ocząwszy od rosyjskich demokratów ewolucyjnych — głosiła i propagowała asadę ideowości i świadomej twórczo-ci artystycznej. Burow cytuje wypo-wiedź Dobrolubowa, że „między praw-ziwą wiedzą a prawdziwą poezją nie może być istotnej różnicy..." „Swobod-e przetworzenie najwyższych dociekań żywe obrazy (postacie) i zarazem ełna świadomość najwyższego ogólne-o sensu we wszelkim, nawet drobnym przypadkowym fakcie życia — oto est ideał przedstawiający pełne zespo-enie się nauki i poezji, a dotąd przez ikogo nie osiągnięty" (wypowiedź Do-rolubowa cyt. za art. Burowa j. w. r. 107).

To zespolenie — wywodzi Burow — osiągnęła literatura realizmu socjalistycznego. Artysta radziecki na gruncie marksistowsko-leninowskiej nauki o społeczeństwie nie tylko uzyskuje możność prawdziwie naukowego, dogłębnego zrozumienia tego, co odbywa się przed jego oczyma, lecz posiadł naukowo uzasadniony ideał społeczny, osiągnął nieograniczone możliwości naukowego przewidywania.

W dalszym ciągu artykułu Burow zastanawia się nad różnicą między abstrakcjami artysty a abstrakcjami uczonego i dochodzi do wniosku, że tych pojęć nie można utożsamiać. Dlaczego? Jak wiadomo pojęcia odzwierciedlają najogólniejszą i najistotniejszą stronę rzeczy i procesów. Niemniej jednak myślenie logiczne — operując pojęciami— nie jest w procesie uogólniania całkowicie pozbawione momentu obrazowości, zawiera bowiem w sobie zawsze odbicie czegoś szczegółowego, jednostkowego. Burow cytuje definicję Lenina: „Ogólne istnieje tylko w poszczególnym, poprzez poszczególne. Każde poszczególne stanowi (tak lub inaczej) ogólne. Każde ogólne jest cząsteczką lub stroną albo istotą poszczególnego" (W. I. Lenin *Filosofskije tietradi* — cyt. j. w. str. 108). Rozwijając tę myśl Lenina w zastosowaniu do omawianego zagadnienia Burow dochodzi do wniosku, że dla zrozumienia jakiegokolwiek sądu lub wniosku staramy się przede wszystkim wyobrazić sobie przedmiot sądu. Tak więc w każdym myśleniu logicznym, w procesie tworzenia i przyswajania pojęć istnieje moment obrazowości, a nawet emocjonalności.

Z biegiem czasu, z rozwojem logiki pojęcia logiczne stały się samoistnymi abstrakcjami, powiązanymi ze sobą w cały system logiczny. W odróżnieniu od myślenia naukowego — w myśleniu artystycznym nie ma tendencji do usamodzielniania, absolutyzacji pojęć. „W świa-

domości artysty — wywodzi Burow — w chwili tworzenia... pojęcie tak ściśle wiąże się z odpowiadającą mu treścią realną, że bardzo często wydaje się obrazem pozbawionym pojęcia" (cyt. j. w. str. 109).

Na poparcie swojej tezy Burow przytacza definicję natchnienia poetyckiego sformułowaną przez Puszkina: „Natchnienie jest to nastrój duszy do jak najżywszego chwytania wrażeń, w konsekwencji — do szybkiego wytwarzania pojęć, co właśnie sprzyja objaśnianiu owych". (cyt. j. w. str. 109). Każdej myśli twórczej, a więc także fikcji literackiej, fantazji — musi przewodzić pojmowanie opisywanego świata, pogląd na przedmiot twórczości. „Specyfika myślenia artystycznego — czytamy w artykule Burowa — polega na tym, że mniej lub bardziej jasno przez nie sformułowane ogólne (a więc nieodzownie — myśl, pojęcie) nie istnieje w oderwaniu od realnej obiektywnej treści tego ogólnego... W myśleniu artystycznym mamy tendencję do takiego ogólnego, które zawiera w sobie całe bogactwo poszczególnego i jednostkowego" (cyt. j. w. str. 111). W tym przejawia się jakościowa swoistość myślenia artystycznego, które należy określić w ramach ogólnego prawa procesu poznania: „Od żywej obserwacji do abstrakcyjnego myślenia i od niego do praktyki — taka jest dialektyczna droga poznania prawdy, poznania obiektywnej rzeczywistości" (W. I. Lenin *Filosofskije tietradi*, cyt. j.w. str. 111).

Myślenie artystyczne również przechodzi w swoisty sposób te 3 stopnie: Bezpośrednie zetknięcie się artysty z rzeczywistością, zapoznanie się z życiem, aktywny udział w życiu — to 1-szy etap artystycznego procesu poznawczego. 2-gi stopień — to przemyślenie, zrozumienie rzeczywistości, zdobycie znajomości życia. Zrozumienie rzeczywistości nie jest możliwe bez posługiwania się abstrakcjami, pojęciami, ideami. Burow definiuje to tak: „Specyficzność (myślenia artystycznego) polega na jakościowej swoistości zawartego w nim logicznego (pierwiastka)"... Wreszcie 3-ci stopień artystycznego procesu poznawczego — to praktyka społeczna; jej przewodnia rola w tym procesie polega na tym, że stanowi jego przyczynę, podstawę i cel.

Prawdziwość idei utworu sztuki wypróbowuje się w praktyce społecznej. Na przykładzie M a t k i Burow udowadnia słuszność swoich tez o poznawczej naturze uogólnień artystycznych. U podstaw powieści leży myśl Gorkiego o przebudzeniu się i rozwoju rewolucyjnej świadomości rosyjskiego ludu pracującego na początku naszego stulecia, idea sprawiedliwości społecznej, wiara w niezwyciężoność idei socjalizmu. Te idee i myśli — będące odbiciem realnej prawidłowości życia i rozwoju — w drodze artystycznego oddziaływania utworu udzielają się czytelnikowi. Oczywiście te myśli i idee musiały uprzednio stać się własnością wielkiego pisarza: im jaśniej on je rozumiał i odczuwał, tym konkretniejszy i wspanialszy wyraz dał im w swoim utworze. Życiowość, siłę i prawdę M a t k i potwierdziła praktyka społeczna: triumf sprawy Pawła Własowa w Wielkim Październiku.

Koryfeusz literatury realizmu socjalistycznego osiągnął w M a t c e wyżyny prawdy artystycznej. Sam Gorki nazwał prawdą artystyczną moment rozpoznania prawdy, moment współbrzmienia doświadczenia życiowego pisarza z doświadczeniem życiowym czytelnika. Prawda artystyczna jest najpełniejszym sprawdzianem społecznym na 3-cim stopniu artystycznego procesu poznania.

Józef Spinc

DROGA FABRYKANTA TEXTORA

I

Od razu pragnę się zastrzec, że nie uważam drogi dr. Textora za typową dla ludzi pokrewnych mu duchem. Raczej należy uważać ją dotychczas za wyjątkową. Słowo „dotychczas" dostatecznie podkreśla czasowość tej wyjątkowości. Lecz to — sądzę — uprawnia mnie do opisu drogi dr. Textora. I jeszcze coś... Ale o tym na końcu.

II

Dr Hans Textor jest obywatelem zachodnio-niemieckiej „republiki związkowej", a w tej „republice" przedstawicielem mieszczańskiej inteligencji związanej zawodowo z wielkim przemysłem, a duchowo z Kościołem Katolickim. W mieszczańskim żywocie dr. Textora trudno byłoby znaleźć jakieś momenty szczególnie dramatyczne. Urodzony w „dobrym domu" otrzymał tak zwane staranne wychowanie, nierozerwalnie złączone z fundamentem wiary w Kościół Powszechny. Studia odbywał w rodzinnej Szwabii, a następnie zagranicą. Ostatecznie tytuł doktora ekonomii zdobył w Wiedniu za pracę o podstawach gospodarki w zakładzie przemysłowym (oczywiście kapitalistycznym). Majątek, fachowa wiedza i stosunki w swej klasie pozwoliły mu wkrótce na objęcie stanowiska dyrektora i współwłaściciela w jednej z wielkich fabryk tekstylnych w Niemczech zachodnich. W prasie fachowej ogłaszał z kolei wyniki swoich doświadczeń i w gronie specjalistów uważany był za zdolnego teoretyka i praktyka w dziedzinie organizacji przedsiębiorstw.

Jak zachowywał się w latach hitlerowskich? Należy przypuszczać, że podobnie jak olbrzymia większość nie należącej do NSDAP inteligencji mieszczańskiej: zapewne głuszył sumienie „niepolitycznością" swej pracy zawodowej, a kierowanie losami świata zrzucał pokornie na barki Opatrzności. Wojna była dlań (być może dopiero od pewnego momentu), jak dla wielu jemu podobnych, karą Bożą, która ma wstrząsnąć sumieniem ludzi. Powołany do armii był też na pewno lojalnie wykonującym rozkazy żołnierzem, przy całej swej moralnej odrazie do wojny. W ciężkich chwilach krzepił się niewątpliwie żarliwą modlitwą i głęboko w sercu skrytymi nadziejami na lepszy świat, który powstanie ze zgliszcz i ruin, zbudowany przez ludzi wstrząśniętych i ogarniętych duchem chrześcijańskim. Tak więc po powrocie z niewoli jesienią 1945 roku dr Textor rozpoczął prawdziwie apostolską pracę w duchu idealistycznego odrodzenia moralnego. „Byłem wówczas przepojony tak wielkim idealizmem — napisze w kilka lat później dr Textor — że w służbie duchowego odrodzenia wziąłem na siebie wszystkie koszty założenia Chrześcijańskiej Unii Demokratycznej w Szwabii". Podkreślmy tu, że nazwa organizacji politycznej zakładanej przez naszego fabrykanta odbijała najpełniej idealistyczne nadzieje dużej części mieszczaństwa niemieckiego. To nie była „partia". To była „unia". Jakaś moralna wspólnota ludzi różnych klas i zawodów, których łączą odwieczne ideały chrześcijaństwa w dążeniu do mgławicowo pięknej „demokracji". Miłość bliźniego miała stać się powszechna i stopić walczące ze sobą klasy w „demokratyczną społeczność".

Ludzie „unii" dostrzegali wagę problemów socjalnych, które wystąpiły po wojnie ze szczególną ostrością. Kikuty ruin kłuły niebo. Ziemia uginała się pod troskami i bólami ludzi. W latach 1945/46, kiedy politycznie członkowie Unii mogli zdziałać niewiele, jako że polityczne rządy sprawowały wyłącz-

nie władze okupacyjne, w kołach CDU rozprawiano ogromnie wiele nad obole-niami socjalnymi. Katolicy nawracali do encyklik Rerum novarum i Quadragesimo Anno, protestanci do myśli społecznych szwajcarskich teologów, inni wreszcie chrześcijanie do utopijnych pomysłów twórców różnych sekt. Amerykanie i Anglicy popierali import idealistycznych koncepcji ze swoich krajów, rozumując słusznie, że nic tak nie uspokaja mieszczańskich sumień jak głośne teoretyzowanie bez sprawdzianu praktyki.

Dr Textor ku swej rozterce był nie tylko idealistą chrześcijańskim, ale i dyrektorem wielkiej fabryki tekstylnej, fachowcem, znającym dobrze organizację przemysłu, a zatem człowiekiem, który przyzwyczajony jest do sprawdzania w praktyce wartości idei. Nie lubił nigdy teorii nie potwierdzonych doświadczeniem. Toteż w przekonaniu o słuszności wyznawanych teorii rozpoczął — niespodziewanie dla swojego otoczenia — eksperyment wprowadzania „chrześcijańskiej demokracji" w obrębie swego przedsiębiorstwa, na zasadzie moralnej „unii" między pracobiorcami a pracodawcą. „Godziwa płaca" i „godziwy zysk" miały usunąć niegodziwe formy kapitalizmu.

III

Poglądy dr. Textora, będące dość wiernym odbiciem idei gospodarczo-społecznych, debatowanych w owym czasie w CDU, znaleźć można w starym roczniku *Frankfurter Hefte* (Nr 8 z listopada 1946). Główne tezy rozprawy O problemach powojennych niemieckiego przemysłu brzmiały następująco:

„Bardziej niż jakakolwiek inna gospodarka znajduje się ekonomia niemiecka w okresie przejściowym: formy zewnętrzne w przeważającej części są jeszcze kapitalistyczne, duch natomiast jest już pokapitalistyczny, częściowo socjalistyczny. Niewątpliwie znajdujemy się na początku okresu gospodarki mieszanej o silnym piętnie gospodarki planowej".

„Pożądana byłaby w tej sytuacji unia gospodarcza Niemiec z państwami zachodnimi, mająca charakter przejściowy, jako podstawa do stworzenia w przyszłości „Stanów Zjednoczonych Europy".

„Przemysł w ostatnich lat dziesiątkach stał się środkiem władzy. Możliwości złego wykorzystania gospodarczej siły przemysłu muszą być zatem usunięte. Ale środki potrzebne do tego celu, socjalizm i demokracja, dziś są jeszcze niewłaściwie rozumiane, a pojęcia same dość często wypaczane. Naród niemiecki długo niewolony duchowo, a przez dyktaturę, wojnę i głód moralnie zdruzgotany, trzeba najpierw na nowo wychować do pewnego stopnia dojrzałości politycznej, jeśli demokracja nie ma być dlań tylko towarem importowanym. Podobnie przedstawia się sprawa socjalizmu; wydaje mi się, że wielu działaczy związków zawodowych i „polityków", zazwyczaj nie posiadających dostatecznego doświadczenia w dziedzinach gospodarki i przemysłu, dość często o nikłej wiedzy z zakresu ekonomii, nie wie wcale, co naprawdę oznacza pojęcie „socjalizm".

„Zawiódł człowiek, zarówno jako pracodawca jak i jako pracobiorca, zarówno jako kierownik *(Fuehrer)*, jak i jako podwładny *(Untergebener)* w procesie gospodarczym. Konieczne jest zatem wychowanie człowieka w duchu wyższej odpowiedzialności".

„Zrozumienie konieczności zaprowadzenia gospodarki związanej z zasadami moralnymi nie istnieje u wielu przemysłowców... Dla wielu wytyczną społecznej działalności są tabele płac i przepisy prawne o układzie pracy, a nie postulaty moralne czy myślenie kate-

goriami chrześcijańskimi. Tam, gdzie udziom brak ducha sprawiedliwości, próbują się oni zasłonić obowiązującą tabelą płac. To, że tylko nieliczni odczuwają faryzeuszostwo takiego postępowania, jest znamiennym dowodem moralnego rozkładu. Na podstawie własnych doświadczeń mogę powiedzieć, że jest możliwe godziwe wynagrodzenie, odpowiadające wydajności pracownika. Ustawy tu jednak mogą dopomóc tylko częściowo, natomiast rzeczywiście pomóc może duch prawdziwego człowieczeństwa".

Poglądy dr. Textora, jak widzimy, nie odznaczały się oryginalnością myśli, mimo że odzwierciedlały poglądy tak wielu podobnych jemu ludzi w Niemczech i w Europie zachodniej. Jedyną oryginalnością dr. Textora było to, że ugrzęznąwszy w idealistycznych teoryjkach gospodarczo - społecznych, nieszkodliwych ani dla kapitalistów niemieckich, ani dla imperialistów amerykańskich zdobył się na obniżenie zysków swej fabryki przez zwiększenie pracownikom wynagrodzeń ponad ustawą ustalone normy.

Możemy zatem stwierdzić tylko, że dr Textor uczciwie głosił swoje poglądy, ponieważ ze zdumiewającą prostolinijnością, w miarę sił i możności stosował je w praktyce. W chrześcijańskiej, demokratycznej unii moralnej burżuazji zachodnich Niemiec i zachodniej Europy z imperializmem amerykańskim, tego rodzaju „prostolinijna uczciwość" musiała prędzej czy później doprowadzić, oczywiście, do konfliktu. Przede wszystkim eksperyment społeczny w fabryce tekstylnej w Szwabii nie zyskał naśladowców ani tam, ani gdzie indziej, natomiast wywołał sprzeciw wielu członków „Unii" — rzecz prosta przemysłowców — którzy uważali, że postępowanie dr. Textora demoralizuje robotników. W wypowiedziach krytycznych przebijała troska odwiecznа ludzi bogatych o zbawienie dusz biedoty, zagrożonej pożądaniem dóbr materialnych.

Ostatecznie dr Textor musiał opuścić fabrykę, którą kierował i której był współwłaścicielem. Stało się to w roku 1948, kiedy w związku ze zbliżającą się reformą walutową „chrześcijańscy" fabrykanci i kupcy pochowali towary, spekulując na zwyżkę cen po reformie. Dr Textor, widząc skutki społeczne tej spekulacji, rosnące bezrobocie i nędzę mas pracujących, postanowił znów dać dobry przykład. Rzucenie na rynek zapasów fabryki oznaczało jednak tym razem stratę przyszłych zysków w tak wielkich rozmiarach, że zaprotestowali przeciwko temu pozostali udziałowcy fabryki, należący również do „Unii".

Nie było rady, trzeba było wycofać się z przedsiębiorstwa i z pomocą posiadanego kapitału założyć fabrykę własną materiałów włókienniczych. Tak też się stało.

Z kolei zatem wypada nam podziwiać — po uczciwości — upór tekstylnego fabrykanta.

Istotnie. Dr Textor był uparty. Wierzył niezmiennie w dobrą wolę każdego chrześcijanina, obojętnie kapitalisty czy robotnika, kupca czy rzemieślnika, kułaka czy biedniaka. Uważał, że celnym słowem i dobrym przykładem trafić można do ludzkich sumień i odmienić świat. Nie wystąpił z CDU mimo tylu niepowodzeń. Przeciwnie wzmógł jeszcze bardziej swą działalność. Każdej prawie niedzieli jeździł, organizował chrześcijańskie obrady, wygłaszał referaty, prowadził zaciekłe dyskusje.

Nie ustępował z placu boju, mimo że rozwój CDU, kierowanej na samej górze przez triumwirat, złożony z tak jednoznacznych społecznie osób jak dr Konrad Adenauer, Kardynał Joseph Frings i John Mc Cloy, był zaprzecze-

niem i chrześcijaństwa, i demokracji. „Unia" była już tylko starą wspólnotą interesów burżuazji niemieckiej w sojuszu na śmierć i życie z imperializmem z kolei amerykańskim.

Dr Textor był jednak nadal uparty i walczył dalej na dwóch frontach — w CDU i w swej fabryce — o „chrześcijańsko-społeczny ład".

Podziwiając uczciwość i upór dr. Textora nie pojmujemy długotrwałości jego ślepoty politycznej; nie bądźmy jednak niecierpliwi. Nie zapominajmy ani na chwilę o klasowym pochodzeniu bogatego włókniarza. Ilość wyobrażeń o świecie, które ukształtowało w nim jego środowisko, była dostatecznie wielka, aby zmieszana z uczciwością i uporem utrudniała mu wyrwanie się z grzęzawiska, na którym chciał budować „chrześcijańsko-społeczny ład".

IV

Wiosną 1950 r. dr Textor przeżył wreszcie wstrząs: ujrzał przepaść zasnutą dlań dotąd idealistyczną mgłą.

Sprawa była na pozór drobna. Czczony i szanowany, wybitny pisarz katolickich Niemiec, Reinhold Schneider, przyjaciel dr Textora, ogłosił w jednym z tygodników o bardzo małym nakładzie pełen bolesnego patosu protest przeciwko remilitaryzacji Niemiec i wzywał wszystkich niemieckich katolików do składania swych podpisów pod protestem. Dr Textor postanowił rozpowszechnić list Reinholda Schneidera poprzez prasę „chrześcijańską". Niestety spotkał się z odmową. Wówczas, jako człowiek zawsze gotowy do oddania własnego grosza na cele publiczne, zwrócił się do działu ogłoszeń wymienionych pism, pragnąc za pieniądze w formie inseratu ogłosić tekst protestu katolickiego pisarza. I tu — jak sam później napisze — „ogarnęło go zdumienie".

Te same „chrześcijańskie" pisma, które bez skrupułów przyjmują ogłoszenia domów publicznych, ogłoszenia podejrzanych transakcji osławionych aferzystów, nagle wbrew obowiązującemu w handlu Trizonii liberalizmowi, wbrew kapitalistycznej umowie społecznej, odmówiły przyjęcia płatnego przecież ogłoszenia, którego treść ułożył nie właściciel zamtuzu, nie głośny aferzysta, lecz znany i szanowany powszechnie w całym świecie katolickim pisarz!

Po „głębokim zdumieniu" dr Textor pojął nagle, że to już nie jest sprawa faryzeuszostwa czy moralnych niedociągnięć. To jest po prostu spisek przeciw pokojowi, spisek organizowany z całym cynizmem pod płaszczykiem chrześcijańskich ideałów. Od tego dnia uczciwy i uparty fabrykant spod Sztutgartu rozpoczął nową walkę, bardziej konkretną od apostolstwa mglistego „chrześcijańsko - społecznego ładu" — walkę o pokój, walkę przeciw remilitaryzacji Niemiec, walkę o jedność Niemiec.

„Odtąd znajduję się tam — napisze w rok później — gdzie dziś znajdują się wszyscy uczciwi katoliccy chrześcijanie w całych Niemczech: we wspólnym froncie walki z remilitaryzacją".

V

Przełomem ostatecznym dla dr. Textora stał się jego kilkutygodniowy pobyt w Niemieckiej Republice Demokratycznej latem 1951, zaraz po powrocie z podróży do Rzymu.

Wynikiem obu podróży był List otwarty zachodnio-niemieckiego katolika do wszystkich katolików w Niemczech.

Przypomnijmy sobie znowu poglądy dr. Textora, głoszone w 1946 roku w *Frankfurter Hefte*, przebiegnijmy w pamięci raz jeszcze opisane przez nas ko-

eje jego życia i posłuchajmy z kolei ajistotniejszych urywków z O t w a r e g o l i s t u:

„Tylko katoliccy chrześcijanie wiedzą, zym jest wewnętrzna odwaga, na ją musi zdobyć się katolik, by przełaać wszczepione mu katolickie posłueństwo i przeciwstawić się naciskowi sychologicznemu z zewnątrz — i to o to, aby wywalczyć w sobie gotoość przyjęcia wspaniałej nauki Tomaa z Akwinu, że należy zawsze kieroać się własnym sumieniem, nawet ówczas, jeśli zachodziłoby niebezpieeństwo wykluczenia z Kościoła (naka, której rozpowszechniania Kościół iestety unika, mimo że jest ona przeń w pełni uznawana)!"

„...Pociechą i nadzieją dziś jest to, szereg najlepszych osobistości spoód świeckich katolików staje we spólnym froncie walki o pokój i sprawiedliwość społeczną..."

„...W obliczu faryzeuszostwa większoi tak zwanych chrześcijan, zorganizoanych politycznie w CDU, uczyniłem róbę zbudowania na zasadach chrześjańsko - społecznych własnego przedębiorstwa. Powiodło mi się (dzięki nieześcijańskiemu nastawieniu kapitastycznego otoczenia, określającego się rześcijańskim mianem) jak utopijnym cjalistom we Francji. S p r a w i e d l i w o ś ć s o c j a l i s t y c z n a e m o ż e b y ć w y w a l c z o n a i n a c z e j j a k w s p ó l n ą o l ą. Tę prawdę należy propagować k najgłośniej — również w interesie ołecznie nastawionych przedsiębiorstw ywatnych".

„Kiedy wiosną bieżącego roku miaem odczyt w środowisku katolickim jednym z południowo-niemieckich ast biskupich, jeden ze słuchaczy, geralny wikariusz diecezji, oświadczył, najlepiej byłoby, gdyby 50% miejsc radach nadzorczych przedsiębiorstw dano przedstawicielom związków zawodowych. Stanowisko to zrozumieć można tylko jako wyraz wielkiego strachu przed postępowym socjalizmem i jako wyraz woli powstrzymywania „nieszczęścia ze Wschodu" choćby za cenę kompromisów, nic nie mających wspólnego z katolicyzmem..."

„...Katoliccy księża, którym chciałem opowiadać o Niemieckiej Republice Demokratycznej, po prostu nie chcieli mnie słuchać, ponieważ w większości nie chcą oni znać prawdy. Z jednej strony chcą uniknąć wewnętrznej walki między posłuszeństwem a miłością prawdy, z drugiej zaś boją się wszelkiego ryzyka..."

„...Kiedy po podróży do NRD opowiedziałem mojej żonie, że tam od wszystkich ludzi zajmujących czołowe stanowiska, względnie tych, którzy propagują naukę socjalizmu, wymaga się nienagannego życia prywatnego; że korupcja czy rządy kochanek spowodowałyby tam natychmiastowe usunięcie ze stanowiska danych osób; że tam nie ma domów publicznych, ani hoteli z „obsługą damską do wyboru gości" itp. instytucji, jakich pełno jest na Zachodzie (na tym Zachodzie, który chce bronić „chrześcijańskiej kultury"!), żona moja natychmiast wstąpiła w szeregi naszego frontu, bowiem nie ma nic bardziej odrażającego dla każdej uczciwej kobiety jak obyczajowa zgnilizna, w której żyć nam przyszło na Zachodzie..."

„...Największe wrażenie wywarły na mnie społeczne zdobycze oraz społeczne i gospodarcze cele NRD, bowiem tam zobaczyłem wreszcie urzeczywistnienie idei, które propagowałem w moich socjalno-politycznych odczytach, nie mając absolutnie żadnego wyobrażenia o tym, co tworzy Wschód..."

„...Przed kilkoma miesiącami byłem w Rzymie, gdzie widziałem krzyczącą

do nieba nędzę tuż pod murami Watykanu obok parkujących tam luksusowych samochodów amerykańskich. Przemknęła mi wówczas myśl, że propagowany przez pewne koła przydomek *pastor angelicus* — „pasterz anielski" można by tłumaczyć również na „pasterz angielski" w znaczeniu „angloamerykański". W każdym bądź razie obecna praktyka książąt Kościoła, a szczególnie klasztorów, nie utwierdza w przekonaniu, że Kazanie na Górze Oliwnej i przypowieść o dobrym pasterzu są wytyczną postępowania, jak to miało miejsce w pierwszych czasach chrześcijaństwa, kiedy Kościół był całkowicie oddzielony od spraw państwowych. W każdym razie związania się Kościoła z kapitalistycznym Zachodem nie można pogodzić z Kazaniem na Górze Oliwnej..."

„...Również ocena systemu ekonomicznego jak np. gospodarki planowej NRD czy ZSRR przez tak czysto religijną instancję jak Watykan, jest niepowołanym osądem religijnej osoby prywatnej, a w żadnym wypadku nie jest dogmatem czy obowiązującą wytyczną. I to powinniśmy, my świeccy katolicy, coraz silniej i wyraźniej głosić. Uznawać w dalszym ciągu taki totalnie skorrumpowany system, jakim jest anglosaski kapitalizm, oznaczałoby popaść w ciężki grzech. A szczególnie obowiązuje to nas, myślących katolickich ekonomistów...".

„...Tolerowanie dotychczasowego systemu gospodarczego oznaczałoby poza tym wyrażenie zgody na periodycznie powtarzające się wojny, wynikające z tej gospodarki..."

„...Piszę te słowa, aby Wam powiedzieć, że świadomie, jako chrześcijanin katolicki, stoję w szeregach obrońców pokoju, a z chrześcijańskiej tęsknoty do prawdy głoszę wszędzie, gdzie tylko mogę, prawdę o Związku Radzieckim..."

VI

Daleką drogę odbył dr Hans Textor fabrykant materiałów włókienniczych z miasta Mindelheim w Szwabii.

Na wstępie zaznaczyłem, że nie jest to jeszcze droga typowa dla ludzi pokrewnych mu duchem w Niemczech zachodnich. Ale — oto dobijam do celu — jest ona typowa dla oddziaływania idei socjalizmu. Pokazałem mały punkcik w najdalszym kręgu tego oddziaływania. Wydawało mi się, że warto o tym punkciku napisać.

Przekonanie moje zrodziło się zresztą przypadkowo. Po przeczytaniu Listu otwartego Hansa Textora przeczytałem w Głosie Szczecińskim artykuł pt. Krok naprzód, a tam takie oto zdania:

„Historia nie kształtuje się na miarę ludzi, lecz ludzie kształtują się na miarę historii".

„Każda nowa sytuacja stwarza nowych ludzi."

„Najważniejsze jest to wszystko, czego się w takich trudnych sytuacjach ludzie wyzbywają, i czego się uczą. Najważniejsze jest to, że kruszeją w nich resztki mieszczańskiego egoizmu a rośnie świadomość społecznej solidarności."

„Kształtuje się zdolność samodzielnego i trafnego oceniania sytuacji."

„Rodzi się wreszcie pasja walki, owa namiętność uczuć."

„To właśnie wszystko jest najważniejsze. A to już jest. Jeszcze nie pełne, jeszcze nie powszechne. Ale już jakościowo ludzi przekształcające i o wielki krok naprzód posuwające ich na trudnej drodze dojrzewania — do socjalizmu."

Pisał te słowa polski pisarz, rozpatrujący polskie sprawy, toteż zestawienie jego słów ze słowami bogatego Niemca, rozpatrującego niemiecki

oski, może się wydać karkołomne. ędzy sytuacją ludzi w Polsce Ludo- ej, o których pisał Jerzy Andrzejew- ki w Głosie Szczecińskim, sytuacją fabrykanta tekstylii w Niem- ech zachodnich jest różnica tak za- dnicza, że, zdawałoby się, nie ma osobu powiązania dalekich sobie geo- afią, ustrojem i światopoglądem dzkich losów.

A tymczasem dalekie losy związały ę z sobą. Stało się to w nowej sy- u a c j i, jaka powstała w Niemczech chodnich, kiedy Amerykanie Truma- a postanowili remilitaryzować Niem- . Wtedy zagubiony w idealistycznej gle Hans Textor stał się nowym złowiekiem — obrońcą pokoju. w rok później już w walce o pokój a trudnej drodze dojrzewania", po- ł naszą prawdę: ludzie budujący so- alizm budują pokój świata.

VII

Sądzę, że chcąc mieć właściwy obraz iata, należy zwracać uwagę również na maleńkie, nietypowe jeszcze nkciki.

Edmund Osmańczyk

NOTATNIK AMERYKAŃSKI

Sąd Najwyższy czuwa

Po amerykańskiej wojnie domowej yzwoleni Murzyni nie otrzymali u- awianej przez siebie ziemi. Oddano ją w dzierżawę, przy czym z reguły ynsz dzierżawny wynosi połowę zbio- w. Instytucja ta, szeroko rozpowszech- ona na południu Stanów, nazywa się *onage*. Jest to zupełnie wyraźna for- a pańszczyzny. Pańszczyzna, od daw- już zapomniana w Europie, prze- wała dotąd w całym szeregu najbar- iej zacofanych państw innych konty- ntów — w Chinach Czang Kai-szeka chwili zniesienia jej przez zwycięską rewolucję ludową, w szeregu półfaszy- stowskich dyktatur Ameryki Łacińskij, a w pierwszym rzędzie w USA. Peonami są nie tylko Murzyni, są nimi nawet i biali. Ale los Murzynów jest najcięższy. Dochody dzierżawców mu- rzyńskich i płace czarnych robotników rolnych są przeciętnie o 30% niższe od dochodów i płac białych. I tu od razu dochodzimy do sedna rzeczy. Biorąc pod uwagę różnicę w wynagrodzeniu za tę samą pracę, różnicę, która ustawowo czy nieustawowo obowiązuje w całych Stanach Zjednoczonych, statystycy usta- lili, że zyski płynące stąd dla kapitalis- tów amerykańskich wynoszą co naj- mniej trzy miliardy dolarów rocznie. A nie zapominajmy, że szermując pła- cami Murzynów można sztucznie obni- żać i inne płace, że więc zysk rzeczy- wisty jest znacznie w praktyce wyż- szy.

Jak widzimy — rasizm popłaca kapi- talistom.

Rasizm popłaca; i dlatego cała apa- ratura ustroju kapitalistycznego USA, cała jego nadbudowa ideologiczna, ca- ła presja obyczajowa, nastawione są na wszczepianie przesądów rasistowskich w krew społeczeństwa, na uczynienie z nich jednego z filarów całej struktu- ry socjalnej kraju. Lapidarnie i wy- mownie wyraził tę tendencję senator USA i były sędzia Sądu Najwyższego stanu Georgia, Walter F. George, mó- wiąc: „Żadna norma konstytucyjna, ża- den statut organiczny, żadne ustawo- dawstwo specjalne nie może uchylić praw płynących z konieczności raso- wych". Wyrok sądu stanowego w Pen- sylwanii głosił istnienie „prawa natu- ralnego, które jest zarazem prawem boskim", a które zakazuje „zanieczysz- czania rasy" — ten wynalazek *Rassen- schande* datuje z roku 1867 — zaś Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych o- rzekł, z mocą obowiązującą dla całego kraju, że „wszelkie ustawy są bezsilne

wobec instynktów rasowych", z góry zapewniając tym samym całkowitą bezkarność wiadomej „grze" owych instynktów, legalizując tym samym lincz, legalizując zbrodnię, legalizując działalność Ku Klux Klanu.

W małej mieścinie Pulaski, w stanie Tennessee, grupa byłych oficerów Konfederacji założyła w roku 1865 terrorystyczną organizację rasistowską, nazwaną Ku Klux Klan, w skrócie — KKK. Zadaniem jej było przywrócenie w praktyce stosunków z okresu niewolnictwa i w ogóle — *to keep the migger in his place*, czyli „wzięcie czarniuchów za mordę". Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać komórki bliźniacze, które sfederowały się w maju 1867. Jak Norymbergę ustaw hitlerowskich wyprzedziło ustawodawstwo amerykańskie, tak w dziedzinie organizowania masowego terroru USA ubiegły na długo epokę mordów kapturowych Czarnej Reichswehry i faszyzmu. Na czele całego klanu stoi Wielki Mag *(Grand Wizard)*, szefem organizacji stanowej jest Wielki Smok *(Grand Dragon)*, powiatowej— Wielki Olbrzym *(Grand Giant)*, lokalnej — Wielki Cyklop. Z Klanem związani są bezpośrednio Rycerze Białej Kamelii w Luizjanie, Rycerze Słońca w Teksasie i Białe Bractwo w Karolinie Północnej. Z biegiem czasu zadania rozszerzyły się: Klan zwalcza nie tylko Murzynów, ale wszelki w ogóle odruch postępu, wszelkie dążenia demokratyczne. Organizacja szybko się rozrosła i dzisiaj jest potęgą w skali ogólno-krajowej, w stanach zaś południowych monopolizuje niemal bez reszty wpływ na rządy. Liczba członków, rekrutujących się przede wszystkim z kół kapitalistycznych, bogatej burżuazji wszelkiej maści i otumanionego przez nią drobnego mieszczaństwa, sięga obecnie dziesięciu milionów. Zapowiedzią każdej większej akcji Klanu jest palenie nocą wielkich krzyży ognistych. Niedawno krzyż taki zapłonął na jednym ze wzgórz okalających Waszyngton. Rozpalaniu krzyży towarzyszą nieraz pochody: u stóp wyniosłości, z kosztownych limuzyn o nowoczesnych, opływowych liniach, wynurzają się ponure, średniowieczne maszkary, przybrane w luźne, sięgające ziemi białe płaszcze ze śpiczastymi kapturami; ustawiają się w długie szeregi i z pochodniami w dłoni wędrują uroczyście na szczyt. Te znaki ogniowe, kreślone na czarnym niebie przez koszmarne białe cienie, są dla społeczności murzyńskiej zwiastunem klęsk niepomiernie bardziej realnym i niewątpliwym aniżeli przysłowiowa „kometa pierwszej wielkości i mocy".

I jeśli propaganda amerykańska powołuje się na ustawy wydane przez Kongres, a wyjmujące spod prawa rycerzy Białego Kaptura — pamiętajmy, że Sąd Najwyższy, powołany do orzekania o konstytucyjności ustaw, uczynił z aktu Kongresu propagandowy świstek papieru, spod prawa wyjął Murzynów, a otacza majestatem ochrony prawnej sprawców mordów kapturowych.

Los godny zazdrości

„Wszelka osoba fizyczna lub prawna, która dopuści się drukowania, ogłaszania lub rozpowszechniania drukiem czy w odbitkach, albo też na piśmie, materiałów podających do wiadomości powszechnej lub nakłaniających opinię publiczną do ich przyjęcia, argumenty lub wypowiedzi na rzecz równości społecznej albo na rzecz dopuszczalności małżeństw mieszanych pomiędzy białymi a Murzynami — będzie uznana winną występku podlegającego karze grzywny, nie przekraczającej dolarów 500, lub zamknięcia w więzieniu na czas nie dłuższy niż sześć miesięcy, albo też obu tym karom łącznie, a to według uznania sądu".

Tak brzmi jeden z artykułów ustawy niedawno uchwalonej przez legislaturę

stanu Missisipi. Przepis ten nie stanowi wyjątku. Rasizm — i płynąca zeń nierówność w traktowaniu obywateli— kwitnie w USA w całej pełni, z tą różnicą, że na Południu — wbrew Konstytucji — ma podbudowę prawną, na Północy zaś, częściej — „zwyczajową" W trzydziestu stanach istnieje zakaz małżeństw mieszanych i „sprawcom" grozi więzienie od 2 do 5 lat. Ta sama kara grozi kobiecie, która zajdzie w ciążę z Murzynem lub Mulatem i grozi duchownemu, który udzieli takiego ślubu osobie białej. Wszystkie te „zbrodnie" wyliczone są w kodeksach k a r n y c h poszczególnych stanów. Zbrodniarze ścigani są aż poza grób i to tak zapamiętale, że klątwą są obłożone nawet... ich psy: w stolicy, w Waszyngtonie, założono cmentarz dla psów z wyraźnym zakazem grzebania tam psów należących do „kolorowych". Nie trzeba dodawać, że dla ludzi istnieją oczywiście wszędzie odrębne cmentarze, „białe" i „czarne". Niekiedy zdarzają się dziwaczne paradoksy. W Birmingham, Alabama, biali i czarni, pod groźbą surowych kar nie mogą zasiąść razem do gry w karty czy domino; wolno im natomiast, mówiąc dla przykładu, urżnąć się po społu do nieprzytomności. Od niekonsekwencji roi się w ustawach i judykaturze. Definicja „kolorowych" jest w każdym niemal stanie inna. A Sąd Najwyższy USA na przestrzeni jednego roku orzekł, że Hindusi są „kolorowi", jakkolwiek należą do „rasy kaukaskiej", ponieważ mają cerę ciemniejszą niż większość „białych", w innym zaś wypadku uznał za „kolorową" osobę o cerze wyjątkowo jasnej, „albowiem ustalono, iż nie przynależy do żadnej z ras kaukaskich".

Ustawowy a zupełny rozdział dzieci murzyńskich i białych obowiązuje we wszystkich szkołach i zakładach naukowych 21 stanów. W pozostałych stanach zasada ta jest rygorystycznie stosowana w praktyce. W szeregu stanów południowych obowiązuje segregacja dzieci ślepych, choć wątpić należy, by mali niewidomi zrozumieć mogli przyczynę takiego podziału bez odpowiedniego rasistowskiego uświadomienia. W trzech stanach — Teksas, Wirginia i Karolina Południowa — obowiązuje segregacja kalek pozbawionych jednocześnie słuchu, mowy i wzroku. W wielu z tych szkół obowiązują specjalne podręczniki dla dzieci murzyńskich.

„W porównaniu z tym, co tu widzę, jakże godny zazdrości jest los pariasa w Indiach!" — wyraził się pewien turysta hinduski po obejrzeniu getta murzyńskiego w Waszyngtonie. W Stanach Zjednoczonych wszystkie upośledzone grupy ludności mieszkają właściwie w gettach. Istnieją getta włoskie, polskie, żydowskie. Ale Żyd, Polak, czy Włoch, dorobiwszy się odpowiednio dużego majątku, może przenieść się do innej dzielnicy. Oczywiście, dorobienie się nie jest dla przedstawicieli „rasy niższych" rzeczą łatwą, a uwarunkowane jest należytą uprzednią amerykanizacją. Natomiast getta „kolorowych", a zwłaszcza już murzyńskie, mają granice nieprzekraczalne, zakreślone ustawą. Prowadzi to zarówno do fantastycznego przeludnienia, jak i do fantastycznych czynszów, gdyż właściciele domów — prawie wyłącznie biali — niepomiernie, rzecz prosta, wyzyskują sytuację. Stosunkowo nieźle dzieje się w Chicago, gdzie gęstość zaludnienia dzielnicy murzyńskiej jest „tylko" trzykrotnie wyższa od maksimum, jakie dopuszczają przepisy sanitarne. W Baltimore zaludnienie getta jest dziesięćkroć wyższe niż dzielnic białych. Ale i to nie stanowi dna nędzy. Kilka lat temu miesięcznik *Architectural Forum* obliczył, że przeciętna zaludnienia getta nowojorskiego — Harlemu — wynosi 3.781 osób na dom i wysnuł najzupełniej trafny i logiczny wniosek: „Przy tej przeciętnej cała lu-

dność USA zmieściłaby się na połowie obszaru śródmieścia Nowego Jorku". W Waszyngtonie stosunki mieszkaniowe są analogiczne do nowojorskich.

Miasto Waszyngton graniczy częściowo ze stanem Wirginia. Część miasta leży już w obrębie tego stanu. Na moście granicznym Murzyni przesiadają się na tylne siedzenia autobusów, do przyczepnych wozów tramwajowych, do osobnych przedziałów lub wagonów w pociągach. Nikt temu zdaje się nie dziwić. Czasem tylko jakiś nieobyty Europejczyk pozostanie na tylnym siedzeniu i spotka się z opryskliwą uwagą konduktora. Biała rasa jest bowiem „chroniona" nawet wbrew własnej woli. Brak segregacji w tramwajach i autobusach w obrębie śródmieścia jest zresztą jedynym odchyleniem waszyngtońskim od surowych rygorów rasizmu. Z tym jednym wyjątkiem istnieją tu, tak samo jak na Południu, osobne szpitale dla Murzynów, osobne parki, hotele, miejsca rozrywkowe, restauracje, więzienia, osobne wejścia, windy, klatki schodowe, sklepy... Elegancki stołeczny dom towarowy *Woodward and Lothrop* czyni liberalny wyłom wpuszczając Murzynów do sklepu — kalkuluje się to pod względem obrotów — ale wydzielił osobne toalety dla białych i kolorowych i osobne kabiny telefoniczne. W różnych stanach obowiązuje szereg dodatkowych, niezmiernie kazuistycznych przepisów, jak zakaz zbliżania się do okna, przy którym stoi biały, zakaz czesania białych przez fryzjerów-Murzynów etc. Warto zaznaczyć, że w Waszyngtonie wszystkie te normy ustanawiają komisarze mianowani przez prezydenta i działający pod nadzorem i auspicjami rządu USA.

Tak wygląda ustawodawstwo i praktyka kraju, którego pierwszym aktem prawnym było oparcie swego ustroju na zasadach równości, wolności i braterstwa, kraju, który przystępując do ONZ i podpisując Kartę Narodów Zjednoczonych zobowiązał się tym samym do „szerzenia i zapewnienia poszanowania praw człowieka i zasadniczych wolności wszystkich ludzi bez różnicy rasy, płci, mowy i wyznania".

Indiańska babka

Rasizm amerykański jest konsekwentny. I w błędzie byłby polski hitlerowiec spod znaku Andersa, gdyby udając się z Londynu do New Yorku liczył na to, że zostanie przyjęty w poczet „nadludzi". W USA obowiązuje prawo „rasy i krwi", a w długiej tabeli hierarchii rasowej Słowianie — w tej liczbie Polacy — znajdują się na jednym z dalekich, niskich szczebli, nieco powyżej Metysów i Filipińczyków. Od tego zera, wokół którego ziębną Słowianie wraz z Grekami, Żydami i Włochami, wiodą szczeble wzwyż, ku słońcu „szczęśliwości" amerykańskiej — poprzez Francuzów, Irlandczyków (których grzechem jest ich katolicyzm), Niemców i Skandynawów, a wreszcie Szkotów — aż do potomków emigrantów angielskich, wśród których z kolei jest również szereg nawarstwień. Poniżej zera mrożą się Spaniardzi i Meksykanie, a dalej Filipińczycy, Japończycy, Metysi, Indianie oraz oktoroni, kwarteroni, Mulaci i Murzyni. Ci wszyscy zaliczeni są do „kolorowych" z racji większej lub mniejszej domieszki „nieczystej" krwi. Według orzecznictwa Sądu Najwyższego USA wystarczy 1/32 (jedna trzydziesta druga) takiej domieszki dla przekształcenia rasy „szlachetnej" w denaturat.

Rasizm amerykański jest konsekwentny. Ludzie o krwi nieczystej po prostu nie są ludźmi, stanowią jakiś podgatunek zbliżony tylko do człowieka. Biali zaś dzielą się na rasę panującą i szereg grup rzędu niższego, których przeznaczeniem jest czarna robota, jest wykonywanie prac najpośledniejszych. Stąd płyną różnice i gradacje złego trakto-

wania. Tak więc, obok Murzynów, przedmiotem największych okrucieństw byli i są Indianie.

W początkach XVII wieku obszar dzisiejszych Stanów Zjednoczonych zamieszkiwało dosłownie kilkuset białych przybyszów z Europy i blisko milion Indian. Dziś liczba białych wynosi ponad 130 milionów, liczba zaś Indian spadła w ciągu trzech stuleci o 2/3. Spadła właciwie na przestrzeni XIX w., odkąd rząd USA przystąpił do systematycznego, metodycznego wytępiania pierwotnej ludności „ziemi wolnych". Wycinano w pień całe osiedla, mordowano Indian w otwartej walce, choć częściej przy zastosowaniu wszelakich podstępów; przede wszystkim jednak dążono nader skutecznie do stworzenia warunków, w jakich każda społeczność, a więc i indiańska, musiałaby wyginąć — wymrzeć z chorób i nędzy.

Zdrowia moralnego Indian rząd USA złamać nie zdołał. Znany badacz zagadnienia, A. H. Verrill, pisał w r. 1943: „Nigdy nie spotkałem Indianina typu pierwotnego, który byłby złodziejem. Tygodniami i miesiącami mieszkałem w wioskach indiańskich, gdzie domostwem były otwarte wigwamy, gdzie wszystkie moje rzeczy — dla Indian bezcenne i stanowiące przedmiot najwyższego pożądania — dostępne były dla każdego. Nigdy jednak nie zginął mi najbłahszy drobiazg". Natomiast zdrowie fizyczne Indian doprowadzono do stanu opłakanego. Połowa dzieci jest stale niedożywiona, trzy czwarte nie ma możności nauki. Według szacunku towarzystw ubezpieczeniowych przeciętny Amerykanin ma szanse dożycia do 63 lat, przeciętny zaś Indianin — do 17. Przeciętny dochód rodziny indiańskiej nie przekracza 10 procent minimum kosztów utrzymania, w nierzadkich zaś wypadkach spada do 1 procent. Indianie są niemal zupełnie pozbawieni pomocy lekarskiej; np. na rozległy rezerwat szczepu Navaho w stanach Arizona i Nowy Meksyk, szczepu liczącego ok. 55.000 głów, przypada jeden dentysta. Pod względem dyskryminacji rasowej Indianie traktowani są tak samo jak Murzyni. I tak samo pod względem wymiaru sprawiedliwości: kiedy notoryczny złodziej grosza publicznego, osławiony przewodniczący kongresowej komisji „dla badania działalności anty-amerykańskiej", J. Parnell Thomas, za kradzież setek tysięcy dolarów został skazany na 9 miesięcy aresztu, w stanie Idaho prawie równocześnie skazano czterech chłopców indiańskich za kradzież kozy na 14 lat ciężkich robót.

Nawet reakcyjny rząd carski, odstępując Stanom Zjednoczonym Alaskę, zawarował mieszkającym tam Indianom nadanie wszystkich praw i przywilejów obywateli amerykańskich. Rząd USA, który jako zasadę przyjmuje, że umowy międzynarodowe wiążą go tylko o tyle, o ile są dlań wygodne, zignorował całkowicie swe zobowiązania odbierając Indianom większość ich ziemi. Jaskrawą kropkę nad „i" postawił Truman w sierpniu 1947 podpisując ustawę, która oficjalnie wyzuła z własności wszelkich ziem i lasów na Alasce każdego, kto ma choćby jedną babkę czy dziadka — Indian.

Tak w miejsce trybunału norymberskiego powracają norymberskie prawa. Nie dziwmy się. Na długo przed Hitlerem generał Sheridan wypowiedział pamiętnie słowa: „Jedyny dobry Indianin, jakiego znam, to Indianin zabity!"

Artykuł eksportowy

Rasizm USA jest przedmiotem forsownego i forsowanego eksportu. Amerykanie uprawiają rasizm, gdziekolwiek się zjawią, choćby byli gośćmi. Cóż zaś dopiero, gdy zjawią się gdzieś w charakterze gospodarzy! Po wojnie z Meksykiem Amerykanie zagarnęli wielkie obszary zamieszkałe przez około 3 mi-

liony Meksykanów i Spaniardów (potomków emigrantów z Hiszpanii). Traktowanie tej grupy ludności, o tradycjach cywilizacyjnych znacznie starszych od tych, jakimi mogą się wykazać Jankesi, wzorowane jest dokładnie na losie Murzynów i Indian.

Narody Zjednoczone, zgodnie z art. 76 Karty, sprawują powiernictwo nad pewnymi obszarami, a to „dla popierania rozwoju politycznego, gospodarczego, socjalnego i oświatowego mieszkańców terytoriów powierniczych oraz ich stopniowego rozwoju w kierunku samorządu lub niepodległości...“ Z ramienia ONZ Stany Zjednoczone pełnią mandat powierniczy nad wyspami Marszałkowskimi, Mariańskimi i Karolińskimi na oceanie Spokojnym. Jak wygląda troska o rozwój poziomu życia mieszkańców tych wysp i przygotowywanie ich do samodzielności, wnosić można z cytowanych przez znanego badacza zagadnienia, H. Apthekera, dwóch obwieszczeń Wysokiego Komisarza amerykańskiego. Pierwsze, z 3.IV.47, ustala maksimum płac: dla czeladników — 32 centy dziennie, dla służby domowej — 40 centów, dla robotników zwykłych — 50 centów, dla robotników kwalifikowanych — 65 centów; dla pracowników umysłowych — 15—36 dolarów miesięcznie, dla nauczycieli — 20—75 dolarów. Płace te są 10—20 krotnie niższe niż w USA, ceny zaś niemal te same. Drugie obwieszczenie zapowiada komasację ziem należących do tubylców wyspiarskich i wydzierżawienie ich przez administrację powierniczą wielkim amerykańskim koncernom agrarnym.

Jest to zresztą tylko dochowywanie wierności tradycji. Po zdobyciu na Hiszpanii wyspy Guam w r. 1898, mieszkańców pozbawiono nielicznych nadanych im przez Hiszpanów praw, zniesiono miejscową policję zastępując ją przez piechotę marynarki USA, wprowadzono pełną segregację rasową, wprowadzono język angielski jako jedyny język wykładowy w szkołach i skrupulatnie spalono wszystkie słowniki języka miejscowego — *chamorro*. Encyklopedia Brytyjska określa mieszkańców jako „łagodnych, przyjacielskich i inteligentnych, zręcznych rzemieślników, których jednak wesołość i zaradność pod rządami Hiszpanii przeszła w ponurą apatię i gnuśność...“ Encyklopedia dyskretnie przemilcza skutki przejęcia władzy przez Amerykę.

Równie tragiczne stosunki panują na Hawajach, w zonie Kanału Panamskiego, zarządzanej przez USA, na wyspach Admiralskich, wyspach Wake, Samoa, Puerto Rico, wszędzie, gdziekolwiek rządzą Amerykanie. Nędza i wyzysk mieszkańców obfitującej w bajeczne bogactwa wyspy Puerto Rico nie mają sobie równych na całej Półkuli Zachodniej.

Niech cały świat się dowie...

Bessie Smith była znakomitą śpiewaczką, najświetniejszą może wykonawczynią słynnych bluesów murzyńskich. W lecie 1937, podczas tournée w stanach południowych, uległa wypadkowi samochodowemu. Odwiezionej do szpitala, jedynego w tych stronach, odmówiono pomocy ze względu na kolor skóry artystki. Wiele godzin bezskutecznie szukano lekarza nie wyzutego całkowicie z uczuć ludzkich i prymitywnej etyki. Na próżno! I Bessie Smith zmarła przed bramą szpitala z upływu krwi.

Młody poeta murzyński, Myron O'Higgins, przejęty do głębi ohydą tej zbrodni, napisał wiersz zaczynający się od słów:

Niech cały świat się dowie
Co uczynili w tym Południowym
Mieście...

Ale „świat" nie chciał i nie chce wie-
ieć. W każdym razie świat anglosas-
, który z poniżenia, z krwawej pracy
krwawej śmierci swych ciemnoskó-
ch braci czerpie zawrotne zyski.
Pojęcie zbrodni jest zresztą rzeczą
zględną. Omawiając postawę rządu
ytyjskiego wobec wojny domowej
Ameryce, Marks pisał: „Humanita-
zm w Anglii, podobnie jak wolność
e Francji stał się obecnie artykułem
sportowym dla handlarzy poli-
cznych. Pamiętamy czasy, kiedy
r Mikołaj nakazał chłostę kobiet pol-
ich przez żołnierzy, zaś Lord Palmer-
on uznał moralne oburzenie wyraża-
z tego powodu przez niektórych
łonków parlamentu za „niepolityczne".
Pamiętamy, że jakie dziesięć lat
mu na Wyspach Jońskich (wówczas
od zarządem angielskim — JS) wy-
uchło powstanie, co dało gubernatoro-
i angielskiemu sposobność do naka-
nia chłosty niemałej liczby kobiet
eckich... Parę lat temu wykazano
parlamencie na podstawie urzędo-
ych dokumentów, że poborcy podat-
owi w Indiach stosowali wobec żon
otów (drobni dzierżawcy — JS) środ-
przymusu tak haniebne, że niepo-
bna podać bliższych szczegółów".
Postawę rządu gromiącego „bez-
zględność Unii wobec Południa" po-
ielał spory odłam tak zwanej miaro-
jnej opinii. Marks cytuje słowa wpły-
owego organu liberałów angielskich
e Economist, który omawiając moż-
wość wyzwolenia Murzynów, stwier-
ał, że „sama myśl o tym jest już od-
żająca i potworna" i że każdy „kom-
omis" byłby „o wiele lepszy aniżeli
kces uzyskany za taką cenę i taką
brodnią splamiony". Marks
dkreślił w cytacie ostatnie słowa.
słusznie. Są one zaiste niezmazaną
amą...
Amerykanie przechwalają się, że sta-
styka linczów ma obecnie jakoby ten-
dencję malejącą. Statystyka ta jest fikcją i fałszem. Nie tylko bowiem operuje zatajeniem szeregu samosądów dokonanych przez tłum, ale pomija całkowicie niezliczone wypadki linczu dokonane przy zastosowaniu całej aparatury „majestatu prawa" przez władze amerykańskie, przez policję, administrację więzienną, przez sądy, przez całe państwo, rządzone przez morderców i dla morderców.

Ubiegłej jesieni Organizacji Narodów Zjednoczonych przedłożono petycję podpisaną przez szereg zrzeszeń i organizacji, a oficjalnie oskarżającą rząd USA o szereg „czynów popełnionych z zamiarem zniszczenia, w całości lub części, grupy narodowościowej, etnicznej, rasowej czy religijnej, jako takiej", co podpada pod art. 11 Konwencji o zapobieganiu i karaniu zbrodni ludobójstwa, uchwalonej 11 grudnia 1946 r. przez Ogólne Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych. ONZ, wierna swej tradycji wysługiwania się amerykańskiemu Departamentowi Stanu, uchyla się od rozpatrzenia tego wstrząsającego aktu oskarżenia obejmującego 200 stron ściśle udokumentowanego materiału dowodowego. Fakty jednak pozostają faktami. Niepodobna przytoczyć tu nawet w streszczeniu owych dwustu stron, z których każda zieje grozą i ocieka krwią. Zapoznajmy się choćby w wyjątkach ze wstępem do petycji.

„Przedkładamy dowody nieodparcie i aż nadto wymownie świadczące o mordowaniu, z pogwałceniem art. 11 Konwencji, członków grupy (etnicznej), mordowaniu przez policję, przez nasłane bandy, mordowaniu po nocy przez osobników w maskach, mordowaniu zawsze pod pretekstem „rasy", mordowaniu przez Ku Klux Klan, upoważniony do tego przez szereg stanów posługujących się tą organizacją jako półoficjalnym narzędziem władzy dla

przeprowadzania swej polityki i udzielających jej nawet zwolnień podatkowych jako stowarzyszeniu dobroczynnemu. Przedkładamy dowody dotyczące tysięcy Murzynów zakatowanych na śmierć na robotach przymusowych i w zakamarkach biur szeryfów, w celach więziennych i aresztach policyjnych, a wreszcie na ulicach miast, tysięcy Murzynów ujętych i zamordowanych przy zachowaniu legalności, rzekomo za nieuchylenie kapelusza czy niedość szybkie usunięcie się z drogi itp., w rzeczywistości zaś za usiłowanie głosowania lub inną próbę dochodzenia swych najprostszych praw obywatelskich..."

„Przedkładamy dowody ludobójstwa ekonomicznego lub, mówiąc słowami Konwencji, „świadomego narzucania tej grupie warunków życiowych prowadzących do jej wyniszczenia... Przedkładamy dowody ludobójstwa, do którego podżega się jawnie i otwarcie przez radio, do którego nawołują senatorzy i gubernatorzy, potężne organizacje polityczne i wpływowe dzienniki..."

„My, którym spustoszono wioski, spalono i ograbiono domy, wymordowano dzieci, gwałcono kobiety, z grozą widzimy, jak rasiści amerykańscy eksportują swoje doktryny i działania do ludów kolorowych w Azji, i ostrzegamy uroczyście, że naród uprawiający ludobójstwo u siebie nie będzie się wahać przed popełnianiem go poza swoim krajem".

„Protestujemy przeciw temu jako Murzyni, protestujemy jako Amerykanie, przede wszystkim zaś protestujemy jako ludzie, którym odmawia się praw ludzkich. Nie możemy zapomnieć słów kongresmena H. L. Lanhama, który przemawiając w czasie obrad Kongresu nazwał Williama L. Pattersona, jednego z przywódców ludu murzyńskiego, „przeklętym sk.. synem" dodając: „Musimy skończyć z tymi czarnymi małpami". A nie możemy zapomnieć dlatego, że jest to hasło potężnej grupy, mającej olbrzymi wpływ na całe życie Ameryki".

„Nie ma już dzisiaj miasta, od New Yorku do Cleveland i Detroit, od Chicago do Waszyngtonu, Los Angeles i Nowego Orleanu, które nie byłoby shańbione świadomym mordowaniem Murzynów... Pragniemy, by Zgromadzenie Ogólne wiedziało o zamordowaniu przez sądy Willie McGee, zamordowaniu przez sądy dwojga dzieci straconych na krześle elektycznym 5 maja 1947 r. w Natchez, stanu Missisipi, o zamordowaniu Siedmiu z Martinsville, o Sześciu z Trenton, o poruczniku Gilbercie, o rzezi we Freeport, o masakrze w Monroe..."

A skoro nie chce o tym wiedzieć Zgromadzenie Ogólne — musi dowiedzieć się świat!

Julian Stawiński

lfabetyczny spis treści II półrocza 1951 r.*)

Spis treści ułożono alfabetycznie według nazwisk autorów. Gwiazdka (*) przed tułem oznacza pozycję recenzyjną o danym autorze. Cyfry rzymskie oznaczają umer Twórczości, w którym pozycja się ukazała, arabskie — rok ydania.

A

Kultura nowych Chin. kronika. VI/51; Rzut oka na współczesną literaturę rumuńską. kron. IX/51.

drzejewski Jerzy
Powiastka o zadufku całkowitym czyli głupcu bezwzględnym. proza art. XI/51.

teris F.
Epigramat. wiersz; Epigramat. w; Tryptyk poległym bojownikom. w.; Święto majowe. w. VII/51.

B

licki Stanisław Witold
Po festiwalu polskich sztuk współczesnych. kron. IX/51.

rman Jakub
Z przemówienia wygłoszonego na Naradzie poświęconej twórczości artystycznej. XII/51.

eńkowski Zbigniew
Afera. art. publ. VI/51; Grabarze IV Republiki. art. publ. VII/51; Stracone złudzenia Wall Streetu. art. publ. VIII/51; Hiszpania i dolar. art. publ. X/51; zob. Rylejew Konrad: Na śmierć Byrona; Do Biestużewa; Tyś zaprągnęła, moja miła... tłum. XII/51.

ński Jan
„Wychowanie" Anny Kamieńskiej. omówienie. VII/51.

bińska Helena
Noc w leśniczówce. proza art. VIII/51.

lstad Eiwind
*Spekulant (Grzeniewski Ludwik). om. XII/51.

rowski Tadeusz
*Zmarł Tadeusz Borowski. VII/51.

atny Roman
Cud nasz powszedni. reportaż. XI/51; Rozstanie z towarzyszem Borowskim. w. XII/51.

odzki Stanisław
Od H. K. Stelle do Intelligence Service. art. publ. X/51.

oszkiewicz Jerzy
Strajk. proza art.; *Kształt miłości (Zimand Roman). om. X/51.

zostowska Janina
Galerie. w. VI/51.

C

walewik Witold
„Otello", „Król Lir" i „Makbet" Williama Szekspira. om. XII/51.

pkonal Michał
Wieczór. w. XII/51.

eszko Bohdan
Pokolenie. proza art. VI, VII, VIII, IX/51; Spotkanie 100 narodów. art. publ. IX/51.

D

Dembowski Edward
* (Przemski Leon: Edward Dembowski jako krytyk i historyk literatury). kryt. lit. VII/51.

Dokumenty Października (Do obywateli Rosji! Referat o zadaniach władzy Rad — krótkie sprawozdanie prasowe). XI/51.

Drewnowski Tadeusz
„Młode Niemcy" Jana Edmunda Osmańczyka. om. X/51.

Dubois Burghardt William Edward
Zabieram głos. art. publ. VIII/51.

Dzierżyński Feliks
Z pism wybranych (Antek Rosół. Z listu do siostry Aldony. Z przemówienia na II Ogólnorosyjskim Zjeździe Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Z listu do Zofii Dzierżyńskiej. Z listu do Zofii Dzierżyńskiej. Komunikat Przewodniczącego Ogólnorosyjskiej Komisji Nadzwyczajnej. Wszyscy na pomoc dzieciom. Z listu do A. Gulbinowicza. Do robotników Dołbysza). VII/51; *„Pisma wybrane" i „Pamiętnik więźnia" (Osiadacz Alina). om. X/51.

F

Ficowski Jerzy
zob. Papusza: Pieśń cyganki. tłum. VI/51; Przede dniem. w.; Korea. w. VIII/51.

Fiedin Konstanty
Gorki we wspomnieniach współczesnych („Gorki wśród nas"). wspomnienie. VII/51.

Flukowski Stefan
Grecka poezja wolności. notatka; zob. Trwamy w walce (urywek z dziennika greckiego więźnia skazanego na śmierć). tłum.; zob. Jannopolus C.: ostatni list; Epigramat; W celi śmierci; Noce; Ostatnia pieśń. tłum.; zob. Asteris F.: Epigramat; Epigramat; Tryptyk poległym bojownikom; Święto majowe. tłum. VII/51.

Furmanow Dymitr
*Czapajew (Stawiński Julian). om. VII/51.

G

Goncourtowie Edmund i Juliusz
Charaktery i anegdoty XIX wieku. (fragmenty dziennika). IX/51.

Gorki Maksym
* (Fiedin Konstanty, Kurska A., Nikulin L. i Tołstoj A.: Gorki we wspomnieniach współczesnych). wspom. VII/51; Towarzyszu! proza art.; Jak po raz pierwszy usłyszałem o Garibaldim. proza art. X/51.

Gramsci Antonio
*Listy z więzienia (Stryjkowski Julian). om. IX/51.

Grodzieńska Wanda
O nową literaturę dla dzieci. referat. VIII/51.

Gruszczyński Krzysztof
Pociąg do Marsylii. dramat. IX, X/51.

*) Spis treści od Nr VI (czerwiec) 1950 do Nr V włącznie (maj) 1951 znajduje się w Nr VII (lipiec) 1951.

Grzeniewski Ludwik
„Zrodzeni z burzy" Mikołaja Ostrowskiego. om. VII/51; „Ostatnie ognie" Stanisława Zielińskiego. om. IX/51; „Spekulant" Eiwinda Bolstada. om. XII/51.

H

Heine Henryk
*(Swinarski Artur Marya: Z poezji satyrycznej Heinego), kryt. lit.; Anno 1829, w; Poeta Firdusi. w.; Łątka. w.; Adam Pierwszy. w.; Do politycznego poety w.; Niemcy. Opowieść zimowa — 2 fragmenty. w. VII/51.
Herdegen Leszek
„Pieśni inwalidzkie" i „Słowa na pozycji" Jerzego Millera. om. VII/51; „Wiersze wybrane" Jerzego Putramenta. om. XII/51.
Hertz Benedykt
*Bajki (Szeląg Jan). om. X/51.
Hoffman Paweł
Z przemówienia wygłoszonego na Naradzie poświęconej twórczości artystycznej. XII/51.
Hussarski Roman
* Nowy mur (Niziurski Edmund). om. X/51.
Huszcza Jan
Sady. w.; Niedzielny wieczór w miasteczku. w.; Wierszyk żartobliwy. w. XII/51.

I

Ibarruri Dolores (Passionaria)
Hiszpania w walce (Hiszpania była i będzie krajem demokracji. Nowy etap w walce narodu hiszpańskiego). publ. VII/51.
Infeld Leopold
Teoria względności, jej rola dla pokoju i wojny. art. nauk. VIII/51.

J

Jannopolus C.
Ostatni list. koresp.; Epigramat. w.; W celi śmierci. w.; Noce. w.; Ostatnia pieśń. w. VII/51.
Jarochowska Maria
Biała róża. proza art. VII/51.
Jastrun Mieczysław
Spotkanie z Salomeą (fragm. pow.), proza art. VI/51.
Jaworski Kazimierz Andrzej
zob. Tank Maksym: Kalinowski. Poemat. tłum. XI/51.
Jirasek Alojzy
*(Sliziński Jerzy: Alojzy Jirasek), om. X/51.

K

Kamieńska Anna
*Wychowanie (Błoński Jan). om. VII/51.
Kelera Józef
Kilka uwag o poezji Jakuba Jasińskiego. kryt. lit. VIII/51.
Koliba Maciej
„Wielka próba" Anny Kowalskiej. om. XI/51.
Koprowski Jan
Z podróży. w.; Pocztówka z Rozewia. w.; Do Horacego. w. VIII/51; *Nowa ziemia (Śpiewak Jan). om. IX/51.
Kowalska Anna
*Wielka próba (Koliba Maciej). om. XI/51.
Kraszewski Józef Ignacy
*Szalona (Natanson Wojciech). om. XI/51; *(Szeląg Jan: Kraszewski satyrykiem). kryt. lit. XII/51.
Książki nadesłane:
VII, IX, XI, XII/51.
Kubiak Tadeusz
Na odludziu niedawnym. w. VI/51; *„Ballady i pieśni" i „Serce Partii" (Michalski Hieronim). om. XII/51.
Kurska A.
Gorki we wspomnieniach współczesnych („Gorki we Włoszech"). wspom. VII/51.

L

Lam Andrzej
„Pokład Joanny" Gustawa Morcinka. om. VII/51; „Stare i nowe literaturoznawstwo. Szkice krytyczno-naukowe" Stefana Żółkiewskiego. om. XII/51.
Lasota Grzegorz
O sytuacji w literaturze dla młodzieży. ref. VIII/51.
Lenin Włodzimierz Iljicz
O naszej rewolucji. W związku z notatkami N. Suchanowa. XI/51.
Lermontow Michał
*Bohater naszych czasów (Zimand Roman: Nad „Bohaterem naszych czasów"). om.; Pieśń o carze Iwanie Wasyliewiczu, o młodym opryczniku i o udałym kupcu Kałasznikowie. w. VI/51; Maskarada, akt. II. dram. IX/51.

M

Marianowicz Antoni
zob. Heine Henryk: Do politycznego poety; Niemcy. Opowieść zimowa — 1-szy fragment. tłum. VII/51.
Mauersberger Adam
zob. Goncourtowie Edmund i Juliusz: Charaktery i anegdoty XIX wieku. tłum. IX/51; Pisarze polscy w walce o nowy słownik. kryt. lit. XII/51.
Michalski Hieronim
„Imię przyszłości" Stanisława Piętaka. om. XI/51; „Ballady i pieśni" i „Serce Partii" Tadeusza Kubiaka. om. XII/51.
Miller Jerzy
*„Pieśni inwalidzkie" i „Słowa na pozycji" (Herdegen Leszek). om. VII/51.
Minkiewicz Janusz
*Pigułki (Śpiewak Jan). om. IX/51.
Morcinek Gustaw
*Pokład Joanny (Lam Andrzej). om. VII/51.

N

Nagrody Państwowe w dziale literatury i sztuki za rok 1951. VIII/51.
Narada poświęcona twórczości artystycznej XII/51.
Natanson Wojciech
„Szalona" Józefa Ignacego Kraszewskiego. om.; „Wspomnienia" Stefana Żeromskiego. om.; „Opowieść północna" Konstantego Paustowskiego. om. XI/51.
Newerly Igor
Pamiętnik z Celulozy. proza art. X, XI, XII/51.
Niemcewicz Julian Ursyn
Fragmenty pamiętnika. IX/51.
Nikołajewa Halina
*Żniwa (Rafałowska Barbara). om. X/51.
Nikulin L.
Gorki we wspomnieniach współczesnych („Życie jest działaniem"). wspom. VII/51.
Niziurski Edmund
„Nowy mur" Romana Hussarskiego. om X/51.
Nowak Tadeusz
Piosenka o traktorzyście. w. VI/51.

O

ıdacz Alina
„Pisma wybrane" i „Pamiętnik więźnia" Feliksa Dzierżyńskiego. om. X/51.
ıańczyk Jan Edmund
*Młode Niemcy (Drewnowski Tadeusz). om.; Ocena z tamtej strony. art. publ. X/51.
romęcki Bogdan
Wieczór autorski. w. VIII/51.
rowski Kazimierz
Nauka Pawłowa o znaczeniu czynności kory mózgowej. art. nauk. VII/51; Rozwój poglądów na powstawanie życia na ziemi. art. nauk. XII/51.
rowski Mikołaj
*Zrodzeni z burzy (Grzeniewski Ludwik). om. VII/51.

P

usza
Pieśń cyganki. w. VI/51.
kszta Eugeniusz
Dyskusja (fragm. pow.). proza art. IX/51.
stowski Konstanty
*Opowieść północna (Natanson Wojciech). om. XI/51.
ak Stanisław
Stratowane ustronie. w. VI/51; Dni przełomu. w.; Po latach. w.; Dla tych... w.; Wycieczka nad morzem. w. X/51; *Imię przyszłości (Michalski Hieronim). om. XI/51.
rkowski Jerzy
Nasze życie. dram. VI/51.
kowiński Marian
Podróż do Niniwy. art. publ. VIII/51; Pisarze i artyści niemieccy w walce o pokój. art. publ. XII/51.
ınowski Tadeusz
zob. Heine Henryk: Do politycznego poety. tłum. VII/51.
ak Seweryn
O nową literaturę dla dzieci. ref. VIII/51; Na śmierć Wernera Tiegel. w.; Pottier. w.; Wezwanie. w. XII/51.
ger Janina
„Puszkin w Polsce" Mariana Toporowskiego. om. VII/51; „Wiersze wybrane" Jerzego Zagórskiego. om. XI/51.
kowski Józef
*„Cicha lipa", „Ostrym piórem", „Do żywego" (Śpiewak Jan). om. X/51.
emski Leon
Edward Dembowski jako krytyk i historyk literatury (fragm. monografii). VII/51.
rboś Julian
Giessbach. w.; Rzut pionowy. w. XII/51.
zkin Aleksander
Eugeniusz Oniegin. Poemat, fragmenty rozdziału piątego i rozdział szósty. VIII/51.
ament Jerzy
*Wiersze wybrane (Herdegen Leszek). om. XII/51.

R

łowska Barbara
„Żniwa" Nikołajewej. om. X/51.
zaszek Antoni
Żyrardów ziemski. art. VII/51.
ıi Józef
Zadania literatury węgierskiej. (Przemówienie na Kongresie Węgierskich Pisarzy). VII/51.
lucja II rozszerzonego Plenum Zarządu Głównego Z. L. P., poświęconego literaturze dla dzieci i młodzieży. VIII/51.
Rogowicz Wacław
Na marginesie „Zmartwychwstania". kryt. lit. IX/51; zob. Gorki Maksym: Towarzyszu!; Jak po raz pierwszy usłyszałem o Garibaldim. tłum. X/51.
Różewicz Tadeusz
Yenderan. w. *Czas który idzie (Śpiewak Jan). om. IX/51; Gabriel Peri. w.; Sen i przebudzenie. w. X/51.
Rylejew Konrad
Na śmierć Byrona, w.; Do Biestużewa. w.: Tyś zapragnęła, moja miła... w. XII/51.
Rymkiewicz Aleksander
zob. Csokonai Michał: Wieczór, tłum. XII/51.

S

Samozwaniec Magdalena
zob. Heine Henryk: Anno 1829. tłum. VII/51.
Słobodnik Włodzimierz
Mauzoleum Dymitrowa w Sofii. w.; Płowdiw. w. VII/51.
Sokorski Włodzimierz
Z przemówienia wygłoszonego na Naradzie poświęconej twórczości artystycznej. XII/51.
Spinc Józef
W trosce o kadry literackie. kron. VI/51; Aktualne zagadnienia radzieckiej krytyki literackiej. kron. VII/51; O pracy sekcji twórczych Związku Pisarzy Radzieckich ZSRR. kron. VIII/51; Zagadnienia literaturoznawcze w ZSRR w świetle pracy J. Stalina o językoznawstwie kron. IX/51; Sprawa wielkich budowli komunizmu w literaturze radzieckiej. kron. X/51; Dyskusja w sprawie wypaczeń ideologicznych w literaturze radzieckiej. kron. XI/51; Aktualne zagadnienia dramaturgii radzieckiej. kron. XII/51.
Stalin Józef
Odpowiedzi Józefa Stalina na pytania korespondenta „Prawdy" w sprawie broni atomowej. X/51; Rewolucja Październikowa a kwestia warstw pośrednich. XI/51; List do tow. Demiana Biednego. W odpowiedzi Bill-Bielocerkowskiemu. Do tow. Demiana Biednego, wyjątki z listu. XII/51.
Stawiński Julian
„Czapajew" Dymitra Furmanowa. om. VII/51; zob. Dubois Burghardt William Edward: Zabieram głos. not. i tłum. VIII/51; Notatnik amerykański. art. publ. IX/51; Komunistyczny styl pracy. art. publ. XI/51; Notatnik amerykański. art. publ. XII/51.
Stern Anatol
zob. Żukowski Wasyli: Pieśniarz w obozie rosyskich wojowników. tłum. XII/51.
Stiller Robert
zob. Heine Henryk: Adam Pierwszy. tłum. VII/51.
Stryjkowski Julian
„Listy z więzienia" Antonio Gramsciego. om. IX/51.
Swinarski Artur Marya
Z poezji satyrycznej Heinego. kryt. lit.; zob. Heine Henryk; Poeta Firdusi; Łątka; Niemcy. Opowieść zimowa — 2-gi fragment. tłum. VII/51.
Szekspir William
*„Otello", „Król Lir" i „Makbet" (Chwalewik Witold). om. XII/51.
Szeląg Jan
Zygmunt Podfilipski i jego pan. om. IX/51; „Bajki" Benedykta Hertza. om. X/51; Kraszewski satyrykiem. kryt. lit. XII/51.

Ś

Śliziński Jerzy
Alojzy Jirasek. om. X/51.

Śpiewak Jan
„Polemiki i pieśni" Witolda Wirpszy. om. VII/51; Piosenki. w.; Nastkowi Matywieckiemu. w.; „Czas który idzie" Tadeusza Różewicza. om.; „Nowa ziemia" Jana Koprowskiego. om.; „Pigułki" Janusza Minkiewicza. om. IX/51; „Cicha lipa", „Ostrym piórem" i „Do żywego" Józefa Prutkowskiego. om. X/51.

T

Tank Maksym
Kalinowski. Poemat. XI/51.
Tołstoj Aleksy
Gorki we wspomnieniach współczesnych. wspom. VII/51.
Tołstoj Lew
*Zmartwychwstanie (Rogowicz Wacław: Na marginesie „Zmartwychwstania"). kryt. lit. IX/51.
Toporowski Marian
*Puszkin w Polsce (Preger Janina). om. VII/51.
Treugutt Stefan
Prapremiera „Grzechu" Żeromskiego. kron. VII/51.
Trwamy w walce (urywek z dziennika greckiego więźnia skazanego na śmierć). VII/51.
Tuwim Julian
zob. Lermontow Michał: Pieśń o carze Iwanie Wasyliewiczu, o młodym opryczniku i o udałym kupcu Kałasznikowie. tłum. VI/51.

W

Warzyszyński Andrzej
Dni Październikowe. Z zapisków uczestnika. Fragment pamiętnika. XI/51.
Ważyk Adam
zob. Puszkin Aleksander: Eugeniusz Oniegin, fragmenty rozdziału piątego i rozdział szósty. tłum. VIII/51.
Weyroch Janusz
Oświęcim — Dwory. rep. X/51.
Weyssenhoff Józef
*Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego (Szeląg Jan: Zygmunt Podfilipski i jego pan) om. IX/51.
Wirpsza Witold
*Polemiki i pieśni (Śpiewak Jan). om VII/51.
Wolicki Krzysztof
Przegląd międzynarodowy. art. publ. X/51
Przegląd międzynarodowy. art. publ. XI/51
Przegląd międzynarodowy. art. publ. XII/51
Woroszylski Wiktor
O nas. w. XI/51; Stasia Szarlińska na budowie Berlina. w.; Thälmann. w. XII/51.

Z

Zagórski Jerzy
zob. Lermontow Michał: Maskarada, akt. II tłum. IX/51; *Wiersze wybrane (Preger Janina). om. XI/51.
Zieliński Stanisław
*Ostatnie ognie (Grzeniewski Ludwik). om IX/51.
Zimand Roman
Nad „Bohaterem naszych czasów". om. VI/51
„Kształt miłości" Jerzego Broszkiewicza om. X/51.

Ż

Żeromski Stefan
*Wspomnienia (Natanson Wojciech). om XI/51.
Żółkiewska Wanda
Po Plenum poświęconym literaturze dla dzieci i młodzieży. art. sprawozdawczy VIII/51.
Żółkiewski Stefan
Stan badań i potrzeby nauki o literaturze polskiej. ref. VI/51; *Stare i nowe literaturoznawstwo. Szkice krytyczno-naukowe (Lam Andrzej). om. XII/51.
Żukowski Wasyli
Pieśniarz w obozie rosyjskich wojowników w. XII/51.
Żuławski Juliusz
Na scenach warszawskich. kron. X/51.

SIĄŻKI NADESŁANE

KSIZM-LENINIZM

I. Lenin — Protest socjaldemokratów rosyjskich. Od czego zacząć? Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, Nr 4. Materiały do studiowania rozdz. I, p. 5 Krótkiego Kursu Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 35 i 1 nlb.

Rewolucyjna dyktatura demokratyczna proletariatu i chłopstwa. Trzeci Zjazd. Walka proletariatu a lokajstwo burżuazji. Materiały do studiowania Historii WKP(b). Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, nr 10. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 4 i 2 nlb.

Dzieła. Wydane na mocy uchwały IX Zjazdu RKP(b) i II Zjazdu Rad ZSRR. Wydanie polskie drukuje się na mocy uchwały KC PZPR. Przekład z czwartego wydania rosyjskiego przygotowanego przez Instytut Marksa-Engelsa-Lenina przy KC WKP(b). Tom 20 — Grudzień 1913 — Sierpień 1914. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. VIII, 648 i 1 fotografia.

Nauki powstania moskiewskiego. Wojna partyzancka. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, Nr 13. Materiały do studiowania Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 35 i 2 nlb.

Nasze zadania a rada delegatów robotniczych. Proletariat a chłopstwo. Socjalizm a chłopstwo. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu. Materiały do studiowania Historii WKP(b), zeszyt II. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 41 i 3 nlb.

Franciszek Mehring — Karol Marks. Historia jego życia. Nakład II. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XXIX, 534, 4 nlb. 1 portret.

M. Pietrow — O pracy Lenina. „Co to są „przyjaciele ludu" i jak oni wojują przeciwko socjaldemokratom?" Przekł. z ros. Izabelli Ogrodowicz. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 49 i 3 nlb.

Adam Schaff — Z zagadnień marksistowskiej teorii prawdy. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 406.

Simonian — Wybitny wkład do skarbnicy marksizmu-leninizmu. W 45 rocznicę opublikowania serii artykułów J. W. Stalina „Marksizm czy socjalizm?". Przekł. z ros. T. Krąkowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 19 i 1 nlb.

Józef Stalin — Dzieła. Wydane na mocy uchwały Centralnego Komitetu Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Wyd. polskie drukuje się na mocy uchwały KC PZPR. Przekł. z wyd. ros. przygotowanego przez Instytut Marksa-Engelsa-Lenina przy KC WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Tom 3 — 1917 marzec-październik — str. 438 i 1 nlb.; tom 4 — Listopad 1917-1920 — str. 496; tom 9 — Grudzień 1926-lipiec 1927 — str. 383 i 1 nlb.

— Sprawozdanie polityczne Komitetu Centralnego na XVI Zjeździe WKP(b). Biblioteka klasyków marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 137 i 1 nlb.

— Powstanie zbrojne a nasza taktyka. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, Nr 13. Materiały do studiowania Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 9 i 1 nlb.

— Tymczasowy rząd rewolucyjny a socjaldemokracja. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, zeszyt 12. Materiały do studiowania Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 29 i 3 nlb.

— O rozbieżnościach partyjnych słów kilka. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, zeszyt 7. Materiały do studiowania Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 45 i 3 nlb.

— Chwila obecna a Zjazd Zjednoczeniowy Partii Robotniczej. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu, zeszyt 15. Materiały do studiowania Historii WKP(b). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 34 i 1 nlb.

— Zjazd Londyński Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji. Mała biblioteczka marksizmu-leninizmu. Materiały do studiowania Historii WKP(b), zeszyt 16. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 39 i 1 nlb.

WYDANIA ZBIOROWE

Adolf Dygasiński — Pisma Wybrane pod redakcją Bogdana Horodyskiego. Tom XVII — As. Margiela i Margielka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 243 i 3 nlb.

Eliza Orzeszkowa — Pisma Zebrane pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Tom XXXVI — Gloria victis — str. 302 i 2 nlb.; tom XLVI — Rodzina Brochwiczów, t. I — str. 262 i 2 nlb.; tom XLVII — Rodzina Brochwiczów, t. II — str. 197 i 3 nlb.; tom XLIX — Sylwek cmentarnik. Zygmunt Ławicz i jego koledzy — str. 402 i 2 nlb.

PROZA

Wasilij Ażajew — Daleko od Moskwy. Przekł. z ros. Mariana Ruth-Buczkowskiego. Wyd. III. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951, Str. 669 i 3 nlb.

Bhabani Bhattacharya — Tak wiele jest głodów. Przekł. z ang. Krystyny Tarnowskiej. „Książ-

ka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 238 i 2 nlb.

Aleksander Czejszwili — Lelo. Język oryginału gruziński. Przekł. z ros. Jerzego Brzęczkowskiego. Cykl: Literatura narodów Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 359 i 1 nlb.

Stojan Daskałow — Droga. Powieść. Przekł. z bułg. Zdzisława Kempfa. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 450 i 2 nlb.

Jan Dobraczyński — Klucz mądrości. „Pax", Warszawa, 1951. Str. 392, 2 nlb. i 1 mapa.

Iwan Gonczarow — Obłomow. Przekł. z ros. Nadziei Druckiej. Pod redakcją i z przypisami Ziemowita Fedeckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 534, 2 nlb. i 1 portret.

Pal Ilku — Bunt w klasie. Przekł. z węg. Ireny Kuchinka. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 149 i 2 nlb.

Gyula Illyes — Wódz i poeta. Powieść filmowa. Przekł. z węg. Janusza Moszczeńskiego. Przypisy Jana Reychmana. „Czytelnik". Warszawa, 1951. Str. 136, 2 nlb. 1 mapa i fotografie.

W. Kawierin — Szkoła męstwa. Opowiadania. Wyd. II. Przekł. z ros. Stanisława Niewiadomskiego. Ilustr. z wyd. ros. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 111 i 2 nlb.

Berdy Kerbabajew — Decydujący krok. Przekł. z ros. Konrady i Stanisława Garzteckich. Język oryginału turkmeński. Cykl: Literatura narodów Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 519, 1 nlb. i 1 fotografia.

Mychajło Kociubynski — Fatamorgana. Cykl: Literatura narodów Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 126 i 2 nlb.

Józef Korzeniowski — Kollokacja. Oprac. i wstęp Kazimierza Bartoszyńskiego. Wyd. II, zmienione. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, tom 24, oprac. w Instytucie Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XVII, 200 i 5 nlb.

Hanns Krause — Rodzina Habermanów. Przekł. z niem. Janiny Osińskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 173 i 2 nlb.

Adolf Lekki — Przełom. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 104 i 2 nlb.

Paweł Łuknicki — Nisso. Przekł. z ros. Zofii Łapickiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 450 i 2 nlb.

S. Mstisławski — Szpak ptak wiosenny. Powieść o M. E. Baumanie. Przekł. z ros. Gabrieli Roklewskiej. Wyd. IV. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 351 i 4 nlb.

Opowiadania łotewskie. Język oryg. łotewski. Przekł. z ros. Ireny Nowak. Cykl: Literatura narodów Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 48 i 2 nlb.

Natan Rybak — Rada Perejasławska. Cykl: Literatura narodów Związku Radzieckiego Przekł. z ukraińsk. Marii Traczewskiej „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 646 i 4 nlb.

Anna Seghers — Tranzyt. Przekł. z niem. Wandy Jedlickiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951 Str. 275 i 2 nlb.

Wiaczesław Szyszkow — Tajga. Przekł. z ros. Kazimierza Truchanowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 585 i 2 nlb.

Mikołaj Tichonow — Opowiadania. Przekł. z ros. Ireny Tuwim. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 108 i 2 nlb.

Wanda Wasilewska — Wierzby i kruk. Ilustr. Antoniego Uniechowskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 62 i 1 nlb.

Krum Welkow — Wieś Borowo. Przełożyli bułg.: Br. Cirlic i H. Kalita. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 175 i 1 nlb.

Stanisław Zieliński — Przed świtem. Wyd. I poprawione i rozszerzone. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 217 i 2 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Roman Bratny — Człowieku, żyć będziesz „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 3 i 1 nlb.

Władysław Broniewski — Nadzieja — Poezje „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 128 i 2 nlb.

Jerzy Hordyński — Powrót do światła. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 44 i 3 nlb.

Jan Huszcza — Wiersze. „Książka i Wiedza" Warszawa, 1951. Str. 62 i 2 nlb.

Leonid Leonow — Najazd. Sztuka w 4 aktach Przekł. z ros. Marii Zagórskiej. „Czytelnik" Warszawa, 1951. Str. 105 i 2 nlb.

Tadeusz Łomnicki — Kąkol i pszenica. Sztuka w 3 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 195 Str. 114 i 3 nlb.

Adam Mickiewicz — Grażyna. Powieść litewska. Wyd. II, zmienione. Oprac. Zygmunt Kaczanowski. Wstęp przygotowany zespołowo przez Hannę Kirchner, Ryszarda Przybyskiego i Jana Siekierę. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, tom 46, oprac. w Instytucie Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XII, 61 i 7 nlb.

Mikołaj Pogodin — Missuryjski walc. Sztuka w 4 aktach, 8 obrazach. Przekł. z ros. Bronisława Trońskiego. „Czytelnik", Warszawa 1951. Str. 134 i 2 nlb.

Wilhelm Szewczyk — Poemat górniczy. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. i 1 nlb.

Wiersze. Arkusze poetyckie: Mikołaja Bieszczadowskiego, Tadeusza Chrzanowskiego, Macieja Józefa Kononowicza, Andrzeja Łepko

skiego, Wacława Olszewskiego, Antoniego Podsiada, Anny Pogonowskiej, Mikołaja Roztworowskiego, Józefa Szczawińskiego i Marka Antoniego Wasilewskiego. „Pax", Warszawa, 1951.

TERATURA NAUKOWA

D. Bernal — Wybór artykułów. Przekł. z ang. Ireny Krońskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 109 i 2 nlb.

Niemierko, B. Skarżyński, J. Meduski — Biochemia a nowa biologia. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 90 i 2 nlb.

Tonkow — Anatomia człowieka. Tom II. Część ogólna, układ pokarmowy, układ oddechowy, układ moczowo-płciowy. Z czwartego poprawionego i uzupełnionego wydania rosyjskiego przełożył Aleksander Michajlik pod red. dra med. Z. Wojciechowskiego, adiunkta Zakładu Anatomii Prawidłowej A. M. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 392 i 1 nlb.

rgiusz Wawiłow — Wybór pism. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 159 i 1 nlb.

ykłady z ekonomii politycznej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Tom II — str. 379 i 3 nlb., tom III — str. 496 i 6 nlb.

UBLICYSTYKA I HISTORIA

rzy Andrzejewski — O człowieku radzieckim. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 97 i 2 nlb.

Astafiew — Komunistyczna Partia Chin w walce o likwidację zacofania ekonomicznego i o uprzemysłowienie kraju. Przekł. z ros. S. Krajewskiej. Cykl: Kraje demokracji ludowej. Nr 5. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 28.

ińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. Artykuły z broszury w jęz. franc. „L'armée populaire de liberation de Chine" i z dwutygodnika w jęz. ang. „People's China". Cykl: Chiny Ludowe, Nr 5. „Książka i Wiedza". Warszawa, 1951. Str. 54, 2 nlb. i 1 mapa.

ng Cing-ling — Nowe życie Chin. Przekł. z ang. K. Rapaczyńskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 61 i 1 nlb.

J. Czyżow — Ekspansja ekonomiczna Stanów Zjednoczonych groźbą dla suwerenności państw. Przekł. z ros. Ewy Gutermanowej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 31 i 1 nlb.

chel Hincker — Marokański ruch narodowo-wyzwoleńczy. Przekł. z franc. E. Iserzona. Cykl: Bieżące zagadnienia polityki międzynarodowej, nr 15. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 20 i 2 nlb.

zegorz Jaszuński — Amerykańska odmiana faszyzmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 244 i 2 nlb.

Kabiu — Walka narodu niemieckiego przeciw remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Przekł. z ros. I. Żemralskiej. Cykl: Bieżące zagadnienia polityki międzynarodowej, zeszyt 21. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 22 i 1 nlb.

Kao Kang — Rozwój gospodarczy Chin północno-wschodnich. Przekł. z franc. A. Liebfelda. Cykl: Chiny Ludowe, Nr 2. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 50 i 1 nlb.

A. Koczetkow — Wzrost pauperyzacji proletariatu angielskiego. Przekł. z ros. S. Krajewskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 39 i 1 nlb.

F. Konstantinow — Planowanie gospodarki narodowej w europejskich krajach demokracji ludowej. Przekł. z ros. Marii Wisłockiej. Cykl: Kraje demokracji ludowej, Nr 1. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 22 i 1 nlb.

E. Kowalow — O przemianach demokratycznych w Chińskiej Republice Ludowej. Przekł. z ros. K. Poznańskiej. Cykl: Kraje demokracji ludowej, Nr 3. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 31 i 1 nlb.

Janusz Litwin — ABC Planu Sześcioletniego. Rysunki Eryka Frecha. Zdjęcia: „Film Polski", CAF, C, Datha, A. Funkiewicz. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 242 i 2 nlb.

G. Mariagin — Z dziejów nafty. Przekł. z ros. Lidii Dutkowskiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 40 i 2 nlb.

Edmund Jan Osmańczyk — Młode Niemcy. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 162, 4 nlb. i fotografie.

— Dowody prowokacji. (Nieznane archiwum Himmlera). „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 48, 1 mapa, fotokopie i fotografie.

Przyjaźń chińsko-radziecka. Przekł. z ros. W. Bukowskiego. Cykl: Chiny Ludowe, Nr 8. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 67 i 1 nlb.

Reforma rolna w Chinach Ludowych. Przekł. z ang. A. Liebfelda. Cykl: Chiny Ludowe, Nr 3. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 66 i 2 nlb.

M. Rubinsztejn — Krach amerykańskiej dyplomacji atomowej. Przekł. z ros. Edwarda Tureniec. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 18 i 1 nlb.

Sojusznicy Gestapo. Proces Kwasiborskiego i innych. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 303, 3 nlb. i fotokopie.

G. Szur — Lincz formą terroru reakcji amerykańskiej. Przekł. z ros. L. Marschaka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 27 i 1 nlb.

Roman Werfel — Trzy klęski reakcji polskiej. Na marginesie procesu grupy szpiegowsko-dywersyjnej Tatara, Kirchmayera i innych. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 157 i 2 nlb.

SPIS TREŚCI

Bogdan Ostromęcki: Której mi nikt nie odbierze . . .

Andrzej Braun: Helgoland; Psy policyjne Lehra; Łzy w Berlinie

Tadeusz Różewicz: Pragnienie; Rzeka światła . . . .

Tadeusz Śliwiak: Piosenka o bursztynowym sercu . . .

Igor Newerly: Pamiętnik z Celulozy 1

Jerzy Putrament: Notatnik chiński 4

Paweł Jasienica: Łopata pomaga kronikarzom 8

Zbigniew Bieńkowski: Nad brulionem Sonetów Krymskich . 9

Aleksander Puszkin: Eugeniusz Oniegin (Rozdział siódmy) — przeł. Adam Ważyk 10

Tadeusz Peiper: Przekład komedii Lopego Vegi pt. „Pies ogrodnika“ 1

NA BUDOWIE PLANU 6-LETNIEGO: Antoni Dutlinger: O niektórych zagadnieniach budownictwa przemysłowego 1

WŚRÓD KSIĄŻEK: Edmund Niziurski — Lesław Bartelski „Ludzie zza rzeki“; Bohdan Hamera „Doznania ludzkie“; Michał Radgowski — Wacław Nałkowski „Pisma społeczne“; Ludwik Grzeniewski — Roger Garaudy „Gramatyka wolności“ . . . 1

TEATR: Józef Maśliński: Leningradzki Teatr im. Puszkina . . 1

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki; Józef Spinc; Edmund Osmańczyk; Julian Stawiński 1

Alfabetyczny spis treści II półrocza 1951 r. 1

KSIĄŻKI NADESŁANE 1

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik“
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch“ Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł 3.60. Prenumerata kwartalna zł 10.80, półroczna — zł 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

D.S.P. 10